

NIEODŻĄLOWANI
Czemu nie pamiętamy
o ofiarach pandemii

W IMIĘ SIÓSTR
Zakonnica walczy
o prawa kobiet

UBYWA PAŃSTWA
Polityka socjalna
omija biednych

BOGOWIE I INNI
Czy religia
jest wrodzona

DO PEŁNA!
Polska jako
stacja paliw

Kraków 23 maja 2021 nr 21 (3750)

cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

ANDRZEJ STASIUK

Bug, ojciec, ojczyzna

W WYDANIU
KATALOG
FESTIWALOWY
COPERNICUS 2021

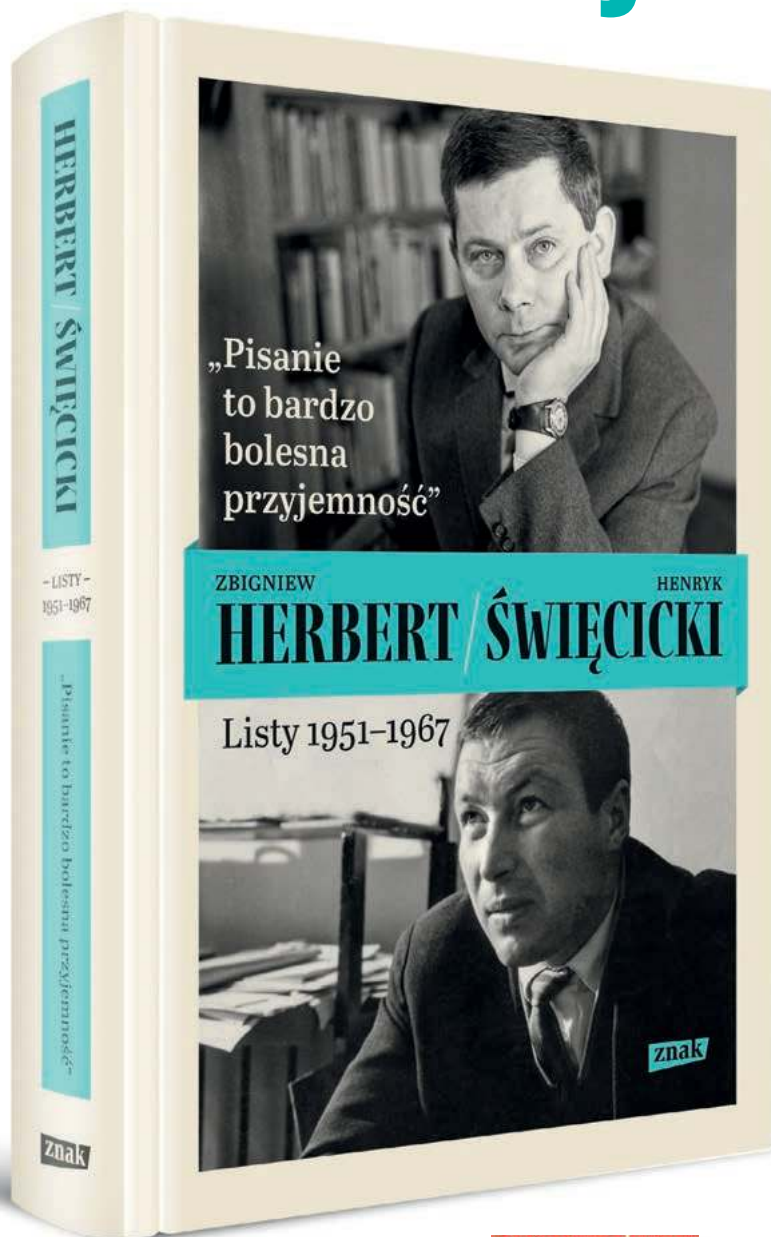


Niepublikowana korespondencja

15^{lat}
przyjaźni
artystów

Świadectwo
niezwykłej relacji
mistrz i uczeń
Rękopisy listów
szkice Zbigniewa
Herberta oraz
reprodukcje
obrazów
Henryka
Święcickiego

znak



HENRYK ŚWIĘCICKI

- Prawnik, malarz, poeta.
- Redaktor, społecznik, dyplomata.
- Twórca jednego z pierwszych w PRL kolorowych magazynów. „Panorama Północy” była kulturalnym powiewem świeżości.



Premiera 19 maja Książka dostępna w księgarniach stacjonarnych i sklepach internetowych

KS. ADAM

Boniecki: Samotność pokonana

LOCKDOWN – SAMOTNOŚĆ STARYCH, CHORYCH
Ludzi w domach, covidowa samotność umierających w szpitalach i bolesne myśli bliskich... To wszystko kojarzy się nam z pandemią. Samotność przecież nie tylko ofiar koronawirusa, ale wszystkich, którym w tym okrutnym czasie przyszło znaleźć się w szpitalu albo w hospicjum, albo w domu pomocy społecznej – „depe-
esie”.



I wspomnienie czasu pandemii: szpital. Lekarz, życzliwy człowiek, tłumaczy, że operacja nic nie dała, bo nowotwór jest zbyt zaawansowany i że już nic nie da się zrobić. Naprawdę jest mu przykro i ten dobry człowiek radzi, żeby chorą prosto ze szpitala przewieźć do hospicjum. „Same nie dacie rady” – mówi do stojących przed nim kobiet. One odpowiadają, że nie, że dadzą radę i zabierają chorą do domu.

Pierwsze w Warszawie hospicjum – Archidiecezalny Zespół Domowej Opieki Paliatywnej, istnieje już 25 lat. Rocznie opieką obejmuje ok. 500 pacjentów. Rozmawiamy przez telefon. Pierwsze pytanie dyrektora, ks. Władysława Dudy: „Czy nie przysłać łóżka?”. Odpowiedź: „Przysłać”. Po godzinie łóżko z elektrycznym ustawianiem w odpowiedniej pozycji oczekuje na wracającą ze szpitala chorą w jej pokoju. Od-tąd, przez długie miesiące lekarka i pielęgniarka z hospicjum będą systematycznie ją odwiedzały.

Zauważcie: wszystko to działo się w czasie, kiedy telefoniczne porady musiały zastąpić wizyty u lekarza! Damy radę... Decyzja byłaby ponad siły rodziny chorego, zdanej tylko na siebie, przytłoczonej chorobą, zaskakiwanej jej kolejnymi przejawami, których sami nie potrafili zinterpretować – gdyby nie hospicjum. Nie daliby rady. Ludzie w nim pracujący cierpliwie przychodzili, służyli radą i pomocą. Dzięki hospicjum rodzina chorej przeżyła ten czas jej odchodzenia, z miłością ją pielęgnując, uśmierzając ból i towarzysząc jej do

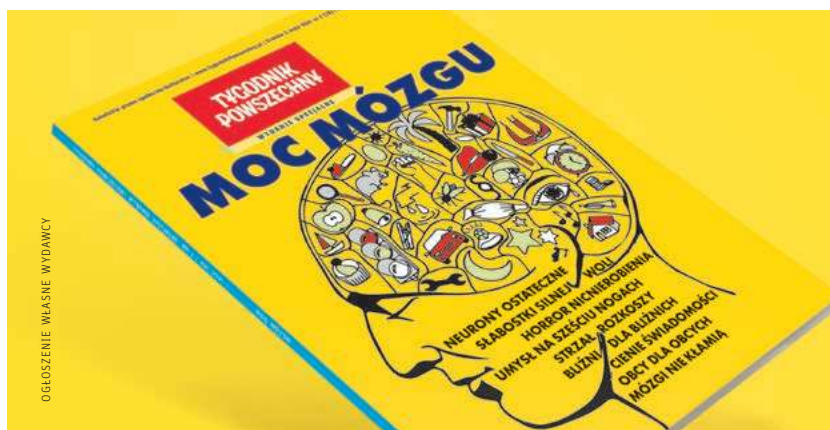
końca. To ludzie z hospicjum uratowali chorą przed samotnością odejścia, a ich od odcięcia, skazującego na bezczynność i bezradność.

Różewicz przed laty pisał: „zaczynamy żyć coraz samotniej / odległość od człowieka do / / rośnie pod neonami / w przeludnionych miastach / ocierając się o siebie do krwi / żyjemy jak na wyspie / zamieszkaanej przez nieliczne istoty...”.

Przed samotnością ratują także oni: „Jesteśmy grupą dziewięciu pracowitych i otwartych na ludzi nastolatków z różnych krakowskich szkół (II LO, V LO, VI LO, VIII LO) – napisali. – Osoby z zaburzeniami są często odrzucane i nietolerowane przez społeczeństwo. Pragniemy im pomagać, gdyż często nie mają się do kogo zwrócić”. Na olimpiadę „Zwolnieni z Teorii” przygotowali projekt „DePresja Społeczeństwa”. Zwracają się głównie do swoich rówieśników. Ich strony są odwiedzane przez młodzież. Publikują wywiady z psychologami, do których kierują pytania nurtujące uczniów, dyskutują o zaburzeniach psychicznych, prowadzą na żywo rozmowy i wywiady z psychologami i ekspertami, a także z koleżankami i kolegami walczącymi z depresją i innymi chorobami. Oto niektóre tematy: myśli samobójcze, autoagresja, anoreksja, bulimia, ednos (obsesja na punkcie zdrowej żywności), choroba afektywna dwubiegunowa, OCD (zaburzenia obsesyjno-kompulsywne), schizofrenia. Współpracują z różnymi instytucjami m.in. z Akademią Ignatianum. Publikują na Facebooku i Instagramie na stronie „DePresja Społeczeństwa”. Organizują konkursy. Teraz przygotowują wielki koncert. Wciąż mają nowe pomysły i wszystko to robią z wielkim zaangażowaniem i zapałem.

Kiedy w „Tygodniku” piszemy o dramatycznej, narzuconej przez pandemię samotności, wspominam też tych, którzy nas przed samotnością ratują.

© P



w głowie się nie mie- ści!

Wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego” **MOC MÓZGU**
w sprzedaży – szukaj w kioskach i salonach prasowych.
Więcej informacji na powszech.net/mocmozgu

TEMAT TYGODNIKA

12 Nieodżałowani

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Epidemia zabrała tysiącom Polaków bliskich. Ale też możliwość ich pożegnania. Za życia i po nim.

16 Komu czego braknie

DARIUSZ KOSIŃSKI

Mało jest społecznej presji, by o ofiarach covidu mówić, by je upamiętniać. Zajmujemy się swoimi sprawami, zostawiając tych zmarłych wyłącznie ich bliskim. Co to za wspólnota?



26 Przed odbudową

PAWEŁ BRAVO

Zepsucie opozycji na swoje podobieństwo to znacznie większy sukces Jarosława Kaczyńskiego niż stworzenie sprawnej wodzowskiej partii.

42 Kto piecze nasz chleb

SZYMON ŁUCYK Z OWERNII:

W historii tego Malijczyka odbija się Francja – ta, która boi się masowej imigracji, i ta, która broni imigrantów. Także na idyllicznej prowincji.



32 Wiara, nadzieja, pomoc

ROZMOWA

Z SIOSTRĄ
PHILIPPĄ RATH,
BENEDYKTYNKĄ:

Strukturalna dyskryminacja kobiet w Kościele jest usprawiedliwiana argumentami teologicznymi, które dawno zostały obalone.



62 Bug, ojciec,

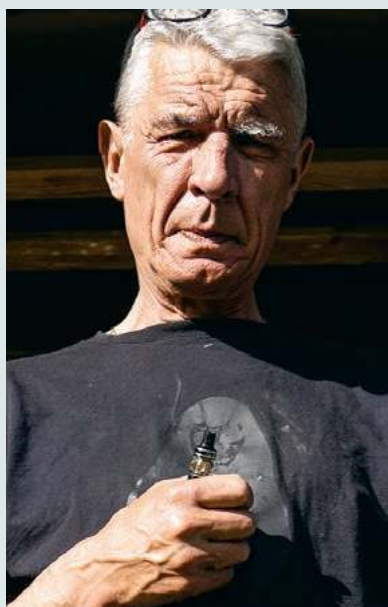
ojczyzna

ROZMOWA

Z ANDRZEJEM

STASIUKIEM:

Jestem krwią z jego krwi i kością z jego kości. Wpadam do niego czasem, coś trzeba zrobić w domu, pytam: „Tata, a gdzie jest wiertarka?”. Nie wie, co to jest wiertarka.



78 Miejsca mocy

MARCIN

NAPIÓRKOWSKI

Polityk na stacji benzynowej to polityk swój, gdyż znajduje się w drodze. Niczym średniowieczny monarcha objeżdżający swe włości. Z hot dogiem w jednym ręku i kawą w drugim.



6 Na straży wielu murów
KAROLINA PRZEWROCKA-
-ADERET Z TEL AWIWU

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ KRAJ

22 Państwo już tutaj nie mieszka
KLAUS BACHMANN: *Pomysł PiS-u na podatki: ściągać je wysokie i część oddawać*

26 Przed odbudową
PAWEŁ BRAVO

28 Które do kochania, które do jedzenia?
BARTOSZ RUMIENIŃCZYK
o niezwykłym azylu dla zwierząt

■ WIARA

32 Wiara, nadzieja, pomoc
ROZMOWA Z S. PHILIPPĄ RATH,
BENEDYKTYNĄ

36 Komunia dla Bidena
KAROL KLECZKA *o sporze, który dzieli Kościół w USA*

38 Odruch samoobrony
ARTUR SPORNIĄK: *Watykan dymisjonuje biskupów*

39 Biblia i różga
ANNA GOLUS *o poradniku, który zaleca bicie dzieci*

■ ŚWIAT

42 Kto piecze nasz chleb
SZYMON ŁUCYK
Z LE PUY-EN-VELAY (FRANCJA)

47 Dwa tysiące dni
MARTA ZDZIEBORSKA
o więźniach Teheranu

KATALOG FESTIWALOWY

COPERNICUS FESTIVAL: WYOBRAŹNIA

- Eksperymenty na kanapie i teorie spiskowe dla każdego
- Nie wszyscy liczą owieczki
- Czy fizycy zagubili się w matematyce
- Dlaczego nie ma niewinnych hobbitów
- Wyścig po Nobla: życie jako społeczność robotów
- Co może dostrzec oko umysłu
- Treningi wyobraźni – to nie takie proste

PISZĄ M.IN:

BARTOSZ BRÓŻEK | KATARZYNA DZIADOWICZ
MICHAŁ ECKSTEIN | MATEUSZ HOHOL
GRZEGORZ JANKOWICZ | MARCIN NAPIÓRKOWSKI

■ FELIETONY ■

31 DOROTA MASŁOWSKA 41 ZUZANNA RADZIK
76 JAN KLATA 77 PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: ANDRZEJ STASIUK
FOTOGRAFIA: GRAŻYNA MAKARA
Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

50 Zima udręki, lato wolności

DARIUSZ KAŁAN:
Viktor Orbán może przegrać kolejne wybory. A wokół jego walki z pandemią przybywa wątpliwości

■ HISTORIA

54 Wielka ewakuacja

ANDRZEJ KRAWCZYK:
Tak wyglądała Operacja „Salomon” – w czasie jednej doby, Izrael wywiózł z Etiopii 14 tysięcy ludzi, czarnoskórych Felaszów

■ NAUKA

58 Wyjaśnienia nie z tej ziemi

PIOTR SZYMANEK: *Religia ma się dziś w świecie całkiem dobrze. Może dzięki naszym mózgom?*

■ KULTURA

62 Bug, ojciec, ojczyzna

ROZMOWA Z ANDRZEJEM
STASIUKIEM, PISARZEM

68 Wyjęte z osi czasu

PIOTR KOŚCIEWSKI: *Nowe płótna Jarosława Modzelewskiego pokazują, że malarstwo może pomóc poradzić sobie z teraźniejszością*

71 Innej rewolucji nie będzie

MONIKA OCHĘDOWSKA *o Błażeju Królu i Marcinie Świątlickim*

74 Brzydkie tatuaże

ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Król Staten Island” Judda Apatowa*

76 Obcość dwojaka

LEKTOR *o nowym wydaniu „Obcego” Alberta Camusa*

■ ZMYŚŁY

78 Miejsca mocy

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ 17 mgień Rosji

Od dwóch lat jakucki szaman Aleksandr Gabyszew podejmuje próby pomaszerowania na Kreml, aby wygonić stamtąd demona. Po drodze obrasta coraz liczniejszym gronem zwolenników – pisze ANNA ŁABUSZEWSKA www.tygodnikpowszechny.pl/blogi

➔ Punkt zwrotny [Podkast Powszechny]

Raz, że człowiek był młodszy, a dwa, że wydawało mi się, że zawsze zdążę: mamy dobre auto, dobrych kierowców, będziemy na czas. I zazwyczaj byliśmy – opowiada KATARZYŃIE KUBISIOWSKIEJ muzyk STANISŁAW SOYKA powszech.net/podkast

Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

[WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA](http://WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA_SWIATA)

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

NA STRAŻY WIELU MURÓW

Militarne działania Izraela budzą w świecie potężny sprzeciw.
Na wojnie zyskają premier Netanjahu i palestyński Hamas.
Przegrają, jak zwykle, oba narody.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU

WNIEDZIELĘ 16 MAJA HAMAS ZAPOWIEDZIAŁ ostrzał miasta o północy. Zerwaliśmy się do przygotowań: znieśliśmy do schronu materac, zabawki dla dziecka, wodę. O 23.45 wszystkie telewizje pokazywały niebo nad Tel Awiwem, jakby gotowe do ataku. Wreszcie wybrzmiały syreny alarmowe. Odkryłam, że strach – przećwiczony w minionym tygodniu kilkanaście razy – rzeczywiście można ośwoić. Że jest tak, jak mówią Izraelczycy: „trzeba z tym żyć”. Jak bardzo zniekształcona musi być rzeczywistość, skoro w tym tempie doprowadza człowieka do tak absurdałnego myślenia.

Podczas izraelskiej operacji wojskowej „Strażnik Murów” w Strefie Gazy – części Autonomii Palestyńskiej, w praktyce kontrolowanej przez Hamas, uznawany m.in. przez UE za organizację terrorystyczną – zginęło już co najmniej 188 osób, w tym 55 dzieci (dane palestyńskie). Ponad 1200 Palestyńczyków zostało rannych. Na skutek ostrzału rakietowego z Gazy w Izraelu, chronionym przez system antyrakietowy Żelazna Kopuła, śmierć poniosło 10 osób. Hamas wystrzelił ponad 3 tys. rakiet. Gdy piszę ten tekst, izraelska armia wysadza w powietrze jeszcze jeden tunel Hamasu, a specjalna aplikacja w telefonie

Po ataku na budynek mieszczący zagraniczne redakcje, a według Izraela także bazę Hamasu, Gaza, 15 maja 2021 r.

ostrzega mnie przed nalotami w kolejnych miejscowościach.

Militarna odpowiedź Izraela na ataki budzi potężny sprzeciw, zwłaszcza na Zachodzie i w świecie arabskim. Tel Awiw mówi o samoobronie, ale walka, którą prowadzi, jest skazana na niepowodzenie. Wojskowo – bo w starciu z partyzanckim Hamasem jego potężna armia nie ma szans wytropić całego arsenału rakietowego ukrytego między cywilami bez zabicia wielu z nich. Wizerunkowo – bo zdjęcia ze Strefy Gazy nie pozostawiają wątpliwości, że to po prostu musi się skończyć.

W samym Izraelu toczy się jeszcze jeden konflikt – grupy skrajnie nastawionych Arabów ścierają się z żydowskimi nacjonalistami. Ale tłą się też isierki dobra. Arabowie (żyją ich w Izraelu 2 mln) są istotną częścią społeczeństwa, a ci, którzy podczas pandemii pracują w szpitalach, stali się wręcz narodowymi bohaterami. Na ulicach demonstrują członkowie inicjatyw arabsko-żydowskich, telewizja emituje spoty promujące wzajemny szacunek i braterstwo. Nie brakuje też apeleli o zaprzestanie ostrzału Strefy Gazy.

Krajem rządzą jednak ci, którzy nastroje antyarabskie od dawna podsycają dla bieżących korzyści – jak premier Benjamin Netanjahu. Niedawno stracił on mandat do utworzenia nowego rządu. Szansę dostał Ja'ir Lapid, lider centrystów, który wraz z prawicowym Naftalim Bennettem i partiami arabskimi miał stworzyć koalicję dającą szansę na zmiany. Jednak na skutek ostatnich wydarzeń Bennett wstrzymał rozmowy koalicyjne. Jeśli dołączy do Netanjahu, będzie to kolejne zwycięstwo premiera i szansa na jego powrót do gry. Nie po raz pierwszy w chwili, gdy ma oddać władzę, wybucha w regionie wojna.

Na wojnie zyskają ci, którzy ją prowadzą: Benjamin Netanjahu i izraelska prawica oraz Hamas. Przegrają, jak zwykle, oba narody. Nic nie wskazuje na to, by los Palestyńczyków miał się wkrótce polepszyć. Wśród Izraelczyków pogłębiają się podziały, a okupacja Zachodniego Brzegu Jordanu oraz blokada Strefy Gazy nasilają międzynarodową izolację. Po obu stronach trauma i umniejszanie krzywd drugiej strony sprawiają, że dramatycznie maleje gotowość na przyjęcie jakichkolwiek warunków pokoju. ©

Tekst ukończono 17 maja.

Nowy ład na stare nierówności

PAWEŁ BRAVO



PREZENTACJA POLSKIEGO ŁADU PRZEBIEGła tak, jakby chodziło o typową konwencję wyborczą partii, która na początku kampanii składa programowe obietnice. Stąd solenny ton premiera, jakby obwieszczał przemiany niewidziane nad Wisłą od czasów króla Kazimierza, dlatego widzieliśmy miks modernizacji z niezbędnym w propagandzie Prawa i Sprawiedliwości pakietem „godnościowym”. Nie wspomniano przy tym, bo byłby to dla naszych „suwerenistów” zgrzyt, o kontekście, którym jest znaczny zastrzyk finansowy z Unii na odbudowę po pandemii. Ale to nie zmienia faktu, że w sobotę usłyszeliśmy wiele trafnych diagnoz i równie wiele dawno oczekiwanych zmian.

Szeroko zakrojone programy reform prawno-ustrojowych zawsze udają się tylko częściowo (gdyby brać za dobrą monetę wszystkie zapowiedzi rządu, Sejm musiałby do końca roku odbyć kilkanaście dodatkowych posiedzeń, by uchwalić setkę dodatkowych ustaw), więc o tym, jak może się udać Ład jako całość, będzie można dyskutować za kilka lat. Dziś miejmy

w pamięci, jak niewiele zostało z równie szumnie ogłaszanej niedawno Strategii Odpowiedzialnego Rozwoju, albo że zwiększenie udziału środków na ochronę zdrowia w PKB do prawie 7 proc. zostało obiecane trzy lata temu.

Tym niemniej, nawet gdyby rząd poprzestał na najważniejszych i najszerzej komentowanych zmianach, to będzie od dawna już potrzebny krok w stronę przywrócenia realnej progresji podatkowej. Słuszności tego kierunku – podobnie jak w przypadku utrudniania ucieczki w fikcję samozatrudnienia lub wsparcia gotówkowego dla rodziców – nie zagłuszają argumenty o szkodach, jakie to wyrządzi klasie średniej i przedsiębiorcom. Należą im się wprowadzić sprawiedliwe warunki rozwoju i wolność od atmosfery populistycznych podejrzeń, ale na pewno nie przywileje fiskalne, którymi cieszyli się dotąd. Przesunięcie punktu ciężkości uwagi państwa na większość obywateli, którzy lokują się w niższych przedziałach dochodowych, wypełnia jedno z elementarnych jego zadań, czyli niwelowanie zbyt głębokich nierówności. ©

To nie jest koniec pandemii

OGÓLNOPOLSKA IMPREZA zaczęła się w nocy z 14 na 15 maja: przestał obowiązywać nakaz noszenia maseczek na świeżym powietrzu. Polacy uczcili to na ulicach i w knajpiach ogródkach. Do czerwca Polska otworzy się niemal całkowicie. Zdejmowanie obostrzeń wywołuje wrażenie, że pandemia ma się ku końcowi. Epidemiolodzy obawiają się, że mało kto będzie nosił maski tam, gdzie to nadal konieczne. O tym, jak działają mechanizmy psychologii społecznej, przekonał się każdy, kto wszedł w masce do pomieszczenia, w którym nie nosi jej nikt inny.

Razem z liczbą zakażeń spada niestety liczba przeprowadzanych testów. W przeciwieństwie do innych europejskich krajów, znoszących restrykcje, ale testujących na potęgę, Polska pozostanie ślepa na ewentualne odradzanie się zagrożenia. Bo wykres globalnych zakażeń rozwiewa nadzieje: pandemia nie słabnie, pustosząc obecnie przede wszystkim Azję. Gdzie do-

chodzi o masowych zakażeń, tam wirus najłatwiej mutuje – potencjalnie zagrażając także wyszczepionej części świata. Warianty szerzą się szybko: np. w Wielkiej Brytanii rośnie udział wariantów indyjskiego i południowoafrykańskiego. „Wśród niezaszczepionych indyjska mutacja może rozprzestrzeniać się jak ogień” – ostrzegł brytyjski minister zdrowia.

Nierównomiernie szczepi się także Polska: przoduje Pomorze, w ogniu jest Podkarpacie. Minister Niedzielski zapewnia, że najdalej we wrześniu osiągniemy odporność zbiorową (czyli ok. 70 proc.). Jednak Michał Dworczyk poinformował ostatnio, że „włączonych w Narodowy Program Szczepień” jest „40 proc. populacji dorosłych”. Precyzował, że chodzi o pacjentów, którzy „albo przyjęli jedną bądź dwie dawki, albo oczekują”. W maju i czerwcu system ma 4,6 mln wolnych terminów. Świadczy to o tym, że pula chętnych już się kończy. Czwartej fali nie można więc wykluczyć, choć będzie miała zapewne inny charakter niż poprzednie. Przyjmie postać ognisk epidemicznych w społecznościach o najniższym poziomie odporności. © MACIEJ MÜLLER

Strach najwyższy

MAREK RABIJ



ORZECZENIE W SPRAWIE KREDYTÓW frankowych przełożono kolejny raz. Coraz trudniej uwierzyć, że Sąd Najwyższy nie gra na zwłokę.

Tym razem posiedzenie przerwał fałszywy alarm bombowy, ale po sprawdzeniu budynku postępowania nie wznowiono. Rzecznik SN poinformował za to opinię publiczną, że przed wydaniem orzeczenia Izba Cywilna chce wysłuchać stanowiska m.in. Rzecznika Praw Dziecka, Komisji Nadzoru Finansowego, Rzecznika Praw Obywatelskich oraz prezesa Narodowego Banku Polskiego. Decyzję tę podjęto z uwagi na świadomość „doniosłości zarówno społecznej, jak i gospodarczej, jakie jego decyzje będą miały dla Polaków”.

Kredyty frankowe spłaca około 420 tys. gospodarstw domowych. Licząc według aktualnego kursu walutowego, pozostało im do oddania około 91 mld zł, sprawa jest więc faktycznie poważna i będzie mieć ważne konsekwencje. Trudno jednak nie mieć również wrażenia, że zapraszając do konsultacji instytucje z tak rozmaitych sfer życia publicznego, Sąd Najwyższy robi to samo, co praktykują walczące z kredytobiorcami banki: przenosi ten spór na płaszczyznę pozaprawną.

Sednem tego sporu nie jest tymczasem wpływ polityki kredytowej tych ostatnich na inflację czy płynność samego systemu bankowego – o czym mogłyby mówić NBP i KNF. Nie chodzi w nim także o jakość relacji obywatel–instytucje, która winna leżeć na sercu Rzecznikowi Praw Obywatelskich, czy stan finansów rodzin frankowiczów – coś dla Rzecznika Praw Dziecka. Konflikt dotyczy treści samych umów, w które – w świetle orzecznictwa TSUE – banki z premedytacją wmontowały klauzule zakazane.

Sąd Najwyższy ma oczywiście prawo pytać o zdanie dowolne instytucje. Trudno też potępiać skład za ostrożność, z jaką porusza się po labiryncie kredytów walutowych. Sędziowie powinni jednak zdawać sobie również sprawę, że przeciągając się postępowanie może jawić się zainteresowanym jako kolejny przejaw słabości państwa. Tej samej, która kilkanaście lat temu legła u źródeł całego frankowego kryzysu.

©©

KRAJ W SKRÓCIE

NA SZKODĘ PAŃSTWA
NIK przedstawił długo oczekiwany raport w sprawie nielegalności organizacji wyborów kopertowych, choć jeszcze rano w dniu jego prezentacji u Mariana Banasia pojawiła się policja powołująca się na anonimowy list, z którego wynikało, że syn prezesa Izby może popełnić samobójstwo.

NA SZKODĘ PARTII
Dwóch posłów PO, Ireneusz Raś i Paweł Zalewski, zostało wykluczonych z partii za działanie na jej szkodę. Obaj należeli do najostrzejszych krytyków obecnego lidera Platformy, Borysa Budki.

NA SZKODĘ RODZINY
„Pani Nowacka, tak jak moja żona, słyszy to, co chce” – powiedział poseł Lewicy Marek Dyduch, przerywając w audycji Moniki Olejnik postance Barbarze Nowackiej i zarzucając jej, że „straszenie dużo mówi, trajkocze, trajkocze”.

BEZ OGRÓDEK
Inny polityk Lewicy, Włodzimierz Czarzasty, miał z kolei zadzwonić do wicemarszałkini Sejmu Gabrieli Morawskiej-Staneckiej: zażądał, by „przestała łązić po mediach”, bo jak nie, to ją „odstrzeli”. O „odstrzeleniu” Dyducha nie było dotąd mowy.



PIOTR MOŁĘCKI / EAST NEWS

W OGRÓDKACH
W związku ze złagodzeniem przepisów pandemicznych w piątek o północy wiele popularnych ogródków gastronomicznych w największych polskich miastach wypełniło się po brzegi.

Lecimy na grubo, czyli show niepełnostrawne

HALO, SŁYSZAŁEŚ, że będę się tobą zajmował? Nie boisz się?” – pyta na początku pierwszego odcinka roześmiany aktor Misiek Koterski, nieświadomie streszczając obawy dotyczące nowej telewizyjnej produkcji.

Chodzi o program stacji TTV „To tylko kilka dni”: pięcioro celebrytów „przejmuje opiekę nad osobami z niepełnosprawnościami”. W odcinku pierwszym Koterski spotyka cierpiącego na porażenie mózgowe Mateusza, wspierając go, próbując rozmawiać z nim o życiu („Są dupencje, oglądasz się czasami za dupencjami?” – pyta w sklepie), czy też oddając się rozrywce („Lecimy, kurde, na grubo!” – krzyczy podczas rajdu na wózkach). A przy okazji utrwalając – jak zauważyli jeszcze przed emisją, na bazie samych opisów programu aktywiści ze środowiska OzN – stereotypy (Koterski zapyta np. matkę Mateusza – 30-letniego mężczyzny – czy „goni go do spania”).

„Znowu stajemy się tylko dodatkiem, szczęśliwcami, którymi wspaniałomyślnie zgodziły »zająć się« gwiazdy” – komentował Wojciech Sawicki, „Człowiek bez barier 2020”. „Chcecie pomóc? – pytała influencerka Malwina. – To zróbcie kampanię o tym, jak państwo ma nas w d... za jak marne pieniądze musimy żyć, jak (...) nie refunduje operacji, rehabilitacji i leków”.

©© PW

Narodowy Instytut na Swoim

DAWNO, DAWNO TEMU, kiedy PiS dochodził do władzy, zapowiadał, że w kwestii rozdziału publicznych pieniędzy nie będzie jak poprzednicy i wypada przyznać: dotrzymuje słowa. Sposób, w jaki za pośrednictwem spółek Skarbu Państwa finansuje przychylne sobie media, podobnie jak ostentacja, z jaką obsadza zarządy tychże spółek nie tylko swoimi członkami, ale też ich krewnymi i znajomymi, nie ma precedensu w dziejach III RP. A najnowszym przykładem z bogatej kolekcji naruszeń prawa lub obyczaju są rozstrzygnięcia konkursów mającego wspierać organizacje pozarządowe Narodowego Instytutu Wolności.

O rozdziale pieniędzy między instytucje prowadzone przez działaczy PiS pisał bardziej szczegółowo portal OKO.press, ale z ustaleń „Gazety Wyborczej” i TVN wynika, że wiele z nich zakładano na kilka miesięcy przed rozstrzygnięciem konkursu, a jedną zarejestrowano wręcz po terminie składania wniosków – mimo iż wśród kryteriów przyznawania środków pomocowych NGO-som było ich doświadczenie, w tym analizy i raporty z ostatnich dwóch lat. Próba sprawdzenia w internecie, czym się zajmują obdarowani, również bywa skazana na niepowodzenie – niektóre nie mają nawet strony www. Niepotrzebne doświadczenie czy strona, skoro wystarczy mieć dobrą legitymację?

©© MICHAŁ OKOŃSKI



JOAQUIN SARMIENTO / AFP / EAST NEWS

TO MUSIAŁO WYWOŁAĆ REAKCJĘ: gdy władze Kolumbii ogłosiły zmiany w podatkach, w tym wprowadzenie VAT-u na usługi pogrzebowe (na covid zmarło tutaj ponad 78 tys. ludzi) czy utrzymanie jego zerowej stawki na broń (kraj ma jeden z najwyższych współczynników morderstw w świecie) – ludzie wyszli na ulice. Po trzech tygodniach starć nie żyją co najmniej 42 osoby. Zawiązał się komitet strajkowy, złożony z liderów związkowych, organizacji studenckich, nauczycieli i przedstawicieli ludności rdzennej. Ze słabym rzędem trudno jednak negocjować. Na zdjęciu: protest w Medellin, 12 maja 2021 r. © ŻYM

Indie: oficjalnie źle, nieoficjalnie tragicznie

CZY WŁADZE W NEW DELHI zaniżają statystyki zgonów wywołanych przez SARS-CoV-2? Pytanie nie brzmi „czy”, lecz „jak bardzo” – twierdzą niezależni od rządu eksperci. Liczba potwierdzonych tu ofiar epidemii przekraczała już 4 tys. dziennie, ale przy ponad 400 tys. diagnozowanych zachorowań na dobę to wciąż proporcjonalnie niewiele – i właśnie to najbardziej zaskakuje w statystykach. Na bazie informacji od niezwiązanych z władzami specjalistów ds. zdrowia publicznego szacuje się, że liczba ofiar pandemii w Indiach może być nawet 3–4 razy wyższa.

Lucknow, stolica najludniejszego stanu Indii Uttar Pradesh: Hafiz Abdul Maten, dyrektor miejscowego kompleksu cmentarnego Aishbagh mówi o liczbie kremacji dochodzącej w ostatnich tygodniach do stu dziennie; jeszcze w lutym każdego dnia odbywało się ich najwyżej kilkanaście. Delhi: Jitender Singh Shanty, kierownik jednego z 26 miejskich krematoriów, jest przekonany, że w ostatnich tygodniach w oficjalnych statystykach uwzględniano najwyżej połowę zgonów wywołanych w stolicy przez covid. „A i tak wydaje mi się, że tutaj

dane są najbliższe rzeczywistości – zapewnia w rozmowie z dziennikarzem „Asia Times”. – W mniejszych miejscowościach albo w ogóle nie prowadzi się takich statystyk, albo nie są one przekazywane dalej”.

Politycy opozycyjnego Indyjskiego Kongresu Narodowego zarzucają rządzącej partii BJP „duszenie pandemii metodami statystycznymi” (8 maja zanotowano ponad 414 tys. zachorowań, obecnie oficjalny wskaźnik spadł do niemal 350 tys.). Sugerują również, że na polecenie premiera Narendra Modiego największe pudrowanie statystyk odbywa się w jego rodzinnym stanie Gudźarat. Przykłady? Władze miasta Rajkot w tej prowincji w swoich zestawieniach podały, że między 1 a 23 kwietnia służby medyczne raportowały 723 zgonów na covid. W ogólnokrajowych statystykach za ten sam okres władze centralne uwzględniły jedynie 154 przypadki.

„Jesteśmy świadkami podwójnej tragedii – mówił stacji Al-Dżazira Anant Bhan z Sangath India, organizacji pozarządowej, która prowadzi m.in. badania nad systemem ochrony zdrowia. – Rząd, który najpierw zaryzykował podczas kampanii wyborczej życie setek milionów obywateli i zniósł niemal wszystkie obostrzenia, teraz chce ich oszukać ponownie, pokazując statystyki, z których ma wynikać, że odzyskuje kontrolę nad epidemią”. © MAREK RABI

Kiedy sześćset to za mało

MARCIN ŻYŁA



TO BYŁ PŁYWAJĄCY MASOWY GRÓB”, powiedział BBC oficer z hiszpańskiego helikoptera, który nadleciał nad chyboczącą się na falach Atlantyku łódź. Dryfowała 22 dni, wiatry i prądy zniosły ją daleko od Wysp Kanaryjskich – celu podróży. Szybko skończyło się paliwo. „Pod koniec nie mieliśmy nawet siły, by wyrzucić ciała za burtę” – tak tamten kwietniowy rejs wspomina Aicha, nastolatka z Wybrzeża Kości Słoniowej, jedna z trzech ocalałych. 56 innych pasażerów zmarło głównie z głodu i pragnienia.

Od stycznia podczas przeprawy przez morze do Europy zginęły bądź zaginęły 633 osoby. Kilka dni temu znów zabrakło miejsc w ośrodku dla imigrantów na włoskiej Lampedusie; po dłuższej przerwie na wody regionu wróciły duże kutry rybackie, na których mieści się nawet trzyście osób. „W najbliższych tygodniach śmierć poniesie wielu ludzi”, ostrzega Nello Musumeci, gubernator Sycylii.

Mamieni przez przemysłników oraz często działający pod ich presją migranci i uchodźcy giną wciąż w makabrycznych okolicznościach. Wiemy o tym, lecz ich śmierć stała się jakby zjawiskiem stałym, dla opinii publicznej „przynależnym” do Morza Śródziemnego niczym (również fałszywie) wojna do Bliskiego Wschodu.

To nie obojętność – bardziej złe przyzwyczajenie, sprzyjające zresztą milczącej zgodzie na koszmarny *status quo*, „szarą strefę”, w której dzieje się dużo i nieformalnie. Państwa Unii Europejskiej dogadują się ze sobą, bezprawnie cofając ludzi ze swoich granic – szczegółowo opisyje to opublikowany właśnie raport Protecting Rights at Borders, koalicji organizacji pozarządowych – albo nawet, jak Grecja, odstraszać ich na pełnym morzu.

Najwyraźniej nawet te ponad sześćset śmierci z tego roku, średnio pięć dziennie, nie wystarczy, by to zmienić. ©

KS. PIOTR STUDNICKI, KIEROWNIK BIURA DELEGATA KEP DS. OCHRONY DZIECI I MŁODZIEŻY:

Jeśli Watykan się zgodzi



ARTUR SPORNIAK: Delegat Episkopatu ds. ochrony dzieci i młodzieży abp Wojciech Polak odmówił Państwowej Komisji ds. Pedofilii dostępu do kościelnych akt – dlaczego?

KS. PIOTR STUDNICKI: Według naszej analizy prawnej Państwowa Komisja nie ma ustawowego uprawnienia do otrzymania akt postępowań kanonicznych.

Pytany o to przez KAI szef Komisji Błażej Kmiecik odpowiedział, że ustawa wyznaczyła jej zadanie „analizy sprawności działania także Kościołów oraz związków wyznaniowych”.

Ale nie wyposażyla Komisji w uprawnienia do realizacji tego zadania. Kościół nie ma natomiast wątpliwości co do prawa wglądu w akta postępowań kościelnych przez sądy czy jednostki prokuratury w ramach prowadzonych postępowań.

Czy to znaczy, że Delegat udostępni Komisji takie akta dopiero po nowelizacji ustawy przez Sejm?

Nie będziemy czekać, aż strona państwowa spełni swoje wymogi. By umożliwić współpracę od strony kościelnej, zamierzamy zapytać Stolicę Apostolską o interpretację instrukcji o zniesieniu sekretu papieskiego podpisanej przez Franciszka w 2019 r. Chcemy zapytać m.in. o to, czy owo zniesienie sekretu działa wstecz, gdyż Komisja poprosiła o kościelne akta od 2000 r.

Kiedy i kogo w tych sprawach zapytacie?

W tej chwili przygotowujemy pismo do Sekretariatu Stanu. Zostanie ono wysłane w ciągu kilku najbliższych dni. Przed spotkaniem z Państwową Komisją abp Wojciech Polak rozmawiał w tej sprawie z nuncjuszem apostolskim i został poinformowany, że Stolica Apostolska zna już ten problem i analizuje go od strony prawnej.

Episkopat powołał zespół do współpracy z Komisją – kto do niego należy?

Koordinator KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży o. Adam Żak, ekspert prawa państwowego mec. Michał Królikowski, sekretarz rady prawnej KEP ks. Adam Kałuński, kanoniści – ks. Piotr Majer i ks. Jan Dohnalik oraz ja. Kieruje nami abp Polak.

Co, jeśli Watykan da zielone światło, a któryś z polskich biskupów odmówi przekazania akt?

Takiej sytuacji sobie nie wyobrażam. Od wprowadzenia w 2001 r. nowego prawa przez Jana Pawła II właścicielem procesów i akt dotyczących pedofilii w Kościele jest Kongregacja Nauki Wiary. © ©

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

DEMOKRACJA

Kościoty Europy popierają karanie państw UE naruszających zasady demokracji – uznały Komisja Episkopatów Wspólnoty Europejskiej (COMECE) i ekumeniczna Konferencja Kościołów Europejskich (KEK). Zadeklarowały również poparcie dla osiągnięcia neutralności klimatycznej do 2050 r. i podkreśliły, że pomoc humanitarna dla nielegalnych imigrantów „w żadnym wypadku nie powinna być uznawana za przestępstwo lub karana na mocy prawa unijnego”.

PRACA

Kościółowi zależy na „humanizowaniu działalności zawodowej, aby była coraz bardziej ludzka i przyjazna” – napisał Franciszek w liście do mieszkańców miasta Terni. Wezwał przedsiębiorstwa, „by wdrażały rozwiązania mające na celu ochronę stanowisk pracy”.

OTWARTOŚĆ

„Jezus nie chce Kościoła, który tworzą urzędnicy zazdrośnie strzegący dostępu do Niego i próbujący decydować, kogo można dopuścić, a komu zagrozić drogę” – powiedział bp Damian Muskus, udzielając święceń klerikom ze zgromadzenia sercanów. „Gdy bratamy się z ludźmi wpływów i zapominamy o najmniejszych, działamy wbrew woli Boga” – podkreślił.



DARIUSZ KAŁAN

opowie Agnieszce Lichnerowicz o walce z pandemią na Węgrzech (tekst na s. 50) w „Światopoglądzie” Radia Tok FM, w środę 19 maja, o godz. 16.00 95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – www.tokfm.pl

Kościół chce karać mafiosów

CZY TO BYŁA EKSKOMUNIKACJA? „Ci, którzy tak jak mafia obrali drogę zła, nie żyją zgodnie z nauką Boga, są ekskomunikowani” – mówił Franciszek w czerwcu 2014 r. podczas podróży do Kalabrii, kolebki 'ndranghety – jednej z najokrutniejszych organizacji przestępczych (papież m.in. rozmawiał z odsiadującymi wyrok za narkotyki rodzicami, którym mafia zamordowała 3-letnie dziecko). By już nie było wątpliwości, że członkowie mafii są formalnie ekskomunikowani, Watykan w ramach Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka powołał grupę roboczą, która przygotowuje propozycję zmiany prawa.

„Zdaliśmy sobie sprawę, że w społecznym nauczaniu Kościoła, w prawie kanonicznym, w katechizmie, nie ma żadnej wzmianki o ekskomunikacji mafiosów. Dlatego, aby wzmocnić ekskomunikę, wypowiedzi i magisterium papieża Franciszka w tej kwestii, uznaliśmy za konieczne interweniować” – wyjaśniał koordynator grupy, Vittorio V. Alberti. © © ASK

Czas młodych



25-LETNIA filozofka Anna-Nicole Heinrich została prezeską Synodu Kościoła Ewangelickiego w Niemczech. Wcześniej

działała w Synodzie jako delegatka młodzieży (Światowa Federacja Luterńska wzywa, by młodzi w gremiach kościelnych stanowili co najmniej 20 proc.). Najmłodsza prezeska w historii Kościoła Ewangelickiego jest współautorką dokumentu nt. Kościoła przyszłości. Zawiera on 11 postulatów zmian: m.in. żeby Kościół wypowiadał się publicznie bez protekcjonalności; żeby wspierał prawa człowieka i demokrację; żeby w akcji misyjnej nie posługiwał się jednostronną komunikacją; żeby w budowaniu wspólnoty maksymalnie wykorzystywał narzędzia cyfrowe; żeby odszedł od zarządzania hierarchicznego. © © MAM

KULTURA W SKRÓCIE

WŚRÓD GWIAZD

Aktorka Julia Peresild oraz reżyser Klim Szypienko polecają na Międzynarodową Stację Kosmiczną, by zrobić tam zdjęcia pełnometrażowego filmu – podała rosyjska agencja kosmiczna Roskosmos. Na miejscu artyści spotkają prawdopodobnie aktora Toma Cruise'a i reżysera Douga Limana, kręcących we współpracy z NASA oraz firmą SpaceX Elona Muska.

ZA OCEANEM

Inspirowane fotografiami Mana Raya „Popioły” Joanny Dudek to jedyny polski film zakwalifikowany do tegorocznej edycji nowojorskiego festiwalu filmowego Tribeca. Powalczył on o wyróżnienie w sekcji krótkometrażowych animacji, której kuratorką jest Whoopi Goldberg.

PIERWSZE SKRZYPCE

Aż dwa zgłoszone przez Piotra Pielaszkę instrumenty wyróżniono podczas ostatniej edycji Międzynarodowego Konkursu Lutniczego w Poznaniu. Rzemieślnicy konkurują w stolicy Wielkopolski od 1957 r. To najstarszy i jeden z największych konkursów lutniczych na świecie. Trzecie miejsce w konkursie zajął Jan Jakub Lipiński.



ADAM LACH

ZDJĘCIE ROKU

Adam Lach wygrał Ogólnopolski Konkurs Fotografii Reporterskiej Grand Press Photo 2021. Nagrodzone zdjęcie przedstawia mężczyznę, który utknął w samochodzie między kordonem policji a tłumem protestujących przeciwko orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji.



PIOTR KOŚCIEWSKI

KRYK KATARZYNY KOZYRY. Rekwizyty użyte przez artystkę w filmach czy fotografiach wypełniają salę warszawskiego Instytutu Wzornictwa Przemysłowego. Ponad 250 obiektów: od drobiazgów, jak kwiaty czy maski, po kostiumy Nietzschego i Rilkego z wideo „Lou Salomé” (2005) i szpitalne łóżko z pamiętnej instalacji „Olimpia” (1996). „Świat wzorcowy” trwa tylko do 23 maja – a to jedna z najlepszych wystaw ostatnich lat. Niezwykła opowieść o sztuce, która umożliwia realizację marzeń, ale też mówi o lęku, cierpieniu, chorobie. Po prostu o rzeczach ważnych. © PK

Globalne przesilenie



ANITA PIOTROWSKA

BYLE FORPOCZTĄ OSCARÓW I SYNONIMEM DZIENNIKARSKIEJ niezależności w premiowaniu amerykańskiego kina i telewizji. Złote Globy – nagrody Hollywoodzkiego Stowarzyszenia Prasy Zagranicznej – po 77 latach stanęły pod znakiem zapytania.

Poszło o to, że elitarnie grono (raptem 87 członków) zbyt opieszale podchodzi do reform przeprowadzanych ostatnio w świecie filmu. Za nic ma rasową różnorodność, bywa przekupne i seksistowskie. Efektem jest bojkot jego działalności przez wielkie platformy streamingowe, rezygnacja NBC z transmisji kolejnej gali i zwrócenie przez Toma Cruise'a trzech statuetek. Dyscyplinowane zewsząd stowarzyszenie przedstawiło w końcu szczegółowy plan zmian, ale może być za późno na poprawę nadszarpniętego wizerunku. Ten sezon będzie dla Złotych Globów stracony, trwają nawet spekulacje, jakie wydarzenie zajmie ich miejsce.

Wiadomo, że nagrody w przemyśle filmowym służą fabrykowaniu prestżu i medialnej wrzawy. Z drugiej strony, „ciało” przyznające Globy rocznie inkasowało 60 milionów dolarów za prawa do transmisji. Z trzeciej, rzeczne kontrowersje wpłyną na obniżenie oglądalności i wpływów z reklam. Nie miejmy więc złudzeń, że chodzi w tym wszystkim wyłącznie o program równościowy czy jego brak. ©

Pisanie mózgiem: nowa technika komunikacji

WSZYSCY POTRAFIMY szybciej myśleć, niż się porozumiewać. Dla osób sparalizowanych przekazywanie informacji jest o wiele bardziej uciążliwe. Z myślą o nich stworzono urządzenia, które pozwalają na zapisywanie znaków za pomocą poleceń głosowych lub śledzonych przez kamerę ruchów gałek ocznych. Technologia ta jednak nie jest dostępna dla wszystkich pacjentów. Jest też dość powolna – pozwala na wpisywanie ok. 47 znaków na minutę.

Francis Willett z Uniwersytetu Stanforda i współpracownicy poszli więc o krok dalej: stworzyli algorytm klasyfikacyjny, który na podstawie rejestrowanej przez specjalne elektrody aktywności neuronowej przewiduje, jaką literę chce wybrać użytkownik (ma on sobie wyobrazić, że zapisuje ją ręcznie). Algorytm, wsparty autokorektą, osiąga 99-procentową dokładność i pozwala wpisywać ponad 90 znaków na minutę – to blisko wyniku, jaki osiąga ją zdrowi użytkownicy smartfonów.

© MICHAŁ ŚWIĄTEK / NATURE

NIEODŻAŁOWANI

Epidemia zabrała tysiącom Polaków bliskich.
Ale też możliwość ich pożegnania.
Za życia i po nim.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TO JEDNO Z NIEWIELU ZDARZEŃ, KTÓRE ostatnio przyniosły jej ulgę.

5 maja punkt o dziewiętnastej Małgorzata Marczowska zasiada przed telewizorem – ruszają „Fakty” TVN. Pod koniec pojawia się materiał o epidemii. Małgorzata usłyszy z niego, że „ostatnie tygodnie to już narodowa tragedia”. Że od początku roku do teraz zmarło najwięcej ludzi, odkąd skończyła się wojna. Że w branży pogrzebowej brakuje drewna na trumny. Że tylko dziś trzeba naszykować 349 dodatkowych grobów.

Nie słowa jednak są dla niej ważne, lecz obrazy. Sunący nad warszawskim Cmentarzem Komunalnym Północnym dron pokazuje rzędy setek – także świeżych – grobów. Małgorzata: – A potem dron się zniżył i zobaczyłam grób taty. Jakby z tysięcy anonimowych śmierci obraz telewizyjny, choć przypadkiem, pokazał jego, mnie i mój ból.

Bez buforów

Całkiem niedawno ta liczba, wcześniej wywołująca dreszcz, przekroczyła niepostrzeżenie 70 tysięcy. A to tylko ci, którzy zostali oficjalnie uznani za zmarłych z powodu koronawirusa. Przemnożeni przez liczbę kilkorga najbliższych, dadzą kilkaset tysięcy Polaków w „covidowej” żałobie. Nieobejmowalne statystykami fale załamań i traum dopiero stają się dostrzegalne – np. przez psychoterapeutów.

Ewa Bytniewska, specjalizująca się m.in. w pracy z ludźmi po stratach, za-

uważała w ostatnich miesiącach, że nawet ci, którzy przyszli do niej z zupełnie innego niż żałoba powodu, wymagali pilnej interwencji kryzysowej: – Albo mówili: „Pogotowie zabrało siostrę, proszę się ze mną spotkać, bo zwariuję”, albo doświadczyli już straty. Od jednego z pacjentów dostałam esemesa: „Zmarł mój tata, odwołuję wszystko”.

Anja Franczak, pierwsza w Polsce towarzysząca w żałobie, czyli pomagająca osobom po stracie, mówi, że mniej więcej co drugi zgłaszający się teraz do niej klient stracił kogoś w epidemii. I że specyfika tej straty jest wyraźna. – Amerykański psycholog J. William Worden wyodrębnił kilka czynników mających wpływ na proces żałoby: okoliczności śmierci; to, kim była dla nas zmarła osoba; jaką mieliśmy relację; jakie były nasze wcześniejsze doświadczenia straty; jak nasze otoczenie reaguje na nasz ból; w jakiej byliśmy kondycji, gdy ta strata nas dotknęła – wymienia Franczak.

Według niej na niektóre z powyższych czynników epidemia ma tylko pośredni wpływ (relacje, stan emocjonalny). – Ale na jeden niewątpliwie bezpośredni – mówi. – Chodzi o okoliczności śmierci, głównie towarzyszącą jej samotność.

– Ta pandemia – dodaje Ewa Bytniewska – pozbawiła nas większości buforów chroniących przed zderzeniem ze śmiercią i stratą.

Do zobaczenia niebawem

Początek lutego. Małgorzata podjeżdża z ojcem pod Szpital Bielański. Jan (84 lata) – do tej pory okaz zdrowia – od kilku dni narzekał na silne bóle w okolicach pęcherza i nerek. Największa fala zachorowań na COVID-19 dopiero nadejdzie, ale już teraz na wejściu sprawdzają temperaturę – Małgorzata zostaje na szczęście wpuszczona wraz z ojcem do środka.

Dla Jana znajduje się łóżko, ona zostanie wywołana z korytarza za kilka godzin. – Obudził się i jak zwykle żartował – wspomina kobieta, gdy rozmawiamy w jej mieszkaniu na warszawskich Bielanych. – Podałam mu klapki, a on na to, że buty lepiej pasują kolorystycznie do łóżka. „Do zobaczenia za niebawem”, powiedziałam. I wyszłam.

Tadeusz, ojciec Weroniki (imię zmienne), czterdziestolatki z Małopolski, też trafił do szpitala bez związku z koronawirusem – tyle że podczas drugiej, jesiennej fali zachorowań. Kobieta wspomina sierpień, kiedy widziała ojca po raz ostatni: – Tata wpadł do mnie na kilka godzin, bo był akurat w drodze na operację. Zapamiętałam taką scenę: jesteśmy na balkonie, rozmawiamy. Nie siedzę naprzeciw, tylko obok, by wykluczyć ryzyko zakażenia. Trzymam rękę na jego nodze, by choć poczuć jego obecność...

Ostatni obraz, scena, zdanie: według Anji Franczak i Ewy Bytniewskiej ten motyw pojawia się w wielu opowieściach. – Setki osób zostaną po tej epidemii



z doświadczeniem znikania bliskich – mówi psychoterapeutka. – Właśnie tak, znikania. Pierwsza scena: nasz krewny idzie o własnych siłach. Żegna się albo kiwa ręką przez drzwi karetki. I scena druga, po kilku tygodniach: urna lub plastikowy worek.

Byłe nie do szpitala

– Kilka miesięcy przed śmiercią tata przestał używać telefonu – opowiada Małgorzata. Siedzi na kanapie, ma opuchnięte od płaczu oczy, czarna suknia kontrastuje z siwizną ojca z trzymanej przez nią na kolanach fotografii. Telefon, o którym opowiada – stara, niewielka nokia – leży na biurku opodal. – Obrząził się na niego, bo mu się trzęsły ręce i nie chciał już ani dzwonić, ani tym bardziej pisać esemesów.

Z ojcem Małgorzata nie będzie więc mieć od ostatniego widzenia kontaktu – chronologię zdarzeń ułoży ze strzęp-

MAŁGORZATA MARCZOWSKA:

Biorę proszki.

Na sen, na uspokojenie.

Do pierwszej, czasem do drugiej i tak nie śpię.

Męczą mnie myśli i poczucie winy: to ja wysłałam tatę do szpitala...

Wiem, że to nieracjonalne, ale nic na to nie poradzę.

ków informacji wyrwanych niemal z gardeł zabieganych medyków.

Trzy dni Jan spędza na SOR-ze. Później zostaje przeniesiony na oddział ogólny, gdzie leczy jego układ moczowy i nerki. Pierwszy test na covid: ujemny. Po tygodniu telefon od pielęgniarki: „Pani się nie denerwuje, tata ma pozytywny wynik”. „Pacjent bezobjawowy” – będą konsekwentnie twierdzić przez kolejne dni medycy, gdy Małgorzacie uda się dodzwonić na oddział.

Nie może zamienić z ojcem słowa, więc śle paczki. W środku: biszkopty, gorzka czekolada, woda, soczki, mokre chusteczki, ubranie. Codzienne wydania „Super Expressu” (tych z 24 i 25 lutego Jan nie przeczyta: Małgorzata dostanie gazety gładkie jak z drukarni).

Skład paczek to jedyne, na co ma wpływ w tamtych dniach.

Ten sam rodzaj bezradności zapamiętała Weronika: – Najpierw była ciężka →

→ decyzja, co robić z tatą. Miotanie się pomiędzy lękiem: „byle nie do szpitala, bo tam go zarażą”, a przekonaniem, że jeszcze kilka dni w domu i może nie przeżyć. Miał ciężką biegunkę i bardzo wysoką gorączkę. Na wejściu do szpitala zrobili mu test: negatywny. Mimo tego próg oddziału był granicą, za którą musiał już zostać sam... Przez dobę leżał w tym samym, założonym jeszcze w domu pampersie. Medycy nie chcieli za bardzo udzielać informacji. Gdy dzwoniłam do taty, słyszałam w tle czyjś kaszel. Ogarniał mnie paraliż: zaraża go. I faktycznie, prawdopodobnie tam się to stało. Przez telefon tata mówił też, że praktycznie nikt do niego nie podchodzi. Tak leżał cztery dni, aż udało się go przenieść do innego szpitala, bliżej miejsca zamieszkania mojego i mojej siostry. Tu lepiej o niego zadbali, ale gdy się okazało, że ma pozytywny wynik, przeniesiono go na oddział covidowy. I znowu brak informacji: dzwoniłyśmy, ale lekarze uznali, że przeszkadzamy. Więc znów czekanie, które w tej sytuacji jest jak siedzenie na rozżarzonych węglach. Z utrudnionych ze względu na stan taty rozmów wynikało, że rzadko ktoś podchodzi, a dzwonek do wzywania pomocy nie działa.

Wspomnienie bezradności to według Anji Franczak główna emocja bliskich ofiar z etapu szpitalnego: – Radykalna utrata kontroli i poczucie straty własnej sprawczości mogą być traumatyzujące. Zwłaszcza że im mniej wiemy, tym bardziej nasz umysł podsuwa nam fikcyjne obrazy. Zwykle te najgorsze. I z tymi horror-obrazami wielu zostanie, dokładając się do bólu po stracie. Jest też dobra wiadomość: te obrazy można „wymieniać” na lepsze. Skoro nie wiemy, jak było, to lepiej sobie wyobrazić, że nasz bliski mógł porozmawiać z leżącym obok pacjentem, a pielęgniarka podeszła i go złapała za rękę. Choć nie jest to proste: media podsuwały nam w ostatnich miesiącach raczej wizję samotności.

Ewa Bytniewska: – Gniew, wściekłość na system, na lekarzy, na ochronę zdrowia. To też stały motyw tych opowieści. „Niekompetentni”, „pozwe ich do sądu” – mówią krewni. Zastanawiam się, jaki to może mieć wpływ na przerabianie straty. Gniew i złość są naturalną reakcją w procesie żałoby. Ważne jednak, by się na nich nie zatrzymać. Radzenie sobie z żałobą jest skuteczne, gdy mamy kontakt także ze swoim smutkiem. Bez tego ciężko iść dalej.

ANJA FRANCAK:

Skoro nie wiemy, jak było,
lepiej sobie wyobrazić, że nasz
bliski mógł porozmawiać
z leżącym obok pacjentem,
a pielęgniarka podeszła
i złapała go za rękę.

Dziękuję, przepraszam, żegnaj

Ks. Andrzej Dziedziul, przez lata kapelan hospicyjny, a w zeszłym roku także wolontariusz pomagający przy chorych na COVID-19 w szpitalu zakaźnym, opowiada o potrzebie rodzin, by choć przez moment widzieć odchodzącego lub będącego w ciężkim stanie krewnego. – Są szpitale, w których przy OIOM-ie jest dodatkowe szklane pomieszczenie – mówi duchowny. – Bywało więc, że dawałem namaszczenie, a rodzina patrzyła przez szybę.

Jednak wiele szpitali w ostatnich kilkunastu miesiącach zamieniło się w przestrzeń odosobnienia chorujących – nie tylko bez możliwości odwiedzin, ale też opieki psychologa czy księdza. – W różnych miejscach bywało różnie, np. do niektórych szpitali w ogóle nie wpuszczano przez miesiące kapłana – dodaje ks. Dziedziul. – Bywało i odwrotnie. Kapłan sam bał się zakażenia, więc wstrzymywał się z wizytami.

Pacjentom i ich bliskim zostawały telefony. Anja Franczak opowiada jedną z zasłyszanych w pracy historii. Krewna osoby chorującej w szpitalu na covid dostaje od niej telefon. Na pięć minut przed podłączeniem pod respirator. – To była kilkuminutowa konwersacja, jak z podreçnika opisującego modelowe pożegnanie – relacjonuje Franczak. – Padło „kocham cię”, „wybacz mi”, „dziękuję”. Niektóre z tych słów może pierwszy raz w życiu. Ta bolesna wymiana zdań będzie przez kolejne miesiące źródłem siły dla osoby, o której opowiadałam. Da ciepło, ulgę. Pomimo bólu.

Tył że takie rozmowy, przyznaje Franczak, to była w epidemii rzadkość: – Sama znam więcej wspomnień, w których są

milczenie, czekanie, pustka. A później telefon ze szpitala.

27 lutego, minęło niemal dwadzieścia dni, odkąd Jan trafił do szpitala. Po siedemnastej Małgorzata dostaje telefon: stan ojca się pogorszył, lekarze musieli go intubować.

Pół godziny później kolejny telefon: podczas przenoszenia na OIOM zatrzymanie krążenia. Reanimacja.

Małgorzata: – Tak chciałam mu wtedy powiedzieć, że go kocham. I że był wspólnym ojcem.

Kwadras po dwudziestej pierwszej – telefon trzeci. Koniec.

Do Weroniki z kolei zadzwoniła jej siostra. – Szlochała, że tata nie żyje – wspomina kobieta, ledwo kończąc kolejne zdania. – A ja na to, kompletnie irracjonalnie: „Może go reanimują, może jeszcze żyje?”. Siostra, że na pewno nie, od półtorej godziny. Całą tę rozmowę prowadziłam w pracy, krzycząc do słuchawki... Potem zdałam sobie sprawę, że w chwili, gdy umierał tata, mnie w drodze do pracy stał samochód na skrzyżowaniu. A siostra już po telefonie ze szpitala odkryła, że ma nieodebrane połączenie z nocy. Od taty.

Małgorzata kilka tygodni po wszystkim uzyska medyczną dokumentację. Ze 150 stron dowie się, że jej ojciec ciężko chorował. Że próbował wstawać, ale uderzył głową w posadzkę i miał robiony tomograf. Że chcieli go przewieźć do czterech różnych szpitali covidowych. I że żaden nie zgodził się go przyjąć – ponoć z powodu biegunki.

Małgorzata siada więc i rozmyśla. Co miał w głowie, gdy był sam? Wiedział, że przez epidemiczne obostrzenia nie wolno nikogo odwiedzać? A może myślał, że został porzucony? Cierpiał? Wiedział, że idzie pod respirator?

– Te pytania – mówi – nie dają mi spokoju.

Bardzo podobne zadaje sobie Weronika: – Nie mogę przestać myśleć o stanie ojca, gdy go przenoszono na oddział covidowy: był przerażony, dało się to wyczuć po głosie. Jakby ktoś go gonił. Miałam odruch, by dzwonić co chwila, a później rezygnowałam – nie chciałam go męczyć. Czasem mówiłam: „Tato, ty tylko słuchaj, a ja będę coś ci mówiła do słuchawki. Cokolwiek, byle być razem”. Ale jak miał już pozytywny test, nie zadzwoniłam. Nie wiedziałam, co mu powiedzieć. Nie znajdowałam słów. Proszę sobie wyobrazić, że przez dwie ostatnie noce ciągle

się modliłam. Mimo że od dawna nie chodzi do kościoła. Tata miał swoje lata, liczyłam się z tym, że odejdzie. Ale nie tak. Gdy mi się teraz śni, to się żegnamy. Nawet na jawie czasami do mnie nie dociera, że go nie ma. Może dlatego, że ze względu na epidemię nie widzieliśmy się od miesięcy, więc tak jakby nic się nie zmieniło? Do tej pory mówię: „Moi rodzice”. Jakbym nie wierzyła.

Ewa Bytniewska: – Śmierć jest zawsze szokiem. Ale specyfika odejść covidowych sprawia, że jest on większy. I rozciąga się na dłuższy czas, opóźniając przejście do kolejnych etapów żałoby.

Garnitur na worku

– Tato, przyprowadziłam ci gościa – mówi Małgorzata nad usypanym nieco ponad dwa miesiące temu grobem. Znicze i kwiaty ustawione na białym żwirze; pod krzyżem zdjęcie Jana. Naokoło kilkadziesiąt świeżych grobów, dalej las krzyży jednej z największych nekropoli w Europie.

Małgorzata mówi, że tylko tu czuje się dobrze. Przychodzą wraz z córką, wnuczką Jana. – Zdarza nam się żartować: „Ale nam numer wyciąłeś”, albo: „Przyjdziemy pojutrze, nie ruszaj się nigdzie”. A potem mamy taki zwyczaj: córka idzie pospacerować, ja rozmawiam z ojcem. Później zmiana. Często spacerujemy też razem. Nawet kilka kilometrów, alejkami, patrząc na nowe groby, czasami komentując ich wygląd, bo planuję postawienie grobowca.

Małgorzata dwa miesiące temu nie mogła taty nawet pożegnać. Ciało, zgodnie z epidemicznymi obostrzeniami, włożono do foliowego worka. – Chciałam mieć pewność, że to on – wspomina. – Więc dałam pracownikom zakładu pogrzebowego zdjęcie, z prośbą o porównanie. Ale już jego ulubionego garnituru, butów, skarpetek z napisem „Tata Janek” do trumny nie włożyłam.

Weronika szczegóły ostatniej sceny zna z opowieści siostry, która poszła do szpitala, by odebrać ciało ojca. Zastała włożony do trumny plastikowy worek z jego ciałem. I z nazwiskiem (bez imienia) na przylepionym do worka plastrze. „Czy to ma sens?” – zapytał ją szpitalny patolog, gdy chciała ułożyć na wierzchu garnitur z butami.

– Odpowiedział, że dla nas to ważne, by w środku znalazło się coś osobistego – opowiada Weronika. – By tata był

KS. ANDRZEJ DZIEDZIUL:

Może za sprawą tej pandemii wrócimy do dyskusji o tym, jak ważne dla przeżywania żałoby są takie czynności, jak pożegnanie, umycie ciała czy ubranie go.

na tej ostatniej drodze człowiekiem, a nie „materiałem zakaźnym”. Przecież nie mogliśmy mieć nawet pewności, że w środku leży on. Siostra stwierdziła to na podstawie długości ciała. I na podstawie brzucha. Proszę, tak wyglądało nasze pożegnanie z tatą: garnitur ułożony na worku – płacze kobieta, pokazując telefon z fotografią przysłaną jej przez siostrę.

Anja Franczak podobne opowieści słyszy w ostatnich miesiącach często: – To straszne, a do tego moim zdaniem nie do końca potrzebne. Obostrzenia, które wprowadzono w Polsce, są bardziej restrykcyjne niż w innych krajach, np. w Niemczech. W Polsce epidemiczne reguły pogrzebowe powodowały więcej cierpienia niż pozytywku.

Ewa Bytniewska: – Znam historię starszego pana, który miał uszykowany garnitur „na śmierć”. Garnitur został w szafie, a pan został pochowany w pampersie i folii. To jedno z gorszych doświadczeń tej epidemii.

Choć jak zauważa ks. Dziedziul, covidowe obostrzenia nałożyły się na widoczny od dekad trend wypierania widoku śmierci: wielu z nas nie chce żegnać się ze zmarłym. – Dlatego decydentom łatwiej było wprowadzić podczas epidemii takie przepisy – mówi duchowny. – Może za sprawą tej pandemii wrócimy do dyskusji o tym, jak ważne dla przeżywania żałoby są takie czynności, jak pożegnanie, umycie ciała, ubranie go.

– Dlaczego są tak istotne? – pytam Anję Franczak.

– Bo wysyłamy komunikat: „Już nie żyjesz, ale nadal jesteś dla mnie ważny/ważna” – odpowiada. – I jeszcze inny powód, szczególnie ważny w epidemii:

przygotowania do pogrzebu przywracają nam poczucie kontroli, sprawczości.

– A sam pogrzeb?

– Jest odtworzeniem wspólnoty. Znam historię pokazującą, jak silna jest ta potrzeba bycia razem. Ze względu na obostrzenia, ale też trudności transportowe, krewni zmarłego zorganizowali coś na kształt stypy online. Wysłali mailem przepis na ulubione danie zmarłego. O umówionej porze odbyła się wideokonferencja, podczas której wszyscy uczestnicy jedli potrawę, wspominając tego człowieka.

Pracownica jednego z domów pogrzebowych opowiadała „Tygodnikowi” w listopadzie ubiegłego roku o scenach, jakie rozgrywały się na niektórych cmentarzach, gdy obowiązywał jeszcze limit pięciu osób mogących brać udział w pogrzebie: bliscy wyproszeni za płot nekropoli, głośniki przeciągnięte w ich pobliże, by mogli choć słyszeć, co dzieje się przy grobie.

Małgorzata i Weronika mogły przy najmniej zorganizować pogrzeby. – Rozważaliśmy kremację, ale okazała się niemożliwa: terminy były trzytygodniowe, ze względu na szczyt zachorowań. Mimo że tata był przez ludzi kochany, na pogrzeb nie przyszło wiele osób. Bali się, w tamtym czasie w naszej miejscowości aż siało covidem. Zamówiliśmy kwartet smyczkowy, tata kochał muzykę. I napisaliśmy księdzu parę słów o tym, jakim tata był dobrym człowiekiem – opowiada Weronika.

Po pomoc

Pytam, co przynosi im ulgę.

Małgorzacie momenty, gdy czuje, że inni widzą jej ból. Jak wtedy, gdy oglądała „Fakty”, albo gdy w Warszawie wybrzmiała syrena w hołdzie ofiarom. Wyszła z koleżanką przed budynek, w którym pracują. Koleżanka straciła w pandemii oboje rodziców. Rozplakały się, rzuciły sobie w ramiona.

I wspomnienia, te z dawnego życia, takie z uśmiechem. Musi się do nich dokopywać, bo życie Jana przeczołgało. Były napięcia w domu, kiedy ona była dzieckiem. Potem rozwód. Ale gdy się już do tych wspomnień dokopie, widzi siebie z tatą. Np. na sankach: on ciągnie za sznurek, przyspiesza i robi piruet, potem oboje się śmieją. Albo sobotni lub niedzielny poranek: siedzą razem na łóżku i oglądają „Teleranek” lub „Sobótkę”. ➔

→ I bardziej współcześnie: roześmiany dziadek Janek tańczy na przedszkolnej uroczystości ze swoim wnukiem, a jej – Małgorzaty – synem.

– Był ciepłym, troskliwym ojcem i dziadkiem – opowiada. – Jak byłam małutka, zawsze mnie usypiał, kładąc ciepłą dłoń na moim policzku. To mnie uspokajało, wprowadzało w błogi stan. I całe życie lubiłam usypiać z ręką przy policzku. Swoją lub męża.

Weronice ulgę daje jedna myśl: – Że on już nic nie czuje. Koją mnie też sny z tatą. Żegnamy się, jest uśmiechnięty. Cieszę się, że mogę choć w tych snach z nim być. Potem w ciągu dnia czuję się trochę tak, jakbym go spotkała.

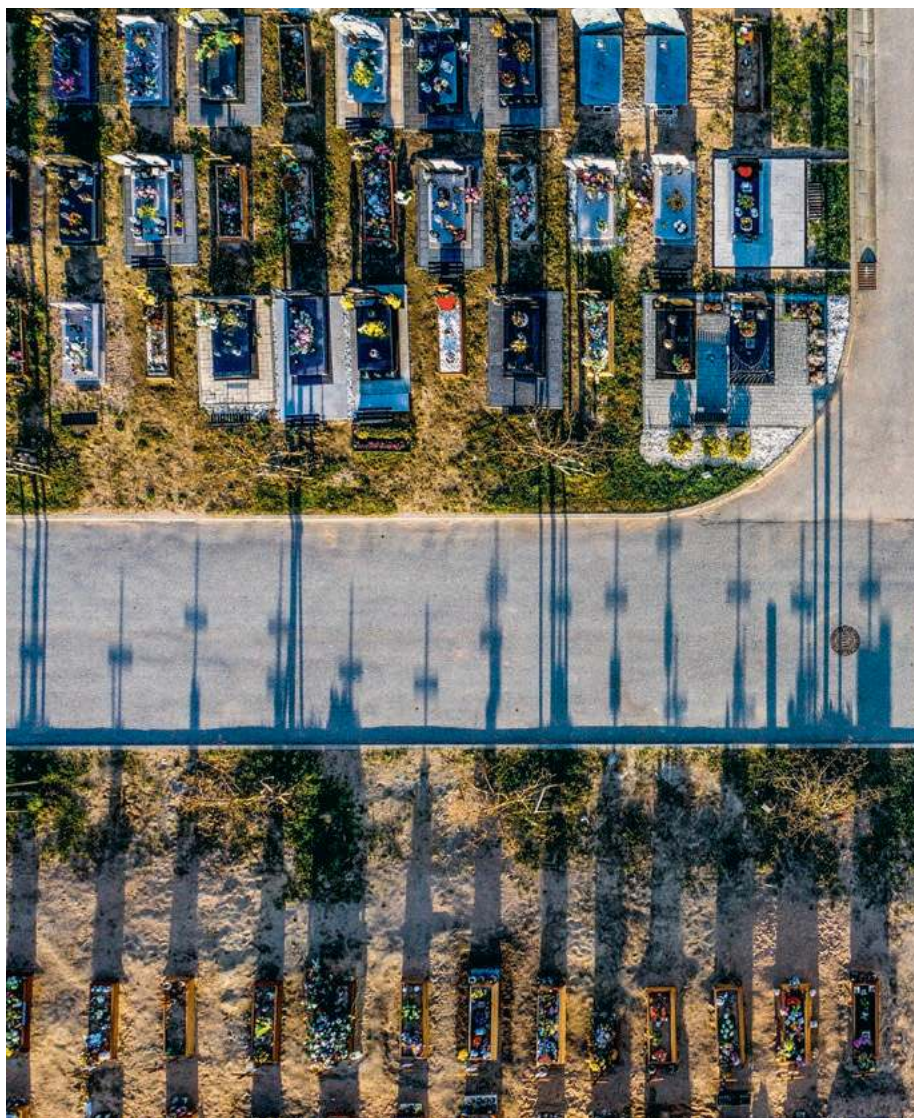
Wspomnienia jej nie pomagają, przyszłe je dopiero kilka dni po rozmowie esemesem. Np. takie: „Czytał nam książki, to były wieczorne momenty bliskości. Zaprowadzał i przyprowadzał mnie do i z przedszkola. Zimą na sankach, latem pieszo. Czasem szliśmy po drodze zbierać liście albo kasztany do parku. Nigdy się w takich sytuacjach nie spieszył. Mojej siostrze obiecał kiedyś, że zrobi jej w lesie jajecznicę na turystycznym palniku. Na jutro leje deszcz, więc impreza odwołana. Ale że siostra podniosła płacz, poszli. Zjedli tę jajecznicę w lesie pod parasolem”.

Małgorzata mówi, że prawdziwej ulgi raczej nie zazna bez fachowej pomocy: – Biorę proszki. Na sen, na uspokojenie. Do pierwszej, czasem do drugiej i tak nie śpię. Mężą mnie myśli i poczucie winy: to ja wysłałam tatę do szpitala... Wiem, że to nieracjonalne, ale nic na to nie poradzę. Koleżanka po stracie skorzystała z pomocy psychiatry. Ja też to rozważam.

Ewa Bytniewska uważa, że przed nami inna fala – konfrontowania się ze stratami, których najwięcej było stosunkowo niedawno. – Najtrudniejszym momentem w żałobie jest jakiś czas po śmierci i pogrzebie, gdy zachodzi już konieczność poradzenia sobie z realnym brakiem – mówi psychoterapeutka. – Żałobę należy przeżyć, bo jej wypieranie odezwie się ze zdwojoną siłą.

Anja Franczak: – Może to banalny przekaz, ale teraz najbardziej potrzebny: szukajmy pomocy, jeśli sami nie radzimy sobie ze stratą. Skorzystajmy z infolinii, z grupy wsparcia, z usług psychoterapeuty. Taki ruch to oznaka siły, nie słabości.

©© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



Komu czego braknie

DARIUSZ KOSIŃSKI

Mało jest społecznej presji, by o ofiarach pandemii mówić, by je upamiętniać. Zajmujemy się swoimi sprawami, zostawiając tych zmarłych wyłącznie ich bliskim. Co to za wspólnota?

TRZECIA FALA PANDEMII OPADA. ZNOSZONE SĄ OBOSTRZENIA, A RAZEM Z TYM I ZE WZRZASTAJĄCĄ LICZBĄ ZASZCZEPIONYCH ROŚNIE NADZIEJA NA UPRAŻNIONY „POWRÓT DO NORMALNOŚCI”. NADCHODZI TEŻ PORA, BY POLICZYĆ ZMARŁYCH. W CZWARTEK 13 MAJA, GDY KOŃCZĄ PISAĆ TEN TEKST, WYNOŚI ONA WEDŁUG RZĄDOWYCH STATYSTYK 71 021. WIADOMO, ŻE TE OBLICZENIA SĄ NIE-

pełne i że liczba osób, które można uznać za ofiary COVID-19 w Polsce, jest wyższa. Nie o wiarygodność statystyk teraz jednak mi chodzi, ale o naszą odpowiedź na tę przerażającą liczbę. O zbiorową reakcję na nieodwołalny w swej prostocie i śmiertelnie oczywisty fakt, że w ciągu 14 miesięcy przedwcześnie odeszło od nas ponad 71 tysięcy współobywaterek



Nowe groby, trzecia fala epidemii, cmentarz Łostowski w Gdańsku, maj 2021 r.

i współobywateli, rodaczek i rodaków, bliznich.

Czarny krzyż, białe kwiaty

Wiosną 2021 r. zaczęły się pojawiać pierwsze próby podejmowania zbiorowych aktów pamięci. „Gazeta Wyborcza” zaproponowała, by w samo południe 12 marca, w rocznicę wybuchu pandemii, uczcić wszystkie osoby zmarłe w jej wyniku w Polsce minutą ciszy. Akcja ta spotkała się ze znikomym odzewem, nie spełniła funkcji wyrazistego, mocno docierającego do zbiorowej świadomości aktu zaznaczenia straty. W jakiejś mierze pewnie wynikało to z faktu, że ogłosiła ją opozycyjna gazeta, co mogło zostać odczytane jako próba powołania wydarzenia o ukrytym wymiarze politycznym.

Wyraził polityczny i antyrządowy charakter mają działania Lotnej Brygady

Opozycji, czyli grupy aktywistów związanych z ruchem Obywateli RP. W rocznicę pogrzebu Marii i Lecha Kaczyńskich na Wawelu, 18 kwietnia 2021 r., po raz pierwszy przeprowadzili oni na placu Piłsudskiego akcję performatywną polegającą na rysowaniu na płytach okalających pomnik ofiar katastrofy smoleńskiej czarnych krzyży upamiętniających ofiary pandemii w Polsce. Akcję tę LBO powtórzyły 9 maja, w przeddzień kolejnej „miesięcznicy” katastrofy. Za każdym razem rysującym krzyże towarzyszy ustawiona na placu tablica informująca, że celem działania jest uczczenie pamięci zmarłych na COVID-19 Polek i Polaków, których liczbę „przelicza się” na liczbę tupolewów – w kwietniu było ich 646, w maju już 729.

To przeliczenie, wybór miejsca i daty sako pokazują, że punktem wyjścia i zasadą akcji LBO jest przeciwstawienie pa-

tetycznym i monumentalnym formom pamięci smoleńskiej, podtrzymywanej przez władzę i jej polityczne zaplecze, prostych i skromnych prób upamiętnienia wielokrotnie większej liczby zmarłych, o których władza pamiętać nie chce, którym ani pomników nie stawia, ani nawet nie próbuje ich uczcić w inny sposób. Przeciwstawienie prowadzi do oskarżeń formułowanych wprost: te tysiące zmarłych to вина nieudolnego działania państwa, które nie spełnia podstawowej funkcji – nie potrafi zwiększyć szans swoich obywateli na przeżycie.

Działania LBO mają spory potencjał polityczny, odwołujący się częściowo do tych samych argumentów i emocji, na których PiS budował siłę swoich posmoleńskich performansów antyrządowych. Gdy reprezentujący władzę policjanci spisują ludzi rysujących krzyże, usiłują wystawić mandaty za zaśmiecanie i wystawiają kwity na zarekwirowane węgle do rysowania, władza nie tylko się ośmiesza, ale i umieszcza samą siebie w pozycji wroga niewygodnej pamięci. Trudno jednak oczekiwać, by ten – dosłownie opozycyjny, bo oparty na przeciwstawieniu – performans spełnił funkcję wspólnotowego upamiętnienia zmarłych.

Niekonfrontacyjny charakter ma inny pomysł na uczczenie ofiar, który zgłosił prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski. Proponuje on ułożenie w pobliżu warszawskiego pomnika Nike napisu #NieZapominajmy utworzonego z białych kwiatów. Zachęca do podobnych akcji inne miasta, a na dzień kwiatowej demonstracji proponuje 15 maja – Dzień Polskiej Niezapominajki. Zarówno osoba inicjatora – jednego z liderów opozycji – jak i nieco groteskowy kontrast między kilkudziesięcioma tysiącami zmarłych a okazją wybraną do ich uczczenia nie wróżą temu pomysłowi powodzenia. Zresztą napis z kwiatów to sam w sobie pomysł słaby, nieangażujący nikogo, pozwalający spokojnie przejechać obok w fałszywym poczuciu, że przeczytawszy go, wykonaliśmy zapisane w nim polecenie.

Wciąż zatem brak działań, które dałyby szansę na przerwanie wielkiej ciszy wokół ponad 71 tysięcy zmarłych. Motywowany doraźnymi interesami partyijnymi brak aktywności polityków nie wyjaśnia wszystkiego. Problemem rzeczywistym i istotnym wydaje się brak

→ społecznej presji i społecznej potrzeby, by o ofiarach mówić, by je upamiętniać. Przechodzimy do porządku dziennego nad śmiercią kilkudziesięciu tysięcy ludzi. Zajmujemy się swoimi sprawami, zostawiając tych zmarłych wyłącznie ich bliskim. To oni ponieśli straty. Zbiorowość wydaje się nie odczuwać żadnego braku.

Powtórzę: zbiorowość zdaje się nie odczuwać tego, że zniknęło ponad 71 tysięcy tworzących ją ludzi. Powiedziawszy to, nie sposób nie zapytać: co to za wspólnota i co jest zasadą jej istnienia? Bo to, że nie jest nią tak chętnie przywoływana i wypisywana na sztandarach solidarność, wydaje się od dawna oczywiste.

Zaginione w rozproszeniu

Pytania te stają się jeszcze bardziej dojmujące, jeśli odwołać się do kulturowego przekonania, że dla Polaków pamięć o zmarłych i związek z nimi ma ogromne znaczenie. Wielokrotnie zwracano uwagę, że Polacy w sposób szczególny odczuwają zobowiązanie wobec zmarłych i że to zobowiązanie właśnie stanowi rdzeń naszej wierności tradycji lub – w innej perspektywie – nie pozwala nam na wyzwolenie się z anachronicznych form zbiorowego bytu. W kraju polityki historycznej i narodowej, która jest skutecznie budowana na pamięci o poległych, w kraju niedawnych spontanicznych i masowych aktów żałobnych roku 2005 i 2010 – cisza po 71 tysiącach zmarłych wybrzmiewa nadzwyczaj głośno.

Wyjaśnienie proste i – by tak rzec – życiowe można znaleźć w czasoprzestrzennym rozproszeniu tej straty, widocznym wyraźnie w narzucającym się wręcz natrętnie zestawieniu z wielkimi obchodami poprzednich kwietniowych żałób. Śmierć Jana Pawła II i katastrofa smoleńska były wydarzeniami punktowymi, dokładnie osadzonymi w czasie. Oba (niezależnie od różnic między nimi) miały charakter mocnego uderzenia, szoku. Siła tych „ciosów” wymuszała natychmiastową reakcję: spontaniczną, niemotywowaną politycznie (więc odczuwaną jako szczególnie autentyczna i szczerą) potrzebę działania.

Na dodatek poprzednie kwietniowe śmierci dotyczyły ludzi obdarzonych wielkim багаżem symbolicznym: głowy Kościoła i głowy państwa. Z życia zbiorowego zniknęły osoby, które reprezento-

Ceniąc Polskę,
przestajemy cenić siebie
i swoich współobywateli.
Polska zaś nie troszczy się
o Polaków. Troszczy się
o siebie.

wały to, co powinno pozostać niezniszczalne. Ich śmierć wywołała silne reakcje także na zasadzie swoistej akcji zapobiegawczej – zbiorowość ujawniała się jako podmiot działania, zaprzeczając w ten sposób, że wraz z odejściem postaci ją symbolizujących i ona zaniknęła.

Śmierci ofiar pandemii miały zupełnie inny charakter: te ponad 71 tysięcy osób odchodziło od nas na przestrzeni kilkunastu miesięcy w rozproszeniu, w ciszy i ukryciu, bez spektakularnych obrazów i zbiorowego szoku. Znikały spośród nas każdego dnia, anonimowo jako kolejne liczby, do których się wolniej lub szybciej przyzwyczajaliśmy, zapominając, że za każdą jest niepowtarzalna historia, niezastąpiony w swej pojedynczości człowiek.

Oczywiście część z nich posiadała określony autorytet i багаż symboliczny – były znane i ważne nie tylko dla swoich rodzin, przyjaciół i znajomych. O ich śmierci mówiono, ich śmierć przedstawiano i przeżywano. Ale nie odbywało się to w związku z nimi jako „ofiarami COVID-19”, lecz dotyczyło niezależnych od pandemii osobistych osiągnięć.

Pandemia zazwyczaj nie pojawiała się w kontekście śmierci tych wybitnych osób, bo ich wybitność polegała właśnie na tym, że miały prawo umierać jako niepowtarzalne jednostki, a nie jako jedne z tysięcy „ofiara”. Dzięki temu, co zrobiły wcześniej, ich śmierć wymykała się mechanizmom zbiorowego ujednoliceń, które działały w przypadku pandemii w sposób dokładnie odwrotny niż w przypadku katastrofy smoleńskiej. Ta ostatnia, uznana za znaczące wydarzenie historyczne, uczyniła ze swych mniej znanych ofiar bohaterki i bohaterów narodowej tragedii. Zabrała im indywidualne życie, ale dała w zamian status czczonych przodków, których zasługa

stało się to, że jako „inne osoby” towarzyszyły w tragicznym locie „prezydentowi RP i jego małżonce”. Zmarli w wyniku COVID-19 zostali pozbawieni swojej niepowtarzalności, ale na skutek zbiorowego milczenia nie dostali w zamian nic, poza miejscem w codziennie odnawianych statystykach.

To, co przesłonięte

Kontrast między wieloletnimi obchodami pamięci po 96 i ciszą nad ponad 71 tysiącami można więc wyjaśnić bardzo prosto i bez odwoływania się do gry politycznych interesów. Ludzie umierają codziennie. Codziennie umierają tysiące i nie pytamy o to, dlaczego zbiorowość ich nie czci, dlaczego pamięta tylko niektórych. Żal oczywiście, ale trzeba żyć dalej, prawda? Nie ma potrzeby jakoś specjalnie się tu rozwodzić i snuć oskarżenia o brak odruchów pamięci. Każdy kiedyś umrze, więc i o nas tak samo kiedyś zapomną. Takie jest życie, nie?

No właśnie – nie. A w każdym razie – nie tu. Nie w kraju, gdzie masowo jak nigdzie obchodzi się dzień pamięci o wszystkich zmarłych – nie tylko tych, którzy wypracowali sobie багаż pamięci szczególnej, ale właśnie o tych, którzy zostali zapomniani w swej pojedynczości tak bardzo, że nawet ich imiona na nagrobkach się zatarały. Przejście do porządku dziennego nad tymi „biednymi zmarłymi” jest wbrew temu, co w naszej rodzimej kulturze wydaje się wyjątkowo ważne i co kultura ta podtrzymuje przy życiu także przeciwko wciąż się odnawiającym i rosnącym w siłę przedstawieniom heroicznym i monumentalnym.

Jeśli kultura, w co naprawdę wierzę, nie jest tylko rezerwuarem prostych jak cepy pytań maturalnych i narzędziem budowania statusu, to właśnie w takich momentach trzeba się do niej odwołać. Jeśli kultura narodowa, o której wciąż tyle gadają rządzący, stanowić ma żywe dziedzictwo przekazywane z rąk do rąk, a nie zestaw masek wciskanych na twarze, by przesłonić to, czego się nie chce widzieć, to szukając odpowiedzi na ciszę po zmarłych trzeba się zwrócić do bijących w samym jej centrum źródeł i przejrzeć w nich.

Wielokrotnie już pisałem, że wielkie kwietniowe obchody żałobne i wynurzające się z nich performanse pamięci stanowiły swoiste reinscenizacje części III „Dziadów”, z jej skupieniem

na wyjątkowej jednostce uosabiającej naród. Nie można jednak zapominać, że rdzeń polskiej tradycji społecznej i duchowej tworzą też rytuały pamięci zbiorowej, od których Adam Mickiewicz zaczął tworzenie swojego scenariusza kulturowego dla wspólnoty powoływanej na nowo po klęsce poprzedniej formy jej istnienia.

Rytuał Dziadów, który stanowi sedno części II arcydramatu, nie opiewa buntu i przemiany wybitnej jednostki, nie wpisuje śmierci „narodowej sprawy męczenników” w model chrystusopodobnej ofiary przemieniającej. Jest czymś o wiele prostszym i przez to bardziej podstawowym i powszechnym. Zbiorowość spotyka się poza cerkwią, poza dworem – poza przestrzeniami i kontrolą władzy, by zmierzyć się ze stratą, z tym, co ze straty wynika, a także – by przyjąć własną za stratę odpowiedzialność. Przez lata niemal odruchowo odczuwaliśmy aktualność tego prostego rytuału i mieliśmy poczucie jego powtarzania, choćby w ceremonialnej formie listopadowych odwiezdzin na cmentarzach. Pytanie, które staram się w tym tekście wytropić w jego najważniejszej formie, powinno zatem brzmieć: co stało się z nami, że nie odczuwamy potrzeby odprawienia dziadów za naszych zmarłych, że nie czujemy się za nich odpowiedzialni?

Obawiam się, że świadczy to o niebezpiecznym, może wręcz demonicznym procesie przesłaniania konkretnych ludzi przez wspólnotę symboliczną. Im

głośniej wszyscy oficjalni patrioci mówią o dumie z „wielkiej Polski”, tym bardziej złowrogo z ich słowami kontrastuje milczenie otaczające odejście tysięcy Polek i Polaków. Jakby waga Polski karmiła się utratą znaczenia przez ludzi, którzy ją tworzą. Czy skoro Polska nie umarła, póki my żyjemy, to umarli już się dla niej nie liczą?

Co gorsza, temu wzrostowi znaczenia symbolicznej wspólnoty towarzyszy codzienne doświadczenie braku troski o realnych ludzi ją tworzących. Powtarza się nam, że najwyższym dobrem jest Polska, a jednocześnie nieustannie spotykamy się z lekceważeniem naszych, Polek i Polaków, realnych potrzeb. Niezależnie od tego, jak bardzo się opieramy, wytwarza to efekt przesuwania pozytywnych konotacji na zbiorowość przy jednoczesnym unieważnianiu tych, którzy ją tworzą. Ceniąc Polskę, przestajemy cenić siebie i swoich współobywateli. Polska zaś nie troszczy się o Polaków. Troszczy się o siebie. Wiemy przecież dobrze, bo powtarzaliśmy to jej i sobie wiele razy: Polska jest najważniejsza.

Przywrócić dziady

Czas najwyższy się temu przeciwstawić. Nie przez polityczne demonstracje i próby negacji związku z własną przeszłością i kulturą, ale przez związku tego pogłębianie. Trzeba ideę unieważniającą naszą pojedynczość wspólnoty nasącać odpowiedzialnością nie za jej symboliczne przedstawienia, ale za te i tych,

które i którzy ją stanowią. Także odpowiedzialnością za zmarłych. Zaczniemy od nich, bo to przecież wydaje się i najmniej kontrowersyjne, i stosunkowo najprostsze. Zamiast szukać winnych – podjąć próbę odnalezienia własnej odpowiedzialności, własnego związku z umarłymi polegającego nie tylko na tym, że i my jesteśmy śmiertelni, ale i na tym, że ich odejście oznacza też dla nas realną stratę.

Może trzeba zacząć od jej uświadomienia. Od przywrócenia zmarłym ich twarzy, głosów, losów. Ich opowieści. Na tym przecież, a nie na podniosłych recytacjach, polegają dziady. Dzięki nim zmarły odzyskuje głos i niesymboliczne związki z żyjącymi. Tak właśnie dzieje się w arcydramacie Mickiewicza: utracone dzieci lecą do mamy, Zły Pan błaga o wybaczenie dawnych poddanych, Zosia chce poigrać z młodzieńcami. Śmierć polega na tym, że nic z tego nie jest możliwe. Ale przynajmniej możemy wyciągnąć ręce i pokazywać przez to, że nam zależy, że odpowiadamy, że jesteśmy odpowiedzialni.

Adam Mickiewicz umieścił ten gest rąk wyciągniętych ku zmarłym u źródeł wspólnoty, którą chciał ustanowić. Przez wieki żyliśmy w przekonaniu, że jest to gest nieusuwalny, rdzenny gest naszego rodzimego sposobu bycia w świecie. Nie wiem, czy jeśli zapomnimy o nim, zapomni o nas Bóg na niebie. Wiem, że w ten sposób sami zapomnimy siebie.

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Drodzy Czytelnicy! 30 kwietnia opuściliśmy ulicę Wiślną. Już jesteśmy na ulicy Dworskiej 1C, 30-314 Kraków

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rąbiń,
Mariusz Sepioto, Krzysztof Story,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażewska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioto,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczmirska (kierownik), Mateusz Gawron,
Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna
Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Kłata, Andrzej Stasiuk,
Jacek Podsiadło, Dorota Mastowska, Zuzanna Radzik,
Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska,
Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek,
Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka,
Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Koslewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław
Łubieński, Szymon Łucy, Józef Majewski,
Paweł Marcewicz, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski,
Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Stawek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław
Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczmirska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: Liczymy się



OTO MOJŻESZ I AARON DOSTALI ZADANIE: mają dokonać spisu – nie całkiem powszechnego, bo obejmującego tylko mężczyzn, w dodatku dobywających miecza. Tak to oddaje po polsku rabin Izaak Cylikow: „Zbierzcie poczet całego zboru synów Izraela podług rodzin ich, podług domów ich rodowych – wykaz imienny [hebr. *be-mispar szemot*] wszelkiego ich pogłowia męskiego” (Lb 1, 2). *Mispar szemot* znaczy dosłownie po hebrajsku „liczba imion”. Sprawa na pozór wydaje się prosta – jednakże rdzeń S-P-R, zależnie od koniugacji, ma różne znaczenia: opowiadać, strzyc, liczyć. Wykorzystują ten fakt komentatorzy.

Jeden postuluje, by *be-mispar* (dosł. w liczbie, poprzez liczbę) tłumaczyć nie jako „przez liczenie”, lecz „przez opowiadanie”. Każdy Izraelita podał swoje imię dokonującym spisu. Nasz rdzeń pojawia się też w słowie *sefer* – „książka” (ta sama litera hebrajska reprezentuje fonemy „p” i „f”) – i kolejny egzegeta stwierdza, że każdy Izraelita wpisał swoje imię do księgi, po czym imiona te zliczono. Trzeci sugeruje, iż dokonano spisu licząc każdego Izraelitę oddzielnie.

Kiedy król Dawid chciał poznać liczbę swoich podwładnych, uparł się – mimo Bożego ostrzeżenia – by zrobić to bezpośrednio, i źle się to skończyło (zob. 1 Krn 21). Pomni konsekwencji Żydzi oddać nie liczą ludzi bezpośrednio. Chcąc w synagodze sprawdzić, czy już zebrało się modlitewne kworum, używają do tego celu wersu z psalmu (28, 9), który zawiera dziesięć słów. Zaczynają recytować, z każdym kolejnym wyrazem patrząc na inną obecną osobę – jeśli dobrną do końca wersu, można zaczynać publiczne modły. Innym zabiegiem jest mówienie „nie jeden, nie dwa, nie trzy” itd. Nie ma natomiast problemu z ogłoszeniem ostatecznej liczby.

Stąd jeden z komentatorów utrzymuje, iż zsumowano liczbę zebranych od Izraelitów pólsekłówek – tak jak wkrótce po wyjściu z Egiptu (zob. Wj 30, 11-13). Według innego egzegety imiona spisano na karteczkach, które potem policzono. Kolejny interpretator mówi, że na karteczkach Izraelici napisali swoje imię i plemię, z którego pochodzili. Następnie wrzucili je do urny i każdy z przywódców wyjął z niej karteczki członków swojego plemienia.

Wedle Ozeasza przysła liczba synów Izraela będzie „jako piasek morski, który ani zmierzyć, ani zliczyć się nie daje” (2, 1; Cylikow). To poetyckie proroctwo należy do innego porządku. Tymczasem niecierpliwie czekam na wyniki spisu powszechnego. Ilu jest w naszym kraju członków mniejszości narodowych – tych zasugerowanych w ankiecie i tych, które pominięto? Czy mieszkając w małej miejscowości, ale tym razem nie mając rachmistrza przed sobą, będziemy odważniejsi?

©

O. WACŁAW

Oszajca: Duch ten sam



TAM, GDZIE POPEŁNIA SIĘ MASOWE MORDY, milionów ludzi pozbawia prawa do godziwego życia, gdzie tysiące migrantów ginie w drodze po lepsze życie – tam trudno dostrzec działania innego ducha, jak tylko złego. Trudno też dziwić się tym, którzy

patrząc na naszą bezczynność pytają: gdzie jest ten wasz kochający Bóg Ojciec, którego nam oferujecie? Próbuje więc na różne sposoby usprawiedliwiać Boga, zamiast jasno powiedzieć, że ten podły świat jest naszym dziełem i za ten jego opłakany stan bierzemy na siebie odpowiedzialność.

Oczywiście to nie znaczy, że zwalnimy Boga z odpowiedzialności za zło, skoro je dopuścił. Nie wiemy, czym Bóg się kierował, godząc się na dezercję najpierw aniołów, a następnie ludzi, wiemy natomiast, że wbrew wszystkiemu stać nas, aby wypierać zło, zastępując je dobrem. Wiemy, że dobro potrafi rozkwitnąć na najgłębszym dnie piekła.

W książce „Żydzi walczący o Polskę” Marek Gałęzowski, opisując masakrę demonstrantów na placu Zamkowym w Warszawie w 1861 r., mówi: „Kula moskiewska raniła jednego z organizatorów demonstracji, idącego na czele z wzniesionym krzyżem. Nie był nim zakonnik, jak głosi legenda (i odslonięta w grudniu 2018 r. na placu Zamkowym tablica pamiątkowa), lecz Karol Nowakowski, członek patriotycznej, radykalnej organizacji zwanej czerwonymi. Ranny upuścił krzyż. Wtedy podniósł go z ziemi siedemnastoletni Żyd – uczeń gimnazjum realnego Michał Landy – i wznosił ponad tymi, którzy nie chcieli rosyjskiego zaborcy w Warszawie. Nie zdołał go długo utrzymać. Padł cięty pałaszem”.

W 2014 r. w Nouszahr w Iranie miała się odbyć egzekucja Balala, skazanego za zabicie nastoletniego kolegi, ale matka ofiary, muzułmanka Samereh Alinejad, ułaskawiła mordercę. Kiedy Balal stał już na szafocie, poprosiła męża, żeby zdjął z jego szyi stryczek. Kiedy zastanawiała się, czy przebaczyć zabójcy, jej mąż, Hosseinzadeh Abdolghani powiedział: „Po prostu spójrz na Boga, a znajdziesz swoją drogę”. „Bóg mi pomógł i nagle dał mojemu sercu poczucie litości”. „Poczułam, że wściekłość, złość i zemsta zniknęły w moim sercu (...). Od tamtego dnia nie mam tych uczuć w sercu”.

Będąc w Iraku, papież Franciszek powiedział, że jest szczęśliwy, iż może odwiedzić „kolebkę cywilizacji ściśle związanej poprzez patriarchę Abrahama i licznych proroków z historią zbawienia i wielkimi tradycjami religijnymi judaizmu, chrześcijaństwa i islamu”, gdyż „religia ze swej natury musi być na służbie pokojowi i braterstwa”.

Patrząc na Michała Landego, Samereh Alinejad i Jorgego M. Bergoglię, widzimy jasno, co ich łączy. Ten sam duch, którego my nazywamy Duchem Świętym. On naprawdę chce być, i jest, wszędzie.

©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Dom załączkiem Kościoła

*Ci, którzy pragną siebie
zbawić, nie wierzą
naprawdę w realność
radości w Bogu.*

SIMONE WEIL



*Kto ma w głowie tylko
miłość własną, ten nigdy
nie usłyszcy prawdy.*

SUFİ SADI Z SZIRAZU



W RAMACH REKOLEKCJI ekumenicznych dla małżeństw mieszanych wyznaniowo czytałem z ich uczestnikami opis Pięćdziesiątnicy zawarty w Dziejach Apostolskich (Dz 2, 1-13). W trakcie lektury samo wydarzenie przedstawiło mi się nieco inaczej niż „zawsze”.

W dzień Pięćdziesiątnicy z Wieczernika wyszła wspólnota, w której bezdyskusyjnie widzimy „załączek Kościoła”. Zwykle identyfikujemy ową wspólnotę jako Dwunastu – tych, którzy w Kościele wzięli na siebie urząd apostolski. Zapewne słusznie. Nie będzie jednak nadużyciem zobaczyć też w wychodzących z Wieczernika tych, którzy nieco ponad pięćdziesiąt dni wcześniej weszli do niego, aby spożywać Paschę. Wtedy musimy spojrzeć na nich jako na rodzinę. Pascha była wszak celebracją rodzinną („niech się każdy postara o baranka dla rodziny, o baranka dla domu. Jeśli zaś rodzina była za mała do spożycia baranka, to niech się postara o niego razem ze swym sąsiadem, który mieszka najbliżej jego domu”, Wj 12, 3n). Załączek Kościoła stanowią więc ludzie, których połączyły nie tylko więzy wspólnie podejmowanego urzędu, ale również takie, które można opisać jako więzy rodzinne – domowe.

Przez cały okres wielkanocny czytamy Dzieje Apostolskie. Jesteśmy świadkami narodzin Kościoła w kolejnych miejscach. W każdym z tych opisów jak refren pojawia się słowo „dom”. Pierwszy

Kościół z pogan powstaje w domu Korneliusza w Cezarei Nadmorskiej; pierwszy Kościół w Europie (!) powstaje w domu Lidii, a drugi – zaraz potem – w domu bezimennego strażnika więzienia w Filipi. Pierwszym Kościołem w Koryncie staje się dom Kryspusa, przełożonego tamtejszej synagogi. Słowo „dom” jest też refrenem listów Pawłowych: Kościół w Rzymie to dom Pryski i Akwili (zob. Rz 16 oraz 1 Kor 16), w Laodycei Kościołem jest dom Nimfy, a w Kolosach dom Filemona (Flm 1, 2).

„Domem” jest w pierwszym rzędzie rodzina, czego najlepiej dowodzą powracające (również jak refren) zdania: „przyjął/przyjęła wiarę i chrzest wraz z całym swoim domem”. Mowa jest więc nie o posesji, tylko o mężu, żonie, dzieciach (tak, chrzczono dzieci), niewolnikach czy służbie. Kościół rodzi się w domu – z niego czerpie wszystkie istotne dla siebie pojęcia. Dom dostarcza nam doświadczenia – nie tylko teoretycznych desygnałów takich słów jak „brat” i „siostra” (tak nazywamy siebie w Kościele), „Ojciec” (Imię Boga objawione nam przez Jezusa) i „Matka” (jak nazywamy Kościół).

„Domus Ecclesiae” (dosł. „Dom Kościoła”) to nie jedynie termin z archeologii chrześcijańskiej potrzebny dla opisu najdawniejszych „świątyń” chrześcijańskich. To raczej pojęcie wzywające nas do poważnej refleksji pastoralnej – aż po pytanie, czy nie próbujemy budować Kościoła obok albo nawet wbrew tej logice lub dyscyplinie, jaką Pan wpisał w powstawanie Kościoła już u jego początków. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (23 – 30 V)

Niedziela Zesłania Ducha Świętego: Dz 2, 1-11;

Ps 104; Ga 5, 16-25; J 15, 26-27; 16, 12-15;

Poniedziałek, święto NMP Matki Kościoła:

Rdz 3, 9-15. 20; Ps 87; Dz 1, 12-14; J 19, 25-27;

Wtorek: Syr 35, 1-12; Ps 50; Mk 10, 28-31;

Środa: Syr 36, 1. 4-5a. 10-17; Ps 79; Mk 10, 32-45;

Czwartek: Jr 31, 31-34 albo Hbr 10, 11-18;

Ps 110; Mk 14, 22-25;

Piątek: Syr 44, 1. 9-13; Ps 149; Mk 11, 11-25;

Sobota: Syr 51, 12-20b; Ps 19; Mk 11, 27-33;

Niedziela, uroczystość Najświętszej Trójcy: Pwt 4, 32-34. 39-40; Ps 33; Rz 8, 14-17; Mt 28, 16-20.

Wybrał PIOTR SIKORA



PAŃSTWO JUŻ TUTAJ NIE MIESZKA

Liberałowie chcieli, by ograniczyć podatki do absolutnego minimum.

PiS wpadł na to, że można najpierw ściągać wysokie podatki,
by – po przejęciu części z nich – zwracać je podatnikom.

KLAUS BACHMANN

W POLSCE PAŃSTWO ZAWSZE BYŁO słabe, ale czasami ukrywało to dzięki represjom, propagandzie sukcesu i retorycznej stanowczości. Od sześciu lat wycofuje się z kolejnych dziedzin polityki, głosząc hasła solidarności, wzmocnienia narodowej wspólnoty i socjalnych dobrodziejstw, które szybko ob-

racają się przeciwko ich beneficjentom. Więcej: pod hasłami walki z prywatyzacją odbywa się ukryta prywatyzacja ryzyka obywateli, usług publicznych i instytucji państwowych. Odchodzimy od europejskich modeli państwa dobrobytu, ale wbrew głoszonym przez część opozycji hasłom wcale nie zbliżamy się

do Rosji, lecz do modelu państw południowoamerykańskich.

Solidarność wymuszona

Państwa powstały, aby rozwiązać problemy, których nie da się rozwiązać ani przez indywidualne działania obywateli, ani za pomocą organizacji społecz-



Przeprowadzka prywatnej szkoły,
Warszawa, czerwiec 2019 r.

szpitale, a nawet na sprowadzenie tlenu z zagranicy, i tak wolą wyjechać.

Cały system opieki zdrowotnej jest oparty na zasadzie, że młodzi, zdrowi i dobrze zarabiający biorą na siebie koszty zdrowia publicznego, dzieląc się ze starszymi, chorymi i gorzej zarabiającymi. Kiedy sami tracą zdrowie, zestarzeją się albo zbiednieją, też będą mogli korzystać z tej solidarności, do której obecnie dokładają. Pandemia dostarczyła dodatkowy powód: tam, gdzie ryzyko zachorowania jest poza kontrolą pojedynczego obywatela, a koszty leczenia zbyt wysokie, leczenie i szczepienie przejmuje państwo. I tylko państwo może zarządzać takim systemem redystrybucji dochodów. Solidarność funkcjonuje, bo stoi za nią monopol na przemoc.

Zarządzania systemem opieki zdrowotnej nie można scedować na organizacje charytatywne. Widać to w niektórych krajach Afryki, gdzie takie zadania zostały sprywatyzowane albo przejęte przez międzynarodowe organizacje pomocowe. Kto do nich trafi, ma szczęście, tak samo jak ten, którego stać na ewakuację i leczenie za granicą. Nie ma mechanizmów zapewniających solidarność.

Od Owsiaka do prywatnych armii

O Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy pisano już wiele, w tym wiele nonsensów. Najpoważniejszy argument przeciw tej cyklicznej kampanii wspierania służby zdrowia nie dotyczy ani jej ideologicznej otoczki, ani tego, że rzekomo odbiera fundusze innym, mniejszym organizacjom. Bo nie jest to w ogóle zarzut wobec niej, lecz wobec państwa.

WOŚP wyręcza państwo na jednym z jego podstawowych pól działania. Aparatury, którą WOŚP kupuje szpitalom, minister zdrowia już kupować nie musi. Więcej: skoro to nie budżet odpowiada za te zakupy, to rząd też nie ma obowiązku rozliczenia się z nich wobec parlamentu, NIK i opinii publicznej. Inwestycja, która ze względu na jej wielkość i przeznaczenie dla użytku publicznego powinna podlegać demokratycznej kontroli, nagle powstaje niejako „obok systemu”.

To nie jest powód, aby nie płacić na WOŚP. To jest powód, aby się zastanowić, po co mamy państwo, jeśli jego kluczowe zadania są albo sprywatyzowane, albo wykonywane przez organizację charytatywną. Dlaczego mamy płacić podatki na rzecz państwa, jeśli kupowanie respiratorów wychodzi organizacjom charytatywnym lepiej niż agencjom państwowym?

To jest początek drogi, której koniec widać na Ukrainie, gdzie powstały prywatne milicje, wyręczające państwo z jego obowiązku zapewnienia obywatelom bezpieczeństwa wobec zbrojnej agresji z zewnątrz. Jest to bezpośredni skutek prywatyzacji usług publicznych w czasach prezydenta Janukowycza: armia była tak niedofinansowana, że nawet sam prezydent nie mógł jej użyć przeciwko opozycji, a kontrolę nad bezpieczeństwem wewnętrznym przejęli oligarchowie.

Wobec prywatyzacji wojska prywatyzacja pewnej części służby zdrowia, jak w przypadku WOŚP, wygląda niewinnie. Ale niewinna nie jest. Usługi publiczne są bowiem w Polsce prywatyzowane od 30 lat. Najpierw olbrzymi wzrost nieufności wobec państwa w okresie 1988-92 oraz lustracje i czystki w aparacie bezpieczeństwa i w prokuraturze doprowadziły do powstania niezliczonych agencji ochrony i biur detektywistycznych, zatrudniających tych, którzy stracili w tym aparacie pracę. Potem każda kolejna ekipa rządowa chciała sobie zapewnić lojalność resortów bezpieczeństwa (i dać zarobić swoim zwolennikom), więc każda te resorty czyściła.

Wcześniej odbywało się to w ramach różnych koalicji, a niekiedy w warunkach kohabitacji z nieprzyjaznym prezydentem, co trochę hamowało zapędy czyszcicieli. Od 2015 r. ten proces tak się zintensyfikował, że doszło nawet do czystek w ramach tej samej rodziny politycznej: z MSZ czyszczono zwolenników poprzedniego ministra, z MON zwolenników (albo nawet tylko ludzi podejrzanych o takie sympatie) ministra Antoniego Macierewicza.

Nie prowadzi to oczywiście do większej lojalności aparatu, lecz do większego koniunkturalizmu wśród urzędników i do tego, że najlepsi uciekają. Urzędnik, którego państwo polskie wykształciło i który swoje poletko zna od podszewki, zaczyna pracować dla obcego państwa. Nic w tym zbrodnego, jeśli to obce państwo jest akurat sojusznikiem Polski, ale tak wcale być nie musi. Wyrzucony czy zlustrowany →

nych. Pozostawienie bezpieczeństwa wewnętrznego w rękach obywateli prowadzi do powstania milicji i – bez monopolu państwa na przemoc – do wojny domowej. Bezpieczeństwo zewnętrzne także wymaga monopolu państwa na przemoc, inaczej nie da się zmusić obywateli do wspólnej obrony.

Nowoczesne państwo opiekuńcze ma jeszcze dodatkowe zadania: dostarczenie usług publicznych, które są konieczne z punktu widzenia całego społeczeństwa i których ani rynek, ani inicjatywa indywidualna nie mogą zastąpić. Widać to podczas pandemii: gdybyśmy szczepili tylko tych, których stać na opłacenie szczepionki, to ci, których na to nie stać, i tak zagrażaliby wszystkim pozostałym. Tam, gdzie państwo nie dostarcza takich usług, lecz zostawia to działaniu rynku, mamy potem sytuacje takie jak w Stanach Zjednoczonych za prezydenta Trumpa, w Brazylii albo obecnie w Indiach, skąd bogatsi obywatele, mimo że mogą sobie pozwolić na prywatne

→ urzędnik MSZ może przecież też pracować dla Rosji, Białorusi, Iranu i Chin, podobnie jak zwolniony policjant lub agent wywiadu może świadczyć usługi na rzecz organizacji kontrolowanej przez jedno z tych państw albo dla międzynarodowej korporacji dostarczającej im najemników i informacji. Za każdym razem, kiedy PiS tylko dyskutował o kolejnych czystkach w MSZ, ktoś w Moskwie, Damaszku i Pekinie się cieszył. I za każdym razem ambasady w Warszawie miały więcej chętnych na wolne stanowiska.

Szkola przetrwania

Nie tylko państwo wycofuje się z usług publicznych, obywatele też ochoczo w tym uczestniczą, często uważając, że to dla nich korzystne. Utwierdzają ich w tym przekonaniu niektórzy komentatorzy i politycy lewicy, którzy myślą zastępowanie usług publicznych z polityką społeczną.

Oddolna prywatyzacja napędzana nieufnością do państwa zaczęła się długo przed dojściem PiS do władzy, kiedy klasa średnia w polskich miastach podpisywała z prywatnymi agencjami umowy o ochronie swojego dobytku, zamiast angażować się na rzecz poprawienia jakości usług dostarczanych przez policję. Odtąd możemy obserwować, jak miliony obywateli znajdują indywidualne rozwiązania dla publicznego problemu, jakim jest bezpieczeństwo.

Dziś nie jest z tym najgorzej, bo społeczeństwo się starzeje, odsetek ludzi w wieku 15-30 lat – najczęstszych potencjalnych sprawców albo ofiar przestępczości – od lat maleje i wskaźniki przestępczości spadają. Jednym z największych osiągnięć rządów po 1989 r. jest też olbrzymi wzrost zaufania obywateli do policji. Niestety PiS próbuje ją przekształcić w zbrojne ramię partii i narzędzie represji politycznych. Jeśli to się powiedzie, za parę lat czeka nas kolejna fala prywatyzacji bezpieczeństwa.

Tymczasem w innych sferach ta prywatyzacja galopuje. Dezorganizacja szkolnictwa w 2016 r. pchnęła więcej obywateli w objęcia prywatnych przedszkoli, żłobków i szkół niż kiedykolwiek wcześniej. Oczywiście tych, których stać na płacenie czesnego. To powtórka z rozwoju dużej liczby szkół wyższych kiepskiej jakości w latach 90., tyle że wówczas ten trend napędzała demografia, a dziś napędza go rząd – ten sam, który przy każdej okazji stanowczo (ale czysto retorycznie)

krytykuje swoich poprzedników za wyprzedaż majątku narodowego i domaga się, aby możliwie wszystko było „narodowe”, „polskie” i państwowe, to znaczy zarządzane przez jego zwolenników.

Realna Polska socjalna

Najpierw obywatele prywatyzowali swoje bezpieczeństwo, barykadując się w strzeżonych osiedlach z własną recepcją, ochroną i systemem monitoringu. Potem przyszła kolej na system emerytalny, częściowo sprywatyzowany przez wprowadzenie ubezpieczeń kapitałowych.

Łukasz Pawłowski pokazał w książce „Druga fala prywatyzacji”, jak niechęć PiS (i części lewicy) do komercjalizacji szpitali doprowadziła do ich faktycznej, ale zakulisowej prywatyzacji. Polega ona na dwóch zjawiskach, które zachodzą jednocześnie. Pierwszym jest dynamiczny wzrost prywatnych usług medycznych na wzór amerykański i powstanie wielkich korporacji medycznych, które przejmują opłacalny obszar usług, zostawiając państwu jego nieopłacalne elementy. Zjawisko drugie to prywatyzacja usług wewnątrz systemu państwowego. Kiedyś odbywało się to na zasadzie łapówek, teraz rzecz uregulowano: niemal do każdej publicznej usługi w państwowym albo samorządowym szpitalu można dokupić płatną usługę dodatkową.

Ale Polacy nie muszą się udać do lekarza albo do szpitala, aby móc obserwować prywatyzację zdrowia publicznego. Niechęć i bezradność państwa wobec zanieczyszczenia powietrza skłania coraz więcej obywateli do indywidualnych rozwiązań zbiorowego problemu, jakim jest smog: kupują sobie oczyszczacze powietrza. Na to, że sąsiad spala gumowce w piecu, nic nie poradzą, więc dbają o to, aby przynajmniej u nich w domu powietrze było czyste.

Pandemia i te procesy przyspieszyła. Kogo na to stać, jeździ teraz własnym samochodem i rezygnuje z (tańszego i czystszego) transportu publicznego. Innymi słowy – stosuje prywatne rozwiązanie tam, gdzie państwo się nie wywiązuje ze swoich zadań. Rząd manipuluje danymi o pandemii tak, że nie jesteśmy w stanie stwierdzić, jak duże jest ryzyko zakażenia, czy mamy szansę na pomoc w szpitalu albo czy przyjedzie do nas ambulans. Kupujemy sobie więc prywatne respiratory i „załatwiamy” prywatne testy na COVID-19.

Dopóki sytuacja jest stabilna i nierówności nie są zbyt jaskrawe, może się to udać. Wręcza się ludziom znaczne transfery (za które, w postaci podatków, sami zapłacą) i wmawia się im, że ten system, który gwarantuje strukturalną dyskryminację i fikcyjne usługi publiczne, to właśnie „Polska socjalna”, o której zawsze marzyli. Jest to jednak koncepcja rodem z rządów populistycznych w Ameryce Łacińskiej, które powstały, zanim w Europie zaczęliśmy dyskutować o populizmie: zdobyć poparcie biednych, aby móc prowadzić politykę dla bogatych, która potęguje nierówności i zapewnia im trwałą hegemonię przy niskich podatkach i niskich płacach.

Zachłanny nocny stróż

Zwieńczeniem tego systemu pełzającej prywatyzacji usług publicznych są niektóre świadczenia socjalne, od 500 plus po becikowe, od trzynastej emerytury do „dobrego startu” na początku roku szkolnego.

Wszystkie one dotyczą sfer, z których państwo się wycofuje. Od niedawna ich lista wzbogaciła się o aborcję, która, nawet jeśli obwarowana kontrolą, też jest usługą publiczną, przynajmniej tam, gdzie jest legalna. Że instytucje opinane przez mężczyzn definiują, kiedy i w jakich warunkach kobiety powinny rodzić, to tylko jeden aspekt problemu. Drastyczne ograniczenie legalnej aborcji do sytuacji, w której poród zagraża życiu lub zdrowiu kobiety, nie oznacza przecież, że Polki nie będą już przeprowadzać aborcji. Oznacza tylko, że to, czego nie mogą zrobić w Polsce, będą robić w Niemczech, Słowacji, Ukrainie, Holandii i Skandynawii, finansując w ten sposób zagraniczne systemy opieki zdrowotnej. Już obecnie liczba chętnych na aborcję w przygranicznych szpitalach w Niemczech wzrosła kilkakrotnie.

To kolejny „outsourcing” problemów społecznych ze strony państwa. „Polska socjalna”, spin wymyślony na użytek kampanii prezydenckiej 2005 roku, który PiS tak skutecznie wylansował, że część lewicy zaczęła go brać poważnie, to państwo, w którym rodziny wielodzietne poza metropoliami nie mają dobrych szkół, ale za to mają 500 plus, za które mogą sobie optować „korki”, nie mają dostępu do państwowej służby zdrowia, ale mają 500 plus, za które mogą sobie kupić abonament w prywatnej firmie

medycznej i jeździć do najbliższego większego miasta na wizytę u lekarza. Nie mają transportu publicznego, ale mogą sobie kupić samochód z drugiej ręki, aby dojeżdżać do pracy. W tym świecie nie ma już usług publicznych i każdy sam odpowiada za swój los, trochę po amerykańsku, tylko z wyższymi podatkami. Liberalizacja prawa do posiadania broni byłaby logiczną tego konsekwencją.

Na końcu tej drogi państwa opiekuńczego już nie będzie. Zamiast tego ziści się marzenie XIX-wiecznych teoretyków liberalizmu gospodarczego: państwo będzie stróżem nocnym, który pilnuje przestrzegania tylko zasad niezbędnych, by zapobiec wojnie domowej, utrzymać armię i pokryć wydatki na biurokrację. Liberalowie chcieli, aby państwo nie ściągało więcej podatków, niż to absolutnie niezbędne. Dopiero PiS wpadł na to, że można najpierw ściągać wysokie podatki, by potem (po przekierowaniu części z nich do prywatnych kieszeni rządzących i powiązanych z nimi firm) częściowo je zwracać podatnikom.

Na krótką metę to korzystne dla obu stron. Rząd może rozbudowywać administrację, rozdawać synekury i zdobywać

poparcie wyborcze skuteczniej, niż gdyby się ograniczył do „nocnego stróżowania”. A podatnik odczuwa większą ulgę z powodu zwrotów, jakie dostaje, niż odczuwałby, gdyby państwo od początku ściągało od niego niskie podatki.

Złudny szacunek

Na dłuższą metę ta nigdy otwarcie nie dyskutowana i być może nawet przez samych rządzących nieuświadomiona strategia ma bardzo poważny skutek uboczny: coraz większe społeczne nierówności, które są konsekwencją prostego faktu, że tylko bogatszych stać na prywatyzację coraz wyższego ryzyka i usług publicznych. Tak się dzieje od lat i Bóg jeden wie, dlaczego to się niektórym lewicowcom tak podoba. Jest to bowiem, mówiąc ich językiem, neoliberalizm w czystej postaci, tylko sprytnie ukryty za demagogią socjalną.

Tak właśnie populistyczni prezydenci wielu państw południowoamerykańskich z lewa i z prawa, od Peróna do małżeństwa Kirchnerów, od Alberta Fujimoriego do Jaira Bolsonaro, zdobywali władzę. Redukując usługi publiczne do minimum, doprowadzili do ich prywatyzacji,

wynagradzając to mieszkańcom środkami z funduszy publicznych. W ten sposób zapewniali sobie poparcie (albo bierność) kluczowych grup etnicznych i społecznych, którym takie transfery dały złudne poczucie sprawstwa i szacunku. Choć większość pieniędzy i tak trafiała nie do nich, lecz do dostawców sprywatyzowanych usług. Obywatel, który wydaje otrzymane od państwa pieniądze w prywatnych klinikach, zasila nie wynagrodzenia lekarzy i pielęgniarek, lecz zwiększa dywidendy prywatnych udziałowców firm-właścicieli tych klinik.

To najkrótsza historia polskiej transformacji: za cichym i częściowo nawet entuzjastycznym przyzwoleniem społecznym kolejne ekipy rządowe skomercjalizowały usługi publiczne, głosząc przy tym hasła walki z prywatyzacją (lewica i populistyczna prawica) albo wolności i prymatu rynku (liberalowie i konserwatyści). Teraz, hojnie rozdając prezenty, które przywłaszczają sobie prywatne i często zagraniczne koncerny, PiS usługi publiczne dobija za zasłoną dymną hasel o suwerenności, samowystarczalności i troski o szarego obywatela.

© KLAUS BACHMANN

weź, czytaj! w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	75 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Przed odbudową

PAWEŁ BRAVO

Zepsucie opozycji na swoje podobieństwo to znacznie większy sukces Jarosława Kaczyńskiego niż stworzenie sprawnej wodzowskiej partii i utrzymywanie w szachu przybudówek.

PONAD 100 TYSIĘCY NASZYCH WSPÓŁobywateli straciło życie, wpadając bez twarzy i imienia w rozpadlinę, którą demografia z typowym dla siebie chłodem nazywa „nadmiarowymi zgonami”. Nierozpamiętywanie tego, co się złego tyłu ludziom i rodzinom stało, jest może sposobem, w jaki ci, którzy przetrwali, próbują urządzić się w rzeczywistości wyłaniającej się nam na horyzoncie.

Od ekonomistów znamy zjawisko wzrostu konsumpcji i aktywności ludzkiej w okresach następujących po kataklizmach. Dziś na to nakłada się perspektywa kolejnego bodźca finansowego, jakbyśmy po raz drugi wstępowali do Unii. Czekają nas duże pieniądze, a ponieważ kraj mamy, pomimo kilkunastu lat intensywnego dostosowania się do wzorców postindustrialnej Europy, wciąż relatywnie „produkcyjny”, młody i o niskich dochodach, to czeka nas też szybsze odbicie.

Jest to swego rodzaju premia za bycie na dorobku, za bycie ubogim krewnym o niższych potrzebach – którą już raz za inkasowaliśmy po kryzysie finansowym sprzed dwunastu lat. Oczywiście ówczesna narracja o „zielonej wyspie” była przykładem ślepoty na fakt, że makroekonomiczne sukcesy skrywają złożony krajobraz biedy i nierówności. Polska, jak się wówczas mówiło, była bogatym krajem biednych ludzi. Co prawda transfery socjalne wdrożone przez obecną władzę niwelowały skutecznie przez pewien czas niektóre nierówności, ale na ich miejsce powstawały inne, co pandemia ujawniła z całą bezwzględnością. Tąpnięcie w systemie ochrony zdrowia i oświacie dla jednych było pewną tylko niewygodą, innych zepchnęło w poziomie życia i aspiracji o całą epokę wstecz.

Czy i jak owa „odbudowa” na silnym unijnym dopalaczu uwzględni te sprawy? Czy na pewno chcemy wszystko „odbudowywać”, a nie wykorzystać niezawiniony stan rozchwiania, żeby przeprowadzić

pewne sprawy na nowo? Angielski termin, jakim określa się ten fundusz – *recovery* – sugeruje raczej powrót do zdrowia, krzepnięcie. Ale czy wszystko, co ważne w sferze publicznej – np. równowaga między wolnością a równością – było tak całkiem zdrowe?

Co po PO

Polska opozycja wydaje się, owszem, zajęta myśleniem o tym, co „po” – ale tylko w kategoriach „po PiS-ie”. Widać to było choćby w trakcie krótkiego przesilenia kilka tygodni temu, kiedy kwestia formalnej ratyfikacji zgody na zaciąganie przez Komisję Europejską nowych długów stała się okazją do manewrów mających w zamysle rozbić rządzącą większość.

Ale nawet gdyby snuta wówczas wizja rządu technicznego była mniej utopiijna, to wzięcie na zakładnika kwestii tożsamer z polską racją stanu pokazywało jedną ważną prawdę: spora część opozycji – w tym zwłaszcza jej nadal najsilniejsza w Sejmie i w terenie partia – nauczyła się od PiS-u, że nie ma granic i skrupułów, jeśli chodzi o wynajdowane *ad hoc* środki dla przetrwania albo poszerzenia sfery wpływów. Tamta bowiem operacja, choć przedstawiana jako wytrawny gambit, była czysto reaktywną zagrywką, próbą wykorzystania pęknięcia, jakie pojawiło się w obozie władzy.

Marcin Król w pełnym dobrych diaгноz wywiadzie, z którego zapamiętano niestety tylko, że liberałowie „byli głupi”, mówił m.in., że Jarosław Kaczyński „odgrywa istotną rolę, bo strasznie psuje, a nas psuje w pierwszej kolejności”. To był rok 2014, po siedmiu latach wydaje się, że istotnie być może największym gwarantem istnienia systemu, którego Kaczyński jest niewątpliwie nie tylko twarzą, ale i jedynym liczącym się dziś mózgiem, jest zepsucie wszystkiego, co mogłoby z zewnątrz ten system rozszczełnić, zakwestionować.

Zepsuć opozycję na swoje podobieństwo – przy czym niech ona sama dalej dusi w swoim łonie wszelkie pomysły i postacie, które mogłyby się temu procesowi oprzeć. To jest znacznie większy sukces Kaczyńskiego niż zbudowanie sprawnej wodzowskiej partii i utrzymywanie w szachu przybudówek. Chroni go przed skutkami naturalnej degeneracji każdej partii będącej długo u władzy i zmęczenia części wyborców.

Co zepsuł PiS

Jeśli pojęcie klasy politycznej ma jakąś poznawczą wartość, to logiczne jest, że wszyscy jej członkowie są ulepieni mniej więcej z tej samej gliny. Jedni i drudzy próbują wprowadzić usilnie przekonywać, że są osobnym rodzajem ludzi niż oponenci z przeciwnego plemienia, czasem wręcz odmawiają im miana ludzi. Ale to nie może zatrzeć ich podobieństw, które wynikają choćby z udziału w tej samej machinie instytucjonalnej. Często zapominaamy, że co prawda na szczęblu centralnym rządu Zjednoczona Prawica, ale Platforma ma ogromny zakres władzy, tyle że w regionach i miastach – władzy nieraz o wiele silniej odciskającej piętno na życiu codziennym.

Proces upodobnienia się zaszedł jednak znacznie dalej. Jedynym realnym celem i niejednokrotnie jedyną formułowaną oficjalnie obietnicą jest zastąpienie u władzy tych drugih. Jakby wszystko było podporządkowane osiągnięciu momentu zerowego, od którego zaczniemy liczyć „po PiS-ie”. Podobny jest zdzieciniały mechanizm opisywania pełnej nieostrych podziałów i nieoczywistych wyborów sztuki rządzenia w prostych kategoriach starcia dobra ze złem o iście manichejskim natężeniu.

Prostym, najsukuteczniejszym przekazem populistów zwanych prawicowymi, których obrodziło w Europie w pierwszej dekadzie tego wieku, było „elity was okradły”. Niczym się od niego formalnie nie różni przekaz „PiS zepsuł”, słyszalny jako refren partii opozycyjnych opisujących doświadczenie pandemii. Doświadczenie we wszystkich swoich kluczowych węzłach niejednoznaczne: decyzje dobre i słuszne z uwagi na dramatyczny pośpiech mieszały się z głupimi, władza potrafiła czasem zachowywać się realistycznie, sensownie oceniając siły, a przede wszystkim słabości instytucji, czasem zaś – jak przy wyborach koper-



JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Władysław Kosiniak-Kamysz i Borys Budka w czasie posiedzenia Sejmu, maj 2020 r.

towych – jakby nie docierało do niej nic z trwającego kryzysu.

Poważni politycy Platformy lub PSL i towarzyszący im życzliwi publicyści używają słowa „zdrada” (w odniesieniu do Lewicy, kiedy ta z racji swoich partykularnych, ale zupełnie zrozumiałych interesów nie weszła w operację blokowania Funduszu Odbudowy). Ci sami, którzy jakiś czas temu prezes PiS częstował epitetem „mord zdrazieckich”.

Wyjściem z tego kłinczu nie powinno być „wyciszenie emocji” i „zakończenie sporów”, które stało się namiastką pomysłu na program wyborczy ruchu Szymona Hołowni. Jego znakomita sondażowa passa pokazuje skądinąd, jak bardzo elektorat ogłupiony prostackim populizmem PiS-u i PO jest gotów teraz przyswoić sobie dowolną mistyfikację – np. opowieść o Polsce nietarganej w ogóle sprzecznościami interesów i postaw. Polsce, gdzie nikt nigdy nie czuje się w danym momencie przegrany. Rzecz idzie raczej o uzależnienie polityków głównych partii opozycji od narracji, która nadaje konfliktowi wymiar ściśle moralny, po to, by zatrzeć brak skuteczności i roztropnego szukania mniejszego zła. Co powinno pozostać główną, jeśli nie jedyną cnotą polityka.

Co dalej

Ale skażenie języka i pojęć to tylko jedna strona skutecznego zepsucia opozycji.

Prezes Kaczyński nie jest, wbrew legendom swoich akolitów, wielkim strategiem – co najwyżej taktikiem wychodzącym z ręcznej z kolejnych opałów. Ale ma wycucie, pozwalające grać ludzkimi słabościami wszystkich „podwykonawców” (choćby podwykonawca był formalnie jego przełożonym w rządzie).

Wydaje się, że ten rodzaj pielęgnowania słabości i oportunistycznego przeszedł na Platformę podczas już sześciolatniego toksycznego uścisku z PiS-em. Mniejsza o nieudolne próby ratowania pozycji przez obecnego prezesa – np. przez wykluczenie polityków takich jak Paweł Zalewski czy Ireneusz Raś, otwarcie kwestionujących przywództwo i zwroty programowe na lewo. Nikt chyba nie miał od paru miesięcy złudzeń, że Borys Budka może najwyżej zadbać o długą wegetację partii.

Skalę problemów Platformy pokazuje postawa tego, który dziś pozostał jej jako jedyny publiczny atut. Być może Rafał Trzaskowski tylko markuje swoje próby usamodzielnienia się i zapowiadane na lato „kampusy” z młodymi okazały się równie niedopieczonym pomysłem jak ruch Wspólna Polska. W każdym razie jego zawahanie, niechęć do jasnego ruchu – szybkiego przejścia partii albo ucieczki na swoje – pokazuje stopień ogólnego rozbicia w opozycji, niezdolność do zagrań, które przełamują *status quo*. I to nie ma nic wspólnego z oceną rządów obecnego prezydenta Warszawy ani jego

umiejętnością wyjścia poza wielkomiejski elektorat. Można mieć o tym złe zdanie, ale po prostu w tej chwili opozycja nie ma innej rozpoznawalnej postaci z wysoką pozycją w rankingach zaufania.

I kiedy opozycja umacnia w ślad za PiS-em wszystkie swoje szkodliwe cechy, PiS przymierza się do wprowadzenia Polski w jedyne „po”, jakie w tym sezonie ma znaczenie – w „po pandemii” czy choćby po najgorszej jej fazie. Nieoczekiwane ruchy kadrowe, takie jak dymisja szefa PKO i coraz bardziej możliwe odejście szefa Polskiego Funduszu Rozwoju, świadczą o tym, że w partii władzy dobrze się orientują, jaka w tym rola ogromnych funduszy, potencjalnie skutkujących dobrą passą w gospodarce. Czy zadowoleni ze swojej sytuacji materialnej wyborcy są skłonni raczej konserwować układ władzy, czy raczej lubią ryzykować zmiany? Trudno to przewidzieć, na pewno jednak obecny stan opozycji każe oczekiwać, że zmiana będzie głębsza niż tylko zamiana dwóch partii miejscami. ©P

RDC **BARTOSZ RUMIŃCZYK**
(tekst na s. 28) będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 19 maja o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia. Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl



ANNA MIKULSKA

Dobrawa ze swoimi podopiecznymi w azylu dla świń Chrumkowo, 4 maja 2021 r.

Które do kochania, które do jedzenia?

BARTOSZ RUMIŃCZYK

Gdy Vida przestała rodzić prosiaki, hodowca postanowił sprzedać ją na ubój. A kogut Kazik nie powinien się w ogóle wykluć. Są jednak w Polsce miejsca, gdzie świnię, kaczki, kury, indyki dostają dożywocie.

GDYBY LUDZIE WIEDZIELI, CO TO SĄ zwierzęta, toby ich nie jedli – przekonuje pani Katarzyna. Wraz z Dobrawą prowadzi azyl Chrumkowo w Kujawsko-Pomorskiem. Jest tu ponad 70 świń i każda ma swoje imię – „Bo jak inaczej je wołać?” – oraz swoją historię.

Pani Katarzyna: – Knury Arbuz, Ananas i Awokado przyjechały do nas dwa lata temu z hodowli pod Toruniem, po kontroli weterynaryjnej w gospodarstwie. Ta trójka była zamknięta w chlewni, na betonie, w odchodach i brei wraz z siedmioma świniakami, które zmarły z głodu.

Arbuz to świnią rasy wielka biała polska – najpopularniejsza w chowie prze-

mysłowym i w reklamach produktów mięsnych, stereotypowy prosiaczek z zakręconym ogonkiem. W Chrumkowie są też mikroświnki, wykorzystywane przez człowieka do zabawy, reklamowane jako prosiaczki niemal kieszonkowe.

– Pierwsza była Hania, potem Ania, a potem Henio. Ktoś zobaczył w internecie zdjęcia Ani, jak śpi w łóżku, i poprosił mnie o pomoc. Henio miał być świnką do towarzystwa, a trafił do zamkniętej komórki – można powiedzieć, że był pierwszym zwierzęciem z interwencji. No a potem już poszło.

Ania jest w Chrumkowie do dziś. Biega po ogródku, w części ogrodzonej od

placu, gdzie są zwierzęta bardziej przyzwyczajone do warunków domowych. Na placu przeważają zwierzęta z hodowli gospodarczej.

Pani Katarzyna od dziecka miała w domu zwierzęta, psy i koty, ale zawsze marzyła o świni. – Chciałam pokazać, że to jest normalne, czujące zwierzę, a nie chodzące mięso – mówi. Wegetarianką jest od ponad 30 lat, weganą od czterech i przekonuje, że dla niej świnią to najpiękniejsze zwierzę na świecie. – Inteligentne, czyste – dodaje – i bardzo towarzyskie.

Towarzystwo widać na pierwszy rzut oka. Ale w czym się objawia ta legendarna świńska inteligencja?

– Na pewno w tym, jak reagują na własne imię i jak szybko się go uczą – mówi pani Katarzyna. Dobrawa wtrąca, że to zwierzęta bardzo kreatywne, które nie znoszą nudy. – Zamykając je w chlewni ograniczamy ich naturę, wykorzystujemy ich cechy biologiczne, płodność i szybkie nabieranie masy, przeciwko nim.

Dobrawa działa w azylu od trzech lat. W aktywizm prozwierzęcy zaangażowała się w Anglii, gdzie uczestniczyła w akcjach dokumentujących warunki transportu zwierząt na ubój.

Obie znają na pamięć ponad 70 imion zwierząt, są z nimi żyte, traktują je jak rodzinę.

Świńskie sprawy

– To też kwestia zbudowania relacji. My po prostu widzimy, ile one rozumieją – mówi pani Katarzyna.

– To tak jak z psem w domu?

– Tak, tylko że psy są poddańcze, a świni niezależne. Mają swoje humory, bywają złośliwe – odpowiada Dobrawa. – Na przykład Malwina jest straszną jeźdzą. Mela z kolei nauczyła się rozwiązywać sznurek przy drzwiach do zagrody. Teraz musimy wiązać na supeł, bo z kordką już umie sobie poradzić.

– Świnie to też zwierzęta hierarchiczne, budują konkretne relacje w stadzie – Dobrawa zmienia wątek.

W Chrumkowie rządzi Vida, wykupiona tuż przed wysłaniem na ubój. Całe życie rodziła prosięta i jak przekonują prowadzące azyl, nigdy nie widziała ani słońca, ani trawy. Widę Chrumkowo kupiło na wagę, tak sprzedawane są zwierzęta hodowlane, wraz z dwoma prosiakami. Dziś tworzą rodzinę. Vida wyleguje się całymi dniami na słońcu, także podczas naszej wizyty, choć podobno jak idzie przez placik azylu, zwierzęta schodzą jej z drogi.

– Jest najszcześliwszą loszką w Polsce – mówi pani Katarzyna, a tymczasem na środku placu rozpoczyna się „ustawianie”, czyli spór między Melą a Dorotką o hierarchię w stadzie.

Dobrawa wyjaśnia tło zajścia: – Mela to jedna z pierwszych świń w azylu. Wraz ze swoją rodziną stworzyła gang z Wrocławia. Chciała rządzić, ale pojawiły się inne gangi i straciła pozycję, choć jeszcze usiłuje podskoczyć.

W Chrumkowie jest też gang z Malborka i gang z Koszalina, który mieszka w ogrodzie. Ale świńskie relacje to nie tylko walka o dominację. Pani Katarzyna wraca do historii Arbuza.

– Arbuz, Ananas i Awokado byli tak potwornie wychudzeni, że nie byli w stanie ustać o własnych siłach. Bałam się, że nie przeżyją. A po dwóch dniach Arbuz położył się przede mną i dał się wygłaskać po brzuchu. Jakby inne świni mu powiedziały: spoko, tu jesteś bezpieczny.

– Niedługo później przywieźli do nas świniodzikę [skrzyżowanie świni domowej i dzika w celu zapewnienia większych miotów w hodowli – red.] Lizzy. Błąkała się po lesie, ludzie ją przyciągnęli, odkałmili. I pewnego dnia Lizzy wpadła do zagrody chłopaków. Ja przerażona – trzy potężne knury, po przejściach, dopiero się

oswajają z nowym miejscem, przecież ją zagryzą. Ona stanęła jak wryta, zafukała do nich – świni tak się witają – one jej odfukały i ją przyciągnęły. Teraz ma trzech ojców. A jak przyjechał weterynarz, by Lizzy zaszczepić, to musiałyśmy chłopaków zamknąć, bo nie dali Lizzy dotknąć.

Prezes lubi być fotografowany

Jedziemy do drugiego azylu. Gieniutkowo leży na końcu nieoznakowanej i nieutwardzonej drogi, która odbija z głównej trasy prowadzącej przez Zachodniopomorskie. Prowadzą go Monika i Marcin, którzy przyjechali tu z Łodzi. Oprawdają nas i przedstawiają zwierzęta.

– To jest Dżordż. Był świnką domową w Poznaniu, ale bardzo agresywną i właściciele nie mogli sobie z nim poradzić. A tam jest Stachu – świnka hodowlana. Przyjechał razem z dziesięcioma prosiaczkami oraz już dorosłymi: Teresą i Darusiem. Pani nie mogła się nimi dłużej zajmować i miały trafić na ubój. Stachu został odrzucony, bo miał guza. Stado odrzuciło też Felusia, bo jest niepełnosprawny. Podczas transportu uszkodził sobie kręgi i ma sparaliżowane tylne racice. Na razie poleguje, ale jest też rehabilitowany, no i czeka na wózek – opowiada Monika.

– A to jest Gienek, czyli prezes – bo pełna nazwa azylu to Fundacja Prosiaczka Eugeniusza „Gieniutkowo”.

– Prezes nie gryzie, lubi być fotografowany. No i był pierwszy, wtedy jeszcze wiele o świnia nie wiedzieliśmy, tyle że lubią ryc i że nie ważą 20 kilogramów – dodaje wraz z Marcinem Monika.

Gieniutkowo zaczęło się – tak jak i Chrumkowo – od jednej świni oraz jej popularności w sieci. Monika prowadziła blog Gienka, a kupiła go z hodowli mikroświnek.

– Prezes jest mikroświnką? Przecież to kawał zwierzęcia, a nie prosiaczek pod poduszkę!

– I właśnie dlatego dziś uważamy, że tych hodowli być nie powinno – mówi Marcin.

Wśród mikroświnek, które mieszkają w Chrumkowie, są takie, które ktoś komuś kupił na prezent – np. student studentowi w akademiku na weterynarii, a gdy władze uczelni się dowiedziały, postawiły ultimatum: albo świnię się wyprowadza, albo trafi jako obiekt na ćwiczenia na zajęciach. Jest wiele takich, które błąkały się samotnie po mieście: bo np. jeden pan z drugim uznali za świetny

pomysł paradowanie ze zwierzęciem na smyczy i wymalowanym sprejem napisem na boku, a gdy poszli na piwo, świni uciekła. Są też takie, które gdy urosły, stały się zbyt dużym – dosłownie i w przenośni – problemem.

– Mikroświniki powinny kosztować po 2 tysiące, a nie – jak dziś – 50 czy 100 złotych. Zysk z tego niewielki, więc trzeba tych świńek namnożyć i posprzedawać. Wmawia się ludziom, że taka świnka będzie ważyła 20-30 kilo. Jak widziecie, to nieprawda – mówi Monika głaszcząc Eugeniusza. – A prezes ma rok i trzy miesiące, więc będzie jeszcze rósł.

250 kg baletnicy

Również w Gieniutkowie jest podział – nie na gangi, lecz na brygadę ogródkową, która ma jeszcze dość trawy do zrycia, i resztę zwierząt, które oswajają się z nowym miejscem. Idziemy do domków i zagródek, czyli właściwej części azylu. Docelowo mają tu być wszystkie świni, które ustalą między sobą hierarchię i wybiorą sobie miejsca do mieszkania.

Monika i Marcin nie jedzą mięsa od nastu lat, ale weganami zostali wraz z przyjściem Gienka. Można powiedzieć, że to Gienek wciągnął ich w aktywizm.

– Tam mieszka Darus z Teresą – później będziemy pod wielkim wrażeniem potęgi zwierzęcia, które waży 250 kg, nie jest świadome swojej wagi („Biegnie jak baletnica”) i jak mały kociak ociera się o Monikę, niemal wywracając ją wraz z płotem. – Tu Filipek, czyli niepełnosprawny prosiak, który wymaga rehabilitacji, a tam reszta towarzystwa.

Reszta towarzystwa to Majlo – pcha się Monice na rękę; Janek – skubie nam sznurówki w butach; Halinka – w jeden dzień nauczyła się swojego imienia; i Rambo – już po przyjeździe wyrwał sobie obowiązkowy kolczyk z ucha. Darek z kolei, który mieszka z Tereską, nie ma ogona, najpewniej odgryzła mu go inna świni, bo gdy zwierzęta są stłoczone i zestresowane, okaleczają się nawzajem.

To wszystko świni hodowlane. Monika zauważa: – To przecież wcale nie jest tak, że każdy hodowca źle traktuje świnię. Przeciwnie, wielu z nich o nie dba, nawet się z nimi zaprzyjaźnia. Ale ja nie rozumiem jednego – jak można nadać zwierzęciu imię, a potem wysłać je na ubój.

Również Monika i Marcin, tak jak pani Katarzyna i Dobrawa, chcą otworzyć ➔

→ azyl na ludzi, by zachęcać do zmian nawyków żywieniowych. W planach mają też opiekę nad owcami, wraz z zakupem ziemi dostali małe stadko, a marzy im się dokupienie miejsca, by stworzyć azyl dla krów.

Całodobowa opieka nad kogutem

Marta ma tatuaże z wizerunkami zwierząt gospodarskich oraz koszulkę z kogutem i napisem „Freedom”, stylizowaną na słynne „Hope” Obamy. Siedzimy na trawie i obserwujemy się nawzajem z ptactwem.

– To jest Kazik, przyjechał do nas z Czech. Wykluł się z jednego z jaj kupionych na targu. Przez to, że kura nie wysiadywała go do końca, ma zniekształcone kości i głowę do góry nogami. Osoba, która kupiła jajko z Kazikiem, nie wiedziała, co z nim zrobić po wykłuciu i oddała aktywistom w Czechach. Ci szukali kogoś, kto będzie mógł zapewnić mu opiekę 24 godziny na dobę. Tak trafił do nas.

Jesteśmy pod Wrocławiem, w azylu Kurza Łapka. Prowadzą go Marta i Dawid z polskiego oddziału Animal Save Movement, organizacji zajmującej się dokumentowaniem transportów do rzeźni (czyli tym, czym zajmowała się w Anglii Dobrawa z Chrumkowa).

Aktywiści dokumentują też to, co dzieje się w hodowlach.

– A co weterynarz mówi o Kaziku? – pytam, bo z tyłu głowy brzęczy myśl, że może zwierzę cierpi i lepiej byłoby skrócić mu mękę.

– Nie cierpi, ale z taką wadą nic się nie da zrobić.

Kazik ma dziś 8 miesięcy, to już dorosły kogucik. Rasa leghorn, dlatego jest mniejszy od innych kogutów. Obecnie w azylu znajduje się w sumie 9 zwierząt: trzy koguty, dwie kury, dwie kaczki i dwa indyki. – Widzieliśmy tyle cierpiących zwierząt, a chcieliśmy zobaczyć zwierzęta radosne. Chcemy oszukać ich przeznaczenie – tłumaczy Marta.

– Na początek trafiło do nas pięć pisklątów spod Torunia. Miały tydzień, może dwa tygodnie. Pochodziły z fermy hodującej 30 tys. brojlerów – tłumaczy Marta. Jak się wyciąga zwierzęta z ferm przemysłowych? Aktywiści z Kurzej Łapki nie wykradają ptaków, ale muszą uciekać się do podstępów, a najczęściej brać hodowców na łitość.

– Znamy się z fermami przez nasze działania i czasem da się pogadać, żeby



ANNA MIKULSKA

Monika i jej pupile, azyl Gieniutkowo,
5 maja 2021 r.

parę ptaków dostać. Jak ktoś ma ich 30 tys., my prosimy o dwa kurczaki dla siebie, to bywa, że się udaje. Podobnie jest za granicą, ludzie stoją pod rzeźniami i proszą o oddanie choćby jednej świni przed ubojem. Mamy też koguta, którego znaleziono przy drodze, mógł wypaść z transportu z wylęgarni.

Po co je ratować

Marta od siedmiu lat jest weganą, podobnie Dawid. Mają 24 i 25 lat, dom na wsi i zwierzęta hodowlane pod opieką. Wolą otaczać się zwierzętami na wsi niż ludźmi w mieście. To samo można usłyszeć w Gieniutkowie i z podobnym wranieniem wyjeżdża się z Chrumkowa.

– Spod Torunia pojechaliśmy do Władysławowa, a potem trafiliśmy w okolice Wrocławia, bo jest tam jeden z nielicznych weterynarzy, który leczy ptactwo gospodarskie. Większość mówi od razu, że się tym nie zajmuje, ba, nawet od niektórych wegan słyszeliśmy, że po co je ratować, i tak nie przeżyją – mówi Marta.

Brojlery są bardzo podatne na choroby. To rasa specjalnie wyselekcjonowana, by szybko tyć. W hodowli intensywnej po 5 tygodniach brojler staje się gotowym produktem – do 2,8 kg mięsa.

– Nasze brojlery mają nawet po dwa lata – choć słyszeliśmy, że 4 miesiące to maks. Być może przez to, że zaczęliśmy je karmić paszą niemodyfikowaną, żyją długo. Nasza Lola jest jak pies i mieszka z nami w domu. A gdy jesteśmy czymś zajęci, to zaczepia nas albo stuka dziobem w drzwi, żeby ją wpuścić. Ale ludzie nadal uważają, że kury są po prostu głupie.

– Brojlery są jak każde inne zwierzęta, które trzymamy w domach do towarzysstwa. Potrzebują bliskości, to nie są zwierzęta, które spędzą cały dzień dłużyć w ziemi za robakami. Mają też swoje ulubione smakołyki, np. kogut Marcin lubi

banany, a inne bananów nie tkną, Lola zaś lubi winogrona.

Oprócz Kazika cały czas towarzyszą nam dwa indyki. Są w azylu od dwóch tygodni, przyjechały z fermy chwilę przed wywozem na ubój.

– Pamiętam jeszcze z dzieciństwa, że indyki są agresywne – mówię, gdy jeden z nich patrzy mi prosto w oczy, delikatnie szczypie brodę i ociera się o kurtkę słuchając, jak szeleści materiał. Drugi w tym czasie wylacza dziobem dyktafon.

Marta: – To samo mówił mi ojciec: „nie bierzcie indyków, to najbardziej agresywne zwierzęta”, a one już po dwóch dniach wyszły, o dziwo, bo zwierzęta potrzebują trochę czasu, i od tamtej pory chodzą za nami krok w krok. W przeciwnieństwie do kaczek, które są bardziej nieufne.

Szczęśliwa kura nie da ci jajka

Gdyby kura żyła w naturze, zniósłaby 12 jaj rocznie, ale takich kur dziś nie ma. Na fermach kury produkują 200-300 jaj rocznie, dlatego Marta uważa, że nie ma czegoś takiego jak jaja od szczęśliwych kur.

– We wszystkich azylach na świecie jest zasada, że jaj się nie zabiera, tylko zostawia kurom. One znoszą jaja w określonym celu i jeśli są niezaplodnione, kura je zjada, żeby dostarczyć sobie składniki odżywcze, które utraciła. Swoją drogą, w internecie ciężko jest znaleźć informację, jak karmić kury, by były zdrowe, ale znajdziemy mnóstwo informacji, jak karmić kury, by znosiły dużo jajek, i jak karmić brojlery, żeby było dobre mięso.

W zagrodzie siedzi Marcin, kogut, który z uwagi na masę uszkodził staw skokowy, a następnie przeciążył drugą łapę. Teraz czeka na wózek. Julek, drugi kogut, jest właśnie w trakcie odchudzania. Uprawia „jogging” biegając po podwórku za Martą. A z podwórka widać wyjeżdżające z sąsiedniego gospodarstwa świnię na ubój. Na usta ciśnie się naiwne pytanie, czy ludzie kiedyś przestaną jeść zwierzęta.

– Rozmawialiśmy raz z człowiekiem, który przez 16 lat pracował w rzeźni. Sam się do nas odezwał, by opowiedzieć o warunkach, o zwierzętach, o prawach pracowniczych. Ostatecznie odszedł z pracy i przestał jeść mięso. Poznaliśmy także kierowcę z transportu, którego zainteresowało nasze działanie. Po jakimś czasie odezwał się do nas na Facebooku i podziękował za to, że otworzyliśmy mu oczy.

© BARTOSZ RUMIŃCZYK

Współpraca: ANNA MIKULSKA

DOROTA

Masłowska:

De Gaulle w bardo



PRZYJEŹDŹAM TYLKO NA CHWILĘ. ZNAJDUJĘ miasto w dziwnym bardo. Gdy Państwo czytają te słowa, jest już po; jednak gdy je piszę, wszystko jest ciągle jeszcze zamknięte; ciągle wybrzmiewa ta szczególnie cicha cisza przed burzą. Czy przed ba-

lem. Jest to cisza nabuzowanych, nierozwiniętych jeszcze serpentyn, dmuchanych ponad miarę i spuszcanych na powrót balonów. Albo zaciskających się do końca, do pęknięcia zębów. Rezygnacji, zwisających bezradnie rąk. Ta cisza ma wiele wątków, wiele znaczy. Zawodzenie karetki od czasu do czasu przypomina, że nie dla każdego coś miłego. Ulice są nienaturalnie puste, wygaszone. To trwa już tak długo, że kompletnie zatraciłam poczucie egzotyki tego dziwnego półczyśca. Kilka dni przed jego wyzwoleniem w powietrzu unosi się nuda, znużenie, ekscytacja i zapach jedzenia na wynos.

Rano ledwie udaje mi się zdążyć na pociąg. Spanikowana wbiegam na dworzec w niewielkim mieście w województwie pomorskim wśród kpin i dogadywań lokalnych prapajaków. To rezydenci dworca, którzy od lat odbywają tu swoje stacjonarne podróże. Podróżę stąd dotąd. W tym wypadku przemieszczenie odbywa się w głąb, w ciemność, niezborność umysłu i ciała; póki co są chyba mniej więcej w połowie drogi, już sporo ujechali, jednak ciągle trochę pozostało im do celu. Stojący sobie, nawet nieco krzywo, zawsze znajduję śmieszność w kimś, kto biegnie zaaferowany, przejęty swoimi ulotnymi ziemskimi sprawami, jakby było czym, kompletnie niepijany. Pula żartów jest tu jednak naturalnie ograniczona, a dodatkowo trzebi ją rozplątujący zwoje mózgowie pierwszy majowy upał. Drzwi przedziału dopadam więc dopingowana pohukiwaniem, monosylabami i rozmaitymi „kocz-ko-dak”.

Gorący nieożywcy wiatr wydyma zasłonki z archaicznej służbowej plastikotkaniny PKP. Jest to pociąg niependolino; przypomina mi dawne, zapomniane składy: nieprędkie, pełne awantur, zapachu żelastwa i kibla, kiełbasy, kaca, papierosów i żywego drobiu. Jednak i to, jak wszystko w pandemii, zostało uregulowane, przetarte odkażaczem, pozbawione dzikości. Wiele godzin siedzimy więc w kulturalnej ciszy ze schludnym młodym mężczyzną wiozącym garnitur na rozmowę kwalifikacyjną, czytającym książkę pt. „Normalni ludzie”.

Jak normalni ludzie. TLK telepie się przez rozżarzoną słońcem Polskę, całą w koronkach świeżych liści i kwiatów, w tej pierwszej zieleni, dzikiej, fluorescencyjnej. (Wszystko jest tak obłądnie udekorowane, strojne i urocze; rozbuchana piana roślinności pokryła szczelnie całą brzydotę; nie widać bilbordów, elewacji pomalowanych duluksem na brudny żółty, suchych tuj i zdezelowanych trampolin! Właściwie można zacząć sobie wyobrażać, jak pięknym zjawiskiem byłaby Polska, gdybyśmy uwolnili ją od siebie, gdybyśmy wszyscy się z niej wyprowadzili i zostawili ją samej sobie, niech się z nas goi, niech się zabliznia, niech odpoczywa, samowchłania, zarasta.)

W końcu jest. Powoli wylania się, zagęszcza, urealnia. Deweloperki i gruzowiska, szkielety sypiących się kamienic; ogródki działkowe. One zawsze wygrywają konkurs wiosennej piękności, te śmieszne, kwitnące pod nosem szklanych wieżowców mini-arkadzie, gumilasy, pełne jabłoni, szafirków, krasnoludków. Widać już Pragę i plaże Wisły. Zbiegłe z betonowych pułapek całe hordy golasów. Jak rozrzucone garścią rozebrane ludziki lego, jedne leżą, inne stoją, w samych majtach, rozgogolone! De Gaulle natomiast pod szyję zapięty, w swoim kamiennym mundurze, zawieszony nad rondem maszeruje energicznie w miejscu, donikąd.

Pociąg wjeżdża w tunel, w brzuch Warszawy i na chwilę zanurza się w jej dziwnych wnętrznościach, ciemnych, zimnych, żelazistych, w kolorze bazyliżkowym. Ten chłód warszawskich katakumb jest tajemniczym i niemiarodajnym powitaniem... Śladem po jakimś innym mieście, bez Starbucksów i hulajnóg. Jednak już zaraz wychodzę wprost stamtąd na Aleje. Tam jak zwykle dużo się dzieje, dużo różnych spraw: tu ktoś ma starą ranę, ktoś sika, ktoś ciągnie po schodach walizę, ktoś pałeczkami plądruje w pośpiechu nozle boksa. Autobus mozoli się w gorącu; jest pełno dziewcząt. Maj to czas mas pięknych dziewczyn z teczkami, tulących do serca swoje zdjęcia legitymacyjne, świadectwa, CV, książeczki sanepidu...

Niektóre w kwiecistych sukienkach, tanich balerinkach, z białymi nogami pozacinanymi świeżo golarką. Inne odwrotnie – wytatuowane, w techno butach-żelazkach i skarpetkach w truskawki, maseczkach-pyszczkach kotów, niebieskich włosach. Pochodzą z kosmosu, studiować zdecydowały się jednak mimo wszystko na Ziemi. Gorące powietrze stoi między budynkami. Na jego stelażu wiszą jak szare firany kłęby spalin. W nie – zapłatanie nici frytury, papierosów, perfum. W bramie natomiast dziewczynka w sukience komunijnej, cała w welonach, satynach, koronkach i małej, satynowej maseczce. W sercu ma Boga. W dłoni – lód rzemieślniczy o smaku słony karmel. Warszawko, otwórz się! – zaklina wszystkich.

©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl



WIARA

WIARA, NADZIEJA, POMOC

S. PHILIPPA RATH, BENEDYKTYNKA:

Strukturalna dyskryminacja kobiet w Kościele
jest usprawiedliwiana argumentami teologicznymi,
które dawno zostały obalone.

SIOSTRA PHILIPPA RATH jest benedyktynką, teolożką, historyczką i politolożką. Delegatka Drogi Synodalnej i członkini Forum Synodalnego „Kobiety w posługach i urzędach w Kościele”. Na zdjęciu: przed swoim opactwem – św. Hildegardy. Rüdesheim nad Renem, Niemcy, grudzień 2017 r.

ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI:

Mieszka Siostra w klasztorze założonym przez św. Hildegardę z Bingen. W 2012 r. Benedykt XVI ogłosił ją świętą, potem nadał tytuł Doktora Kościoła. Siostra uczestniczyła w tych aktach. Jakiego Kościoła doświadczyła Siostra na placu św. Piotra?

S. PHILIPPA RATH: Dzień 7 października 2012 r., kiedy papież ogłosił patronkę naszego klasztoru Doktorem Kościoła, był dla mnie pewnego rodzaju przeżyciem kluczowym. Bo tam, na placu św. Piotra w Rzymie, po raz pierwszy bezpośrednio doświadczyłam tego, co wielu nazywa „Kościołem mężczyzn”. Przyjechałyśmy do Rzymu z dwudziestoma siostrami, w tym z dwiema konsekrowanymi opatkami, trzydziestą ósmą i trzydziestą dziewczątą następczynią św. Hildegardy. Podczas uroczystości obie opatki zostały posadzone z tyłu za wszystkimi kardynałami, biskupami, prezbiterami i diakonami. Wydało mi się to wówczas pozbawione szacunku i obraźliwe. Po raz kolejny uświadomiłam sobie, że w naszym Kościele kobietom jeszcze daleko do równych praw.

Tymczasem dawniej opatki miały bardzo wysoką pozycję.

Przez wiele wieków miały rangę równą biskupom, duże wpływy oraz zarówno duchową, jak i świecką władzę. Mogły w ramach swojej jurysdykcji mianować i zwalniać księży, zarządzały samodzielnie i niezależnie sprawami własnych klasztorów i z reguły były doradczyniami i towarzyszkami duchowymi wielu ludzi. Nawiasem mówiąc, już w VII wieku opatki w Irlandii wysłuchiwały spowiedzi; sakrament spowiedzi – czego wiele ludzi dziś nie wie – wywodzi się właśnie z tej tradycji. W okresie późnego średniowiecza i wczesnej nowożytności prawa opatek były krok po kroku ograniczane. Na tym przykładzie widzimy, że wiele praw kobiet w Kościele, za którymi się

dziś opowiadamy, istniało już wcześniej. To samo dotyczy też Kościoła pierwotnego i Kościoła pierwszych wieków chrześcijaństwa, w których np. zupełnie naturalne były apostołki (Maria Magdalena i Junia), diakonki i przewodniczące wspólnot. Dziś możemy tylko pomarzyć.

Coś z tej niezależności w Was pozostało. Siostry benedyktynki mówią otwarcie o problemach Kościoła, w tym o dyskryminacji kobiet. To nie licuje ze stereotypem zakonnic, ale może właśnie dlatego jest takim mocnym znakiem?

Wielu ludzi ma rzeczywiście błędny lub przynajmniej jednostronny obraz zakonnic. Klasztory benedyktynek i benedyktynów utrzymały swoją niezależność przez 1500 lat aż do dziś. Sami regulujemy swoje sprawy, jesteśmy niezależni – duchowo i materialnie – od miejscowego biskupa. Benedykcja opatek jest wciąż taka sama jak opatów; obrzęd ten jest zresztą bardzo podobny do obrzędu święceń biskupich. Co ciekawe, jako szczególny znak swojego urzędu również opaci i opatki mają pastorał. W związku z tym z pewnością nie jest przypadkiem, że poszczególne siostry z naszych klasztorów także i dzisiaj świadomie angażują się w kwestie wiary, teologii i Kościoła.

Lubię mówić: jestem odpowiedzialna tylko przed moim Bogiem, moim sumieniem i moją opatką. To daje mi wewnętrzzną wolność mówienia tego, co myślę i co uważam za słuszne oraz konieczne w obecnej sytuacji naszego Kościoła.

Odwiedza Was wielu ludzi – niektórzy zostają na kilka dni, inni wracają regularnie na rozmowy. Czego szukają właśnie u Was?

Samych siebie, udanych i autentycznych planów życiowych, sensu swojego życia, Boga... Wiele osób przychodzi do nas również dlatego, że zainspirowały ich pisma św. Hildegardy i chcą dowiedzieć się więcej o tej fascynującej kobiecie. Inni szukają ciszy, kontemplacji, pomocy w (ponownej) nauce modlitwy. Swoją drogą, dziś co najwyżej połowa naszych gości to katolicy. Przychodzi również wielu ludzi innych wyznań i niewierzących. Nasza benedyktyńska gościnność służy wszystkim bez wyjątku.

Dla wielu z nich jest Siostra towarzyszką duchową, może pierwszą,

przed którą gotowi są się otworzyć. Jak to doświadczenie wpływa na Siostrę ogląd Kościoła?

Przed wszystkim słucham ich i próbuję postawić się w ich sytuacji życiowej. Jeśli jestem o to proszona, udzielam również rad. Ale najważniejsze to dać ludziom czas oraz otwarte ucho i serce. Oczywiście to, co słyszę, wpływa na moje własne spojrzenie na świat i na nasz Kościół. W rozmowach słucham np. przeciążonych, sfrustrowanych i samotnych księży; słucham zaangażowanych i dobrze wykształconych teologicznie kobiet, które są aktywne w posłudze duszpasterskiej, ale stale napotykać na granice swoich możliwości tylko dlatego, że są kobietami. Słucham innych kobiet, które rozpoznają w sobie powołanie do kapłaństwa lub diakonatu i które cierpią z powodu tego, że ich powołanie nie jest traktowane poważnie i nawet nie jest badane.

Niestety, często spotykam się także z ofiarami przemocy seksualnej w Kościele i w rodzinie. Jest to krańcowo obciążające dla pokrzywdzonych, a czasami także dla mnie. Wiele z tego, co słyszę, zabieram ze sobą na modlitwę i polecam to miłosiernemu Bogu, który wszystko wie i wszystko może doprowadzić do dobra.

Przez jakiś czas sprawowała Siostra również duchową opiekę nad chorymi w szpitalu. W obu sytuacjach mogła Siostra być dla nich duchowym wsparciem tylko do pewnej granicy. Przychodził moment, kiedy potrzebowali sakramentu.

Przez pewien czas byłam kapelanką w szpitalu i towarzyszyłam wielu chorym aż do ich ostatnich godzin życia. Oczywiście, w pewnym momencie pojawiało się pytanie o sakrament namaszczenia chorych, którego ja nie mogę udzielać, tylko ksiądz. Co ciekawe, wielu umierających nie chciało tego, ponieważ księża byli dla nich raczej obcy, i woleli otrzymać błogosławieństwo dla chorych za moim pośrednictwem jako ich duszpasterki.

Opierając się na tych doświadczeniach, dziś opowiadam się jak najbardziej za tym, aby kapelanki szpitalne otrzymywały od biskupa indywidualne pełnomocnictwo do udzielania sakramentu namaszczenia chorych. Nawiasem, mogłyby istnieć podobne indywidualne pełnomocnictwa do posługi kaznodziejskiej, do udzielania chrztu, do asystowania przy zawieraniu →

→ małżeństw i do sprawowania sakramentu pokuty. Musimy przestać mylić uniwersalność z uniformizacją. Nasz Kościół w każdym czasie był różnorodny w swoich tradycjach, obrzędach itp. Powinno być możliwe istnienie różnych dróg w różnych regionach świata bez narażania na szwank jedności Kościoła.

W przemówieniu podczas ceremonii otwarcia Drogi Synodalnej powiedziała Siostra, że „wierzy nadziei wbrew nadziei”. Jak się ma dziś Siostry nadzieja?

Moja nadzieja wbrew nadziei (Rz 4, 18) jest wciąż niezachwiana. Wierzę w możliwość przemiany Kościoła, w siłę nadziei, wierzę, że i dziś mogą zdarzyć się cuda, jeśli tylko wystarczająco mocno w nie uwierzymy i przygotujemy pod nie grunt.

To jest dokładnie to, co robimy teraz w Drodze Synodalnej. Zajmujemy się kwestiami, które są ważne dla przyszłości Kościoła: kwestią władzy i jej podziału, życia kapłańskiego, kobiet w posługach i na urzędach kościelnych oraz kwestią wspólczesnej odnowy moralności seksualnej. Walczymy również o to, aby nasz Kościół mógł odzyskać choć część wiarygodności, którą tak dramatycznie utracił w ostatnich latach, aby mógł ponownie być dla dzisiejszych ludzi domem i na nowo zaszczerpić w ich sercach przesłanie Ewangelii. W Drodze Synodalnej pracujemy nad dobrze przemyślanymi i teologicznie uzasadnionymi propozycjami, nad którymi następnie biskupi i świeccy będą wspólnie głosować.

W kolejnym kroku, gdy zmiany nie będą mogły być wprowadzone w Kościele lokalnym, zostaną przedłożone papieżowi jako wnioski, w nadziei, że wówczas zostaną podjęte ważne kroki odnowy na poziomie Kościoła powszechnego.

Za decyzją powołania Drogi Synodalnej stoi przerażające doświadczenie przemocy seksualnej wobec nieletnich i wobec kobiet. Wasza diecezja, Limburg, podjęła również bardzo konkretny proces przeciwdziałania przemocy, w który też jest Siostra zaangażowana.

Ma pani rację: iskrą dla Drogi Synodalnej było tak zwane MHG-Studie na temat wykorzystywania w Kościele katolickim. Głęboko wstrząsający i zawstydzający dokument, który ujawnił nie tylko same zbrodnie, ale także ich бага-

W rozmównicach słucham kobiet, które rozpoznają w sobie powołanie do kapłaństwa lub diakonatu i cierpią z powodu tego, że nie jest to traktowane poważnie.

telizowanie i tuszowanie, w niektórych przypadkach przez dziesiątki lat. Autorzy studium (niezależne od Kościoła zespoły ekspertów z trzech uniwersytetów) wymienili w nim m.in. przyczyny systemowe, z których wyrosły wspomniane już cztery główne tematy Drogi Synodalnej. Poza tym w niektórych niemieckich diecezjach toczą się odrębne procesy rozliczenia się z przeszłością, tak jak w mojej diecezji Limburg, która jest pod tym względem pionierem.

Nasz biskup Georg Bätzing, który obecnie jest również przewodniczącym Konferencji Episkopatu Niemiec, już w 2019 r. powołał grupę roboczą składającą się z 70 ekspertek i ekspertów, którzy wraz z przedstawicielkami i przedstawicielami osób poszkodowanych w dziewięciu podgrupach przeanalizowali każdy przypadek przemocy i sformułowali konkretne wnioski. Opracowaliśmy łącznie 62 postulaty, które powinny pomóc w zapobieganiu przemocy we wszystkich jej formach w przyszłości.

W drugim kroku został powołany tzw. komisarz biskupi, który jest odpowiedzialny za konkretną realizację tych propozycji w diecezji. Trzecim krokiem jest utworzenie siedmioosobowej niezależnej komisji (zostałam jej członkiem), która będzie monitorować wdrażanie i skuteczność środków w perspektywie długoterminowej, a tym samym zagwarantuje trwałe zapobieganie wykorzystywaniu.

W lutym wydała Siostra książkę zawierającą świadectwa kobiet, które odczytują w sobie powołanie do diakonatu i prezbiteratu. Jak ona powstała?

Książka pod tytułem „»Weil Gott es so will«: Frauen erzählen von ihrer Berufung zur Diakonin und Priesterin”

[„»Bo Bóg tak chce«: kobiety opowiadają o swoim powołaniu do diakonatu i kapłaństwa”] sprowokowana została rozmową z dwoma biskupami podczas jednej z przerw pierwszego zgromadzenia plenarnego Drogi Synodalnej we Frankfurcie. Obaj powiedzieli mi wtedy, że właściwie nie ma wcale żadnych kobiet z powołaniem na urząd diakona czy księdza. Chciałam im udowodnić, że jest inaczej, i poprosiłam dwanaście zaprzyjaźnionych kobiet, o których wiedziałam, że je w sobie rozpoznają, o pisemne świadectwo ich powołania. W ciągu zaledwie pięciu tygodni z tych dwunastu kobiet zrobiło się 150. Kobiety przekazywały mój list innym i powstał z tego cały łańcuch. Dzięki Bogu wydawnictwo Herder natychmiast dostrzegło wagę i aktualność tematu.

Kim one są?

Są to kobiety z czterech pokoleń i z prawie wszystkich niemieckich diecezji, a kilka także z Austrii, Szwajcarii i Luksemburga. Większość z nich pracuje jako asystentki parafialne, duszpasterskie lub edukacyjne. Kochają swój Kościół i jednocześnie cierpią z jego powodu. Wiele z nich doświadcza rosnącej rozbieżności między własnym obrazem siebie, swoją sytuacją życiową jako kobiety w nowoczesnym społeczeństwie XXI wieku z jednej strony a stanowiskiem Kościoła w wielu sprawach z drugiej. Czują się dyskryminowane, wykluczone i pozbawione swojego prawa do równości i sprawiedliwego traktowania płci.

A przede wszystkim: wiele z nich czuje się lekceważone, doświadczają, jak ograniczane są ich możliwości powołaniowe i zawodowe, odczuwają to jako niesprawiedliwość, wobec której są bezradne i bezsilne. Ale jeszcze bardziej oburza je fakt, że wielu duchownych nie postrzega tej nierównowagi jako problemu, któremu należy zaradzić, i że strukturalna dyskryminacja kobiet jest nadal usprawiedliwiana argumentami teologicznymi, które już dawno zostały obalone, a tym samym wymyka się wszelkiej krytyce.

Ta książka jest bardzo osobista i osobiste są również reakcje na nią.

Reakcje były i są dla mnie prawie tak przytłaczające, jak same opublikowane świadectwa. Otrzymałam niezliczoną ilość maili i listów. Od kobiet i mężczyzn, duchownych – w tym biskupów – i świeckich, młodych i starych, chodzących

do kościoła i tych trzymających się z daleka. Bardzo wielu dziękuje za to, że dzięki tej książce zostało wreszcie przełamane tabu, że to, co do tej pory było niewypowiedziane, zostało wypowiedziane, że zasada „Co nie może być, nie jest” została wreszcie złamana. I bez wyjątku wszyscy zachęcają do kontynuowania pracy na rzecz równego udziału kobiet we wszystkich ordynowanych urządach. I to nie tylko dlatego, że kobietom należy wreszcie oddać sprawiedliwość, ale dlatego, że nasz Kościół wyrządza sobie nieskończoną krzywdę, wykluczając ponad połowę katolików z odpowiedzialności i władzy sprawczej. Wyczuwam, że wiele osób tęskni za tym, by zobaczyć kobiety odprawiające mszę, by usłyszeć kobiety głoszące kazania, by zobaczyć kobiety udzielające sakramentów – nie jest to w żadnym wypadku głos przeciwko (męskiemu) duchowieństwu, lecz raczej pragnienie większej żywotności, bliższego kontaktu z życiem, a przede wszystkim większej wiarygodności Kościoła. Zapewne tęskniący ci podejrzewają, że kwestia kobiet będzie jednym, jeśli nie decydującym pytaniem o przyszłość naszego Kościoła.

Kobiety jednak w Kościele zmagają się nie tylko z kwestią święceń. Dla mnie najbardziej poruszające w pracach Drogi Synodalnej, w których także uczestniczę, jest to, że nie możemy dojść do jednogłośnej deklaracji o antropologicznej równości kobiet i mężczyzn.

Porusza pani kwestię, która jest dla mnie również bardzo ważna i wewnętrznie obciążająca. W antropologii teologicznej istnieją rzeczywiście różne opinie, które zgodnie ze swoim punktem widzenia przypisują kobietom w Kościele różne funkcje. Dla niektórych z jednakowej i równej godności płci nie wynikają wcale równe prawa. Muszę wyznać, że mam spore problemy z (męskimi) przedstawicielami Kościoła filozofującymi na temat natury kobiet. Wyobraźmy sobie przez chwilę, że my, kobiety, zrobiłybyśmy to samo w drugą stronę. Dzięki Bogu jednak te stanowiska są w mniejszości. Lecz na pewno w poszczególnych tematach Drogi Synodalnej będzie ogłaszane *votum* mniejszości, umieszczone obok decyzji większości. Musimy się z tym pogodzić. Jak już powiedziałam w innym kontekście: jestem przekonana, że pod szerokim katolickim parasolem jest miejsce na wielką różnorodność.

Wszystkie te doświadczenia, o których mówimy, podają w wątpliwość wiele praktyk kościelnych, ale także pewne założenia teoretyczne. Zauważenie i opisanie ich to pierwszy, bardzo ważny krok. Co dalej?

W tej kwestii całkowicie ufam Duchowi Świętemu. Droga Synodalna jest przede wszystkim procesem duchowym, w którym wszyscy razem pytamy, czego Bóg chce dla naszego Kościoła, jakimi środkami i w jaki sposób możemy i powinniśmy głosić Królestwo Boże

tu i teraz, w XXI wieku. Nauczanie Kościoła zawsze podlegało przemianom: *Ecclesia semper reformanda* – to jest to, co utrzymuje go przy życiu i co pozwala mu przynosić owoce na przestrzeni wieków. Możemy z ufnością pozostawić Bogu to, jak i dokąd poprowadzi swój Kościół. My jesteśmy tylko narzędziami w Jego ręku i możemy przygotować grunt.

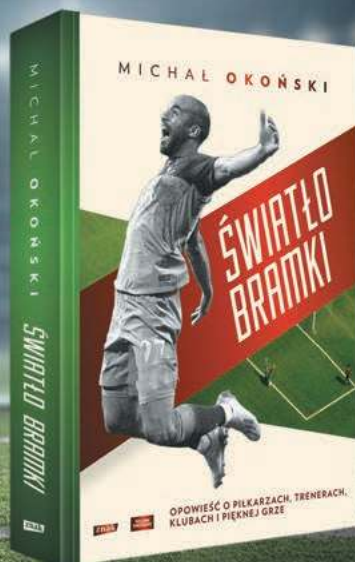
W wielu kwestiach Droga Synodalna stała się pierwszym oficjalnym forum kościelnym, na którym różne grupy wierzących mogą wypowiedzieć swoje codzienne doświadczenie. Otwarcie podobnego procesu zapowiedzieli biskupi w Irlandii i we Włoszech. Jest szansa, że taki sposób włączania świeckich w procesy decyzyjne przyjmie się na stałe w całym Kościele?

Jestem o tym głęboko przekonana. Franciszek zachęcał różne Kościoły lokalne do podążania drogami synodalnymi i taka droga rozpocznie się wkrótce też w Australii. Papież jest zwolennikiem synodalności i samorządności Kościołów lokalnych. Nową i ważną dla mnie rzeczą w tych procesach jest to, że duchowni, biskupi, zakonnicy i świeccy, mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy spotykają się jak równy z równym i zmagają się wspólnie, aby znaleźć najlepsze drogi naprzód. Wszyscy oni czynią to z miłości do Kościoła i dla dobra Ewangelii.

© Rozmawiała

ZUZANNA FLISOWSKA-CARDI

REKLAMA



O MIŁOŚCI DO PIŁKI I INNYCH DEMONACH

**ŚWIATŁO BRAMKI – NOWA KSIĄŻKA
MICHAŁA OKOŃSKIEGO**

Okoński porusza się po boisku z pasją i elegancją, zmienia rytm i styl, wszystko widzi.

Osobista historia wielkich magów najpopularniejszej gry na świecie. Niby Okońskiego, a jakoś i moja, i pewnie każdego następnego czytelnika.

Dariusz Rosiak

Paweł Sołtys



Amerykański prezydent w kościele w Wilmington w stanie Delaware, czerwiec 2020 r.

Komunia dla Bidena

KAROL KLECZKA

W USA biskupi publicznie spierają się o skomplikowany problem etyczny. W Polsce rzecz nie do pomyślenia.

SPÓR WOKÓŁ KOMUNII DLA POLITYKÓW popierających liberalne prawo aborcyjne nie po raz pierwszy dzieli amerykańskich biskupów, ale obecnie ma znacznie poważniejsze konsekwencje dla Kościoła powszechnego. Ma też szczególnego bohatera, bo w jego centrum stoi 46. prezydent Stanów Zjednoczonych Joe Biden.

„Pracowałem nad tym dokumentem przez cały ostatni rok” – mówi w rozmowie z katolicką telewizją EWTN arcybiskup Salvatore Cordileone. List pasterski „Znałem cię, zanim ukształtowałem cię w łonie matki” ukazał się 1 maja, z miejsca wywołując potężną dyskusję. W kilkunastostronicowej publikacji arcybiskup, znany już wcześniej z głośnych sprzeciwów wobec zabiegów terminacji ciąży, postuluje, aby politycy otwarcie wspie-

rający prawo zezwalające na jej dokonywanie nie mogli przystępować do komunii. Zdaniem hierarchy już samo udzielanie politycznego wsparcia dla liberalnego prawa aborcyjnego jest „formalnym współudziałem w złu”, które jest równie niedopuszczalne moralnie, jak przeprowadzenie zabiegu terminacji ciąży. „Ci, którzy zabijają albo asystują w zabójstwie dziecka (nawet jeśli osobiście sprzeciwiają się aborcji), którzy zachęcają lub naciskają na matkę do przeprowadzenia aborcji, płacą za nią lub wspierają organizacje prowadzące aborcje, albo polityków czy prawa prowadzące do uznania aborcji za dostępny »wybór«, współdziałają z poważnym złem” – pisze arcybiskup San Francisco, wyraźnie podkreślając w końcowych fragmentach listu odpowiedzialność ciążyącą na prawodawcach i osobach

pełniących funkcje publiczne. To wywołało najgorętszą dyskusję.

Choć list nie przywołuje konkretnych nazwisk, a sam Cordileone zastrzega, że tekst nie ma bieżących celów politycznych, to komentatorzy błyskawicznie wytypowali adresata. To prezydent Joe Biden, drugi katolicki prezydent USA, wierzący i praktykujący, który publicznie wyraża wsparcie dla liberalnego prawa aborcyjnego.

Polityczny cep

Co ciekawe, taka sytuacja miała już miejsce. W październiku 2019 r. proboszcz parafii św. Antoniego we Florence w Karolinie Południowej odmówił udzielenia mu komunii, co uzasadniał – jak w liście Cordileonego – stanowiskiem Bidena wobec aborcji. Decyzja księdza wywołała sporą debatę, w której głos zabrał m.in. kard. Timothy Dolan z Nowego Jorku. Znany z konserwatywnych sympatii duchowny przyznał, że choć proboszcz posłużył się sensownym argumentem, to sam Dolan nie odmówiłby komunii Bidenowi, bo gdy ma do czynienia z politykami, stara się zaczynać od rozmowy na temat reprezentowanych przez nich poglądów i stosunku do wiary. „Sedno mojej pracy polega na pomocy ludziom w rozeznaniu, jaką decyzję podjąć, ze świadomością

jasnego nauczania Kościoła i biorąc pod uwagę stan ich duszy czy konsekwencje, jakie dla nich przyniesie ich wybór” – podkreślał kard. Dolan w Fox News.

W podobnym tonie wypowiadał się teolog moralny Thomas Petri OP, który w tekście dla „USA Today” zauważał, że w sporze o aborcję często umyka rzecz bardziej podstawowa, czyli samo zjawisko odmawiania komunii, dla którego można znaleźć i inne przesłanki. „Osobie jawnie i uporczywie promującej rasizm również można by komunii nie udzielić, co zresztą miało miejsce w Nowym Orleanie w 1962 r.” – przypomina Petri, dodając, że problem dotyczący polityków jest złożony, a z samego odmawiania można łatwo uczynić broń polityczną. Tym bardziej istotna jest postawa biskupów, którzy powinni podchodzić do prawodawców z duszpasterską troską, wyjaśniając, na czym polega powaga sytuacji. „Rzadko trafiam na wypowiedzi hierarchów mówiących: »Rozmawiałem z tym senatorem i on uparcie obstaje przy swoich proaborcyjnych poglądach«” – przyznawał dominikanin, przestrzegając przed instrumentalizowaniem komunii, ponieważ dyskusja dotycząca godziwego przyjmowania Eucharystii łatwo przeistacza się w polityczny cep.

Wątpliwości amerykańskiego duchowieństwa w stosunku do drugiego katolika w Gabinetie Ovalnym powróciły już w dniu inauguracji prezydentury. Ukazało się wtedy oświadczenie przewodniczącego Episkopatu USA abp. José H. Gomez, który deklarując wolę współpracy, zaznaczył również marginesy rozbieżności, podkreślając, że nowy prezydent „zobowiązał się do prowadzenia pewnych polityk, które posuną naprzód zło moralne i zagrożą ludzkiemu życiu i godności, w szczególności w dziedzinie aborcji, antykoncepcji, małżeństwa i gender”. Abp Gomez szczególnie nacisk położył właśnie na kwestię aborcji, która, jak stwierdził, jest dla biskupów „najważniejszym” priorytetem.

Oświadczenie abp. Gomeza spotkało się ze zdecydowanym sprzeciwem kard. Blase’a Cupicha z Chicago, który uznał je za nieprzemyślane i wydane bez udziału Rady Stałej Episkopatu, czym miało zaburzyć wielość obecny wśród amerykańskich biskupów. Zdaniem kardynała z Chicago oświadczenie było zaskoczeniem dla duchownych i przejawem samowoli przewodniczącego Episkopatu.

Liturgia podziału

Przykładem zróżnicowania opinii wśród amerykańskich biskupów jest odpowiedź, której niedługo po opublikowaniu doczekał się list abp. Cordileonego. Na łamach jezuickiego „America Magazine” polemizuje z nim bp Robert McElroy z San Diego, dla którego antyaborcyjna publikacja abp. Cordileonego stanowi przejaw instrumentalnego wykorzystywania Eucharystii. McElroy uważa, że list jest elementem trwającej przez ostatnie pół roku walki politycznej, w której biskupi zajmują różne stanowiska, w centrum stawiając etyczną ocenę prezydentury Bidena. Chociaż duchowny nie ma większych złudzeń co do postulatów Demokratów i podkreśla, że nie sposób oczekiwać od nich ograniczenia aborcji, to dodaje, że „pomyśl wykluczenia polityków o poglądach *pro-choice* z Eucharystii przyniesie tragiczne i niszczące konsekwencje”. „Nie ze względu na to, co to mówi o aborcji, ale o samej Eucharystii” – precyzuje bp McElroy.

Zdaniem biskupa San Diego takie przejawy wykluczania konkretnych katolików uderzają w rozumienie Eucharystii jako sakramentu, który jednoczy Kościół, i zamieniają go w narzędzie podziału. „Moralnym obowiązkiem katolików jest przyjmowanie w całości nauczania Kościoła, ale porażka w wypełnianiu tego obowiązku w całej rozciągłości nie może być miarą godziwego przystępowania do komunii w Kościele wypełnionym przez grzeszników i wątpliwych” – uważa bp McElroy, który, tak jak wcześniej Thomas Petri OP, podnosi kwestię selektywnej oceny sankcji w przypadku polityków o poglądach rasistowskich. „Czy Chrystus zaprasza do Eucharystii w nagrodę za osobistą godność, czy też istotą Jego zaproszenia jest łaskawe wezwanie Boga miłosierdzia?” – pyta biskup McElroy.

„W przypadku osób publicznych, które wyznają, że są katolikami i popierają aborcję, nie mamy do czynienia z grzechem popełnionym z powodu ludzkiej słabości lub moralnego upadku: to kwestia uporczywego, publicznego odrzucania katolickiego nauczania” – odpowiada abp Cordileone, a ich obecne starcie w najbliższych tygodniach może nabierać rumieńców. W czerwcu odbędzie się zebranie Episkopatu USA, a przedmiotem dyskusji biskupów ma być dokument poświęcony katolickim politykom i zasadom udzielania im komunii. Z tej

perspektywy list abp. Cordileonego jawi się nie jako otwarcie dyskusji, ale próba jej podsumowania.

Głos Watykanu

Deбата między amerykańskimi hierarchami nabrała nowego kontekstu po datowanym na 7 maja liście wystosowanym przez prefekta Kongregacji Nauki Wiary kard. Luisa Ladarię do przewodniczącego Episkopatu USA, przestrzegającego przed pochopnymi rozwiązaniami. Prefekt przypomniał, że zanim nastąpi przyjęcie jakiegokolwiek działania, biskupi powinni zrobić krok wstecz i wypracować jednolite stanowisko między sobą, niebędące wynikiem większościowego głosowania, lecz konsensusu. Po drugie duchowni mają przeprowadzić dialog z katolickimi politykami, którzy przyjmują pozycję *pro-choice*. Zdaniem Ladarii dopiero po spełnieniu tych wstępnych warunków hierarchowie z USA mogą stawiać „przed trudnym zadaniem rozeznania najlepszej drogi dla Kościoła w Stanach Zjednoczonych, aby dać świadectwo moralnej odpowiedzialności katolików pełniących funkcje publiczne za ochronę życia ludzkiego na wszystkich jego etapach”. I czyniąc to w taki sposób, aby mylnie nie przedstawiać aborcji i eutanazji jako „jedynych poważnych kwestii katolickiej nauki moralnej i społecznej”.

Choć sugestia kard. Ladarii przypomina salomonowy wyrok, to biorąc pod uwagę rozbieżności i wewnętrzne napięcia wśród amerykańskich hierarchów, nie sposób wyobrazić sobie takiego jednoznacznie brzmiącego dokumentu. Nie doobra byłaby też sytuacja, w której Biden w jednej diecezji mógłby przyjmować komunię, a w innej nie. Sprowadzałaby ona Kościół do funkcji groteskowego dystrybutora łaski zależnego od widzimisię biskupa miejsca. Do powyższych trudności dochodzi jeszcze oczekiwanie, aby praktyka wypracowana przez amerykańskich hierarchów stanowiła punkt wyjścia do interpretacji analogicznych sytuacji w innych Kościołach lokalnych, tak jak miało to miejsce z instrukcją biskupów Argentyny w sprawie „Amoris laetitia”.

Rozplątywanie takiego gordyjskiego węzła wymaga szczególnej precyzji ze strony biskupów, a wszelkie ryzykowne ruchy mogą doprowadzić do jego rozcięcia. Sznurami z rozciągniętego splotu żądanych podzielonych części się ze sobą nie zwiąże. ©

Odruch samoobrony

ARTUR SPORNIAK

Reakcje Watykanu na sprawy biskupów Szkodonia i Tyrawy pokazują, że z perspektywy ofiar kościelna sprawiedliwość wciąż jest opieszala.

NAJPIERW – 6 MAJA – GRUCHNĘŁA WIADOMOŚĆ, że biskup Jan Szkoś, oskarżony o molestowanie 15-letniej dziewczyny z zaprzysiężonej z nim rodziny, został przez Watykan uniewinniony. Informację taką miał rozpowszechniać wśród księży jeden z emerytowanych krakowskich proboszczów. Dziennikarze Onetu i „Rzeczpospolitej” poszli jej tropem. Okazało się, że faktycznie pomocniczy biskup krakowski otrzymał w kwietniu wyrok – potwierdził to sam zainteresowany, który obecnie przebywa w domu dla księży emerytów. Bp Szkoś dodał ponadto, że w tej chwili wyrok jest zawieszony.

Uwolniony, czyli?

Oznacza to, że prawdopodobnie jedna z dwóch osób odwołała się od tego wyroku: albo sam oskarżony, albo promotor sprawiedliwości, czyli kościelny prokurator – tego nie udało się dziennikarzom ustalić. Za to udało się sprecyzować brzmienie wyroku: nie jest on ani orzeczeniem winy, ani uniewinnieniem, tylko uwolnieniem od oskarżenia.

W odróżnieniu od świeckiego prawa karnego, w którym wyroki mogą być tylko dwa: „winny” – „niewinny”, prawo kanoniczne przewiduje trzecią możliwość. Uwolnienie od oskarżenia (*non constat* – „nie uznaje się”) stwierdza się, gdy nie jest możliwe uzyskanie moralnej pewności co do winy oskarżonego. Najprawdopodobniej materiał zgromadzony podczas dochodzenia nie przekonał sędziów z Kongregacji Nauki Wiary co do winy bp. Szkoś. Nie przekonał ich także co do jego niewinności (nie można więc twierdzić, że oskarżająca hierarcha kobieta kłamała). Co to oznacza dla krakowskiego biskupa pomocniczego?

Jeżeli wyrok się uprawomocni, nie zostaną na niego nałożone żadne kary

– będzie on traktowany jako niewinny, ale nie zupełnie. Ponieważ dochodziło do sytuacji, które także według Kościoła były co najmniej dwuznaczne, przełożony bp. Szkoś – arcybiskup krakowski – może zawęzić zakres jego kościelnych obowiązków, np. wyłączając z nich kontakt z młodzieżą (choćby pozabawiając go możliwości bierzmowania). Takie ograniczenie kościelnej działalności biskupa jest jedynym skutkiem, którego w tej sprawie można się spodziewać.

Dymisja sprzedająca

Inaczej przedstawia się drugi przypadek. 12 maja Nuncjatura Apostolska w Polsce poinformowała, że papież przyjął rezygnację 72-letniego biskupa bydgoskiego Jana Tyrawy i wyznaczył administratora apostolskiego do czasu mianowania nowego ordynariusza. Do komunikatu załączono wyjaśnienie, z którego wynika, że bp Tyrawa podał się do dymisji w związku z zakończeniem prowadzonego przeciwko niemu postępowania dotyczącego „sygnalizowanych zaniedbań w sprawach o nadużycia seksualne wobec osób małoletnich ze strony niektórych księży pracujących w diecezji bydgoskiej”.

Nie jest to jedyny motyw podania się do dymisji – wyjaśnienie wspomina enigmatycznie także o „innych trudnościach w zarządzaniu diecezją” (o jakie konkretnie chodzi, tego zapewne się nie dowiemy). Nie ulega jednak wątpliwości, że główny powód dymisji ma związek ze stawianymi zarzutami – wskazuje na to powołanie się w wyjaśnieniu na *motu proprio* papieża „*Vos estis lux mundi*” („VELM”), które w 2019 r. określiło, jak mają być prowadzone dochodzenia wstępne w przypadku oskarżeń o zaniedbania hierarchów.

Biskupowi bydgoskiemu zarzucono m.in. przyjęcie do diecezji ks. Pawła K.,

o którym wiadomo było, że jako ksiądz archidiecezji wrocławskiej wykorzystał seksualnie osobę małoletnią. W nowej diecezji wykorzystał on kolejne dziecko. Osoba ta – już jako dorosły mężczyzna – niedawno wygrała z obiema diecezjami proces o odszkodowanie wynoszące 300 tys. złotych.

Kanoniści twierdzą, że dymisja bp. Tyrawy nie jest formalnie karą – nie można wymusić zrzeczenia się urzędu kościelnego, można natomiast go odebrać i wtedy taki akt byłby karą. Wygląda na to, że bp Tyrawa poznał wyniki prowadzonego przeciwko niemu postępowania i – być może uprzedzając decyzję papieża – sam zrezygnował z urzędu biskupa ordynariusza na trzy lata przed osiągnięciem wieku emerytalnego, a papież zgodził się pójść na rękę oskarżonemu hierarsze. Czy w ten sposób Tyrawa uniknął formalnej kary?

Na to pytanie nie można odpowiedzieć w oparciu o zdawkowe wyjaśnienie Nuncjatury. Ale przypadek byłego ordynariusza kaliskiego bp. Edwarda Janiaka dowodzi, że sama rezygnacja biskupa może nie zakończyć sprawy. Po rozpoczęciu – po emisji filmu braci Sekielskich „Zabawa w chowanego” – wstępnego dochodzenia przeciwko bp. Janiakowi, został on 25 czerwca ub.r. zawieszony w sprawowaniu urzędu na czas śledztwa, a 17 października podał się do dymisji, którą papież przyjął. Jednak w marcu 2021 r. Stolica Apostolska wymierzyła ostatecznie bp. Janiakowi sankcje: zakaz zamieszkania na terenie diecezji kaliskiej, zakaz uczestniczenia w jakichkolwiek celebracjach i spotkaniach na terenie diecezji kaliskiej oraz nakaz wpłacenia „odpowiedniej sumy” na rzecz Fundacji św. Józefa, zajmującej się pomocą ofiarom (ten ostatni nakaz należałoby traktować jako tzw. środek pokutny).

Czego się nie dowiemy

Sądzenie na tak dużą skalę biskupów za ich zaniedbania (w tej chwili w Polsce prowadzonych jest co najmniej kilka dochodzeń) jest w Kościele nowością. W praktyce umożliwiło je dopiero „VELM”, ale w dokumencie tym jest opisana tylko pierwsza część procesu – dochodzenie wstępne zlecane przez Watykan wybranym biskupom. Niestety nie wiemy, według jakich procedur sprawy osądza następnie Kon-

gregacja Biskupów. O ile procedury związane z procesami przeciwko duchownym oskarżonym o wykorzystanie seksualne małoletnich są już dość precyzyjnie określone – np. w watykańskim „Vademecum dotyczącym wybranych kwestii proceduralnych w zakresie postępowania w przypadkach nadużyć seksualnych (...)”, opublikowanym w lipcu 2020 r. – o tyle rozliczanie biskupów z ich zaniedbań w tej dziedzinie wciąż czeka na swoje jawne *vademecum*.

Jeden z pytaných przez „Tygodnik” kanonistów skomentował anonimowo, że jest zaskoczony, iż te procesy posuwają się jednak do przodu i kończą się karami. – Nie wierzyłem, że biskupi, którym Stolica Apostolska zleca dochodzenia, będą tak skutecznie prowadzić je przeciwko kolegom z episkopatu. Pod tym względem chyba jesteśmy w światowej czołówce – zauważa optymistycznie. Bp Tyrawa jest czwartym, a uwzględniając bp. Szkodonia piątym hierarchą, którego dotknęły działania Watykanu: po kard. Henryku Gulbinowiczu, abp. Sławoju Leszku Głódziu i bp. Edwardzie Janiak.

Jednak patrząc z zewnątrz, poza wąskim kręgiem watykańskich decydentów, a zwłaszcza z perspektywy ofiar, kościelna sprawiedliwość wciąż jest opieszala. Watykan otacza procesy o zaniedbania prowadzone wobec biskupów dużo większą tajemnicą niż procesy przeciwko duchownym wykorzystującym małoletnich. Tak jakby wciąż dominował odruch chronienia „swoich”.

W tej chwili osoba pokrzywdzona może się już domagać informacji na temat efektów dotyczącego jej procesu, choć nadal ma jedynie status świadka, a nie strony. W procesach o zaniedbanie osoba pokrzywdzona schodzi na drugi plan. Do gruntownej reformy na pewno się nadaje zatem polityka informacyjna, która w obecnym kształcie nie oddaje sprawiedliwości osobom skrzywdzonym ani nie przywraca równowagi osobom zgorszonym postępowaniem hierarchów.

Dziś już wiemy, że można ukarać biskupa. Wciąż nie dowiemy się jednak dokładnie, za co jest ukarany i dlaczego kary są tak łagodne. ©P



TATIANA JACHYRA / FORUM

Biblia i różga

ANNA GOLUS

Gdański pastor kolportuje poradnik, którego autorka zaleca bicie małych dzieci – bo w Starym Testamencie jest napisane, że upartych synów należy kamienować.

Choć w Polsce od 2010 r. obowiązuje całkowity zakaz stosowania kar cielesnych wobec dzieci, w księgarniach nadal można kupić poradniki, których autorzy zalecają bicie w celach wychowawczych. Co jakiś czas przez media przelewa się fala oburzenia na autorów i wydawców kolejnych ujawnianych publikacji tego rodzaju – chrześcijan, którzy usprawiedliwiają przemoc boskimi nakazami i traktują dosłownie takie starotestamentowe wersety, jak np. „Nie kocha syna,

kto różgi żałuje, kto kocha go – w porę go karci” (Prz 13, 24). Z reguły są to poradniki wydane przed wejściem w życie zakazu bicia dzieci. Wciąż jednak wydawane są nowe, a do niechlubnego grona dołączyło wydawnictwo Trinity, którego właścicielem jest Paweł Bartosik, pastor Ewangelicznego Kościoła Reformowanego w Gdańsku.

Zabić znaczy zbić

Bartosik pisze na stronie wydawnictwa, że zależy mu na „wysokiej jakości

→ publikowanych pozycji, które wypełnią rynek wydawniczy w Polsce wnikliwą, ciekawą myślą podaną we wciągającej, »smacznej« formie». Jego »pasją jest wskazywanie na szerokie zastosowanie Dobrej Nowiny w codziennym życiu, a narzędziem ku temu są inspirujące książki». Wśród aktualnej oferty znajduje się poradnik pt. „Do wychowywania w sprawiedliwości. Tematyczny przewodnik w biblijnym instruowaniu dzieci”, którego autorka, Pam Forster, pisze we wstępie do swojego niemal 400-stronicowego dzieła, że wychowuje swoje dzieci „z Biblią w jednej ręce i z różgą w drugiej”.

Zawarta w publikacji interpretacja boskich nakazów dotyczących bicia dzieci jest rzeczywiście bardzo „wnikliwa i ciekawa”. Autorka nie ogranicza się bowiem do cytowania kilku biblijnych werse- tów o różdze, jak autorzy innych dostęp- nych w Polsce poradników dla rodziców pragnących wychować dziecko zgodnie z wolą Bożą. Forster nie pisze, że Bóg każe bić dzieci, bo w Biblii są jakieś wersety o różdze. Według niej dzieci, owszem, na- leży bić, ale przekonanie to czerpie z zu- pełnie innych fragmentów.

Każdy z 53 rozdziałów poradnika „zaj- muje się jednym konkretnym obszarem złego zachowania w wychowaniu dzieci i zawiera wykaz werse- tów na dany temat tak, aby nam, rodzicom, pomóc efek- tywniej nauczać i dyscyplinować nasze dzieci”. Np. w rozdziale „Upór – samo- wola” Forster powołuje się na taki oto fragment Księgi Powtórzonego Prawa (Pwt 21, 18-21): „Jeżeli ktoś ma syna upartego i krnąbrnego, który nie słucha ani głosu swojego ojca, ani głosu swojej matki, a choć oni go karzą, on ich nie słu- cha, to pochwyć go jego ojciec i matka i przyprowadzą do starszych jego mia- sta, do bramy tej miejscowości, i powie-

dzą do starszych miasta: »Ten nasz syn jest uparty i krnąbrny, nie słucha naszego głosu, żarłok to i pijak«. Wtedy wszyscy mężowie tego miasta ukamienują go i po- niesie śmierć. Wyćpisz zło spośród sie- bie, a cały Izrael to usłyszy i będzie się bał” (cytaty z Biblii Warszawskiej, z której ko- rzystał wydawca).

Autorka interpretuje te wersety w na- stępujący sposób: „Wierzmy, że lanie jest jednym z wielu sposobów dyscypli- nowania, gdy mamy do czynienia z młod- szymi dziećmi. Jeśli samowola i upór jest skierowany przeciwko rodzicom i ich poleceniom, dziecko buntuje się prze- ciwko Bogu i wyznaczonym przez niego władzom”. W 2021 r. rozpowszechnia się w Polsce poradnik, którego autorka zaleca bicie małych upartych dzieci, bo w Starym Testamencie jest napisane, że upartych synów (raczej niemających, skoro pijaków) należy kamienować.

W rozdziale „Szyderca” autorka od- syła czytelników do wersetu: „Kto gar- dzi Słowem, ten ginie; lecz kto szanuje przykazania, temu będzie odpłacone” (Prz 13, 13), co w jej interpretacji zna- czy: „Ukarz go kląpssem” (sic!). W roz- dziale „Okrucieństwo – znęcanie się” można natomiast przeczytać, że wer- sety Wj 22, 21-24 – w których, jak stresz- cza Forster, jest napisane, że „Kto uciska wdowę i sierotę, zostanie zabity przez Boga mieczem” – należy dziś interpre- tować w następujący sposób: „Wymierz dziecku karę cielesną”. Autorka zachęca tu również do bicia „okrutnych” dzieci („Jeśli okrutne dziecko uderza inne, ukarż je cielesnie”), ponieważ... w Ewan- gelii według św. Mateusza jest napisane: „Wtedy rzecze mu Jezus: »Włóż miecz swój do pochwy; wszyscy bowiem, któ- rzy miecza dobywają, od miecza giną«” (Mt 26, 52).

Biblia jako podręcznik pedagogiki

Paweł Bartosik od lat promuje bicie dzieci w imię Boga i robi to nie tylko jako duchowny, ale też – pedagog. Jak informuje na swoim blogu, skończył „magisterskie studia pedagogiczne na Uniwersytecie Gdańskim oraz studia doktorskie w zakresie pedagogiki i nauk o polityce”. Wprawdzie doktoratu nie obronił, ale i tak zdumiewa fakt, że po tyłu latach kształcenia w dziedzinie pe- dagogiki nie przyjął do wiadomości, iż kary cielesne są nie tylko nieskuteczne, ale i szkodliwe. Bartosik udostępnia na stronie swojego zboru artykuł pt. „Łyżka edukacyjna”, którego autor, Douglas Wilson, zachęca do bicia dzieci drewnianą łyżką i zapewnia, że „drewno ko- munikuje wielką mądrość, zwłaszcza kiedy przyłożymy je do najmniej mądrej części dziecięcego ciała”. Pastor wielo- krotnie pochwała też przemoc wobec dzieci na swoim blogu (pisząc m.in., że klaps to nie bicie oraz że „Bóg też nie- kiedy daje nam klapsy”).

Na początku zeszłego roku, gdy przez media przetaczała się fala oburzenia po- radnikiem „Pasterz serca dziecka” Teda Trippa, zawierającym zachęty do bicia dzieci, gdański pastor poświęcił temu te- matowi aż trzy teksty na blogu, w tym zatytułowany „Biblia JEST podręczni- kiem pedagogiki – odpowiedź na nagra- nie pastora Michała Włodarczyka” (pa- stor Włodarczyk opublikował w serwi- sie YouTube film, w którym zdecydowa- nie potępił książkę Trippa i zapewniał, że Bóg wcale nie każe bić dzieci). Choć ten tytuł mówi właściwie wszystko, do- dać warto, że według Bartosika „nasza eg- zegeza tekstów mówiących o »różdze«, »karaniu«, »fizycznym karceniu«, musi być oparta na... samej Biblii. Nie wolno nam odczytywać biblijnych tekstów przez pryzmat współczesnych teorii pe- dagogicznych, które na piedestale sta- wiają człowieka w miejsce Boga”.

Niestety nie wyjaśnił, przez jaki pry- zmat należy odczytać wersety o kamie- nowaniu i zabijaniu mieczem, by wyni- kiem egzegezy było zalecenie „wymierz dziecku karę cielesną” czy „ukarż go kląpssem”. Niemniej żadne wyjaśnienie nie zmieni faktu, że w naszym kraju od dekady obowiązuje zakaz bicia dzieci, a Paweł Bartosik, wydając poradnik Forster, zachęca do łamania prawa.

W Sądzie Rejonowym w Ostrowie Wielkopolskim pod sygnaturą akt I Ns 462/19 toczy się sprawa z wniosku Piotra Lewko o stwierdzenie nabycia spadku po Irenie Kneba z domu Wajs, córce Stanisława i Stanisławy, zmarłej dnia 18 listopada 2014 r. w Gdyni, której miejscem ostatniego zwykłego pobytu była Gdynia. W skład spadku wchodzi spółdzielcze prawo do lokalu mieszkalnego położonego w Gdyni o powierzchni około 50 m² składającego się z 2 pokoi, kuchni i łazienki.

Wzywa się wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwier- dzeniu nabycia spadku.

ZUZANNA

Radzik:

Swego rodzaju atrakcja



BYĆ MOŻE NAJBARDZIEJ W TEJ OPowieści zdumiało mnie, że wydarzyła się naprawdę. Szukam, stawiam na mapie palec. Nie do wiary, że gorączka polowań na czarownice dotarła aż nad Morze Barentsa.

Powieść o kobietach z Vardø, którą ostatnio czytałam, tylko fabularyzuje to, co stało się w rzeczywistości. W 1619 r. do Vardøhus, twierdzy nad rybackim portem dalekiej północy Norwegii, przyłynął nowy namiestnik Finnmarku, Szkot John Cunningham. Żeby nie było: lista jego zasług w Wikipedii jest długa. Odkrywca – piszą o nim. I dopiero w ostatniej linijce mowa o tym, że 30 lat jego rządów spłynęło krwią z procesów o czary. Spodziewano się, że fanatyczny Szkot będzie na prawowitą chrześcijańską wiarę nawracał Saamów. W końcu o ich czarownictwie pisał już Szekspir w „Komedii omyłek” z lat 90. XVI w. Pisał też walczący z czarami Jakub VI, król Szkocji: po tym, jak sztormy utrudniały mu powrót do domu z duńską narzeczoną, nabrał przekonania, że morza sprzysięgły się przeciw nim pod wpływem czarów. W swojej demonologicznej książce z 1597 r. pisał też o Saamach pośrednio, twierdząc, że diabeł znajduje ignorancję i barbarzyństwo w dzikich częściach świata, takich jak Laponia i Finlandia. Duchowy uczeń króla Szkocji, zapalczywy John Cunningham, ku zaskoczeniu wielu, jednak na stosy skazywał wówczas Norwęgów i Norweżki. Po prawdzie, bardziej Norweżki (77 kobiet). Jedna piąta ofiar to mężczyźni, w większości z ludu Saamów.

Nie wiem, czemu zakładałam, że wybrzeże Morza Barentsa nie zbrukało się przemocą wobec kobiet oraz osób odmiennych i jako wykluczonych, którą nazywamy „polowaniem na czarownice”. Bo tymczasem mówi się, że Vardø jest norweską „stolicą” tego procederu. W XVII wieku Finnmark liczył 3 tys. ludności, więc 135 oskarżonych i 91 skazanych za czary to niemało. W całej Norwegii w takich procesach zginęło w tamtym stuleciu 300 osób. Liv Helene Willumsen odkryła ich historie w aktach sądowych i przypominała Norwegom to mroczne dziedzictwo.

Vardø doczekało się nie tylko badań historycznych i popularyzującej je powieści. Postawiło też na miejscu egzekucji cał-

kiem przyzwoity pomnik i przestrzeń pamięci, przypominając te wydarzenia z pełną powagą. W lipcu 2011 r. otworzyła go sama królowa Norwegii Sonja. Na surowym wybrzeżu, nieopodal cmentarza, stoją instalacje zaprojektowane przez szwedzkiego architekta Petera Zumthora i francusko-afrykańską artystkę Louise Bourgeois. Wewnątrz konstrukcji, inspirowanej stojakami do suszenia ryb, znajduje się długi korytarz, w którym 91 światel i okien upamiętnia ofiary procesów. O każdej konkretnej osobie opowiada tablica z tekstami napisanymi przez Liv Helene Willumsen w oparciu o absurdalne sądowe zarzuty zawarte w archiwalnych protokołach. Obok stoi druga instalacja, posępna budowla, w której wnętrzu stoi krzesło, a z niego bucha ogień zwielokrotniany przez wiszące nad nim lustra. „Przekłęci, Opętani, Ukochani” (*The Damned, the Possessed and the Beloved*) – nazwała ją Bourgeois.

A teraz wróćmy na własne włosy. Lokalny portal Bochnianin.pl ekscytował się ostatnio odnalezieniem podczas wykopalisk na rynku trzech znajdujących się koło siebie czaszek. Jeśli są trzy, to niechybnie miejsce egzekucji czarownic – źródła mówią, że w 1679 r. spalono tu trzy kobiety.

Miały na imię Regina, Maryna i Borucina. Regina Wierzbicka i jej nauczycielki – Maryna Mazurkowska i Borucina z Niedar nad Wisłą. Stracono je „za czary” i rzekome dzieciobójstwo.

Ostrożniej niż portal wypowiadają się archeologowie. Badania zweryfikują, czy były to kobiety i czy zostały spalone. Kierownik badań archeologicznych zaznacza, że „jeśli się potwierdzi, iż na Rynku w Bochni odnaleziono szkielety skażone, będzie to odkrycie na skalę nie tylko Polski, ale i Europy”.

I tu przychodzi niepokój: co, jeśli się potwierdzi? Bo portal Bochnianin.pl pisze tak: „Na marginesie: wydaje się, że ta opowieść ma niezwykle potencjał swego rodzaju atrakcji turystycznej, która odpowiednio wykorzystana mogłaby być magnesem przyciągającym ciekawskich na miejsce dawnego trawienia czarownic. Czy właśnie między innymi nie tego (dostarczenia materiałów do barwnych opowieści) oczekiwaliśmy po badaniach archeologicznych poprzedzających prace rewitalizacyjne w centrum...?”.

Zanim Bochnia obróci trzy czaszki w turystyczną atrakcję na skalę Europy, chce się wołać: Nie bądźcie jak Salem, tylko jak Vardø! Procesy i egzekucje rzekomych czarownic to nie turystyczna atrakcja, tylko kobiece męczeństwo godne upamiętnienia.

A przynajmniej da się to zrobić tak, by z powagą przypomnieć ich grzech.

©



Twórz / rozwijaj się / poznawaj ludzi. Dołącz do nas na klubtygodnika.pl/wydarzenia

KTO PIECZE NASZ CHLEB

W historii młodego Malińczyka odbija się Francja – ta, która boi się masowej imigracji, i ta, która broni imigrantów. Także na idyllicznej, choć niekoniecznie spokojnej prowincji.

SZYMON ŁUCYK Z LE PUY-EN-VELAY (OWERNIA, FRANCJA)

NAD MIASTEM GÓRUJE WIELKA FIGURA Czarnej Madonny z Dzieciątkiem. Le Puy-en-Velay od wieków słynie jako ośrodek kultu maryjnego i początek najbardziej znanej z kilku francuskich tras pielgrzymkowych do Santiago de Compostela. Teraz pątników nie ma – wystraszyła ich pandemia. Schodząc ulicami spod opustoszałej dziś katedry, docieramy do nieco bardziej ożywionego centrum.

Dwa i pół roku temu o 20-tysięcznym Le Puy-en-Velay, położonym malowniczo wśród powulkanicznych skalistych wzgórz Owernii, mówiła cała Francja. 1 grudnia 2018 r. na placu przed prefekturą doszło do starć między ruchem Żółtych Kamizelek a policją. Manifestanci wzięli szturmem ogrodzenie i wdarli się na dziedziniec prefektury. Policja odpowiedziała gazem łzawiącym. W stronę symbolu znienawidzonej przez protestujących władzy centralnej (prefekt to przedstawiciel rządu w terenie) leciały butelki z benzyną. Wnętrza przybudówki prefektury niemal doszczętnie splonęły.

Starcia trwały do późnego wieczora. Bilans tamtego dnia to ok. 30 rannych policjantów, zniszczenia i liczni aresztowani. Czterech z nich skazano za podpalenie na kary od pół roku do trzech lat więzienia.

Do miasta wrócił dawny spokój. Ale tylko na chwilę.

Jak Madama stał się twarzą

Plac przed prefekturą w Le Puy-en-Velay, kwiecień 2021 r. Trwa demonstracja w obronie młodych imigrantów. Znowu przeciwko władzy zbierają się tu manifestanci, choć nie są to Żółte Kamizelki (nawet jeśli, jak wynika z rozmów, w tłumie są niedawni sympatycy tego ruchu). Od tygodni ulicami miasteczka ciągną marsze – najzupełniej pokojowe – z udziałem setek ludzi. I to wszystko mimo zakazu tłumnych zgromadzeń z powodu pandemii.

Na ustach ludzi jedno imię. „Tej Francji, która wrzuciła ciebie za kraty, znać nie chcę, Madama...” – płynie z głośników piosenka. Transparenty: „Tutaj jest dom Madamy, wyrzucić go nie damy!”. Słychać okrzyki: „Madama, nie zostawimy cię!”.

Pośrodku placu, przy fontannie, z mikrofonem stoi dwoje nauczycieli – Eric Durupt i Véronique de Marconnay. Prywatnie są parą. To rodzice zastępczy imigranta z Mali, 19-letniego (jak sam twierdzi) Madamy Diawara. Miejskowa prefektura nakazała mu niedawno opuścić Francję, sąd administracyjny właśnie potwierdził tę decyzję.



Eric, z rozwichrzonymi posiwiałymi włosami i kolczykiem w uchu, jest wyraźnie zmęczony; podtrzymuje go jego drobna towarzyszką z kręconymi ciemnymi włosami. Véronique oznajmia zebranym: – Madama zniknął. Nie wiemy, gdzie jest i nie wiemy, czy go kiedykolwiek ujrzymy.

I dodaje, że zgłosiła „zaginięcie” młodego imigranta na prefekturze, gdzie ma on obowiązek regularnie się stawiać.

Nikt nie mówi tego wprost, ale wszyscy są pewni – Malińczyk uciekł z domu przed groźbą deportacji z Francji. Nie chciał czekać, aż przyjdzie po niego znowu policja.

Eric Durupt hamuje łzy, gdy mówi do mikrofonu: – Bardzo się o niego martwimy.



LUCIEN SOYÈRE / WWW.RUEA3120.FR

Zbiórka podpisów poparcia dla Madamy, Le Puy-en-Velay, luty 2021 r.

Po chwili bardziej stanowczo: – Nie ugnijemy karku. Nadal będziemy walczyć. Bo we Francji nie ma jednego Madamy, są ich tysiące.

Pod petycją w obronie Malińczyka podpisało się prawie 40 tys. ludzi. W ten sposób został twarzą walki o prawa młodych imigrantów we Francji. Mimo społecznej mobilizacji prefekt departamentu Górna Loara, Éric Étienne, twardego obstaje przy swoim. Powtarza, że nie może zalegalizować pobytu Diawary, gdyż jego akt urodzenia w Mali uznano za sfałszowany.

Co wiadomo, a czego nie

Dzień później rozmawiam z parą nauczycieli w biurze związku zawodowego, do którego należą. Towarzyszy im Shey-

enne, młody owczarek niemiecki. Na powitanie skacze mi na kolana, liże po rękach.

Véronique wspomina: – Gdy Madama przybył do nas pod koniec 2018 r., bał się psów. Bardzo powoli oswajał się z naszą suką. Prześladowały go wspomnienia: żandarmi z psami ścigali jego i innych imigrantów, gdy przechodził granicę włosko-francuską.

O losach Malińczyka przed przybyciem do Francji wiadomo niewiele. Właściwie tyle, ile powiedział zastępczym rodzicom. Gdy zjawił się w domu Erica i Véronique, nie miał dokumentów. Nie mówił po francusku. Nie potrafił liczyć, bo nigdy nie chodził do szkoły.

Véronique: – Urodził się w małej wsi na pustkowiu, nie znał ojca, a jego matka

była bardzo chora. Nie ma z nią od dawna kontaktu, nie wiadomo, czy żyje. Wyjechał do Europy ze starszym bratem. Razem dotarli do Libii, tam jego brat zginął, nie ma o nim wieści.

Według jego opiekunów Madama przeprawił się przez Morze Śródziemne pontonem wraz z grupą imigrantów. Nie wiadomo, skąd miał pieniądze na opłacenie przemytników. Imigrantów podjęto z morza blisko wybrzeża włoskiego. Następnie Malińczyk spędził kilka miesięcy w obozie na Sycylii. Potem, po dostaniu się na kontynent, dotarł w Alpy i przeszedł pieszo granicę francuską w okolicach Briançon. Nieznajomy przy granicy miał mu wręczyć bilet kolejowy do Le Puy-en-Velay, mówiąc: „Tam ci pomogą”.





Véronique de Marconnay i Eric Durupt na czele manifestacji w obronie Madamy, marzec 2021 r.

→ Skąd pomysł skierowania Malijczyka na tę głęboką francuską prowincję? Może dlatego, że miasto ma opinię przyjaznego imigrantom. Działa tu prężnie organizacja broniąca dostępu imigrantów do edukacji szkolnej: Sieć Edukacja Bez Granic (RESF). Przygarnęła Madamę i innego młodego Malijczyka w podobnej sytuacji, Yelly'ego.

W rodzinie zastępczej

RESF poprosiła parę nauczycieli o przenocowanie Madamy „na kilka dni”. To, co miało być jednorazową pomocą, przerodziło się w więź.

Véronique: – Mieliliśmy dwa wolne pokoje, bo dzieci moje i Erica z poprzednich związków są dorosłe. Ugościliśmy więc chętnie chłopaków. Madama to jak nasz rodzony syn. Ma w sobie wielką radość życia, spokój ducha, lubi żartować, śmiać się. To wszystko wniósł do naszego domu.

Sąd rodzinny przyznał parze prawną opiekę nad obu chłopcami do czasu osiągnięcia przez nich pełnoletności (z tego tytułu rodzina zastępcza dostała też zasiłek na wychowanie). Prawo obliuguje tu państwo do zajmowania się wszystkimi opuszczonymi nieletnimi na terytorium swojego kraju, tak Francuzami, jak i obcokrajowcami. Obaj Malijczycy poszli do miejscowej szkoły zawodowej, jednocześnie ucząc się francuskiego.

Eric wtrąca: – Uderzyło mnie, że Madama i Yelly, choć z innej kultury, bez wykształcenia i z małej wsi, są bardzo otwarci. My jesteśmy ateistami, oni muzułmanami. Na początku zrobili wielkie oczy: jak można nie wierzyć w Boga? Ale potem oswoili się z tym i nigdy nie chcieli nas nawracać. Sami modlili się w swoich pokojach i praktykowali post w ramadanie.

Dodaje z uśmiechem: – Trochę ich dziwiło, że nie ma u nas szefa w domu. Oboje z Véronique dzielimy się po równi obowiązkami. Pytali: jak to, mężczyzna w domu nie rządzi? W końcu jakoś pogodzili się i z tym.

Anarchiści kontra prefekt

Nieletni imigranci, którzy do Francji przybyli nielegalnie, mogą dostać pozwolenie na dalszy pobyt z chwilą osiągnięcia dojrzałości, jednak pod warunkiem, że znajdą pracę lub płatną praktykę. Obaj Malijczycy znaleźli pracodawców, lecz tu wkroczył urząd: w styczniu tego roku prefektura odmówiła Madamie pozwolenia na pobyt, uznając jego akt urodzenia za sfałszowany. Natomiast Yelly dostał prawo pobytu (zaczął praktykę jako stolarz).

Véronique i Eric dwukrotnie sprowadzali z Mali akt urodzenia Madamy, ale eksperci z prefektury za każdym razem odrzucali dokumenty. Prefekt Étienne

tłumaczył w prasie, że zdaniem urzędu w momencie przybycia do Francji był on pełnoletni, i że na podstawie fałszywych dokumentów nie można wydać karty pobytu.

Rodzice zastępczy odpierają zarzut prefekta. Eric: – W Mali mówi się o wielu dzieciach-widmach, bo ich przyjscia na świat nie zgłoszono w żadnym urzędzie. Tak mogło być z Madamą.

Véronique: – Madama urodził się na pustkowiu, gdzie często nie istnieje rejestr stanu cywilnego. W wielu regionach nie ma przejezdnych dróg ani prądu. Jak w takiej sytuacji uzyskać dokumenty, które zadowolą francuską administrację?

W odpowiedzi na decyzję prefekta pod koniec stycznia Eric Durupt zaczął strajk głodowy. Przerwał go po kilku tygodniach w nadziei, że uda się przekonać urząd. Tak się nie stało. Na początku marca Madamę zatrzymano i przewieziono do Lyonu, do strzeżonego ośrodka dla imigrantów, którzy w kraju są nielegalnie. Stąd miał być deportowany.

Po manifestacjach w obronie Malijczyka został on zwolniony, ale prefekt nie ustąpił. Dlatego Madama „rozpłynął się”.

Véronique i Eric należą do radykalnie lewicowej organizacji anarchistycznej. Uważają, że z tego powodu prefekt – jak mówią – zawziął się na nich. Czy tak było, nie wiadomo. Oskarżony przez

Erica w prasie o stosowanie „rasizmu państwowego”, prefekt zażądał publicznych przeprosin; bez skutku. Z kolei podczas swojego strajku głodowego Durupt obraził inwektywami policjanta pilnującego prefektury, za co ma stanąć przed sądem pod zarzutem obrażenia funkcjonariusza. Można przypuszczać, że te zachowania Erica, w połączeniu z jego krewkim usposobieniem, skomplikowały sprawę Madamy.

Kogoś takiego chcieliśmy

Malijczyka wspiera para hodowców z okolic miasta, Martine i Jean-Louis Vigouroux. To oni chcieli przyjąć go na płatne praktyki zawodowe.

– Szukaliśmy praktykanta do pracy w naszym gospodarstwie, w którym mamy trzysta owiec – mówi mi Jean-Louis. – Madamę poleciła nam miejscowa szkoła rolnicza. Szybko się okazało, że właśnie kogoś takiego potrzebujemy. On wychował się na wsi i nie boi się ciężkiej pracy. Silny, sam uniósł siedemdziesięciokilowe cielę. Owce go słuchały, potrafił na nie wołać po swojemu, pies słuchał go bardziej ode mnie.

Jego żona Martine dodaje: – Nie braliśmy dotąd stażystów. Młodzi Francuzi z okolicy lubią jeździć traktorem, ale odstrasza ich kurz i fizyczna praca.

Oczekując na kartę pobytu, chłopak przyszedł pomagać hodowcom jako wolontariusz przez kolejne dwa miesiące. Ale papierów się nie doczekał, więc plany przepadły.

Madama i Yelly chodzili do klasy dla nieletnich imigrantów w liceum zawodowym. Jak mówi Aurore Zilberman, która uczy tu historii i geografii (jak sama się przedstawia: „córka dziecka uratowanego z Zagłady przez Sprawiedliwych z owernijskiej wioski”), w klasie jest ponad 20 nastolatków z Afryki Zachodniej, w większości analfabetów.

Dziś nauczycielki, które manifestują przed prefekturą w sprawie Madamy, są rozgoryczone. – Przez dwa lata starają się nauczyć francuskiego, zintegrować, znaleźć pracę. I nagle, bach: dostają wilczy bilet, znikają z dnia na dzień. To wielka strata, ludzka i finansowa, młodzi uczą się dwa lata na koszt państwa, szkolą się w branżach, gdzie brakuje rąk do pracy, np. w budownictwie czy rolnictwie – mówią. I dodają: – Przywiązałyśmy się do nich, szanowali nas, byli uprzejmi, to była przyjemność ich uczyć.

Piekarz z Besançon

W departamencie Górnej Loary w ciągu ostatnich pięciu lat zapewniono opiekę i edukację 150 nieletnim imigrantom.

Według działaczek RESF nie wywołało to żadnych napięć. – Ot, na tych 150 był jeden, który miał problemy z prawem – mówi Aurore Zilberman, też związana z RESF. Dlatego zaskoczyły ich graffiti, które pojawiły się, gdy wybuchła sprawa Madamy: „Brawo panie prefekcie! Precz ze wszystkimi czarnymi!”.

W ostatnich tygodniach prasa rozpisuje się o dziesiątkach, może nawet setkach podobnych spraw w całej Francji. Władze wręczają z dnia na dzień „wilcze bilety” młodym imigrantom, głównie z Afryki, nie zważając, że są uczniami, praktykantami lub już pracownikami. Z kolei za nimi ujmują się coraz częściej pracodawcy, potrzebujący rąk do ciężkiej pracy.

Najgłośniejszy bodaj przypadek zdarzył się w Besançon, na wschodzie kraju. Zakończony happy endem: na początku tego roku tamtejszy piekarz Stéphane Ravaclay wygrał długą batalię – łącznie ze strajkiem głodowym – o uzyskanie pozwolenia na pobyt dla swojego 18-letniego praktykanta z Gwinei. Ostatecznie miejscowa prefektura odstąpiła od nakazu opuszczenia kraju po tym, jak Gwinejczyka poparły w liście liczne znane osobistości, jak aktor Omar Sy czy pisarka Leila Slimani.

Piekarz Ravaclay stał się znany w kraju. Założył na Facebooku stronę „Solidarni ➔

Pogoda dla puczystów

WE FRANCJI nie milkną echa ogłoszonego 21 kwietnia listu otwartego, który do władz wystosowali emerytowani generałowie i czynni oficerowie francuskiej armii. Sygnatariusze listu, ogłoszonego na łamach skrajnie prawicowego magazynu „Valeurs Actuelles”, roztaczają wizję „rozpadania się” Francji (słowo to powtarza się kilkakrotnie) i ostrzegają przed zagrożeniem wojną domową. Apelują do władz, by za wszelką cenę broniły Francji przed „hordami z przedmieść” (to dokładny cytat) i przed działającymi w kraju islamistami.

Alarmująca diagnoza sytuacji na licznych francuskich przedmieściach, gdzie wpływy gangów narkotykowych krzyżują się z propagandą islamistów, nie jest nowa i podziela ją nie tylko prawica. Kłopot w tym, że generałowie sugerują swoim kolegom w czynnej służbie przejście do akcji zbrojnej, jeśli nic się nie zmieni. Emerytowani generałowie są, jak piszą, „skłonni do wsparcia polityki, zmierzającej do ocalenia narodu”. List podpisało ponad tysiąc żołnierzy, w tym także czynni wysocy oficerowie armii. Sprawa wywołała lawinę reakcji. Sygnatariuszy wsparła Marine Le Pen, wzywając, aby „dołączyli do niej”. Choć zastrzegła

skwapliwie, że chodzi jej o ratowanie kraju w drodze „rozwiązania politycznego”, a nie siłowego. Z kolei minister obrony narodowej Florence Parly oburzyła się „nieodpowiedzialną polityzacją armii” i zapowiedziała kary wobec sygnatariuszy. Szef sztabu wojsk lądowych gen. François Lecointre sprecyzował, że czynnym oficerom (pod listem podpisało się co najmniej 18, jak twierdzi dziennik „Le Figaro”) grożą sankcje dyscyplinarne, włącznie z zawieszeniem w służbie. Jakie jednak sankcje czekają emerytowanych oficerów? Według „Le Figaro” część z nich należy wciąż do wojskowej rezerwy – ci mogą być ukarani definitywnym przeniesieniem w stan spoczynku.

Czy alarmistyczny list generałów zwiastuje wojskowy pucz? List inicjowali emeryci, choć aktywni politycznie – kilku sygnatariuszy kandydowało w ostatnich latach z ramienia partii Marine Le Pen lub innych list prawicowych w lokalnych wyborach. Mimo to list budzi uzasadniony niepokój. Po pierwsze, podpisało go wielu żołnierzy w służbie czynnej. Po drugie, ze względu na społeczne reakcje. Według sondażu ośrodka Harris Interactive 49 proc. ankietowanych Francuzów pytanych o list generałów uznało, że wojsko powinno interweniować nawet bez rozkazu władz cywilnych dla „przywrócenia porządku” w kraju. © Szł

→ szefowie”, aby zachęcić do działania innych przedsiębiorców w podobnej sytuacji.

Państwo zaostrza kurs

Moi rozmówcy z Le Puy-en-Velay, którzy są po stronie Madamy Diawara, uważają, że jego kłopoty mają związek z zaostrzeniem kursu państwa wobec imigrantów. Prefektury podlegają ministerstwu spraw wewnętrznych. Jeszcze w lutym 2020 r. – jak mówi mi anonimowo jeden z rozmówców z Owernii – do prefektów w całej Francji miała trafić wewnętrzna instrukcja, aby bardzo rygorystycznie traktować imigrantów, którzy podają się za nieletnich.

Szacunki mówią, że w kraju jest łącznie 300 tys. imigrantów bez prawa pobytu, a ok. 40 tys. nieletnich, zwłaszcza z Maroka, Algierii, Mali i Afryki subsaharyjskiej (np. Gwinei czy Senegalu), przybyło nad Sekwanę nielegalnie. Inaczej niż w Owernii, w dużych miastach – jak Paryż czy Marsylia – wielu z nich trafia w końcu na ulice. Tam czekają na nich gangi przestępcze, w tym sutenerzy.

W tej sytuacji prezydent Emmanuel Macron „dokręca śrubę” w walce z nielegalną imigracją. Nawet jeśli, zgodnie z porzekadłem „gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą”, dostaje się także tym, którzy są najmniej winni.



LUCIEN SOYERE / WWW.RUE43120.FR

Madama Diawara po wypuszczeniu z ośrodka dla imigrantów w Lyonie, marzec 2021 r.

Na czele MSW stoi Gérald Darmanin, który w obozie centrowego Macrona uchodzi za „jastrzębia”. W niedawnej debacie telewizyjnej z Marine Le Pen – przewodniczącą Zjednoczenia Narodowego i, jeśli wierzyć sondażom, główną rywalką Macrona w wyborach prezydenckich w 2022 r. – Darmanin zarzucił jej „miękość” w kwestii obrony Francji przed wpływami muzułmańskich radykałów w kraju. Wywołało to konsternację wśród umiarkowanych „macronistów”, którzy nie chcą się licytować z prawicową populistką.

Komentatorzy są zgodni, że Darmanin – za wiedzą Macrona – próbuje pozyskać elektorat skrajnej prawicy. Sondaże sugie-

rują, że Macron i Le Pen mają dziś prawie równe szanse na zwycięstwo. Choć do wyborów jeszcze rok, kampania już trwa.

Terroryści wśród imigrantów

Zaostrzenie polityki migracyjnej to także konsekwencją zamachów terrorystycznych, których w ostatnich miesiącach dokonali we Francji islamscy ekstremiści. Sprawcami kilku z nich byli imigranci (według specjalistów, np. Olivier Roy, wśród zamachowców we Francji przeważa drugie pokolenie imigrantów, ale jest też wielu konwertytów z francuskich rodzin). Takie przypadki, nawet jeśli są rzadkie, wstrząsają opinią publiczną.

Największym echem odbił się ten z 16 października 2020 r., gdy 18-letni Czeczen, który przybył przed laty do Francji wraz z rodziną, zamordował w okrutny sposób Samuela Paty’ego, nauczyciela z podparyskiej szkoły. Dwa tygodnie później 21-letni Tunezyjczyk, który dopiero co przybył do Francji z Włoch – nielegalnie, jako imigrant – zamordował troje wiernych w katolickiej bazylice Notre-Dame w Nicei. Z kolei 23 kwietnia tego roku 36-letni Tunezyjczyk – jak się potem okazało, zradykalizowany muzułmanin – zaatakował nożem policjantkę w Rambouillet pod Paryżem, raniąc ją śmiertelnie. Sprawca dostał się do kraju bez dokumentów 12 lat temu, ale w zeszłym roku otrzymał kartę pobytu.

Zapowiedź „zrobienia porządku” z nielegalną imigracją ma poparcie niemałej części opinii publicznej. Ale obietnice obietnicami, a życie życiem – według oficjalnych danych nie więcej niż 15 proc. przybyłych nielegalnie imigrantów, mających nakaz wyjazdu z Francji, rzeczywiście opuszcza kraj.

Wróćmy jeszcze do naszego małego miasta w Owernii.

Aurore Zilberman, nauczycielka z Le Puy-en-Velay, opowiada: – Mój mąż szkoli w naszym regionie przyszłych piekarzy. Na dwunastu jego uczniów ośmiu pochodzi z Afryki. Dziś jemy u nas chleb pieczony przez imigrantów. To mi przypomina znany we Francji skecz z lat 70. XX w., w którym Francuz ksenofob narzeka na cudzoziemców, którzy zjadają „nasz” chleb. W końcu dowiadujemy się, że nie może kupić bagietki, bo jedyny piekarz-obcokrajowiec z jego wsi wyjechał z Francji. To dowcip sprzed 40 lat, lecz aktualny.

© SZYMON ŁUCYK

Dnia 6 maja 2021 roku zmarł

Ś.†P.

Józef Kolinek

skrzypek

ukochany Mąż, Ojciec i Dziadek
wieloletni muzyki Polskiej Orkiestry Kameralnej
i orkiestry Sinfonia Varsovia,
założyciel Kwartetu Prima Vista,
organizator życia muzycznego,

inicjator licznych festiwali muzycznych,
niestrudzony popularyzator twórczości Józefa Elsnera
i mniej znanych kompozytorów, miłośnik Mozarta i wielbiciel sztuki.

O czym zawiadamia pogrążona w smutku

RODZINA

POŻEGNANIE



ELLIOT SCHAUDT / U.S. NAVY

Amerykańskie okręty wojenne – lotniskowiec USS Nimitz i krążownik rakietowy USS Philippine Sea – na wodach cieśniny Ormuz, niedaleko irańskiego wybrzeża, wrzesień 2020 r.

Dwa tysiące dni

MARTA ZDZIEBORSKA

Babak Namazi od pięciu lat nie widział ojca i brata. Liczy, że w ramach negocjacji nuklearnych z Iranem USA doprowadzą do uwolnienia jego bliskich.

29 KWIECZNIA, DUBAJ. BABAK NAMAZI pokazuje mi podczas rozmowy wideo swojego psa. Dziwnie to zabrzmiało, ale ten niewielki szary mops przypomina mu tatę.

– To ostatni prezent, jaki dostałem od ojca przed jego wyjazdem do Iranu – tłumaczy ze smutkiem. – W zasadzie to wcale tego psa nie chciałem. Bo po co mojej rodzinie taki brzydki mops? Nawet imię ma głupie – Homer. Ojciec śmiał się, że to na cześć bohatera kreskówki „Simpsonowie”. Zresztą tata postawił nas przed faktem dokonanym. Po prostu przyjechał do Dubaju i oznajmił, że kupił psa dla moich dzieci. Czasem byłem zazdrosny o to, że poświęca wnuczkom tak dużo uwagi. Gdy ja byłem mały, prawie nie miał czasu dla mnie i moich braci. Jako pracownik

UNICEF-u często jeździł w delegacje za granicę i rzadko był w domu. Nie chciałem być taki jak on i obiecywałem sobie, że moje dzieci będą dla mnie najważniejsze. Ale się nie udało. Odkąd irańskie władze aresztowały mi ojca i brata, brakuję mi na to wszystko siły.

Pięć lat temu

Jest luty 2016 r. Ojciec Babaka Namaziego, Baquer, odbiera telefon od irańskich oficjeli. Mają dla niego propozycję: jeśli przyjedzie do Teheranu w ciągu 48 godzin, będzie mógł spotkać się z drugim synem Siamakiem, którego cztery miesiące wcześniej zatrzymano pod zarzutem szpiegostwa. Niemal osiemdziesięcioletni Baquer wbrew protestom rodziny rezerwuje bilet lotniczy. Gdy ląduje

w Teheranie, zostaje aresztowany i trafia do więzienia Evin – tam, gdzie przebywa już jego syn. Osem miesięcy później obaj mężczyźni, mający podwójne, amerykańsko-irańskie obywatelstwo, zostają skazani na 10 lat więzienia za rzekomą „współpracę z wrogiem państwem”.

Choć ojciec i syn odsiadują wyrok w tym samym więzieniu, nie mogą się nawet zobaczyć. Babak rozmawia z nimi osobno, gdy tylko władze placówki zgodzą się na połączenie telefoniczne. Najbardziej martwi go stan zdrowia ojca. W pewnym momencie konieczne staje się wszczęcie rozrusznika serca. Władze więzienia godzą się na operację, ale problemy zdrowotne osiemdziesięcioletka nie ustają. Po dwóch latach starań Babakowi udaje się wywalczyć zgodę na umieszczenie ojca w areszcie domowym. Prawdziwy przełom następuje jednak dopiero w lutym 2020 r., gdy irański sąd oczyszcza mężczyznę z zarzutów szpiegostwa. Baquer Namazi ma jednak nadal zakaz wyjazdu z Iranu.

– Dla taty to jak wyrok śmierci – mówi Babak. – Ma 84 lata i cierpi na miażdżycę tętnic szyjnych. Choć istnieje wysokie ryzyko udaru mózgu, lekarze odradzają teraz operację. Tłumaczą, że podczas rekonwalescencji po zabiegu potrzebny jest

→ absolutny spokój. A jak mój ojciec może go osiągnąć, skoro jego syn nadal przebywa w więzieniu? Nasza rodzina przeżyła wiele. Najpierw aresztowano brata, który jest zwykłym biznesmenem i został niesłusznie oskarżony o szpiegostwo. Potem zwabiono do Iranu ojca i przez długie tygodnie trzymano go w więziennej izolacji. Wiesz, że nawet po wszczęciu rozrusznika serca kazano go przykuć do szpitalnego łóżka kajdankami? Teraz, odkąd tatę wypuszczono z więzienia, mogę przynajmniej zobaczyć go podczas rozmowy wideo. Ale nie jestem w stanie się z tego w pełni cieszyć. Obwiniam się za to, że do tej pory nie zdołałem wyciągnąć moich bliskich z Iranu – dodaje.

Nadzieja na przełom

Babak Namazi od lat robi wszystko, by nagłośnić sprawę ojca i brata. Udziela wywiadów, bierze udział w konferencjach prasowych i wraz z reprezentującym jego rodzinę prawnikiem wywiera naciski na amerykański rząd. Nasilił starania wraz z objęciem prezydentury przez Joego Bidena, który od początku sygnalizował, że będzie dążył do negocjacji w sprawie powrotu do porozumienia nuklearnego z Teheranem. Poprzednie, zawarte w 2015 r., wypowiedział Donald Trump, choć w zamian za zniesienie sankcji irańskie władze ograniczyły swój program nuklearny.

Teraz, gdy od początku kwietnia trwają nowe negocjacje, rodzina Namazich apeluje do administracji Bidena, by nie podpisywał porozumienia, jeśli Iran nie uwolni niesłusznie więzionych Amerykanów. A tych jest czterech. Oprócz Namazich wyroki za rzekome szpiegostwo odsiaduje dwóch biznesmenów: Emad Shargi i Morad Tahbaz.

W sprawie więźniów administracja Bidena stawia sprawę jasno: dyskusje o ich uwolnieniu nie są przedmiotem trwających negocjacji. Amerykańscy urzędnicy przekonują jednak, że ta kwestia jest równie „priorytetowa” i stanowi przedmiot oddzielnych rozmów z Iranem za pośrednictwem europejskich dyplomatów. Sekretarz stanu USA Antony Blinken, zapytany na początku maja o amerykańskich więźniów, odpowiedział, że „jest zdeterminowany, by sprowadzić ich do domu”.

Lepiej go nie ratujmy

– Tym razem musi się udać – mówi z nadzieją Babak, którego brat już raz został

pominięty na ostatniej prostej. Aresztowanego w październiku 2015 r. Siamaka Namaziego nie uwzględniono przy wymianie więźniów, do jakiej trzy miesiące później doszło między USA a Iranem. Amerykanie wypuścili wówczas siedmiu Irańczyków w zamian za czterech amerykańskich obywateli przetrzymywanych przez Teheran. Do wymiany „zakładników” doszło 16 stycznia 2016 r. – dokładnie w dniu zniesienia przez Baracka Obamę sankcji nałożonych na Iran.

Jak donosił „The New York Times”, sprawa uwolnienia Siamaka Namaziego została włączona do końcowego etapu negocjacji z Teheranem, ale ostatecznie dla dobra „dealu” zrezygnowano z dalszych nacisków. Dokonano wówczas kalkulacji, że walka o wypuszczenie Namaziego może doprowadzić do opóźnienia całego procesu, a nawet do zaprzepaszczenia ustaleń dotyczących czwórki pozostałych więźniów. „Co wtedy powiedzielibyśmy reszcie rodzin?” – argumentował w wywiadzie dla nowojorskiego dziennika jeden z negocjatorów.

Obietnica sekretarza

Jak wspomina prawnik rodziny Namazich Jared Genser, o nagłym zwrocie wydarzeń bliscy Siamaka dowiedzieli się z telewizji.

– To był dla nich tragiczny moment – mówi „Tygodnikowi”. – Najpierw bardzo się ucieszyli, bo stacja CNN podała informację, że czterech amerykańskich obywateli właśnie opuściło terytorium Iranu. Myśleli, że chodzi również o Siamaka, bo dostali wcześniej zapewnienie, że ich bliski zostanie uwzględniony w negocjacjach. Dopiero kilkanaście godzin później Departament Stanu wydał oświadczenie, w którym wyjaśnił, że w irańskim więzieniu przebywa jeszcze jeden amerykański obywatel – dodaje.

Jak twierdzi Genser, rodzina Namazich dostała wtedy zapewnienie od sekretarza stanu Johna Kerry’ego, który miał ich zapewnić, że Siamak zostanie wypuszczony na wolność w ciągu zaledwie kilku tygodni i że taką deklarację złożył Amerykanom irański minister spraw zagranicznych Mohammad Javad Zarif.

– Obietnice Johna Kerry’ego były nieдорęczne – denerwuje się Genser. – Przecież po podpisaniu porozumienia nuklearnego i uchyleniu sankcji nałożonych na Iran Amerykanie stracili kartę przetargową. Irańczycy nie musieli już iść na

dalsze ustępstwa – przekonuje prawnik, który w swojej karierze reprezentował prominentnych więźniów politycznych, m.in. laureata Pokojowej Nagrody Nobla Liu Xiaobo i birmańską przywódczynię Aung San Suu Kyi.

Nie ma więźniów, nie ma handlu

O to, że Siamak Namazi jest dziś najdłużej więzionym w Iranie Amerykaninem, Jared Genser obwinia także administrację Trumpa. Jego zdaniem zaostrożony kurs wobec Teheranu nie szedł w parze z naciskami, by uwolnić amerykańskich więźniów. A według Gensera administracja Trumpa miała ku temu kilka okazji. Jako przykład podaje wyjątki od nałożonych przez USA sankcji na irański przemysł naftowy.

– Spójrzmy na decyzję o nieobejmowaniu sankcjami poszczególnych państw, które importują ropę z Iranu – tłumaczy Genser. – To było działanie na korzyść Teheranu i Waszyngton mógł wykorzystać tego rodzaju politykę do wywierania nacisków w sprawie Namazich – twierdzi prawnik i krytykuje również wprowadzony w 2019 r. zakaz wjazdu do USA dla irańskich oficjeli i ich bliskich.

Zdaniem Gensera wprowadzone przez Trumpa restrykcje powinny „zadziałać wstecz” i objąć przebywających już w USA członków rodziny irańskich polityków: prezydenta Hassana Rouhaniego, ministra spraw zagranicznych Mohammada Jawada Zarifa i ówczesnego przewodniczącego irańskiego parlamentu Alego Laridżaniego.

– Tylko tego rodzaju polityka mogłaby zmusić Irańczyków do negocjacji – uważa Jared Genser.

Milczenie

Jak mówi „Tygodnikowi” Jasmin Ramsey z nowojorskiej organizacji Center for Human Rights in Iran (CHRI), historia Namazich przypomina sytuację innych Irańczyków z podwójnym obywatelstwem, którzy po przeprowadzce do Iranu lub podczas krótkiej wizyty w tym kraju nieoczekiwanie stali się „zakładnikami” w negocjacjach Teheranu z Zachodem.

Według danych CHRI, w irańskich więzieniach przebywa obecnie co najmniej 15 Irańczyków z podwójnym obywatelstwem. Te statystyki mogą być jednak zaniżone, bo zastraszane przez reżim rodziny niekiedy boją się ujawnić informacje o aresztowaniu bliskich.



Bamak Namazi ze swoim ojcem Baquerem, który wciąż ma zakaz wyjazdu z Iranu. „Dla taty to jak wyrok śmierci. Ma 84 lata i cierpi na miażdżycę tętnic szyjnych” – mówi Bamak.



Baquera zwabiono do Iranu obietnicą spotkania z drugim synem, Siamakiem (na zdjęciu), od prawie sześciu lat przetrzymywanym w teherańskim więzieniu pod zarzutem szpiegostwa.

Tak było w przypadku rodziny biznesmena Emada Shargiego, która milczała przez prawie trzy lata. Jego żona Bahareh zdecydowała się mówić dopiero wtedy, gdy sytuacja stała się dramatyczna. Pod koniec listopada 2020 r. mężczyzna został skazany za szpiegostwo, choć nie wiedział o toczącym się w jego sprawie procesie, a rok wcześniej oczyszczono go z podobnych zarzutów.

Jak tłumaczyła w rozmowie z „The New York Timesem” Bahareh, problemy rozpoczęły się już w kwietniu 2018 r. To wtedy mężczyzna po raz pierwszy trafił do aresztu i od tamtej pory konsekwentnie odmawiano mu zwrotu obu paszportów: amerykańskiego i irańskiego. Do zaostrożenia kursu wobec Shargiego doszło niedługo po zwycięstwie Joego Bidena w amerykańskich wyborach prezydenckich. Zdaniem niektórych ekspertów był to sygnał, że Teheran będzie wykorzystywał sprawę „zakładników” do wywierania nacisków na nową administrację.

Dobry paszport

Dziś Bahareh nie może sobie wybaczyć, że kilka lat temu zdecydowała się z mężem na przeprowadzkę do Iranu. Ona,

poetka, chciała zasmakować życia w rodzinnym kraju, z którego wyemigrowała w młodości. On, biznesmen, dostał ofertę pracy w irańskiej firmie specjalizującej się w inwestycjach w sektor technologiczny. Małżeństwo nie spodziewało się, że ich nowe życie w Iranie skomplikuje się już po niecałym roku.

– Na celowniku irańskiego reżimu może znaleźć się niestety każdy – tłumaczy Jasmin Ramsey. – Wystarczy, że dana osoba ma obywatelstwo jednego z krajów zachodnich i może potencjalnie przynieść Teheranowi korzyści polityczne lub finansowe. W ostatnich latach aresztowani za rzekome szpiegostwo byli głównie biznesmeni, wykładowcy i pracownicy organizacji pozarządowych – podkreśla Ramsey, która dodaje, że niekiedy za kratki trafiają również obywatele USA, od lat mieszkający na stałe w Iranie.

Podaje przy tym przykład Karana Vafadariego i Afarin Niasari, właścicieli galerii artystycznej w Teheranie, których w 2016 r. oskarżono o organizowanie zakrapianych alkoholem imprez dla zagranicznych dyplomatów i irańskich znajomych. Małżeństwo wyznające zara-

tusztrianizm teoretycznie nie powinno usłyszeć nawet tego rodzaju zarzutów. Według irańskiej konstytucji członkowie tej mniejszości religijnej nie są bowiem objęci zakazem spożywania alkoholu i uczestnictwa w zgromadzeniach z udziałem kobiet i mężczyzn. Zresztą, jak twierdzi Ramsey – w całej tej sprawie Iranowi chodziło przede wszystkim o korzyści finansowe. Jeszcze przed aresztowaniem majątne małżeństwo walczyło o odzyskanie rodzinnych ziem skonfiskowanych przez reżim po irańskiej rewolucji islamskiej w 1979 r. Ostatecznie Vafadari i Niasari zostali skazani kolejno na 27 lat i 16 lat więzienia, m.in. za „działanie na szkodę bezpieczeństwa narodowego”.

„To nieprawda”

Jest 11 maja, trwa czwarta runda negocjacji w sprawie powrotu do porozumienia z Iranem. W światowych mediach roi się od spekulacji na temat rozmów, które choć idą w dobrym kierunku, to wciąż nie doprowadziły do ustalenia kluczowych szczegółów dotyczących powrotu do układu.

Wciąż niejasne są również losy czterech więzionych w Iranie amerykańskich obywateli. W zalewie doniesień dotyczących nuklearnych negocjacji temat „zakładników” zaistniał w światowych mediach na początku maja. Stało się to za sprawą irańskiej telewizji państwowej, która ogłosiła, że Teheran zgodził się na uwolnienie więźniów w zamian za odmrożenie irańskich aktywów o wartości 7 mld dolarów. Informacjom natychmiast zaprzeczył szef personelu Białego Domu Ron Klain, nazywając tego rodzaju spekulacje „szczególnym okrucieństwem” w stosunku do rodzin aresztowanych.

Tego samego zdania jest Babak Namazi, który nerwowo śledzi wszelkie doniesienia dotyczące negocjacji z Iranem. Informacje ze strony irańskich mediów traktuje z dużą dozą podejrzliwości: – Nie można ufać propagandzie kraju, który przetrzymuje mojego brata od ponad 2 tysięcy dni. Siamak jest już w bardzo złym stanie psychicznym i fizycznym. Nie dość, że obwinia się o to, że nasz ojciec pojechał do Iranu, to jeszcze panicznie boi się, że znów zostanie zdradzony przez amerykański rząd. Moja rodzina po raz kolejny tego nie przetrwa.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Tekst ukończono 11 maja



BERNADETT SZABO / REUTERS / FORUM

Kontrola zaświadczeń o szczepieniu przeciw COVID-19 przed wejściem do budapeszteńskich Term Széchenyiego, 1 maja 2021 r.

Zima udręki, lato wolności

DARIUSZ KAŁAN

Premier Viktor Orbán, przed którym trudne wybory – pierwsze od dawna obarczone ryzykiem przegranej – znosi na Węgrzech lockdown. Ale wokół jego walki z pandemią narosło wiele pytań.

DLA LÁSZLÓ CSIKÓSA, WŁAŚCICIELA KAWIARNI Francesco w centrum Budapesztu, ostatnia sobota kwietnia była dniem świętowania. Po prawie pół roku lockdownu rząd zniósł część restrykcji, w tym pozwolił na otwarcie tarasów w restauracjach i pubach dla ograniczonej liczby klientów.

– Jeśli to ja zasiadałbym w parlamencie, już dawno pozwoliłbym na wzno-

wienie działalności gastronomii – mówi Csikós. Od listopada jego biznes stracił około 75 proc. przychodów. Csikós utrzymał się tylko dzięki temu, że uruchomił sprzedaż na wynos i dostawy posiłków do domów. – Nie sądzę, żeby klienci zaczęli teraz szturmować lokale, ale może uda nam się odrobić przynajmniej część strat – mówi. – Czuję się tak, jakbym odzyskał dawne życie.

Wschodnie otwarcie

Dobre nastroje psują statystyki. Stopniowe uwalnianie gospodarki zbiega się w czasie z nowym rekordem. Według danych Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa Węgry prześcignęły Czechy pod względem liczby zmarłych z powodu koronawirusa na milion mieszkańców. W kraju liczącym 10 mln ludzi w ciągu ostatnich dwóch tygodni umarło ok. 28,5 tys. osób, czyli mniej więcej tyle, ile przed rokiem we Włoszech w czasie tragicznej pierwszej fali.

Premier Viktor Orbán, którego za rok czekają trudne wybory parlamentarne – pierwsze od ponad dekady obarczone ryzykiem przegranej z powodu pogarszających się wskaźników gospodarczych i zjednoczenia opozycji – argumentuje, że znosi lockdown, bo blisko 40 proc. Wę-

grów już się zaszczepiło przynajmniej jedną dawką – to drugi najlepszy wynik w Unii Europejskiej po Malcie. „Jest duża szansa, że młodzi będą mieć wolne lato” – napisał Orbán na Facebooku.

Według Ferencza Falusa, byłego naczelnego lekarza kraju, ważniejsze jednak od liczby zaszczepionych jest to, że 6 mln Węgrów jeszcze nie przyjęło szczepionki. – Jeśli łagodysz zasady zbyt szybko i bez żadnych naukowych argumentów, istnieje duże ryzyko, że wirus wróci, i to ze zdwojoną siłą, tak jak w Czechach i Hiszpanii w zeszłym roku. Na luzowanie obostrzeń jest stanowczo za wcześnie – mówi mi Falus. Podobnego zdania jest węgierska Izba Lekarska, która w oświadczeniu skrytykowała decyzję rządu.

Wysoki poziom zaszczepionych to rezultat nieortodoksyjnej polityki zaopatrzenia nie tylko w zachodnie szczepionki (AstraZeneca, Pfizer i Moderna), lecz także w chiński preparat Sinopharm i rosyjski Sputnik V. Węgry, pod rządami Orbána w ramach polityki „wschodniego otwarcia” od dawna wzmacniające kontakty z Władimirem Putinem i Xi Jinpingiem, były pierwszym krajem Unii, który – zresztą bez ich zatwierdzenia przez Europejską Agencję Leków – kupił rosyjskie i chińskie szczepionki.

Szczepienia i wybory

Żeby dopuścić do obrotu Sinopharm, którego zakontraktowano 5 mln dawek, węgierski Urząd Farmaceutyczny pod naciskiem rządu skrócił procedury sprawdzania skuteczności. – To była dobra decyzja w lutym, bo wtedy dramatycznie brakowało szczepionek – mówi Dániel Eörsi, lekarz rodzinny z Budapesztu. – Lepsze to niż czekać z założonymi rękami. Ale teraz sytuacja jest inna. Do dziś skuteczność szczepionek chińskich nie została zweryfikowana. Każdy, kto się tego publicznie domaga, przez prorozdowe media jest nazywany szczepionkowym sceptykiem.

Z kolei Sputnik V – pozytywną opinię na jego temat wydało czasopismo medyczne „The Lancet” – został oceniony przez rząd za preparat najbardziej bezpieczny i efektywny ze wszystkich dostępnych. Wielu ekspertów skrytykowało to stanowisko jako nierzetelne. Katalin Karikó, znana biochemiczka urodzona w Szolnoku, której badania doprowadziły do powstania szczepionki Pfizera, napisała, że oświadczenie rządu jest „całkowicie zwodnicze.” – To nie ma nic wspólnego z nauką, to czysta polityka – potwierdza Falus. – Zrobią i powiedzą wszystko, żeby utrzymać przyjaźń z Rosją i Chinami.

Z tymi ostatnimi relacje w czasie pandemii rzeczywiście kwitną. Zeszłoroczną ustawę, przekazującą rządowi możliwość rządzenia dekretemi na czas nieokreślony, Orbán wykorzystał do nałożenia klauzuli niejawności na kontrowersyjną modernizację połączenia kolejowego Budapeszt–Belgrad, finansowanego przez Pekin. Jesienią potwierdził, że w 2024 r. w Budapeszcie zostanie otwarty pierwszy poza Chinami kampus Uniwersytetu Szanghajskiego Fudan, zaś na początku maja zablokował oświadczenie Unii krytykujące politykę Pekinu wobec Hongkongu.

Czy polityka tak szerokiego otwarcia na Chiny przynosi efekty inne niż szybko zakontraktowane szczepionki? Przyjrzeni się temu dziennikarze niezależnego portalu Telex. Okazuje się, że w 2020 r. udział Chin w węgierskim eksporcie wyniósł 1,7 proc., niemal dokładnie tyle samo co w 2010 r., kiedy Orbán przejął władzę (1,6 proc.). W tym samym czasie wzrosła za to zależność Węgier od eksportu do Unii z 73 do ponad 77 proc. Jeśli chodzi o inwestycje bezpośrednie, w zeszłym

roku tylko 2 proc. z nich pochodziło z Chin, dalsze 9,6 proc. z Hongkongu.

Nóra Gervai, analityczka ochrony zdrowia, zwraca uwagę, że manifestacyjnie promując rosyjskie i chińskie szczepionki Orbán przygotowuje grunt pod kampanię wyborczą, która najpewniej znowu będzie orbitować wokół nieskutecznej i biurokratyzowanej Unii. – Według Orbána wysoki poziom zaszczepionych to, w tej wojnie Wschodu z Zachodem, sukces tego pierwszego – tłumaczy Gervai. – Ale pandemia wprowadziła do polityki element niepewności. Dziś trudniej niż wcześniej przewidzieć skutki jakichś działań. Może się okazać, że jeszcze sami będziemy się zwracać o pomoc do Unii.

Spóźniona reakcja

Nie ma jednej przyczyny, dlaczego akurat Węgry zostały aż tak mocno dotknięte przez drugą i trzecią falę koronawirusa. Sam Orbán przekonuje, że to wina bardziej zaraźliwej „brytyjskiej” mutacji, która pojawiła się w kraju na początku tego roku.

Przeciwnicy premiera upierają się jednak, że rekordy to także jego wina. Przytominają, że Węgry najdłużej z krajów Grupy Wyszehradzkiej lekceważyły pandemię. Z zamknięciem granic lądowych dla cudzoziemców zwlekały do połowy marca 2020 r. Kiedy sąsiedzi zamykali restauracje i sklepy niespożywcze, Orbán jedynie ograniczył godziny ich otwarcia. Nawet gdy szkoły w Czechach, Polsce i na Słowacji były już zamknięte, on przekonywał, że skoro wirus nie atakuje dzieci, rok szkolny powinien być dokończony.

Na drugą falę też zareagował opieszale – jeszcze pod koniec września, kiedy po umiarkowanie dobrym lecie liczba zakażonych znów wystrzeliła, Budapeszt zorganizował mecz piłkarski o Superpuchar Europy, na który przyjechało ponad 15 tys. kibiców z całej Europy. Na lockdown Orbán zdecydował się dopiero na początku listopada.

Zsombor Kovacs, prawnik i były wieloletni urzędnik ministerstwa zdrowia, przyznaje, że wiele rzeczy było poza kontrolą rządu, jak choćby zły stan zdrowia Węgrów, którzy przodują w europejskich rankingach otyłości i wypalanych papierosów. – Ale prawdą jest też, że Orbán przez lata nie robił nic, żeby zreformować chory system opieki zdrowotnej, z niskimi pensjami, brakiem transpa-

rentności i profesjonalnego zarządzania – mówi Kovacs „Tygodnikowi”.

O tym, jak wygląda codzienność w szpitalach po dekadzie rządów Orbána, Węgrzy się nie dowiedzą. Nie zobaczą popękanych ścian i wycieńczonych lekarzy. Pracownicy ochrony zdrowia dostali zakaz wypowiedzi, a na teren placówek wstęp mają tylko dziennikarze mediów publicznych. „Teraz nie jest czas na to, żeby chodzić po szpitalach i nagrywać fejkowe filmy” – tak Orbán uzasadniał zakaz w wywiadzie dla telewizji państwowej. On sam chętnie składa jednak wizyty gospodarskie, które co kilka dni pokazuje w dobrze zmontowanych klipach na swoim profilu facebookowym.

Falus sugeruje, że fałszowanie prawdziwego obrazu systemu zdrowia i skali pandemii przełożyło się na to, że Węgrzy nie traktowali poważnie i zagrożenia COVID-19, i obostrzeń.

Reforma, ale mała

Stan węgierskiej służby zdrowia sprzed pandemii oddaje raport OECD z 2019 r. Węgry wydawały wtedy na zdrowie 6,9 proc. PKB, czyli więcej niż w Polsce, ale i tak poniżej średniej unijnej (10 proc.). Miały najwyższy w Unii wskaźnik umieralności na raka. W statystyce dotyczącej zgonów możliwych do uniknięcia zajmowały trzecie miejsce od końca. Między 2010 a 2016 r. z kraju wyjechało 5,5 tys. lekarzy.

Mała reforma została wprowadzona dopiero ostatniej jesieni: parlament zdominowany przez Fidesz, partię Orbána, przegłosował trzykrotne zwiększenie pensji lekarzy do grudnia 2023 r. oraz zakazał wszechobecnego systemu kopertowego, czyli *de facto* łapówek dla lekarzy za lepsze traktowanie. Nóra Gervai zwraca uwagę, że podniesienie wynagrodzeń zwiększy przepaść między lekarzami a innymi pracownikami opieki zdrowotnej. – To nieuczciwe i ryzykowne, że pensje chociażby pielęgniarek pozostały na tym samym poziomie – twierdzi Gervai. – Po pandemii spodziewam się jeszcze większego odpływu pracowników sektora.

Nie narzeka za to Eörsi, lekarz rodzinny. Teraz będzie zarabiał około 2600 euro miesięcznie zamiast 1600 euro. – Systemu to nie zmieni, ale to dobry krok – mówi.

© DARIUSZ KAŁAN

Współpraca: JUSTIN SPIKE, Budapeszt

Jeszcze będzie przepięknie!

Nie przegap!

Już w następnym wydaniu „Tygodnika Powszechnego”
dodatek
„Dodaj mi skrzydeł!”
oraz
nasiona roślin łąkowych
dla motyli.



Łącz się z nami,
zmieniaj krajobraz



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



**61. KRAKOWSKI
FESTIWAL
FILMOWY
61st KRAKOW
FILM
FESTIVAL**

30.05 — 6.06.2021
krakowfilmfestival.pl
kino + online

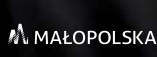
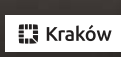
Organizator:



Współorganizator:



Projekt zrealizowany przy wsparciu finansowym:



Rodzeństwo
reż. Arman Gholipour Dashtaki



Etiopscy Żydzi na pokładzie samolotu Boeing 707, lot z Addis Abeby do Tel Awiwu, 25 maja 1991 r.

WIELKA EWAKUACJA

Trzydzieści lat temu, w czasie doby, Izrael wywiózł z Etiopii
14 tysięcy ludzi – czarnoskórych Felaszów.
Kwestia, czy są oni Żydami, początkowo nie była oczywista.

ANDRZEJ KRAWCZYK

DAVID BEN SOLOMON IBN ABI ZIMRA, w XVI stuleciu główny rabin Egiptu, miał pewnego dnia otrzymać pytanie, na które odpowiedź zachowała się w drukowanych tzw. Responsach. Oto od handlarzy z Etiopii kupiono czarnoskórą niewolnicę, która twierdzi, że jest Żydówką i zna zasady religii żydowskiej. Czy to możliwe?

Rabin odpowiedział, że może to być prawda, a kobieta ta musi pochodzić z rodu Sadyceuszy, którzy – za sprawą

oderwania od innych Żydów – znają już tylko częściowo prawo żydowskie, gdyż nie dotarła do nich tzw. Ustna Tora, czyli Miszna i Gemara. Ben Solomon napisał w swym komentarzu, że jeżeli etiopscy Żydzi chcieliby powrócić do głównego nurtu żydowskiego, będą serdecznie powitani. Było to historycznie pierwsze odnotowanie czarnoskórych Żydów.

Skąd wzięli się w Etiopii? I dlaczego w maju 1991 r. konieczna była tak spektakularna operacja?

W mrokach dziejów

Wedle najbardziej uznanej teorii Felaszowie (Falashowie, tj. wygnańcy) to plemię żydowskie, które w IV w. naszej ery dotarło do północnej Etiopii i w roku 325 utworzyło królestwo w regionie Amhara. Według innej teorii Felaszowie osiedlili się w Etiopii wcześniej, bo w XIII w. przed naszą erą, i są potomkami jednego z Dziesięciu Zaginionych Plemion Izraela (tak w tradycji żydowskiej nazywane są starożytne plemiona izraelskie, które rozpro-

szyły się po tym, jak ówczesne królestwo Izraela zostało zniszczone przez Asyrię).

Inne teorie głoszą coś zupełnie przeciwnego: Felaszowie mają być ludem miejscowym, potomkami heretyckiej sekty chrześcijańskiej, która około XV w. przeszła na judaizm. Ich państwo w XVI w. uległo sąsiadom i zostało wchłonięte przez Cesarstwo Abisynii, a ludność częściowo wyginęła, częściowo zaś zasymilowała się z sąsiadami. Ostateczny koniec państwowości nastąpił w 1624 r., ale resztki odrębności przetrwały do przełomu wieków XVIII i XIX.

Jakakolwiek nie byłaby ich geneza, Żydzi etiopscy wytrwali w swej wierze do czasów współczesnych, żyjąc w otoczeniu chrześcijańskim. W połowie XIX w. nastąpiło wśród nich odrodzenie żydowskiej religijności, a nawet odnotowano pewien mesjanizm religijny.

W 1769 r. szkocki podróżnik James Bruce, poszukujący źródeł Nilu, ku swojemu zdziwieniu natknął się – na terenie ówczesnej Abisynii – na czarnoskórych Żydów i napisał o tym do Londynu. Z kolei w 1862 r. grupa Felaszów wysłała do rabinów w Jerozolimie list, żaląc się na swój los i odosobnienie od głównego nurtu życia narodu żydowskiego.

List pozostał bez reakcji, ale dwa lata później jeden z opiniotwórczych niemieckojęzycznych rabinów, Azriel Hildesheimer z Eisenstadt (dziś miasto austriackie), podniósł tę kwestię jako moralny problem solidarności wszystkich Żydów. A trzy lata później żydowska organizacja z Francji, Alliance Israélite Universelle, zorganizowała wyprawę orientalisty Josepha Halévy'ego do Etiopii – dla zbadania, czy Felaszowie są rzeczywiście Żydami. Po powrocie opublikował on raport, w którym dał jednoznacznie twierdzącą odpowiedź.

W 1904 r. Halévy, wówczas już naukowiec o międzynarodowej renomie, zorganizował za pieniądze Edmonda Rothschilda wyprawę swojego ucznia Jacques'a (Jakova) Faitlovitcha do Etiopii, dla dokładnego przestudiowania obyczajowości i duchowości Felaszów. Faitlovich, aszkenazyjski Żyd pochodzący z Łodzi, przeżył wśród Felaszów 18 miesięcy i przywiózł do Europy bogatą dokumentację (w 2012 r. powstał film fabularny o jego misji).

Temat zbyt egzotyczny

Wielki życia Felaszów w Etiopii nie mogły nie pozostawić śladów. Wymiana

ludności w każdym aspekcie, także genetycznym, była nieunikniona. Felaszowie stali się czarnoskórymi i utracili znajomość hebrajskiego (o ile ją kiedyś posiadali). Zamieszkiwali w okrągłych glinianych chatach („tukulach”) i sposobem życia nie różnili się od innych rolniczych ludów etiopskich.

Ich religijność była przejawem judaizmu w jego pierwotnej formie, z zachowanymi terminami liturgicznymi i obchodzonymi świętami (używanie gwiazdy Dawida jako symbolu wiary, obrzezanie, szabat, purim, chanuka). Choć mieli też np. swoje klasztory i mnichów – ostatni z nich zmarł w 1970 r. W chrześcijańskiej Etiopii musieli za swą wiarę płacić specjalny podwyższony podatek.

Ich liczba systematycznie spadała. W średniowieczu mogło ich być nawet pół miliona. W drugiej połowie XIX w. żyło ich jeszcze ok. 200 tys., a w połowie XX w. pozostało 50-60 tys. Zamieszkiwali w ok. 500 wsiach w północnej Etiopii.

Agencja Żydowska – instytucja zajmująca się budową państwowości żydowskiej w Palestynie, a później w Izraelu – przez dłuższy czas nie zajmowała się Żydami z Etiopii, uznając temat za zbyt egzotyczny. Dopiero od 1955 r. zaczęto wysyłać tam nauczycieli i pieniądze na tworzenie szkół. W Jerozolimie zorganizowano też dwa kursy dla nauczycieli, przygotowujące do pracy w Etiopii (ukończyło je 27 osób ściągniętych z Afryki).

Przez całe lata 60. stosunki izraelsko-etioipskie rozwijały się dobrze. Izrael pomagał nawet Etiopii militarnie w zwalczaniu separatystów w Erytrei – pod hasłem walki z panarabskim nacjonalizmem. Charakteru tych relacji nie zmieniła „wojna sześciodniowa” w 1967 r.

Komuniści przebudowują Etiopię

Potem jednak nastąpił nagły zwrot. Stosunki etioipsko-izraelskie zostały zerwane w 1973 r., po wojnie Jom Kippur, gdy na szczycie Organizacji Jedności Afrykańskiej delegacje Libii i Algierii zażądały tego od innych państw. Szczyt odbywał się w Addis Abebie i rząd etioipski uznał, że w takiej sytuacji musi to uczynić – mimo protestów cesarza.

Rok później w Etiopii zapanowała wielka susza, wojsko przejęło władzę, a cesarza zdeponowano. W 1977 r. dyktatorskie rządy objął pułkownik Mengistu Haile Mariam, z programem zaprowadzenia rządów komunistycznych.

Nowe władze wprowadzały w życie program przebudowy struktury agrarnej kraju i kolektywizacji ziemi. Kilka milionów ludzi zmuszono do przesiedlenia, tworzono spółdzielnie produkcyjne. Za cel osiedleńczy wybrano m.in. ziemie Felaszów, którym odbierano ich własność, a do ich wsi kierowano osadników. Władze nie cofały się przed zabójstwami i deportacjami. Zginęło ok. 2,5 tys. Felaszów, a 7 tys. zmuszono do ucieczki.

W społecznościach żydowskich na świecie i w Izraelu sytuację etioipskich Żydów zaczęto porównywać do antysemitkiej polityki w Niemczech przed Holocaustem. Los Felaszów stał się kwestią ideologiczną. Zarówno dla wierzących Żydów, jak i dla syjonistów, przypadek Etiopii i tamtejszych Żydów był swego rodzaju sprawdzianem, czy państwo Izrael potrafi wypełnić swoje cele: że będzie „opiekunem” każdego Żyda na świecie. Intelktualne poruszenie w Izraelu zaowocowało formalnym wyrokiem, wydanym w 1972 r. przez sefardyjskiego naczelnego rabina Izraela Ovadii Yosefa, który stwierdził, że Felaszowie są Żydami.

Mengistu zaostrza kurs

Sprawa Felaszów coraz bardziej dotyczyła samej tożsamości państwa Izrael. Rabin Yosef wezwał do zorganizowania im możliwości emigracji do Izraela i uczynienia z nich „partnerów w budowie Ziemi Świętej”. W 1975 r. opinię o żydowskości Felaszów wsparł naczelnny rabin aszkenazyjski Szlomo Goren.

W 1977 r. wybory w Izraelu wygrała prawica – konserwatywno-religijna koalicja Likud. Na jej czele stał Menachem Begin – pochodzący z Polski, przedwojenny przywódca młodzieżowej organizacji tzw. Syjonistów-Rewizjonistów „Betar”.

Wyczulony na problem solidarności Żydów, Begin zaangażował się w pomoc dla Felaszów. Początkowo próbował wykorzystywać nacisk i kontakty handlowe. Izrael sprzedał więc reżimowi Megistu Haile Mariama pewną ilość broni, w zamian za co wynegocjowano, że samolot, który ją przywiezie, będzie mógł zabrać w drogę powrotną grupę Żydów etioipskich. Ostatecznie do samolotu weszło 121 osób.

Wkrótce sytuacja jeszcze bardziej się zaogniła: w 1980 r. Etiopia przyjęła ostry kurs wobec Felaszów. Zabroniła im praktykowania religii żydowskiej i zakazała nauki hebrajskiego. Do Izraela napływały informacje o aresztowaniach wśród



Operacja „Salomon” – imigranci z Etiopii na lotnisku wojskowym w Izraelu, 25 maja 1991 r.

GOVERNMENT PRESS OFFICE

→ Felaszów i przygotowywanym procesie „izraelskich szpiegów”. Reżim ogłosił też pobór do wojska już od 12. roku życia, co opinia publiczna w Izraelu odbierała jako akcję separowania dzieci od rodziców. Co raz więcej Felaszów uciekało pieszo przez granicę do Sudanu.

Agenci udają nurków

Komunistyczny eksperyment doprowadził do tego, że w 1983 r. w Etiopii wybuchła wojna domowa. Teraz już tysiące Felaszów uciekały do Sudanu, gdzie gromadzono ich w obozach uchodźców. Szacuje się, że z wyczerpania i głodu (a w mniejszym stopniu także za sprawą prześladowań) zmarło w nich ok. 4 tys. ludzi. Rok później władze etiopskie uznały, że Felaszowie popierają separatystów erytrejskich i organizowały wyprawy karne na ich tereny.

Wobec tragedii ludności felaskiej Izrael postanowił działać. Opracowano plan wyprowadzania przez agentów Mosadu

grup uchodźców z obozów w południowym Sudanie, przeprowadzania ich na wybrzeże Morza Czerwonego, skąd mieli być zabierani pontonami na statki, które odwoziłyby ich do Ejlatu. Agenci izraelscy założyli we wsi nad Morzem Czerwonym międzynarodową szkołę nurkowania, która była „przykrywką” dla bazy ewakuacyjnej. Szacuje się, że między rokiem 1977 a 1984 udało się w ten sposób wywieźć 8 tys. osób.

W 1984 r. sytuacja Felaszów pogorszyła się jeszcze bardziej, przede wszystkim z powodu klęski głodu w Etiopii. Rząd Izraela i wspierające go Stany Zjednoczone postanowiły zintensyfikować akcję ewakuacyjną. Wiceprezydent USA George Bush poprosił rząd sudański o zgodę na wykorzystanie lotniska w Chartumie. Sudańczycy zgodzili się, ale pod warunkiem, że samoloty nie będą izraelskie, i że nie będą latać prosto do Izraela, z którym Sudan nie utrzymywał kontaktów. Ustalono trasę lotu

Chartum–Bruksela, gdzie uchodźcy mieli przesiadać się do samolotów do Izraela. Operacji nadano kryptonim „Mojżesz”.

W efekcie na przełomie lat 1984 i 1985 wynajęte w Belgii boeingi 747 wykonały w ciągu sześciu tygodni 28 lotów, wywożąc z Afryki 6380 czarnoskórych Żydów. Tak duża operacja nie mogła być do końca utajniona i wzbudziła niechęć państw arabskich. Na skutek nacisków politycznych władze Sudanu odmówiły w styczniu 1985 r. zgody na dalsze loty, ewakuacja została przerwana w połowie.

Co gorsza, w pierwszych samolotach odlatywali głównie mężczyźni w sile wieku, uchodźcy przed poborem do wojska. W Etiopii pozostała nadreprezentacja kobiet, dzieci i osób starszych. Szacowano, że pozostało tam 1,5 tys. żydowskich dzieci, których rodzice wyemigrowali już do Izraela.

Tylko wyznawcy judaizmu

Tymczasem w maju 1991 r. komunistyczny reżim Megistu Haile Mariama został obalony, a dyktator uciekł z kraju. Dla Żydów oznaczało to groźbę nowych niepokojów społecznych, których mogliby paść ofiarą. Rząd Icchaka Szamira podjął błyskawiczną decyzję o ewakuacji etiopskich Żydów w ramach tzw. Operacji „Salomon”. W kilka godzin przeprowadzono mobilizację sprzętu: wszystkie duże boeingi linii El Al oraz wojskowe herculesy wysłano do Etiopii. Wsparcie logistyczne zapewniało amerykańskie lotnictwo.

W ten sposób, 24 i 25 maja 1991 r., w ciągu doby, 34 samoloty przewiozły ponad 14 tys. ludzi. Ustanowiono wtedy światowy rekord liczby osób lecących w jednym samolocie: 1067. Większość musiała stać sztywno bez ruchu, pólleżąc na plecach innych; korzystanie z łazienek było wykluczone.

Przy okazji powstał niespodziewany problem. Przy wejściu do samolotów pojawili się też Żydzi-chrześcijanie. W Etiopii podziały religijne biegly często w poprzek rodzin; czasem były to dzieci lub nawet wnuki osób wyznających judaizm. Na lotnisku znalazło się kilka tysięcy takich osób. Zatelefonowano do Jerozolimy, minister ds. integracji imigrantów musiał podjąć decyzję od ręki. Brzmiała ona: do samolotów wpuszczać jedynie wyznawców judaizmu, ale dla wszystkich zorganizować pomoc humanitarną. Po jakimś czasie okazało się, że wokół lotniska obo-

zuje ok. 20 tys. ludzi, a drugie tyle jest w drodze. Oni musieli zostać w Etiopii.

Dziś w Izraelu mieszka ok. 135 tys. czarnoskórych obywateli, z których 5 tys. deklaruje się jako chrześcijanie – co bywa powodem konsternacji w żydowskich środowiskach religijnych i wśród władz świeckich. Na dodatek pojawiły się problemy z kolorem skóry, np. niższy od ogólnego stopień akceptacji czarnoskórych Żydów przez emigrantów z byłego Związku Sowieckiego.

Wielu Felaszów na początku musiało pokonać różnice cywilizacyjne. Mimo wielu programów adaptacyjnych, w ich środowisku ciągle pojawiają się skargi na dyskryminację. Natomiast najlepiej udaje się integracja Felaszów w armii, gdzie mają opinię sumiennych, wytrwałych i odważnych.

Trudne zakończenia

W 1998 r. Benjamin Netanjahu, będący wówczas po raz pierwszy premierem,

ogłosił, że zakończono z sukcesem akcję sprowadzenia Żydów z Etiopii. Szybko jednak się okazało, że to stwierdzenie przedwczesne. Rząd musiał zapowiedzieć, iż nadal będzie sprowadzał do kraju Felaszów, choć ze względu na możliwości adaptacyjne jedynie do 300 osób miesięcznie.

Po 15 latach, w sierpniu 2013 r., przewodniczący Agencji Żydowskiej Natan Szarański (były sowiecki dysydent), witając na lotnisku w Tel Awiwie dwa kolejne samoloty z 450 imigrantami z Etiopii, stwierdził, że akcja zostaje właśnie zakończona, bo wszyscy Żydzi z Etiopii zostali już sprowadzeni do historycznej ojczyzny. Premier Netanjahu skomentował: „Wypełniłem syjonistyczny i żydowski nakaz doprowadzenia do Izraela naszych braci i siostr z Etiopii. Traktowałem to jako moralny obowiązek”.

Pomimo to jeszcze kilkakrotnie samoloty przewoziły do Tel Awiwu grupy Felaszów, zwykle po kilkadziesiąt osób.

We wrześniu 2019 r. rząd wydał komunikat, że w Etiopii zostało jeszcze do tysiąca Żydów, których Izrael jest gotów przyjąć.

Absorbca – aby użyć izraelskiego terminu – imigrantów z Etiopii wydaje się już zaawansowana, choć nie umiemy przewidzieć wszystkich skutków tworzenia wielokolorowego narodu żydowskiego. Felaszowie stanowią 2 proc. żydowskiej społeczności Izraela, mają już swoją minister ds. imigrantów, dwóch posłów w Knesecie i Miss Piękności z roku 2013.

Przykład Felaszów pokazuje, jak trudno jest zakończyć akcję „powrotu do starej ojczyzny” rodaków rozproszonych po innych krajach, często o znacząco niższym standardzie życia. Podobne doświadczenie mają Niemcy z rodakami z Kazachstanu i znaną Wołgi, jak również Polska z rodakami ze Wschodu.

© ANDRZEJ KRAWCZYK

TP Historia: WIŚLNA 12

Opowieść o „Tygodniku Powszechnym”, czyli wszystkie światy pod jednym adresem

- Co się wydarzyło w ostatnim pokoju na lewo
- Zbyt krótka sofa dla Herberta
- Zebrania pod Najjaśniejszym Panem
- Obiady czwartkowe i redakcyjna drużyna piłkarska
- Sensacje historyczne: autor, który został papieżem
- Uroki Ziuty i różdżka asystenta kościelnego
- Ks. Boniecki w kuchni



weź, czytaj!

Już w sprzedaży
w punktach z dobrą prasą
i na powszech.net/wislana12

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



WYDANIE WSPIERA

PARTNERZY WYDANIA:



WYJAŚNIENIA NIE Z TEJ ZIEMI

Mimo wielu prorocstw nieuchronnej sekularyzacji religia ma się we współczesnym świecie bardzo dobrze. Badacze natury ludzkiego poznania nie są tym zbyt zaskoczeni.

PIOTR SZYMANEK

WYOBRAŹMY SOBIE, ŻE LUDZKOŚĆ zrestartowano – w wyniku fatalnej pomyłki naukowców bądź interwencji pozaziemskiej cywilizacji zostaliśmy cofnięci do własnej prehistorii. Straciliśmy wszystkie zdobycze nauki i sztuki, nasza populacja została w ogromnym stopniu zredukowana, a wszystkim pozostałym przy życiu ludziom wyczyszczono pamięć. Trzeba teraz dosłownie wynaleźć koło od nowa.

No właśnie – czy po takim restarcie człowiek znów wynalazłby koło?

Wieczny powrót wiary

Wydaje się, że ktoś w końcu musiałby zauważyć łatwiejszy sposób przenoszenia ciężarów niż taszczenie ich na własnych barkach. Ale czy na pewno za każdym razem, gdyby wielokrotnie powtórzyć eksperyment, znalazłby się ktoś dostrzegający, że okrągłe kamienie się toczą i można to zjawisko jakoś wykorzystać? A co z piramidami, rydwanem, trójpołówką, penicyliną, samolotem, internetem? Czy pojawiałyby się niezawodnie w każdej możliwej historii człowieka?

Intuicja podpowiada, że są takie wynalazki czy zachowania, które musiałyby w każdym z takich stworzonych od nowa światów w końcu zaistnieć. Trudno wyobrazić sobie XXI-wieczny

świat *Homo sapiens*, w którym nie powstało łóżko albo taki, w którym zamiast rąk zwykło się używać nóg. Jest tak z prostej przyczyny: grawitacja ciągnie nas w dół, więc chętniej kładziemy się spać, niż zwieszamy za nogi pod sufitem jak nietoperze. Podobnie wygodniej jest nam operować przedmiotami za pomocą dłoni, przed oczami, niż korzystać w tym celu z nóg. Istnieją takie cechy świata i samego człowieka, które stymulują rozwój tylko niektórych zachowań i wytwarzają zapotrzebowanie wyłącznie na konkretne wynalazki.

Ale pytanie o wynik eksperymentu „wieczny powrót” to pytanie również o to, czy w każdej możliwej historii człowieka pojawiłyby się chrześcijańska Biblia, hinduistyczne Wedy czy buddyjski Kanon Palijski. Albo szerzej: czy ludzie zawsze gromadziliby się wokół świętych ksiąg opisujących żywoty ich praojców i dostarczających transcendentnego opisu rzeczywistości. Czy człowiek w każdej wersji swojego świata zacząłby wcześniej czy później czcić jednego lub wielu bogów, modlić się do duchów przodków, opowiadać mity i odprawiać złożone rytuały, składając przy tym ofiary dla wyższych istot? Czy religia jest jednym z tych nieuchronnych zjawisk, wdrukowanych w ludzką naturę?

Homo religiosus

Religioznawcy, a więc naukowcy zainteresowani badaniem religii – ale niekoniecznie problemem, która teologiczna wizja jest „tą prawdziwą” – od ponad stu lat zadają sobie pytanie o pochodzenie zjawiska wiary religijnej. Bodaj najbardziej znanej odpowiedzi na nie udzielił jednak nie religioznawca, a psychoanalityk – Zygmunta Freud. Uznał on religię za nerwicę natręctw i jej korzeni doszukiwał się w traumatycznych zdarzeniach



CHUNG SUNG-JUN / GETTY IMAGES



Procesja przed świętem urodzin Buddy w klasztorze Chogyesa, Seul, 6 maja 2021 r.

z historii gatunku ludzkiego. Zdaniem Freuda, tysiące lat temu żyła grupa praludzi, którą, za Darwinem, nazwał „pierwotną hordą”. Hordzie tej przewodził samiec alfa, Ojciec, który rządził silną ręką i odmawiał przywilejów swoim sfrustrowanym Synom. Synowie pewnego dnia sprzeniewierzyli się Ojcu i zamordowali go, a pamięć o tym mordzie miała ich przesładować jeszcze przez całe pokolenia. To właśnie ta pamięć, według Freuda, sprawiła, że targani wyrzutami sumienia

stworzyliśmy postać Boga-Ojca i nałożyliśmy na siebie sieć skomplikowanych zakazów, by zadośćuczynić za ten kainowy czyn u świtu historii.

Abstrahując od wielu problemów kryjących się za tą opowieścią o początkach, to jeśli potraktowalibyśmy ją zupełnie poważnie, religia okazałaby się czymś zupełnie przygodnym. Dla Freuda wiara mogła, ale wcale nie musiała się pojawić. To konkretny czyn pradawnych Synów zaważył na jej istnieniu: gdyby

go zabrakło, nie byłoby też religii. Stawczo nie zgodziłby się z tym słynny rumuński religioznawca Mircea Eliade, który ukuł termin *homo religiosus* – „człowiek religijny”. Eliade uważał, że wiara jest inherentną cechą człowieka, zapewne uznałby on, że w eksperymencie wiecznego powrotu religia wracałaby za każdym razem. Uzasadnienie stanowiska Eliadego pozostaje jednak nieznanne – badacz był tak skupiony na udowodnieniu, że jesteśmy *homo religiosus*, ➔

→ iż zapomniał wyjaśnić, dlaczego właściwie tak jest.

W poszukiwaniach odpowiedzi na pytanie o genezę religii niedawno dołączyli do religioznawców przedstawiciele kognitywistyki – interdyscyplinarnej dziedziny zainteresowanej procesami poznawczymi. Okazało się, że ustalenia dotyczące funkcjonowania umysłu pokazują problem w nowym świetle. W wyniku spotkania tych dziedzin powstała nowa gałąź nauki – przez pierwszych nazywana religioznawstwem kognitywnym, a przez drugich – kognitywistką religii. Jej przedstawiciele mają już na swoim koncie wiele intrygujących, choć kontrowersyjnych hipotez na temat pochodzenia religijności człowieka. W pewnej mierze obraz, który się z nich wyłania, nie jest zbyt daleki od tego, który opisywał Eliade.

Twarze na tostach

Kognitywiści religii przekonują, że religia, tak jak spanie w pozycji horyzontalnej, jest wpisana w naszą naturę. W przeciwieństwie do Eliadego podają uzasadnienie. Zdaniem Justina Barretta, jednego z czołowych przedstawicieli tej dyscypliny, religia powstała, ponieważ jest naturalnym wynikiem tego, w jaki sposób działa nasz umysł. Nie oznacza to jednak, że musi istnieć jakiś „ośrodek religijności” w mózgu, który przymusza nas do wiary – to stworzyłoby tylko inną zagadkę dotyczącą przyczyn jego powstania. Przeciwnie: kognitywistyka religii zakłada wprost, że nie ma żadnego wyspecjalizowanego regionu mózgu, który czyniłby nas wierzącymi. Nasz umysł – przekonuje Barrett – po prostu działa w taki sposób, że religia się w nim naturalnie pojawia. Dlaczego?

Pierwszej odpowiedzi dostarczyła teoria antropomorfizacji opracowana przez Stewarta Guthrie. Czy zdarzyło wam się kiedyś dostrzec twarz albo sylwetkę człowieka w nieoczekiwanym miejscu? Na przykład na spalonym toście? Większość ludzi z pewnością doświadczyła takiego złudzenia choć raz, a wiele osób uważa je nawet za zabawną rozrywkę – w taki sposób na portalu Reddit powstał kanał r/pareidolia gromadzący zdjęcia rzeczy przypominających twarz lub ciało człowieka. Pareidolia to właśnie skłonność do wynajdywania antropomorficznych wzorów w naszym otoczeniu.

Guthrie i Barrett uważają, że każdy człowiek posiada w mózgu mechanizm,

Dzieciom naturalnie przychodzi myślenie o świecie jako o złożonym z części „materialnej” i „umysłowej” – a stąd już niedaleko do koncepcji duszy.

który sprawia, że cały czas wykrywamy wokół siebie innych ludzi – nawet jeśli tych ludzi tam wcale nie ma. Taki mechanizm mógł mieć wartość adaptacyjną: jeśli ktoś lub coś czai się w pobliżu, to lepiej z góry zorientować się, że jest to inny człowiek – a więc przedstawiciel niebezpiecznego gatunku o złożonych wzorcach zachowań. Zawodność tego mechanizmu nie jest wielkim problemem – jeśli od czasu do czasu alarm będzie fałszywy, niewiele stracimy. Wystarczy jednak raz zignorować zagrożenie, by nasze geny odpadły z ewolucyjnego wyścigu.

Mózgi zmuszają nas więc do tego, by interpretować rzeczywistość wokół nas antropomorficznie. Dotyczy to nie tylko twarzy na tostach i drzew o kształtach przypominających ciało człowieka, ale jeszcze w większym stopniu ogólnego poczucia obecności, sprawczości i celowości w świecie. Ten konglomerat antropomorficznych wrażeń miał sprawić, że na scenie historii pojawiła się religia. Bo skoro prehistoryczny człowiek tak często czuł, że „ktoś tam jest”, mimo że po dokładnym sprawdzeniu tak naprawdę „nikogo tam nie było”, to w końcu musiało dojść do tego, że zaczęto wierzyć w żyjące wokół nas potężne istoty, niewidzialne i wszechobecne. Tak oto powstały w umyśle człowieka pierwsze istoty o cechach boskich czy nadprzyrodzonych, które nie zniknęły z czasem, ale jeszcze bardziej utrwaliły się w naszej kulturze – bo pareidolia nigdy nie przestała działać.

Lepki mózg

Na teorii antropomorfizacji kognitywistyka religii się jednak nie kończy. Bo oprócz pytania o to, skąd religia się w naszym umyśle wzięła, możemy też pytać: dlaczego tam została? Zagadkę tę rozwiązać próbował Pascal Boyer, francuski badacz kognitywny, który zastanawiał się

nad tym, co łączy ze sobą bogów z najróżniejszych religii świata. Doszedł do wniosku, że cechą wspólną wszystkich istot nadprzyrodzonych jest ich kontrintuicyjność.

Zdaniem Boyera, zarówno hinduistyczny Śiwa, jak i grecki Zeus czy duchy, z którymi kontaktowali się tunguscy szamani, to istoty, których cechy przeczą naszym intuicjom i naturalnym oczekiwaniom. Na ogół zakładamy, że ludzie nie mogą przechodzić przez ściany, więc to, że duch jest w stanie to zrobić, stanowi zaskoczenie. Podobnie zaskakująca jest mnogość kończyn (hinduistyczna Kali ma ich sto!) czy narodziny człowieka z dziwicy. Istoty, które uważamy za nadprzyrodzone, w dużej mierze pasują do naszych standardowych schematów (bogowie zwykle przypominają ludzi), ale jest w nich też coś z „zupełnie innej beczki”. Boyer zaczął badać osoby wywodzące się z różnych kultur świata, a wnioski z jego eksperymentów układały się w spójną całość: istoty kontrintuicyjne, o zaskakujących dla naszego mózgu cechach, są lepiej zapamiętywane i przychodzą na myśl szybciej niż istoty zgodne z intuicjami. Wyjątkowo chętnie przyklejają się do naszego działającego niczym rzep mózgu i trudno je od tego mózgu później odkleić – być może stąd ich uniwersalna obecność w religiach całego świata.

Za takim obrazem przemawiają też badania psychologów Debory Kelemen oraz Paula Blooma, którzy wskazują, że dzieci są naturalnymi kreacjonistami i karteżanistami. Badania tego duetu pokazały, że umysł już kilkunastomiesięcznego dziecka wszędzie doszukuje się celów i intencji – przypisuje je nawet przedmiotom nieożywionym – a także jest szczególnie wyczulony na widok ludzkich twarzy i dłoni. W zasadzie cały otaczający świat dzieci traktują tak, jakby był stworzony przez człowieka, a nie bezosobowe siły przyrody. Dzieci uważają na przykład, że chmury są „po to”, by padało, a lwy czy słonie „po to”, by można je było zobaczyć w zoo. W efekcie idea boga-stwórcy jest dla nich wyjątkowo intuicyjna. Zupełnie naturalnie przychodzi też dziecku myślenie o świecie jako o złożonym z części „materialnej” i „umysłowej” – a stąd już niedaleko do koncepcji duszy.

Zatem już to, jak myślimy o świecie w dzieciństwie, sprawia, że religia zastaje drzwiami do naszej świadomości otwarte na oścież. Późniejsza skłonność do gosz-

czenia w umyśle istot nadprzyrodzonych jeszcze bardziej ułatwia jej zadanie. W świetle tych odkryć nie dziwi, że proctwa nowoczesności o powszechnej sekularyzacji ciągle się nie sprawdziły.

Wskazanie elementów „myślenia religijnego” nie wyczerpuje jednak całego fenomenu religii. Stąd wiele badań z zakresu kognitywistyki religii skupia się na jej funkcjach i zjawiskach, które obrosły wokół niej na przestrzeni dziejów. Np. rytuały, obecne niemal we wszystkich religiach, próbuje się wyjaśniać jako rozwinięcie wykształconych w toku ewolucji zachowań ochronnych czy wręcz pielęgnacyjnych. Takie zachowania najbardziej widoczne są u osób z zaburzeniami obsesyjno-kompulsywnymi, które tworzą mnóstwo osobistych rytuałów.

Uzasadnienia doczekało się też powszechne w wielu religiach stosowanie słów takich jak „bracia” i „siostry” w stosunku do osób, które nie są z nami spokrewnione. To drobne oszustwo wobec mózgu generuje altruizm, a tym samym może zabezpieczać grupę przed rozpadem. Każda społeczność, każde stado musi sobie w końcu jakoś radzić z naturalnie pojawiającymi się w niej konfliktami i napięciami. Wzmacniając więzi między osobnikami, religia mogła hamować agresję wewnątrzgrupową, co sprzyjało przetrwaniu całej populacji. Zresztą, niektórzy badacze podobną funkcję przypisują wspomnianym już rytuałom religijnym – według teorii kosztownej sygnalizacji, udział w nich jest tak bardzo wymagający (czasem wiąże się z podejmowaniem ryzykownych zachowań), iż dany osobnik w ten sposób sygnalizuje, że jest gotowy do współpracy, poświęcenia się dla innych i ogólnie godny zaufania.

Dru ga strona medalu

Kognitywistyka religii to jednak przedsięwzięcie dość kontrowersyjne. Nie chodzi tylko o to, że na jej gruncie powstało mnóstwo teorii odnoszących się do tylko jednego z wielu aspektów religii – zwolennicy tego podejścia powiedzieliby, że teorie te nie muszą się wykluczać i razem przedstawiają w miarę spójny obraz. Lecz krytycy, których nie brakuje, podkreślają wpłciony w nurt kognitywny skrajny redukcjonizm, sprowadzenie religii – czegoś wyższego, mistycznego, przesiąkniętego tajemnicą – do zwykłego, regularnego funkcjonowania naszego umysłu. Kognitywna koncepcja, iż religijność jest

Religia w historii człowieka mogła pełnić ważną funkcję społeczną:

wzmacniając więzi między osobnikami, hamowała wewnątrzgrupową agresję.

wpisana w naturę człowieka, ale nie jako przynależna mu cnota, wyższa racja bytu, lecz efekt uboczny działania mózgu, może pobudzać apologetyczne reakcje. W tym względzie Freud i kognitywiści są do siebie podobni, bo szukają uwarunkowań religii poza samą religią. Inaczej niż Eliade.

Pomijając kontrowersje teologiczne i zakładając, że kognitywistyczna wizja wiary jest z grubsza poprawna, a w naszym eksperymencie ze zresetowaniem ludzkości religia powróci za każdym razem, to i tak musimy zadać pytanie o ateistów. Bo ateści istnieją – co dla kognitywistów religii jest cokolwiek kłopotliwe. Jeśli bowiem religia wynika z tego, jak działa mózg człowieka, a jeszcze nikt nie udowodnił, że ateści mają inny mózg od osób religijnych, to cała idea wiary jako efektu ubocznego naszego umysłu zostaje podkopana.

Istnieją oczywiście próby rozwiązania tego problemu. Najprostszą z nich jest uznanie, iż ateści mają co prawda ten sam mózg, ale jakimś cudem poradzili sobie z nachalną skłonnością do antropomorfizacji czy z poznawczą lekkością, którą charakteryzują się kontrintuicyjne idee, i tym samym religia po prostu do nich nie przemawia. Tak uważa np. filozof David Kalkman, który twierdzi, że ateista drogą refleksji odrzuca pewne naturalne produkty umysłu, takie jak wrażenie, że „ktoś tam jest”, a w związku z tym idea boga czy duchów jest dla niego zwyczajnie nieprzekonująca. Ale to tylko rodzi nowe pytanie, na które nie znamy odpowiedzi: dlaczego niektórzy ludzie podejmują tę wyzwalającą od standardowych trybów myślenia refleksję, a inni nie.

Kłopot z Myszka Miki

Jeszcze większym problemem dla kognitywistów religii jest fakt istnienia, a w zasadzie nieistnienia, Myszk Miki. To ona,

podobnie do wielu innych postaci fikcyjnych, jak Superman czy tolkienowski demon Balrog, tak naprawdę spędza kognitywistom sen z powiek. Zauważmy, że ten ostatni, ze swoimi rogami i otaczającymi go płomieniami, wydaje się w zasadzie dobrym kolegą greckiego Hadesa albo rządzącego w piekle Lucyfera. Z Supermana zaś byłby całkiem dobry bóg, acz wystarczy spojrzeć na superbohatera Thora ze świata Marvela, by przekonać się, że również z boga można łatwo zrobić herosa kultury masowej. Problem jest następujący: dlaczego czcimy niektóre istoty nadprzyrodzone, a inne uznajemy za wytwór czystej wyobraźni? Dlaczego Myszk Miki, wytwór antropomorfizacji, istota równie kontrintuicyjna jak Zeus czy Sziwa, nie ma swojego kultu i Kościoła? Pytanie to zadaje przekornie antropolog Scott Atran i dodaje, że kognitywistyka religii nie daje nam kryteriów, by móc odróżnić religijne i niereligijne istoty nadprzyrodzone. Nie jesteśmy więc w stanie powiedzieć, czy po przyciśnięciu wielkiego przycisku „RESET” ludzkość XXI wieku zamiast bogów nie czciłaby przypadkiem istot przypominających znanych nam bohaterów popkultury.

By rozwiązać ten problem, psychologowie Thomas Swan i Jamin Halberstadt poprosili uczestników swojego badania, by wymyślili samodzielnie istotę nadprzyrodzoną: taką, która nada się na obiekt kultu religijnego, albo taką, która jest jawnym wytworem fikcji. Jak się okazało, w stworzonych w ten sposób postaciach pojawił się nowy wzór. Istoty „religijne” wyobrażone przez badanych, w przeciwieństwie do tych „fikcyjnych”, miały w sobie aspekt ambiwalencji. Znać to, że dobry kandydat na obiekt kultu jest zarazem miłośnierny, jak i surowy; obdarowuje, ale i karze; obiecuje korzyści, ale też naraża na potencjalne straty. Tam natomiast, gdzie nie ma ambiwalencji, gdzie pozytywny lub negatywny aspekt postaci dominuje nad przeciwnym, tam widzimy raczej fikcyjnych superbohaterów lub ich złych przeciwników, a nie potencjalnego boga.

I nawet pomijając kognitywistyczne kontrowersje, to samo w sobie jest ciekawe: że ambiwalentny bóg zdaje się być dla naszych umysłów atrakcyjniejszy niż postać trywialnie pozytywna, która niczego od nas nie wymaga.

© PIOTR SZYMANEK

BUG, OJCIEC, OJCZYZNA

ANDRZEJ STASIUK:

Jestem krwią z jego krwi i kością z jego kości. Wpadam do niego czasem, coś trzeba zrobić w domu, pytam: „Tata, a gdzie jest wiertarka?”. Nie wie, co to jest wiertarka.

MICHAŁ OKOŃSKI: Mógłbyś włączyć laptop? Obejrzelibyśmy mapę, zwłaszcza że w „Przewozie” pozmięniałeś nazwy miejscowości.

ANDRZEJ STASIUK: Tak naprawdę to są okolice Gródka nad Bugiem. Gródków jest w tym kraju tyle, że lepiej Jabłonnę Lacką wstukajmy. Zobacz. Tu jest Drohiczyn, Gródek-Dwór, czekaj... Gródek-Kolonia... To jest droga do Jabłonnej. A to druga droga, „gościniec” się mówiło. I tu chyba mamy gospodarstwo dziadkowe, jakieś pół godziny piechotą od rzeki. Kiedyś widziałbyś cały czworobok zabudowań – stodołę, stajnię, chlew, „murowaniec”, czyli letnią kuchnię. I topole rzucające cień na podwórze. To plantacje mojego brata ciotecznego, czarna porzeczką, z której robi się alkohol. Tutaj stał wiatrak, nieruchomy i czarny, tak że wieczorem można się go było przestraszyć. Łąka, pośrodku której stała studnia. I resztki chałupy. Kraina dzieciństwa z lotu ptaka, kraina niewinności...

Gródek właściwy, w którym to wszystko się rozegrało, w rozrzuconych zabudowaniach. I po drugiej stronie rzeki bunkry, na całym pasie. Sowietkie, ale zostały do dziś, jakby na wszelki wypadek. A tutaj są fajne tereny do obozowania, zwykłym autem nie dojedziesz, trzeba terenowym. Koło Chutkowic mam swoje miejsce, jadę, rozbijam namiot.

Jesteś jak ten kraj – wciąż wracasz do dzieciństwa.

Odwracam głowę, by gapić się w przeszłość i tak się pocieszać. Lepiej coś tam

sobie roić, niż patrzeć, jak wszystko wokół się rozpada i walczy.

Miałem Cię później zapytać: kiedy się skończy wojna?

Nigdy się nie skończy, ponieważ w naszych dziejach nie było nic ciekawszego oprócz wojen, wygranych i przegranych. Jak ma się skończyć, skoro co jakiś czas odżywa? Ostatnio przycichło na trzydzieści, a pewnie raczej dwadzieścia parę lat, ale teraz znowu: łubudu. A kiedy się skończy na dobre? Myślę, że jak wybuchnie następna wojna. Ona jest w tym kraju nieodczłonna.

Dlaczego?

Nie wiem. Może mamy znikome osiągnięcia w innych dziedzinach. Cywilizacyjnych, kulturowych. Trochę jak z Ruskimi i wielką wojną ojczyźnianą.

W wojnach też nie mamy wielkich osiągnięć.

Mamy wymyślone. Nawet w tej ostatniej, którą przecież właśnie Ruscy nam wygrali. Chociaż jakimś dziwnym sposobem udajemy, że to my wygraliśmy. Może także dlatego tak się zmagamy z tą narracją wojenną, usiłujemy ją ośwoić i przejąć? Zrobić nie naszą wojnę w końcu naszą?

„Wojna nie kończy się nigdy dla kogoś, kto ją widział”, napisałeś we „Wschodzie”. A teraz, w „Przewozie”, dajesz obraz przyczajonych i czujnych krajan, nasłuchujących, czy Niemiec nie wróci i Żyd nie zmartwychwstanie. Żyjących tak

naprawdę nie na swoim, bo zawsze ktoś może przyjść i zabrać.

Wojna jest bezwzględnie najważniejszym ludzkim doświadczeniem. Kres, zagłada, dojście do granicy człowieczeństwa, przy którym inne żywioły są tylko igraszką. Zwłaszcza doświadczenie wojny niezawinionej, takiej, która przychodzi z zewnątrz i która była udziałem pokolenia naszych rodziców czy dziadków. Kurde, może powinniśmy się kiedyś wybrać na jakąś wojnę agresywną, zaborczą? Może nasze ego zostałoby w końcu zbudowane, gdyby Kaczyński zafundował nam jakiś terapeutyczny konflikt z gatunku tych, które Putin funduje swoim ziomalom?

Przyznam, że po lekturze „Przewozu” pod słowo „wojna” podkładałam sobie jednak inne obrazy niż te, które tu sugerujesz. W Twojej ostatniej książce nie ma szarż kawalerii, bitew i generatów w galowych mundurach.

Ledwo tam kapitan jeden jest, a i to pijany. No ale to jest właściwie przedwojnie. 1941 rok, czerwiec, Niemcy za chwilę ruszą na Rosję, tak naprawdę nie ma nawet porządnej partyzantki.

Tylko jeden z głównych bohaterów, partyzant właśnie, Siwy, cały czas mówi, że jest wojna.

Uwielbiam Siwego, wyobrażałam sobie, że Łomnicki mógłby go zagrać. Takie bydlę napakowane, małe, kurduplowate, a przecież nie do zatrzymania. „Zrobię



→ z was żołnierzy” – zapowiada podwładnym. Ale jedyne, co może robić, to czyścić pistolet i liczyć te krzyżackie zastępy zakute w stal, przesuwające się powoli w stronę granicznej rzeki. Widzisz, może to jest taka sama wojna jak te dzisiejsze. Niedowojnie. Bo prawdziwą wojnę są w stanie zafundować nam tylko ci, co przyjdą.

Tak, czytałem, jak mówisz, że nawet Auschwitz ktoś inny nam wybudował.

To jest niesamowity paradoks: żyjemy w kraju, o którym wszyscy zapomnieli i tylko Auschwitz powoduje, że ktoś o nim słyszał. Ale to inny wątek. Sam zresztą powiedz: kiedy mieliśmy ostatnią fajną wojnę? Chyba w XVII wieku.

Kto ją miał?
My.

My, czyli kto?

No, Polska. Z jakimiś Kozakami czy Szwedami. Termin ważności tych historii dawno się skończył, ale wciąż się do nich odwołujemy w jakichś rekonstrukcjach czy innych cudowiznach.

No więc ja nie widzę tego „my” w rekonstrukcjach. Czytam „Przewóz”, jestem skłonny się z Tobą zgodzić, że wojna się nie skończyła, ale nie wojna rekonstruktorów, ułanów czy nawet wykłębłych, tylko tych mieszkańców kraju, którym pukała do drzwi nocą, budząc strach nieprzemijający długie lata, bo przecież to pukanie nie kończyło się po wyzwoleniu. Oni nie byli na wojnie, nie walczyli, a przecież wojna dotknęła ich do żywego.

Na wojnie był tylko Siwy, a i tak tylko świnię zastrzelił. I jeszcze swojego podwładnego.

Dopowiedzmy: którego powstrzymał przed gwałtem. Chociaż może ukarał za zejście z warty. W sumie nie wiadomo.

Kazał też podwładnym powiesić jakiegoś złapanego. Jeden krytyk napisał, że Żyda, ale to nie jest w książce powiedziane.

Jako czytelnik powiedziałbym nawet, że tożsamość skazanego nie jest istotna.

To też jest tragiczność przekazywanej pamięci:

miałem 12 lat i miałem
gdzieś opowieści starych.
Wojna, trupy w polu, smród,
Wehrmacht to był ich świat.
„Jak Ruscy przyszli” brzmiało
jak „na Wielkanoc”.

Prawda? Istotny jest sam proces wieszania. I następująca dzięki niemu konsolidacja grupy. Jak u Dostojewskiego w „Biesach”.

Napisałeś więc książkę o tym, czego nie widać na wojnie. O tym, co poukrywane. Co by się chciało zapomnieć. Może się nawet zapomnielo.

Albo się nie chciało przypomnieć. Bo chciałoby się przypominać tylko te momenty, w których się jednak strzelało do Niemców. Tak, u mnie wojna jest ludowa, wiejska. Doświadczenie bycia cywilem jest na niej kluczowe. Nie masz żadnego wsparcia, nikt ci nie pomaga, jesteś bezbronny wobec sił, które cię przestają. Jak ten cały lud, który nigdy na nic nie miał wpływu, chyba że jakiś Jakub Szela się zjawiał i przez chwilę miał wpływ. Brak sprawczości w tym kraju... Dlatego tak się łatwo nabiera na wstawanie z kolan. Kraj średniej wielkości, akurat jak ten tutaj pies, co się do ciebie łąsi. Zawsze jak mieliśmy duże psy, były z nimi kłopoty. Cujka, co tam widzisz? Sarny łążą czy co?

Krajobraz też chciałem sobie poopisywać.

Już to przecież zrobiłeś.
Gdzie?

Ostatni rozdział „Fado” jest o domu babci. W „Nie ma ekspresów przy żółtych drogach” też o nim piszesz, i jeszcze żegnasz wujka. We „Wscho-dzie” są całe akapity, które zdają się być zapowiedzią „Przewozu”.

Bo to jest obsesyjne wszystko. Nawracam do tego i nigdy nie mam dosyć.

Słuchaj, po prostu wymyśliłem historię, którą chciałem opowiedzieć. Ciąg obrazów, które posklejałem. I jeszcze

współczesność dołożyłem. Pejzaż się fajnie opisuje, ale elektorat potrzebuje jeszcze człowieka w tym pejzażu. No i zawsze chciałem napisać historię wojenną. Już w młodości marzeniach miałem to, że walczę w oddziale partyzanckim. Nie wiadomo, za jaką sprawę, ale w mniejszości i przeciwko silniejszemu. W „Białym kuku” też są wątki partyzanckie. Las, rozkminy jakieś bohaterów, tęsknoty...

Rzecz w tym, że to nie tylko w Tobie siedzi. Jadę przez Polskę tylekroć przez Ciebie opisaną, tę od kutych bram, wypasionych podjazdów i tuż szmaragd, i mam wrażenie, że to zewsząd wyłazi. Choć tak niby poukrywane.

Pejzaż, który opisuję w „Przewozie”, jest pejzażem wakacji w domu dziadków, ale wychowywałem się w Warszawie. Pamiętam zrujnowane domy, pamiętam ślady powstania i marszu Ruskich przez Pragę. No i opowieści moich ciotek i babek. Wojna, wojna, wojna.

Ulubiona historia mojej świętej pamięci mamy. Była za mała, żeby skojarzyć, o co chodzi, ale pamięta, jak gestapowiec – u niej wszystkie mundury były gestapowskie, więc to wcale nie musiał być gestapowiec – postawił moją babkę pod ścianą i chciał ją za coś tam zastrzelić, tylko mu się pistolet zaciął. Jedno z głębszych doświadczeń mojej matki.

Albo mój głuchoniemy wuj. Też miał być zabity, bo nie szedł Niemcom z drogi. Dopiero wieś podobno ubłagała, żeby go nie ruszać, bo kaleka i nic nie wie.

Ten obrazek też wraca w „Przewozie”. Głuchoniemy prowadzi konia naprzeciw Niemców.

I nie ma w tym żadnych elementów heroicznych. Najbardziej heroiczny był ten mój wuj, który przemycił spirytus przez graniczną rzekę. Złapali go, ale został wykupiony – nie pamiętam już, czy od Ruskich, czy od Niemców. A po wojnie był sołtysem, miał legitymację partyjną, order komunistyczny i z chorągiewami w procesjach chodził. Polska w pigułce.

Pamiętam też opowieść mojego ojca z czasów tużpowojennych. On nigdy nic nie mówił, milczkiem był raczej i pięć lat temu dopiero się rozkręcił w takich długich, chaotycznych narracjach. To on wspominał, jak do domu mojego dziadka, położonego na uboczu, bez przerwy ktoś przychodził i domagał się noc-

legu. „Tata, ale kto przychodził?”. „No, partyzanci”. „Ale jacy partyzanci?”. „Partyzanci w ogóle”. Pamiętał też, że niedaleko lądował kukuruźnik – i odkryłem potem w jakichś papierach, że była tam oblawa na podziemie i Po-2 brał w niej udział. Parę lat wcześniej opowiadał z kolei, jak wszystko opustoszało po wyjeździe Niemców, 22 czerwca. Jak się chyłkiem wymknęli. Chociaż gdzie był most pontonowy, już zapomniał.

Bo „Przewóz” mocno wyrósł jednak z tego, że ojciec stracił pamięć. To próba zrekonstruowania tego, czego już nie posiada. Same okruciny mi przekazał, resztę musiałem sztukować. Przywoływać obrazy, wymyślać je od nowa. Wiesz, on nigdy niczego nie zmyślał, to ja byłem od zmyśleń.

Dla niego to robisz? Za niego?

Myślałem, że to dobry pretekst, być może w grze z samym sobą, bo przecież ja też się boję utraty pamięci. Ona zawsze była dla mnie najważniejsza, pamięć, przeszłość. Ale kogo to obchodzi?

No to teraz zapytam, jak pięćdziesięciolatek sześćdziesięciolatek.

Pięćdziesięciolatek boi się, że straci siły fizyczne, a sześćdziesięciolatek, że straci pamięć?

Tak, ja jeszcze niedawno wyobrażałem sobie, że starość będzie polegała na utracie sił. Że będę zmęczony i nie będę mógł już nigdzie jeździć. Ale będę się pocieszał tym, co zostało mi na twardym dysku – odtwarzał, kiedy zechcę. A tu niekoniecznie.

Hipotetyczna sytuacja, ale rozważam ją: jeśli wszystko było dla mnie pamięcią, kim będę, kiedy ona zniknie?

Napisałeś kiedyś, że pamiętasz wszystko. Każdą scenkę, zdanie, każdy duperel.

Tak. A teraz patrzę na ojca. Jestem krwią z jego krwi i kością z jego kości. Patrzę. Jest kompletnie bezradny. Całe życie robił w metalu, był ślusarzem, pracował w Fabryce Samochodów Osobowych. Wpadam do niego czasem, coś trzeba zrobić w domu, pytam: „Tata, a gdzie jest wiertarka?”. Nie wie, co to jest wiertarka. Kurwa, dreszcz cię przechodzi po prostu. Jedno skrótowne zdanie: „Ja nie wiem, co to jest wiertarka”.

Śmiejesz się.

Dlaczego Żydów nie wspominali? Bo mieli swoje duchy, które zjawiały się wśród nich na skutek zwyczajnej śmierci? Pytania z polskiej podświadomości.

A taki fajny kraj mógłby być, gdyby nie geografia.

No bo zobaczymy, jak to z nami będzie. Nie wiesz.

A jak dajesz ojcu wiertarkę do ręki?

Nie ma pojęcia, co z nią zrobić.

W książce jest taka scena. Wiesz, bo z nim można rozmawiać. O ptaszkach, o pogodzie, o jakimś chuju-muju. Kiedyś wprost zapytałem: „Tata, a ty co z wojny pamiętasz?”. Siedzieliśmy sobie na werandzie, ciepło było. „Buty czyściłem” – odpowiedział. „No ale powiedz coś jeszcze”. Nic. „Buty czyściłem”. Co on, Niemcom czyścił? Nie było takich narracji rodzinnych. Dopiero potem sobie uświadomiłem, że dziadek Piotr chodził w oficerkach. Był chłopem, ale chodził w oficerkach. Zakładał je tylko do kościoła albo jak do miasta jechał i zawsze były wyglancowane, aż lśniły. Może dziadkowi tata czyścił. Taką mam nadzieję.

Bo czyszczenie Niemcom to powód do wstydu?

A nie? Paradoks tej historii polega na tym, że Niemcy zostawili we wsi bardzo dobre wspomnienia. To była obrona przeciwlotnicza, Luftwaffe, siedzieli pod siatką maskującą na podwórku. Kiedy odeszli, był raczej smutek. Bo za Niemca był porządek. Jak coś brali, jajka czy mleko, zawsze palili.

Tutaj się rozchodzą doświadczenia Polaków i Żydów pod okupacją.

Żydowskich opowieści z rodziny nie mam żadnych. Ale mam też doświadczenie kompletnego braku antysemityzmu. Ludzie ze wsi, z awansu społecznego, nigdy w domu nie powiedzieli antysemickiego tekstu. Jedno jedyne wspomnienie żydowskie mamy było o tym, że babcia Julka – ta, którą Niemcy mieli zastrze-

lić – nosiła do próchniejącej wierzbą za wsią jedzenie Abramkowi, który się tam w dziupli ukrywał jak jakiś diabeł Rokita. Ale to wszystko. Matka nie wiedziała, co się z Abramkiem stało.

Okolica była wiejska, Żydzi mieszkali w Sokołowie, w Jabłonnej. Na pewno się gdzieś ukrywali, na pewno próbowali się przeprawić przez rzekę, jak para bohaterów „Przewozu”, Maks i Doris, ale z domu nic na ten temat nie wyniosłem. Opowieść Żyda, który wraca na niemiecką stronę, bo mówi, że po tamtej jest jeszcze większy syf, wziąłem z „Ostatniego Żyda z Węgrowsa” Szrągi Fajwela Bielawskiego.

Myślisz, że wujek mógł ich przewozić?

Jego chałupa stała daleko, kilometr od rzeki. Raczej sam korzystał z przewozu.

Żydowska historia musiała się zjawić, bo to jest Polska. Musiała się zjawić, ale nie mogła zdominować opowieści. Od tego w literaturze polskiej są inni.

Do tego stopnia, że w ostatnich latach zaczęła wypierać to ludowe doświadczenie. Przeczytałem wiele wspomnień tych, którzy pukali do chłopskich drzwi z nadzieją na ocalenie. Czytałem o ich determinacji, odwadze, strachu. Strachu tych, którzy bali się otworzyć, nie opowiedziano.

Pamiętaj, że to jest jeszcze przed wszystkim. Przed Akcją Reinhardt, przed Holokaustem. Podejrzewam, że nie miałbym siły opowiedzieć historii, która dzieje się rok później.

Zrobiłeś to kiedyś. We „Wschodzie” jest kilka stron o tym, że niedaleko była Treblinka. I że powinno być być czuć ten zapach palonych ciał, a wiatr mógł przynosić resztki spalonych włosów. „Gehenna leżała 30 kilometrów na północny zachód. A gdyby tu? Przychodziłbym z wiejskimi chłopakami na pola popiołów, na zasypane doły, na zatarte ślady”.

Tak, kraina dzieciństwa i niewinności jako przedpiekle. Ziemia jak przekładaniec z mięsa, krwi i kości. Kraj czarnych dołów i ludzkiego tłuszczu osiadającego na szybach. Strachu, smutku i niepamięci. Heniek Grynberg powiedział mi, że to najlepsza poezja holokaustowa, jaką czytał. Pomyślałem, że już nic więcej nie muszę w tej kwestii robić.

→ Dlaczego Żydów nie wspominali? Bo mieli swoje duchy, które zjawiały się wśród nich na skutek zwyczajnej śmierci? Pytania z polskiej podświadomości. Polskie idy. Ciemne. Duszne. A taki fajny kraj mógłby być, gdyby nie geografia polityczna, położenie między wschodem a zachodem, z którymi cię łączy nieustanny *love and hate*... No dobrze, więc to jest książka o podświadomości także. O tym, co jest pod pamięcią. Pod ego i superego. O tym, że tam jest świat, który ma to wszystko gdzieś, a tu husaria, desperaci w lasach, „Dziady”, postromantyzm.

Te pojęcia nic nie znaczą, gdy trzeba mówić o strachu, który odczuwa gospodarz na nagłe pukanie do drzwi nocą.

I który odbiera także jego syn. Który nie wie, kto przychodzi, bo jest małym chłopcem. I który czuje tylko strach promieniujący z rodziców. Rodziców, którzy się boją, ale muszą zrobić to, co robią: przespać, nakarmić tych, którzy zjawili się z otchłani, brudni, może zakrwawieni. A potem milczeć, bo kto milczał, ten przeżył. Ludzi, którzy żyli po cichu i czujnie, czy nie idzie jakaś armia, carska czy hitlerowska, albo partyzantka, choćby i z powstania styczniowego. Bo tu przecież ciągle ktoś przechodził.

Przez kraj, „po którym dobrze się jedzie, a jeszcze lepiej maszeruje”.

A może oni, kurwa, później mówili? Między sobą? Tylko ja nie słuchałem. To też jest ta tragiczność przekazywanej pamięci. Że kiedy miałem 12 lat i jeździłem na wieś, to miałem gdzieś opowieści starych. Wojna, trupy w polu, muchy, smród, Wehrmacht to był ich świat, a ja miałem swój. „Jak Niemcy weszli”, „jak Ruscy przyszli” brzmiało jak „na Wielkanoc” albo „po Wszystkich Świętych”, wpadało jednym uchem, wypadało drugim. Pewnie były też kody, którymi się posługiwali, a których nie byłem w stanie pojąć. Debil, który wołał ganiać po polach z wiejskimi chłopakami...

Więc może gdyby Twój ojciec pamiętał wszystko, i tak nie byłbyś w stanie go usłyszeć? Może w ogóle się nie da usłyszeć opowieści o cudzej przeszłości i trzeba ją opowiedzieć na nowo?

Żeby stała się zrozumiała, na coś się przydała. I żeby była moja po prostu.

Tak. Nie. Nie wiem, ja jestem głupim pisarzem. Obrazki widzę i zapisuję.

Słyszałem, jak opowiadasz o tym: najpierw pojawił się Lubko, a potem Maryśka, żeby miał do kogo wracać.

Myślałem, że kobieta powinna się zjawić. A że zaczęła w pewnym momencie dominować... Znak czasu.

Wydaje się najbardziej wolna ze wszystkich. Wolna także od strachu. „Spierdalaj. Nie boję się ciebie” – mówi Siwemu z tym jego nieustannie i fachowo czyszczonym pistoletem.

Trochę się go pewnie bała. Chociaż kto wie? Nie, pewnie się jednak nie bała. Miała świadomość swojej kobiecości. Władzy, która się z nią wiąże. Podkreślam: książka jest feministyczna. Kobieta daje nowe życie. Rozpala ogień. W stodole, gdzie światło jej lampy naktowej prześwieca przez szczeliny, ale nie tylko.

Ze sposobu, w jakim Doris wypowiada to słowo po raz pierwszy, można odnieść wrażenie, że „stodoła” po Grossie znaczy już w Polsce coś kompletnie innego.

No i mnie się chyba udało to przekroczyć. Myślałem o stodole jako podstawowym elemencie polskiego krajobrazu. Także mojego. Dzieciństwo spędzałem w stodółach, zafascynowany najprostszymi rolniczymi maszynami wuja czy dziadka, zapachami, światłem, które się sący między deskami szalunku, złocistym kurzem, który wiruje w jego promieniach. Jako najmłodszego i najgłupszego wrzucano mnie na górę, do sásieka. Udeptywałem snopki, żeby weszło ich jak najwięcej. Jak stodoła była pod strzechą, to dało się wytrzymać, ale w letnie dni przy żniwach pod eternitem bywało nieznośnie gorąco. Tyrałem tam, podrapany cały i brudny, ale równocześnie szczęśliwy, bo wreszcie miałem prawdziwe męskie zajęcie. Obmyjka potem jakaś i na wieś, do chłopaków. Jak się w końcu z nimi upiłem, przynieśli mnie do wuja, który powiedział: „Połóżcie go do łóżka, dajcie mu dużo wody do picia i miskę do rzygania”. Następnego dnia, pamiętam, ciotka coś nadawała, a wujo na to: „Wiesz co, on przez całe dnie z nami w stodole zasuw, to on się może napić”.

No więc arcypolską książkę napisałem.

Nawet ksiądz jest.

O, ksiądz jest super. Wcale nie uważam, że jest negatywną postacią. Zamożni, opętani, pijący...

Gospoście ma, młodszą niż się wydaje na pierwszy rzut oka... Kolejna wyrazista postać kobieca, która zakłada mocne buty i ratuje w potrzebie męskich bohaterów.

No tak. A ten jej ksiądz... Zaplątany jak ci nasi, pomiędzy modlitwą a egzorcyzmem, polityką i rosnącym poczuciem niepotrzebności, cudem i demonami. „Pił? Pił. Prorokował? Prorokował...”. Zapytasz, czy czekam na reakcję episkopatu?

Nie zapytam.

Bo jeden biskup gromił mnie na kazaniu, jak napisałem w „Tygodniku”, że papież był kiepskim artystą.

Jakby czytał Twoje „Ciało ojca”, też o Janie Pawle II, to mógłby budującą przypowieść skonstruować.

Może mi się zmienia z wiekiem punkt widzenia. Z wiarą we Wcielenie zawsze miałem kłopoty, co mówię z lękiem, że zaraz jak Paweł z Tarsu na drodze do Golic w rowie wyląduję.

Brakuje mi tych jazd na wschód.

A to ciekawe. Bo jak przeczytałem „Przewóz”, pomyślałem też i to, że po szerokim szukałś świecie czegoś, co jest bardzo blisko.

Dla mnie „Wschód” i „Przewóz” się łączą. Nie wykluczam, że im szersze zataczamy kręgi, tym wyraźniejszy jest środek tego krążenia i jego przyciąganie. Obsesyjnie jeżdżę w tamte strony. Jak ruszam stąd do Warszawy, do ojca i siostry, nakładam dwieście kilometrów. Żeby cały czas powracać do krajobrazu fundamentalnego.

Ale samego potencjału dalekiej podróży mi brakuje. Tego, żeby wsiąść w samochód, przekroczyć granicę i odpocząć od tego, co tutaj. W przyszłym roku pojedę. Dojadę do Władywostoku, rozpale ogień w Tuwie, gdzieś na stepach bajkalskich, napiję się. Na 60. urodziny chciałem to zrobić, ale pandemia nie dała. Nad Bugiem musiałem palić ogień.

No to co z tą tragicznością przekazywanej pamięci?

Składamy ją sobie z dostępnych elementów, w które wierzymy albo mo-



GRAŻYNA MAKARA

ANDRZEJ STASIUK

jest pisarzem i felietonistą „Tygodnika Powszechnego”, laureatem Nagrody im. Kościelskich, Nagrody Literackiej Nike i Nagrody Literackiej Gdynia. Autor kilkunastu książek, ostatnio opublikował – pierwszą od dziewięciu lat – powieść, „Przewóz”, której akcja rozgrywa się zarówno w czerwcu 1941, jak latem 2020. Na zdjęciach: w swoim domu w Wołowcu, maj 2021 r.

zemy uwierzyć. Klecimy coś, budujemy. Wymyślamy sobie tak samo, jak wymyśla PiS, biorąc to, co w danym momencie potrzebujemy i co nas zadowala. Jednych zadowolają wersje prostsze, innych bardziej złożone.

A jak chodzisz na protesty i widzisz tych młodych, którzy wznoszą hasła przeciw PiS-owi, to masz poczucie, że oni szukają wersji złożonych?

Co ja tam mogę wiedzieć, w dwóch protestach gorlickich brałem udział. Ikonosfera nie wskazuje, żeby szukali. Może to jest pierwsze pokolenie, które próbuje wyjść z rodzinnych narracji? Nie wiem, nie gadałem z nimi, tylko się darłem, choć myślę, że gdyby całkiem się wydobyli z tej pamięci rodziców, to też nie byłoby dobre. W odpowiednich proporcjach narodowy drink trzeba mieszać.

Trochę białego, trochę czerwonego.

No bo dlaczego ciągle musimy mieć takie wahadło? Aquaparki i ciepła woda,

udawanie, że się urodziliśmy w 1989 r., ewentualnie jak nas do Unii inkorporowano, albo przeszłość w idyllicznym dworku? Nie można by tego jakoś połączyć? Różne tradycje zharmonizować?

W Twojej książce szczęśliwie dworku nie ma.

Przecież ja jestem z chłopskiej rodziny. Proszę cię. Jeszcze tutaj w okolicy różni postchłopi sobie dworki stawiają. Chyba po to, żeby mnie wkurwiać. Plebania może by od biedy mogła posłużyć za ich parodię. Porcelana i szybki w drzwiach, zastawa brzęczy, Lubko widelec pierwszy raz w życiu bierze do ręki.

PiS wygrywa, bo wyczuwa ciemne prądy podświadomości polskiej. I sypie pieniędzmi. Odwraca kapitulanką narrację PO. I słusznie odwraca, bo przecież nie jesteśmy najbrzydszą panną. Co mówię, chociaż ostatnio przeczytałem gdzieś o sobie, że jestem ojkofohem. Nowego słowa się nauczyłem.

„Przewóz” to ma być ojkofobia? Przecież to jest wyznanie miłosne do ojczyzny.

Jak każda moja książka. Nigdy nie miałem takiego pomysłu, żeby zmienić kraj. No może na Słowację mnie czasami wygania, przejechać 30 kilometrów i poczuć, że nie ma Polski, ale to tak jak ci czasem żona doje – nigdy na dłużej. A jak do Rosji jadę czy Mongolii, to po miesiącu słucham piosenek Kleyffa, żeby poczuć język, i płakać mi się chce. To jest superpolszczyzna.

Powiedział człowiek, który polszczyźnie przywraca tyle słów.

Wiesz, tyle lat w zawodzie, to się już samo pisze. Gumno, smug i kluczka – moje ulubione słowa z tamtych stron. Smug to jest taka niska łąka, trochę podmokła. A kluczka to taki długi kij do wyciągania wiadra ze studni, która nie miała kołowrotu. Wieczorem się zaganiało krowy na gumno.

Ja się zawsze ze swoją klasą identyfikowałem, chociaż się z niej wyrodziłem i pisarzem zostałem, zamiast bezrobotnym po rozwaleniu fabryki FSO, w której miałem już karierę zaplanowaną.

Też byś był cywilem. Tylko w innej wojnie.

Ojciec załapał się jeszcze na Koreańczyków, ale nie bardzo mu się podobało. Budował tę fabrykę własnymi rękami, całe życie jej poświęcił w tym upiornym komunizmie, który dał mu wolność od polskiej wsi, nędzy i zacofania, aż nagle się pojawili jacyś żółci i zaczęli normy śrubować. Ale zagłady samej fabryki nie przeżył, był już na emeryturze.

I teraz jadę kolejką wzdłuż tych ruin do Choszczówki. Wspominam młodość. Zawodówkę przy fabryce. Trzy dni w tygodniu w samej fabryce. Niby nuda, ale też duma, jak się o szóstej rano patrzyło na ten wąż sunących do niej facetów. Jakaś siła w tym była, zwłaszcza jak się to widziało oczami dzieciaka. Siła, stabilność, odpowiedzialność, męskość po prostu, bo ci ojcowie wychodzili z domu, ale zawsze po piętnastej wracali, w odróżnieniu od dzisiejszych. Bo obiecali, bo przysięgali, bo tak się robi... To jest fascynujące w tamtym pokoleniu, ostatnim męskim. Mój ojciec wychodził o piątę, ale zawsze wracał. Przez całe moje życie.

© Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI



Wioślarz, tempera jajowa, płótno, 130 x 90 cm, 2021 r.

Po prawej od góry:

Plac Narutowicza, tempera jajowa, płótno, 130 x 190 cm, 2020 r.

Citroën, 2021, tempera jajowa, płótno, 140 x 200 cm, 2021 r.

Wyjęte z osi czasu

PIOTR KOSIEWSKI

Jarosław Modzelewski jest uważany za klasyka. Docenionego, oczywistego, więc i coraz mniej obecnego. Nowymi płótnami pokazuje, że malarstwo pozwala poradzić sobie z teraźniejszością i uporać się z przeszłością. I tego nam teraz potrzeba.

W 2005 r. JAROSŁAW MODZELEWSKI napisał tekst „Zobaczone obrazy możliwe do namalowania”. Pisał w nim o roli, jaką ma dla niego to, co ujrane, podpatrzone. To, co przechowane w pamięci i co może, ale nie musi zostać przeniesione na płótno. „Nie wymyślam obrazu ani nie składam go z własnych klocków” – notował. Jest on „wynikiem obserwacji świata rzeczywistego”.

Od lat jego obrazy są wynikami takich właśnie podpatrzeń rzeczy czy wydarzeń pozornie mało istotnych. Nie podejmuje spektakularnych tematów, nie maluje efektownych pejzaży, nie opowiada sensacyjnych historii. Przygląda się otaczającej nas codzienności i o niej opowiada. O tym, co tu i teraz. Do takich prac Modzelewskiego jesteśmy też przyzwyczajeni. Wystawa w Galerii aTAK przełamuje to wyobrażenie. Wprowadza do jego twórczości coś, co do tej pory było niemalże nieobecne: przeszłość. Odwołania do własnej historii.

Ciele na płocie

„Tramwaj po wypadku stojący na pętli na placu Narutowicza. Powybijane szyby, połamane blachy. Ojciec wziął mnie na ręce, żeby lepiej widział” – wspomina w tekście towarzyszącym tej wystawie. I dodaje: a może dlatego, że się bałem. W stojącym przy tym placu kościele Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny później przystąpi do pierwszej komunii. A zapamiętane wówczas cynobrowe niebo, które wiąże się „z silnym wspomnieniem słońca nad tą częścią Ochoty”, pojawia się w wielu jego obrazach. Jest też na namalowanym w 2020 r. płótnie „Plac Narutowicza”.

Obraz poświęcił temu najwcześniejszemu wspomnieniu: młody mężczyzna z dzieckiem na rękach przyglądają się rozbitemu wagonowi linii „9”. W tle widać monumentalną wieżę kościoła wzniesionego według projektu Oskara Sosnowskiego. Praca ta – nieobecna na wystawie w Galerii aTAK – jest kluczowa dla całej grupy płócien powstałych w latach 2020-21. Wszystkie one odnoszą się do młodziennych lat Jarosława Modzelewskiego.

Na jednym z obrazów jakieś niesforne ciele zaczepiło się o sztachetę, próbując przeskoczyć przez płot. Zwisa bezradne, w bólu. Kobieta trzyma ręce nad głową w geście ni to bezradności, ni to rozpacz. Gospodarz próbuje zwierzęciu pomóc. Na innym Modzelewski przedstawił scenę wypadku w Ukcie: przewrócony wóz, leżące konie. Starszy mężczyzna spada. Młodszy,

z ręką w gipsie, ratuje dziecko. To przyszedł malarz i jego ojciec.

Są też inne wspomnienia. Dwóch chłopców w nocy, ukrytych pod kołdrami, gra w karty – to scena zapamiętana z kolonii w Karlinie koło Białogardu. Na innym obrazie trzech nastolatków leży na kocu rozłożonym nad brzegiem Wisły. Śpią, a może tylko są zamyśleni. W tle widać plażę i kąpiących się ludzi. Panuje cisza, wszystko wydaje się być w bezruchu. Zatrzymane.

Wczesne lata, dorastanie, młodość wydają się w tych „Obrazach z dzieciństwa” podszyte lękiem i niepokojem. Owszem, jest na nich obecna rodzina. Ci, co chronią dziecko, jak ojciec w chwili wypadku w Ukcie, czy matka, która z czułością i wielką ostrożnością prowadzi malca po kamieniach ułożonych nad rzeką. Jednak nawet chwile wyjątkowe, jak zaproponowana przez wujka Polikarpa przejażdżka czarnym, eleganckim Citroënem (wtedy to była ogromna rzadkość), zdają się w małym chłopcu wywoływać zakłopotanie.

Pamięci, przemów

Dlaczego te właśnie wydarzenia zostały w pamięci malarza? Dlaczego pierwszym, które w niej zachował, jest wypadek tramwajowy, a nie wspomnienia z domu czy z przedszkola? Odpowiedzi na te pytania szuka sam Modzelewski. Może powodem była ich odmienność, inność. Może, jak pisze, patrząc na rozbity tramwaj po raz pierwszy uświadomił sobie, że „na tym świecie może stać się coś złego i groźnego, coś, co zaburzy porządek i bezpieczeństwo”.

Świat dzieciństwa w obrazach Jarosława Modzelewskiego pojawiał się dotąd dość incydentalnie. Czasami w zaskakujący sposób, jak w powstałej w 1986 r. zagadkowej „Pierwszej komunii”, w której chłopcu w uroczystym stroju towarzyszy... wielki, oskubany kurczak. Z kolei w namalowanym dwa lata później „Dzieciństwie” postać dziecka można dostrzec jedynie w oddali, na jednym z ostatnich planów. Dominuje widok wnętrza z efektownymi schodami prowadzącymi na piętro.

Zmianę przynosi dorastanie jego dzieci. Zaczynają się pojawiać w jego obrazach. Dopiero jednak teraz wrócił do dzieciństwa własnego oraz wprowadził – co nie mniej ważne – do swych obrazów silny wątek autobiograficzny. Walter Benjamin w „Berlińskim dzieciństwie około



roku tysiąc dziewięćsetnego” podkreśla, że prawdziwe znaczenie wydarzeń z przeszłości poznajemy dopiero, gdy po latach do nich wracamy i zaczynamy je zapisywać. Wtedy, niczym po przebudzeniu, „potrafimy przypomnieć sobie wszystko to, co najbliższe, najbanalniejsze i najoczywistsze”. Wspominając zaś możemy szukać ukrytych znaczeń. Lecz, o czym przypomina Benjamin, podstawową cechą naszych wspomnień jest fragmentaryczność. Przeszłość zaś domaga się dopełnienia, dopowiedzenia, a czasami zdarzenia peryferyjne, incydentalne, okazują się mieć znaczenie kluczowe.

Dla Benjamin narzędnikiem pozwalającym odzyskać obrazy z przeszłości była literatura. Podobnie jak dla Vladimira Na-

bokova, który lata dzieciństwa odtworzył w słynnej książce „Pamięci, przemów”. Dla Jarosława Modzelewskiego takim narzędziem okazało się malarstwo. To ono pozwoliło na powrót do wydarzeń sprzed lat. Na przeniesienie na płótno wydobytych z pamięci scen wraz ze szczegółami, które pozornie są drugorzędne (jak kolor nieba danego dnia), i tym samym postawienie pytania o ich znaczenie.

Znak mój

Nowymi płótnami Modzelewski przypomina, że malarstwo pozwala zmierzyć się z otaczającym nas światem. Poradzić sobie z teraźniejszością, ale też uporać się z przeszłością. Bo to obraz – jak przekonywał w innym tekście – „nada się do



Dziewczynka z kartami, tempera jajowa, płótno, 100 x 120 cm, 2021 r.

→ przeciwstawienia się upływowi czasu, pomaga coś upamiętnić, wyjąć z osi czasu”.

Jest na wystawie obraz nie do końca mieszczący się w opowieści o dziecięcym czasie. Został on zatytułowany „Malarz i znak” i przedstawia Modzelewskiego dziś. W ręku trzyma pędzel. Zwraca się ku znajdującemu się przed nim wielkiemu znakowi Rodła – zapewne umieszczonemu na innym jego obrazie. W tekście towarzyszącym wystawie w tym autoportrecie dopatrzono się kolejnego nawiązania do wczesnych lat malarza. Znak Rodła powiązano z harcerstwem lat 60. ubiegłego stulecia, z koloniami, młodzieżową wspólnotą.

Ten znak, przedstawiający bieg Wisły z zaznaczonym Krakowem i używany przez Związek Polaków w Niemczech od lat 30. minionego wieku, jednak już wcześniej pojawił się w twórczości artysty. W szczególnych okolicznościach, bo wśród innych emblematów, „znaków umownych”, jak je określono, które znalazły się na obrazach dyplomowych Modzelewskiego powstałych w pracowni malarstwa Stefana Gierowskiego na warszawskiej ASP w 1980 r. Obraz „Malarz i znak”

przedstawiający artystę powtarzającego motyw sprzed czterech dekad (lub poprawiającego dawne dzieło) można zatem odczytać jako powrót do innej przeszłości – do początków twórczości. Do studiów i do dyplomu, który był formalnym potwierdzeniem tego, że jest się artystą. I jest on rodzajem pętli między dniem dzisiejszym a pierwszymi artystycznymi wyborami.

W ponurych latach 80. wraz z innymi członkami Grupy Modzelewski udowodnił, że przy pomocy pędzla i farby można tworzyć sztukę na wskroś współczesną, żywą, wywołującą emocje. Uprawiać twórczość niezależną od ówczesnych władz, ale bez popadania w religijny czy patriotyczny patos. Z biegiem lat jego malarstwo wyciszyło się. Stało się bardziej powściągliwe. Przybrało klasyczną formę w najlepszym rozumieniu tego słowa. Dziś Jarosław Modzelewski jest też uważany za klasyka malarstwa. Docenionego, obecnego w każdej syntezie dziejów sztuki ostatnich dekad. Oczywiście, więc i coraz mniej obecnego. Tymczasem „Obrazy z dzieciństwa” pokazują, że jego malarstwo nieustannie ewoluuje, zmienia się i niepokoi.

Może też przyszedł czas na inne, mniej oczywiste odczytania jego twórczości. Tym bardziej że dziś wraz z nowym pokoleniem malarek i malarzy – jak członkowie Potencji (Karolina Jabłońska, Tomasz Kręcicki i Cyryl Polaczek) albo Martyna Czech i Karol Palczak – wróciło pytanie o możliwość tworzenia obrazów nawiązujących do malarstwa bliskiego rzeczywistości, chociaż niekoniecznie zaangażowanego politycznie czy społecznie. O możliwość przemyślenia na nowo rozmaitych form realizmu po doświadczeniach ubiegłego stulecia – doświadczeniach kolejnych awangard oraz umasowienia fotografii i filmu. Odpowiedzi Modzelewskiego na to pytanie, jego obrazy – oszczędne, enigmatyczne, ale oddziałujące na emocje, należą do najciekawszych, jakich udzielono w polskiej sztuce ostatnich dekad.

© PIOTR KOSIEWSKI

Jarosław Modzelewski **OBRAZY Z DZIECIŃSTWA**, Warszawa, Galeria aTAK, wystawa czynna do 31 lipca 2021, kuratorka Katarzyna Włodarska.

Reprodukcje obrazów Agata Ciołkowska dzięki uprzejmości Galerii aTAK

Innej rewolucji nie będzie

MONIKA OCHĘDOWSKA

Błazej Król, tak jak Marcin Świetlicki, odwołując się do najdziwniejszego utworu najpopularniejszego zespołu wszech czasów, musiał w końcu uznać samego siebie za część ciężkostrawnej, medialnej papki.

PAMIĘTAMY GO PRZEDĘ WSZYSTKIM jako autora „American Psycho”. Bret Easton Ellis, jeden z najbardziej kontrowersyjnych współczesnych pisarzy amerykańskich, ostatnią dekadę spędził w Los Angeles, chałturząc jako scenarzysta nie zawsze udanych filmów i seriali. Uznając, że literatura nie angażuje już ludzi tak jak w latach 90., odpuścił sobie krytykę bananowej młodzieży i białych kołnierzyków. W ostatniej powieści „Cesarskie sypialnie” z 2010 r. próbował jeszcze kąsać karmiącą go rękę Hollywood, odmalowując zepsucie fabryki snów na wszystkich jej szczeblach, od aktorów po producentów. Potem Ellis wypuszczał już tylko tweety. Dwa lata temu kultowy reprezentant Nowego Realizmu zaczął jednak – jak sam przyznaje – czuć irracjonalne rozdrażnienie, które przerodziło się w potrzebę ponownego sięgnięcia po pióro.

Bielszy odcień bieli

Urodzony w latach 60. Ellis swój warsztat krytyczny opierał w dużej mierze na charakterystycznej dla swojego pokolenia „ironii i negatywności”. W mediach społecznościowych pozwalał sobie na niepochlebne oceny słusznych, nagradzanych przez Akademię filmów jak „Moonlight” (opowieść o dorastaniu ubożego, czarnego, homoseksualnego chłopca) czy „The Hurt Locker. W pułapce wojny” (pierwszy Oscar za reżyserię dla kobiety). Wyznawał, że wśród jego przyjaciół są wyborcy Donalda Trumpa, i że są to kobiety z wyższym wykształceniem oraz geje (sam Ellis żyje w związku z mężczyzną). Wreszcie – oceniał estetykę ruchu Black Lives Matter.

Za każdym razem, gdy dzielił się swoją opinią na Twitterze, uczyszany był tym samym argumentem – jako biały mężczy-

zna nie ma prawa do sądów na powyższe tematy.

Wszystkie te doświadczenia i przypadku Ellis zebrał i opisał w eseju „Biały”. Amerykański wydawca na okładce zamieścił kilka epitetów, którymi można określić autora (pisarz, krytyk, kochanek), unieważniając je ostatecznie na rzecz jednego – tytułu. Taka jest też główna teza eseju Ellisa: „biała tożsamość” okazała się podstawowym określeniem pisarza, jego przekleństwem oraz winą.

W czasie, gdy amerykańscy milenialsi odmawiali Ellisowi prawa do opartych na przywilejach poglądów, naszym „białym” obwołano Marcina Świetlickiego. Zaczęło się od rezygnacji z nominacji do Nagrody Nike w 2014 r. Niedługo potem poeta udzielił utrzymanego w łobuzerskim tonie wywiadu, w którym skrytykował środowiska „Gazety Wyborczej” i „Krytyki Politycznej”, żartował z rowerzystów i biegaczy, a festiwal Męskie Granie nazwał „gejskim”. „Bardzo lubię prowokować ludzi o jednowymiarowych poglądach, jak również bardzo lubię robić sobie żarty z ludzi, którzy nie mają poczucia humoru. A jak widzę kogoś poprawnego politycznie, to mnie tak korci, oj, korci, żeby zaszeptać, wysyczyć coś bardzo niepoprawnego...” – tłumaczył.

Niezrażony ewentualnym posądzeniem o brak poczucia humoru pisarz Jacek Dehnel objaśnił, że dobre samopoczucie umożliwia pocie jego uprzywilejowana pozycja „białego, heteroseksualnego mężczyzny, etnicznego Polaka, który osiągnął zawodowy sukces”. I choć Świetlicki, rówieśnik Ellisa, zwykł przyjmować charakterystyczną dla tego pokolenia ironiczną pozycję trickstera (w „Białym” znajdujemy skądinąd interesującą próbę nakreślenia jej źródeł), to dla wielu jest dokładnie w tym miejscu, co autor

„Cesarskich sypialni” pracujący dla Hollywood – w samym sercu „systemu”. Pozycja zdystansowanych obserwatorów jest w przypadku „białych” podejrzana. „Żartować mogą dzisiaj tylko ci, którym nic nie grozi” – uważa tłum wychodzący przeciwko nim na ulice.

O tym wszystkim jest najnowsza płyta supergrupy Morświn „Rewolucjaa” (wydana przez niezależną agencję Karrot Kommando) – Paulina Owczarek: saksofon barytonowy, Małgorzata Tekiel: bas, Marcin Świetlicki: głos. Skojarzenia z amerykańskim trio Morphine uprawnione.

Bardziej radykalny niż cokolwiek

„Stary, skończony Świetlicki. Najprościej by było to zlekceważyć” – trudno o bardziej lapidarną i trzeźwą ocenę własnej recepcji. Przed rezygnacją z lektury jego tekstów wstrzymuje nas jeszcze domniemanie – melorecytuje Świetlicki – że w tym, co „znowu” naprodukuje, „może być zagrożenie, wirus – neoliberalizm”. Czytelnicy wydanej dwa lata temu książki „Ale o co ci chodzi?” odsłuchując „Rewolucję” prędko rozpoznają, że głos deklamuje kilka pochodzących z niej wierszy. To książka, w której Świetlicki pisał m.in. o lęku przed ironią, który sprawia, że wytacza się przeciwko niej „ciężkie i masywne poprawnościowe działa”. Diagnozując jednocześnie (Ellis byłby zachwycony!) idącą z nim w parze epidemię samowiktyimizacji – definiowania siebie poprzez traumę (bohaterka wiersza jest „biedna i poraniona, nie wolno jej pomóc”).

Wotum nieufności wobec świata, w którym każde słowo może się stać podejrzanym i niepoprawnym, zdradza już pierwszy zamieszczony na płycie kawałek, programowy „Nieuf”. W książce ten sceptycyzm odnosi się do młodzieży śpiewającej sponsorowane pieśni o powstaniu i czynie zbrojnym. Na płycie pozostał wykrzyczany kilkakrotnie tytuł →



**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.

Śluchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

→ wiersza, jakby ten staroświecki dystans stał się domyślnym stanem podmiotu liryczno-wokalnego. W krzyku „Nieufa” słyszę „Białego”, który uparcie próbuje przeciwstawić się dyscyplinie publicznego dyskursu, rozumiejąc to jako swoją wolność i autentyczność. Co może nastąpić po takiej deklaracji? Jest oczywiście tylko gorzej: panie nazywane są babami („Mowa nienawiści”), nad Polską unosi się „kadzidlany dym z grilla”, jest „Matka Boska z bocianami w gnieździe”, a zaraz po nich „Koehler i Wencel, Pereira i Wildstein” („Polska 9”).

Mimo że teksty Świetlickiego pochodzą sprzed czasu naszej ponadrocznej izolacji, nie tylko zapowiadają pandemiczny „koniec wszelkiej aktywności”, ale także – anonsowaną dziecięcym głosem – uliczną rewolucję. Dziecięcym zapewne dlatego, że – jak wyjaśnia kontestujący pozorną kontestację poeta – „rewolucje są delikatne”. Ze stojącego w upale, nabrzmiewającego tłumem liżącego wielkiego lodu nie padnie żaden postulat poza jednym: „nie opuścimy tej kawiarni”.

Płyta powstawała w czasie lockdownu, a czternaścioro zaproszonych

przez Morświnowe trio muzyków bez porozumienia ze sobą nagrało partie instrumentów, z których uszyty został przez Małgorzatę Tekiel zgrzytliwy *patchwork*. To pierwszy z powodów, dla których „Rewolucjaaa” przypomina równie akcydentalne „Revolution 9” Beatlesów. W tytułowym kawałku słychać powtarzane w zapętleniu, charakterystyczne „number nine”, a także inne zabawy, m.in. puszczone od końca taśmy z głosem Świetlickiego.

John Lennon miał powiedzieć o tym najbardziej awangardowym kawałku czwórki z Liverpoolu, że był próbą stworzenia obrazu rewolucji za pomocą dźwięków. W kolejnych wywiadach naturalnie wszystkiego się wypierał, twierdząc, że utwór nie jest niczym więcej niż dziełem przypadku. Na trwający niecałe dziewięć minut dźwiękowy kolaż składają się zapętlone fragmenty taśm z muzyką klasyczną, wrzaski, jęki i rozmaite głosy, które opisywano także jako próbę przekształcenia sennych koszmarów w dźwięki. A zatem – nasza rewolucja to szum. Szum, który pozostawia po sobie wrażenie kompulsywnego przeglądania

kanałów telewizyjnych tuż przed zaśnięciem.

W samym sercu hałaśliwej rewolucji nagranej przez Morświna tkwi jednak ultraczuła pieśń dedykowana Robertowi Brylewskiemu (wiersz „RB”), która sprawia, że z największą nieufnością i uszczypliwością głos zdaje się traktować sam siebie. Oto w miejsce zespołów „bardziej radykalnych niż cokolwiek” wdzierają się „głuchy śmiech pokoleń”. Punk naprawdę umarł.

Witajcie w naszej bajce

Jeśli inspirowana awangardowym kawałkiem Beatlesów „Rewolucjaaa” połączona z nagranych osobno partii instrumentalnych przypomina nocny zgiełk telewizyjnych odbiorników, podobne wrażenie wywołuje najnowsza płyta Błażeja Króla „Dziękuję” (ART2 Music) – wrzucona już przez krytyków do plastikowego pudełeczka z etykietką „trash art”.

Choć Król gra dokładnie od 20 lat – najpierw w gorzowskim zespole Kawałek Kulki, potem w (także gorzowskim) duecie UL/KR – dopiero solowa kariera roz-

Koncert Błażeja Króla na bulwarach wiślanych w Warszawie, lipiec 2015 r.



poczęta wydany w 2014 r. albumem „Nielot” przyniosła mu rozpoznawalność. Dziś ma już na koncie sześć płyt oraz kilka produkcji nagranych w duecie z żoną, Iwoną Król (w podgorzowskim Jeninie) – jako Kobieta z Wydm oraz Lauda. Na początku zeszłego roku wyróżniony Paszportem „Polityki” „za dar zamykania osobistych emocji w piosenkach o atrakcyjnej, zwięzłej i melodyjnej formie” wykorzystał rozgłos zostając jednym z trzech głównodowodzących muzyków Męskiego Grania.

Co prawda nie lubi, gdy mówi się o jego tekstach jak o poezji, ale wszystkie wymienione powyżej przedsięwzięcia (poza ambientowym „Genninem” Laudy) łączy zabawa w ducha surrealistów. Król przyznaje się do spontanicznego składania karteczek ze słowami, bałaganiarskiego mieszania sensów pod wpływem snów. Ta deklaracja, charakterystyczna dla wielu kiepskich twórców, ma jednak w przypadku Króla zupełnie inny ciężar. Wokół szepczanych przez niego do mikrofonu fraz zbierają się chmury podobnie brzmiących słów i półsłówek, szeleszczących spółgłosek i pogłosów. Wyrazy lgną do siebie, tworząc zmysłowe, choć nie zawsze przyjemne historie ułożone blisko ciała, jak gryzący sweter z piosenki „Powoli” (album „Nielot”).

Pojawiające się na kolejnych płytach Błazeja i Iwony Królów zapisy niepozornych zdarzeń i zwyczajnych rozmów, są czące się strumyczki podświadomości, gry między dwojgiem bliskich sobie ludzi zapętlane aż do absurdu, przypominają wariację na temat „Revolution 9”. Wierze, gdy Król (jak Lennon) mówi, że „nie ma w tym wszystkim dna” – choć to też najbardziej poetycka deklaracja, jaką można sobie wyobrazić. Sama powierzchnia piosenek jest wystarczająco roziskrzona, by wywoływać w słuchaczach mocne spięcia.

„Mnie fabuły nie interesują, wolę iść w impresje, które działają jak kopniak albo pocałunek” – mówił w jednym z wywiadów. Zdecydowanie więcej jest w jego utworach pocałunków, szczególnie takich na dobranoc, bo nie tylko na płycie „Przez sen” Król brzmi tak, jakby śpiewał nam bajki. Ale uwaga, to kołysanki inspirowane balladami, które urodzonemu na początku lat 80. artyście śpiewać mogła Małgorzata Ostrowska – dziwne, niepokojące, szorstkie. Jego płyty pasują zresztą do nagranych dwa



Marcin Świetlicki podczas koncertu online w Strefie Innych Brzmień.
Warszawa, czerwiec 2020 r.

lata temu „Snu o 7 szklankach” Comy, zawierającego nowe aranżacje piosenek „Akademii Pana Kleksa”.

Przewijanie na podglądzie

Jeśli we wcześniejszych płytach Króla była introwertyczna niespieszność, powolne wgrzanie się w rzeczywistość, to najnowsza, zrobiona zaraz po zamknięciu Męskiego Grania (co tu kryć, dla wielu jego fanów „gejskiego”), jest zdecydowanie bardziej *au courant* – syntpopowa i dynamiczna, przebojowa. Jakby Król odpowiedział nią sobie na zadane kilka lat temu w jednej z piosenek pytanie: co zrobić, gdy już wszystko mu się uda – „powoli wypuszczać powietrze czy przebić balon szybkim ukluciem”?

Żartując, że z każdą płytą tyle samo słuchaczy zyskuje, ile traci, nie ukrywa, że chciał się sprawdzić jako autor wpadających w ucho kawałków: „trudniej napisać dobrą piosenkę, niż być awangardowym kolesiem kręcącym gałkami w impro-noisowym szale”. Ostatecznie nie ma co ufać takim deklaracjom, tym bardziej że muzyk pracuje już z żoną nad kolejną płytą postpunkowej z ducha Kobiety z Wydm. Jedno jest pewne: pan Błazej jest królem uników, skutecznie ucieka zarówno przed gębą wrażliwego, melancholijnego poety, jak i sympatycznego tygrysa brykającego po dużej scenie.

„Dziękuję” to zatem – pod wieloma względami – kolejne wcielenie „Revolution 9”. Król, jak Świetlicki, odwołując się do najdziwniejszego utworu najpopularniejszego zespołu wszech czasów, musiał w końcu uznać samego siebie za część ciężkostrawnej, medialnej papki, której pejzaż dźwiękowy nam prezentuje. Ten prawdziwy zwierz popkulturowy

czepie inspirację zewsząd, poczynawszy od Krystyny Prońko (piosenka „TERAZ MOŻEMY JUŻ” brzmi jak odtworzone w przyspieszonym tempie „Jesteś lekiem na całe zło”) po „Everywhere” Fleetwood Mac (z jego melodii korzysta kawałek „TAKI PIĘKNY UNIK”). Dojmujące jest to wrażenie nerwowego przełączania kanałów muzycznych ze starymi przebojami (wzmoczone zapewne przez lockdown), albo – jak sugerowałby tytuł jednej z poprzednich płyt – „przewijania na podglądzie” zakurzonych VHS-ów, które pojawia się zresztą w teledysku do „TAK JAK TY”. „Płynę sobie swoim nurtem i mam tam zarzuconą jakąś sieć, do której wpada ostatnio coraz więcej, a ja więcej z tego korzystam” – przyznaje w wywiadach. Najwięcej złowił wspomnień z dzieciństwa, bo „Dziękuję” to elektroniczna pocztówka retro z lat 80.

Ale i w tym basenie z kolorowymi kulami czai się niepokój (zobrazowany w klipach jako wielka gaśienica z ludzką twarzą), zapowiedź nieokreślonej przemiany, lęk o to, że w końcu ktoś „przyjdzie i przejmie władzę”. Czy pozostaje nam „czekać spokojnie aż [to] wybuchnie”, choć także w nas coś „gotuje się i puchnie”? Wiem jedno: nawet popularnego tekściarza Króla ze „skończonym” poetą Świetlickim łączy przekonanie pogłębiającego się rozziwmu między odczuwaniem rzeczywistego siebie a otoczeniem, przypominającym coraz wymyślniejsze formaty *reality shows*. Być może nie słyszymy już innej melodii istnienia prócz dochodzącego zza kineskopowych szybek zgiełku, który – przepuszczony przez stoł mikserski – może nawet udawać krzyk rewolucji.

©© MONIKA OCHĘDOWSKA

Brzydkie tatuaże

ANITA PIOTROWSKA

Judd Apatow zdaje się być zakochany w niedojrzałości. Zwłaszcza tej w krótkich spodenkach. Do jego galerii Piotrusiów Panów dołączył niedawno tytułowy bohater „Króla Staten Island”.

MOŻNA GO KOCHAĆ ALBO NIENAWI-
dzić, ale dorobek ma imponują-
cy. Od najmłodszych lat zafascynowa-
ny stand-upem, Judd Apatow karierę
rozpoczął na zmywaku w klubie kome-
diowym. Dzisiaj to człowiek instytucja:
autor przebojowych, acz mało roman-
tycznych komedii, współtwórca popu-
larnych programów telewizyjnych w ro-
dzaju „The Larry Sanders Show”, produ-
cent wykonawczy serialu „Dziewczyny”
Leny Dunham i odkrywca komedio-
wych talentów, takich jak Seth Rogen.

Cechą charakterystyczną filmów no-
wojorskiego twórcy o żydowskich korze-
niach jest mało wybredny humor poze-
niony z konserwatywnymi wartościami,
ale też ciepły stosunek do bohaterów,
których najłatwiej byłoby po prostu spo-
niewierać śmiechem. Uniwersum Apa-
towa zamieszkują bowiem różnej maści
przegrywy i dziwolągi: czterdziestoletnie
prawiczki i wykołajone dziennikarki,
zabawni ludzie na antydepresantach
i przypadkowi kochankowie zaliczający
wpadkę, zafiksowane w swoich szkol-
nych rolach luzaki i kujony (większość
z tych kolokwializmów to zresztą tytuły
jego filmów). Biorąc pod uwagę ów po-
wtarzalny schemat, reżyser zdaje się być
zakochany w niedojrzałości. Zwłaszcza
tej w krótkich spodenkach.

Do galerii Piotrusiów Panów dołączył
niedawno tytułowy bohater „Króla Sta-
ten Island”. Ma co prawda tylko 24 lata
(w dzisiejszych czasach coraz częściej

oznacza to przedłużone dzieciństwo), lecz
nie zamierza walczyć ze stereotypem mi-
lenialsa. Upalony ziołem, wyluzowany
i ogólnie nieogarnięty, Scott mieszka
z matką pielęgniarzką (Marisa Tomei),
ciągnie egoistyczny raczej niż erotyczny
związek, robi swoim kumpłom szpetne
dziury, dorabiając jako równie kiepski
kelner. W dalekiej przyszłości chciałby
połączyć obie te dziedziny: założyć restau-
rację i studio tatuażu w jednym. Bo wła-
ściwie dlaczegożby nie?

Bohater nosi koszulę z nadrukiem
w formie wyszczerzonych uśmiechów,
a gumową twarz obsadzonego w tej roli
komika Pete’a Davidsona często rozciąga
taki sam żabi grymas. Coś gryzie marzy-
ciela ze Staten Island. I jest to nie tylko
znużenie miejscem, w którym z punktu
widzenia Brooklynu czy Manhattanu
dzieje się raczej niewiele. Wieczna chło-
pięćność zyskuje tragiczną zgoła głębię,
kiedy owdowiała wiele lat temu matka
rozpoczyna wreszcie nowy związek.

Klasyczna komedia zapewne ośmie-
szałaby edypalną frustrację bohatera,
ale u Apatowa gra toczy się zdecydowa-
nie o coś więcej. Wąsaty Ray (Bill Burr)
zjawia się dokładnie wtedy, gdy chłopak
po wyjeździe młodszej siostry na studia
zostaje sam na sam z rodzicielką. W do-
datku jej nowy partner jest strażakiem,
podobnie jak tragicznie zmarły ojciec
Scotta. Konflikt od początku wisi zatem
w powietrzu, przechodzi rozmaite mniej
lub bardziej przewidywalne fazy i zmie-
rza do osiągnięcia dojrzałości przez opor-
nego w tej materii bohatera.

Twórcy „Króla...” mają na to swoje pa-
tenty. Zwłaszcza Davidson, który pełni
również rolę współscenarzysty filmu,
oparł tę historię na swoich przeżyciach
i osadził ją w rodzinnych stronach. Z na-
pisów końcowych dowiadujemy się, że
film dedykowany został jego ojcu o imie-
niu Scott, który był oficerem straży po-



zarnej i zginął w płomieniach podczas
służby przy World Trade Center, osiero-
cając niespełna ośmioletniego synka. Do-
brze zasiąść do oglądania z tą wiedzą, po-
tencjał historii okaże się wówczas nie tak
błahy, jak by się z początku mogło zda-
wać.

Przesadą byłoby jednak etykietować
ten film hasłami typu „syndrom nieobec-
nego ojca i jego wpływ na rozwój osob-
niczy” – odbierałoby to „Królowi Staten
Island” jego niewymuszoną lekkość.
Można oczywiście psychologizować, dla-
czego Scott bywa prowokacyjny i bez-
czelny, a zarazem wycofany i niepewny
siebie, i dlaczego jego postać chwilami tak
bardzo irytuje. Lecz mimo że niewczesna
inicjacja Scotta musi się kiedyś dokonać,
a scenarzyści próbują wsadzać go trochę
na siłę w dorosły garnitur, robią to przy-
najmniej bez namaszczenia. Aczkolwiek
z pewną skłonnością do gadulstwa, co
rozciąga metraż filmu do dwóch godzin
i kwadransu.

Czas u reżysera „Wpadki” będzie skąd-
inąd całkiem rączy. Łatwo też zauważyć,
że król mało subtelnych komedii sam
w ostatnim czasie wydorósł i wyszła-
chetniał, rezygnując na przykład z seksi-

SPROSTOWANIE

W „TP” nr 19, w rozmowie Katarzy-
ny Kubisiowskiej z Joanną Braun
(„Miłosne samogłoski”), wydrukowa-
liśmy z błędem nazwisko dyrygenta
opery „Hiacynt i Apollo”, pana Kuby
Wnuka. Za pomyłkę przepraszamy.



Pete Davidson i Steve Buscemi w filmie „Król Staten Island”

stowskich czy homofobicznych dowcipasów, chociaż w centrum jego uwagi znajdują się męskie rytuały, ojcowsko-synowskie napięcia i włochata przyjaźń. Podobno wszystkie jego filmy są o poszukiwaniu sensu w świecie, gdzie już nawet seks nie ma sensu, i najnowszy tytuł nie jest pod tym względem wyjątkiem – zaczyna się zresztą od sceny sugerującej próbę samobójczą. Najważniejsze, że mimo grubego humoru, Apatow traktuje swego bohatera poważnie, a Davidson świetnie wygrywa jego fizyczną i społeczną niezgrabność, pod którą kryje się zraniona i mocno pokrecona dusza. Ale żeby egoista, maminsynek i obibok naprawdę dał się polubić, musi nie tylko dostrzec w sobie zranionego chłopca – musi wyjść spod maminej spódnicy i po prostu wynieść się z domu.

Alison Willmore z internetowego magazynu „Vulture” dokonała ciekawej analizy „Króla Staten Island” pod kątem jego potencjału autoterapeutycznego. Dziecięcia trauma, jaką była dla Pete’a Davidsona utrata ojca, zbiegła się równocześnie z wielką traumą zbiorową, czyli 11 września, toteż modyfi-

kując swoją biografię współscenarzysta dokonał istotnych dla siebie przesunień. Po pierwsze, celowo nie popchnął swego protagonisty w kierunku show-biznesu, jakby chciał przedstawić alternatywną wersję własnego losu, wolną od telewizyjnej i tabloidowej popularności. Po drugie, uśmiercił ojca Scotta w sposób mniej spektakularny, czym nadał tej tragedii bardziej osobisty wymiar.

Biorąc pod uwagę zmagania Davidsona z depresją, zaburzeniami osobowości typu *borderline* i uzależnieniem od miękkich narkotyków, „Król...” rzeczywiście jest filmem, który intensywnie coś „przerabia” i robi to w uczciwy, świeży, bezpretensjonalny sposób. A sto cztery tatuaże na skórze Scotta to także część tej opowieści. Dzięki nim ten król nigdy nie jest do końca nagi, nawet jeśli sam Pete zdecydował się ostatnio część z nich usunąć. ©

KRÓL STATEN ISLAND (*The King of Staten Island*) – reż. Judd Apatow. Prod. USA 2020. CANAL+ 4K Ultra HD, Canal+ Premium, 20 V, 22,35, Canal+ 1, 20 V, 23,35, Canal+ Film, 22 V, 20.00. Do wypożyczenia na platformie Rakuten.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Roberto Minervini



Przegląd, DAFilms „Niespokojne serce Ameryki” – takie hasło towarzyszy retrospektywie filmów włoskiego dokumentalisty. Od lat pracuje w USA, a jego kino łączy w sobie społeczny pazur i wrażliwość poety. W programie „Low Tide”, „Stop the Pounding Heart”, „The Other Side” i „Co zrobisz, gdy świat stanie w ogniu?” (tylko ostatni z napisami polskimi). 19 maja o 19.00 na platformie odbędzie się spotkanie z reżyserem.

2. Dziedziczki



Dramat, reż. Marcello Martinesi, Paragwaj i inne 2018, Nowe Horyzonty VOD

To jeden z piękniejszych, ale i bardziej złożonych portretów miłości dwóch dojrzałych kobiet. W otoczeniu topniejących precjozów bohaterki zmagają się z ekonomiczną degradacją i nierównościami w ukrywanym przez lata związku. A wszystko to na tle rzeczywistości politycznej Paragwaju – nowej, lecz ciągle opresyjnej. Nagroda w Berlinie za reżyserię i rolę Any Brun.

3. Witamy na odludziu



Serial, reż. Kim Fupz Aakeson, Dagur Kári, Norwegia 2021, odc. 1-8, HBO GO Dla jednych skrzyżowanie „Przystanku Alaska”

z „Miasteczkiem Twin Peaks”, dla innych skandynawska wersja „ Fargo”. Ta opowieść broni się jednak sama. Przede wszystkim jako przepyszenie groteskowy obraz życia na peryferiach, pośród nieprzychylnej natury, nielegalnych interesów i mocno nieokrzyszanych mieszkańców, nie tylko tych saamskiego pochodzenia.

4. Ściana cieni



Dokumentalny, reż. Eliza Kubarska, Niemcy/Polska/Szwajcaria 2020, vod.mdag.pl

W kontekście osiągnięć Szerpów na K2 i obecnej dyskusji wokół polskiego himalaizmu ten film nabiera trochę innego kolorytu. Zdobywanie świętej dla Nepalczyków góry Kumbhakarna opowiedziane zostało z perspektywy tubylców – ich wierzeń i problemów ekonomicznych, co przynosi ważne dla nas pytania, również na temat kina dokumentalnego.

JAN

Klata:

Modus vivendi



JAKO ŻE JUŻEM ZASZCZEPION, MOGĘ SNUĆ alternatywne wizje świata, z chipem i choćby mimo chipa. Nazwa wprowadzonej we mnie szczepionki jest dwuczłonna, nie wymieniam jej, żeby nie było, że reklamuję. Skutkowała jednolito-

wym *jet lagiem*, przy czym trudno było stwierdzić, na jakiej planecie się znajdowałem, ale nie tańczyłem z gwiazdami, po części z powodu osłabienia, po części z powodu raczej pasywnej pasji do tańca.

Alternatywne wizje świata zaczęły mi kołatać do bram jaźni już w ramach poszczepiennej mgiełki. Obejmowały antidota: częste mycie rąk, jeszcze częstsze mycie jamy ustnej, oraz ciągłe płukanki wybielaczem (tzw. metoda „na

Trumpa”). Mycie rąk, jako najłatwiejsze do implementacji w życie codzienne, postanowiłem zachować, kojarzy się szekspirowsko. Bezustanne szczotkowanie zębów utrudniałoby mi komunikację z otoczeniem, nie wspominając o nadwyżnianiu maseczki, a co do wybielacza – nie mam tyle siły, żeby wszędzie go ze sobą ciągać.

Były jeszcze nasze lokalne wynalazki, nawet multum, ale żaden – zdaje się – nie wypalił. A to polska szczepionka, a to szczepionka produkowana w Polsce, a to rodzimy lek zabijający covid. Pojawił się nawet „Covidowy alkomat” z Podkarpacia reklamowany przez prezydenta Dudę... „To jest naprawdę rewolucja” – powiedział prezydent po badaniu, kilkanaście miesięcy temu. Wyniki miały być po 10 sekundach, być może ktoś z otoczenia prezydenta je poznał, ale utajnił.

Między Bugiem a Odrą jest jak jest, zawsze może być gorzej. Kilkanaście miesięcy pandemii przeleciało jak z bicza strzelił na dwoje babka wróżyła widziały gały co brały. Ludzie stoją w kolejce do szczepień, choćby i niepolską szczepionką, a podkarpacka firma ML System może się skoncentrować na produkcji alkomatów niekovidowych, po prostu, tak będzie precyzyjniej. Generalnie rzecz ujmując: jesteśmy w Polsce po prostu rok bliżej realizacji różnych celów. Nie od razu Baranów zbudowano, nieprawdaz?

©

Lektor:

Obcość dwojaka



■ Albert Camus

OBCY

Przełożył i posłowiem opatrzył Marek Bieńczyk.
Państwowy Instytut Wydawniczy,
Warszawa 2021, ss. 222.

„NIKT NIE JEST DZISIAJ Z TEJ powieści jednoznacznie zadowolony, nikt się z nią nie utożsamia; ani pisarze absurdu, ani historycy i filozofowie kolonializmu, ani historycy prawa (sam proces jest mało realistyczny i przesuwając powieść w stronę przypowieści), ani pisarze francusko-algierscy, ani myśliciele pochodzenia arabskiego, jak Edward Said, ani myśliciele chrześcijańscy, jak René Girard. Ale dla wszystkich jest ona wyzwaniem i wszystkich niepokoi” – pisze Marek Bieńczyk, autor nowego

przekładu „Obcego” (pierwszą tłumaczką była Maria Zenowicz, żona Kazimierza Brandysa). Od pierwodruku oryginału minie w przyszłym roku osiemdziesiąt lat – był to, przypomina Bieńczyk, obok „Małego Księcia” Saint-Exupéry’ego największy sukces w dziejach oficyny Gallimarda: ponad 5 milionów sprzedanych egzemplarzy tylko we Francji. Potem przyszedł zalew interpretacji (do czego sam Camus się przyczynił), a w ostatnich

dekadach zasadniczy zwrot w przesunięciu akcentów: z jednostkowego losu Meursaulta, paradoksalnego „niewinnego mordercy”, który w porażającym świetle słońca na algierskiej plaży zabija anonimowego Araba i skazany zostaje nie tyle za swój czyn, ile za obojętność wobec reguł społecznych – na kontekst historyczny tego czynu. W drugim polskim wydaniu „Obcego” (1967) znajduje się posłowie Andrzeja Kijowskiego, który o owym kontekście – kolonialna Algieria pod francuskimi rządami – w ogóle nie pisze, choć skądinąd algierskiej wojnie o niepodległość poświęcił pięć lat wcześniej sporo miejsca w książce „Sezon w Paryżu”. Teraz Bieńczyk przypomina, że kolonialne tło historii Meursaulta przywołał już w 1961 r. Pierre Nora i że

„Obcy” doczekał się dwóch powieściowych komentarzy ze strony pisarzy algiersko-francuskich – Kamel Daoud bohaterem „Sprawy Meursaulta” uczynił młodszego brata bezimiennej ofiary. „Już nie tyle »obcy« zabija Araba, co biały zabija obcego, wykluczonego” – komentuje Bieńczyk. Cytując zaś głosy postkolonialnej krytyki przywołuje także Michała Pawła Markowskiego: „Trzeba Camusa czytać, ale trzeba go czytać przede wszystkim jako symptom słabości zachodniej tradycji, która potajemnie łączy smutek z powodu piękna świata z odebraniem światu wszelkiego znaczenia”. Sam tłumacz nie jest na szczęście tak kategoryczny, pozostawiając wybór czytelnikowi. Bo „posłowania przemijają, powieści zostają”. ©©

PAWEŁ

Bravo:

Czas wycinania dusz



SIEDEMNĄSCIE PROCENT ŻYWNOSTCI WYTWORZONEJ OGÓŁEM PRZEZ LUDZKOŚĆ W 2019 R. ULEGŁO ZMARNOWANIU. TAKIE SĄ KONKLUZJE NAJNOWSZEJ EDYCJI RAPORTU PROGRAMU ŚRODOWISKOWEGO ONZ. CZYTAŁISCIE O TYM JUŻ NIERAZ W NASZEJ RUBRYCZCE, BO TO JEDEN

z ważnych cyklicznych momentów w corocznej rutynie świadomego konsumenta. Autor lub autorka kącika modowego każdej wiosny musi w świeży sposób opowiedzieć o nowościach dopiero co zakończonego Fashion Week w Mediolanie i rozsiewać iluzję, że ludzkość nareszcie wymyśliła coś użytecznego do zapinania w miejsce guzika z pętelką. W dziennikarstwie sportowym powraca czas na pisanie o spadkach i awansach, korespondent sejmowy nie zazna spokoju, jeśli znów nie zapowie na pojutrze końca duopolu z powodu rozpadu partii władzy albo – niepotrzebne skreślić – bratobójczej wojny w Platformie.

Nic więc dziwnego, że i my, wraz z powrotem na nasze niebia jerzyków, wyciągamy ze skrzynki ukończone dopiero co raporty za poprzedni rok w różnych sektorach ekonomii politycznej jedzenia. Te 17 proc. (przeliczonych na 931 mln ton) to tylko globalna średnia, mało przydatna do zrozumienia problemu. Ciekawiej jest wgryźć się w zestawienia krajów i regionów – wylania się z nich obraz znacznie bardziej złożony niż naiwna opowieść o marnotrawnym, bogatym Zachodzie. W krajach biednego południa, zwłaszcza w Afryce, problemem nie jest oczywiście zbyt kłowna konsumpcja, ale straty na etapie produkcji, przechowywania i transportu. Jeśli chodzi o Zachód i Północ, logistyka działa sprawnie, ale udział gospodarstw domowych w marnotrawstwie jest ogromny – wynosi wedle raportu ponad 60 proc.

Prawie dwie trzecie jedzenia, które ludzkość spisuje na straty, przechodzi przez nasze domowe śmietniki. I marna to pociecha, że czasem staje się surowcem na kompost miast ładować całkiem bez sensu we frakcji „zmieszanych” (którą to frakcję należałoby właściwie nazywać – taki mam postulat nowej nalepki na kontenerach – haniebną). Podle się czułem ostatnio, gdy wyciągałem ze spizarni sporą siatkę energicznie już kielkujących ziemniaków.

Jeszcze czytać nie umiałem, gdy jako mały pędrak już wiedział od babci, że to niebezpieczne, że te kielki oraz zzieleniała część na ziemniaku wokół nich są trujące, że trzeba głęboko odciąć, a najlepiej to już w ogóle nie zjadać, bo skoro ziemniak ruszył do wzrostu, to wszystko, co wartościowe w bulwie, zostaje zassane przez pęd.

O tej porze trzeba naprawdę uważać – chyba że ktoś ma głęboką piwnicę i zna sztukę trzymania zapasów w piachu. Dla

wszystkich innych, trzymających warzywa na dolnej półce w papierowej torbie, zaczyna się trudna gra w kotka i myszkę z niepokonaną siłą wzrostu. Kupisz czegoś odrobinę za dużo, odłożysz – wystrzeli ci na zielono w górę. Ziemniak wyrzuca w pośpiechu na świat tuziny swoich dzieci. Z każdej już prawie cebuli i każdego starego czosnku trzeba starannie wyciąć to, co Włosi nazywają słusznie „duszą”. A sumienie i rozsądek nakazują zjadać wciąż to, co stare – bo po pierwsze, skoro już jest, to wypadałoby do końca zużyć, a po drugie, nowe zbyt często pachnie naftą, jaką spalono, żeby dowieźć świeżutkie nowalijki z Cypru.

Kuchnia jako miejsce niezliczonych utrapień: zdrowotnych, moralnych, politycznych. Rozumiem motywację ludzi kupujących w abonamencie tzw. pudełka – choć zasadniczo wydają mi się one wybitnym przykładem ucieczki od wolności, o jakiej się Frommowi w najgorszych snach nie śniło. W pudełku jest posiłek wyliczony co do ziarenka kaszki – delegujemy na firmę te wszystkie zmartwienia, czy aby nic w lodówkach nie skisnie. Ale można też próbować drobnych kroków w stronę rozumnego gospodarowania tym, co jest w naszym zasięgu, bez konieczności ucieczki w formy kosztownej nieraz ascezy. Gdyby wam brakowało pomysłów albo motywacji, sięgnijcie po świeżo wydaną u nas „Sitopię” – książkę trochę, jak czuć z tytułu, utopijną, ale też pełną rozsądnych pomysłów. Pisałem do niej wstęp – więc łączy mnie z wydawcą niewielka korzyść majątkowa, ale zrobiłem to pełen bezinteresownego uznania dla autorki – Carolyn Steel. Gdybym miał więcej czasu, napisałbym pewnie podobną książkę, ale i tak każdy zakwitnięty w szafce ziemniak, którego nie upiekłem, wypomina mi, że za długo już tu siedzę przy komputerze.

©P

*W co cieplejszych rejonach kraju, gdy ten numer dotrze do Waszych rąk, będzie już można dopaść na straganach groszek cukrowy w strączkach. Jeśli jest naprawdę świeży, to wymaga zaledwie minuty-dwóch blanszowania, żeby dać się zjeść, zachowując słodycz i charakterystyczny „zielony” posmak oraz jędrność. Jedyne, co trzeba zrobić, to poobcinać wcześniej końcówki i ewentualnie wyjąć cieniutkie łoko. Żeby cudownie rozmnożyć niewielką torebkę kosztownego niesztety groszku na cztery osoby, możemy zrobić taki piękny zielony makaron: kroimy w cienkie talarki **dwie dymki**, dusimy przez dwie minuty na bardzo wolnym ogniu na **trzech łyżkach oliwy**. Dodajemy **150-200 g groszku cukrowego** przelanego wrzątkiem, podlewamy **paroma łyżkami bulionu warzywnego** lub **wody**, przykrywamy i dusimy kilka minut, po czym dodajemy **średnią główkę sałaty typu escarole** (rodzaj strzypiastej, zielono-białej endywii, może być dowolna inna „strzypiasta” sałata) pokrojoną w cienkie paski, która zrównoważy goryczką słodycz groszku. Dusimy pod przykryciem jeszcze pięć minut, podlewając ewentualnie wodą, gdyby miało przysychać. Wrzucamy świeżo ugotowany **długi makaron**, mieszamy, posypujemy **parmezanem** i dla większego orzeźwienia **tymiankiem** lub **majerankiem**.*





JOHNN MCCAIN NAZWAŁ KIEDYŚ ROSJĘ STACJĄ BENZYNOWĄ PRZEBRANĄ za państwo. Śledząc ostatnie doniesienia prasowe, można odnieść wrażenie, że Polska staje się właśnie państwem przebranym za stację benzynową.

Oto czwórka zamaskowanych polityków lewicy z apetytem spoziera na wegańskie hot dogi z Orlenu. Niepozorne zdjęcie opublikowane przez Adriana Zandberga było przez kilka dni tematem numer jeden dla krajowych komentatorów politycznych. To wyraz dystansu i autoironii? A może ostateczny znak przymierza między lewicą a prawicą? Symbol skonsumowania koalicji, o której liberałowie grzmieli po poparciu przez Zandberga i kolegów Krajowego Planu Odbudowy?

Jeszcze nie umilkły echa afery hotdogowej, a już Orlen ogłasza plany przejścia PGNiG. Daniel Obajtek znów trafia na pierwsze strony gazet, raz jeszcze słyszymy o „polskich czebolach”. Po obu stronach politycznej barykady dudnią działa najcięższego kalibru: „suwerenność” – „zawłaszczanie”, „wstawanie z kolan” – „propagandowa machina”.

Stacje benzynowe i hot dogi podbiły naszą wyobraźnię i nie ma w tym nic przypadkowego. To kluczowe punkty na mapie współczesnej mitologii. Pod totemicznymi słupami ze znakiem orła, muszli

MIEJSCA MOCY

Polityk na stacji benzynowej to polityk swój, gdyż znajduje się w drodze.
Niczym średniowieczny monarcha objeżdżający swe włości.
Z hot dogiem w jednym ręku i kawą w drugim.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI



Przy drodze E69 do przylądka Nordkapp. Norwegia, lipiec 2008 r.

czy zielonego kwiatka sytuują się dziś miejsca mocy. To tam politycy mogą zawrzeć pakt z potężnymi podziemnymi bóstwami, z którymi dawniej układano się na rozstajnych drogach albo w przydrożnych zajazdach.

Do pełna, panie Putin!

Róg dwudziestej czwartej West Street i Dziesiątej Alei. Na Manhattanie, oczywiście. Znaie ten adres? Nie? A Władimir Putin zna!

W roku 2003 otworzył tam stację benzynową. Między spotkaniem z kanclerzem Niemiec (dziś, ciekawostka, pracownikiem Rosnieftu) a wizytą w Camp David na długie rozmowy z George'em W. Bushem (zaczynał karierę w firmach naftowych) prezydent Rosji pojechał przeciąć wstęgę na zwyczajnej stacji paliw.

Wartość inwestycji oceniano wówczas na 55 tysięcy dolarów – tak właśnie, nie milionów i nie miliardów. Tłum gapiów do ostatniej chwili nie wierzył, że jeden z najpotężniejszych ludzi na świecie przerwie slalom między kolejnymi bankietami i spotkaniami dyplomatycznymi, żeby uczestniczyć w tak try-

wialnym wydarzeniu. Ale tak właśnie się stało! Najpierw syreny i błyski policyjnej eskorty, potem spomiędzy budynków wylania się czarna limuzyna. Pracownicy stacji z zaniepokojeniem poprawiają uniformy. Jeszcze ostatnie poprawki, staranne ułożenie kubków do kawy i donutów (hot dogów w ofercie nie było) i oto jest!

Kiedy Paramgit Kumar zdecydował się skorzystać z niskoprocentowanej pożyczki oferowanej przez Lukoil i otworzyć pierwszą stację tej sieci w Ameryce, zapewne nie spodziewał się takiego rozgłosu. Na jeden dzień jego mały biznes stał się centrum politycznego kosmosu. Dziennikarze i lokalni politycy przepychali się w walce o miejsca najbliżej Putina. „Do pełna proszę, panie Władku!” – naigrywał się w nagłówku jeden z nowojorskich tabloidów. Ale ta próba zbudowania dystansu wcale nie była wiarygodna. Większość nowojorczyków była zachwycona wizytą prezydenta Rosji.

Od tego niecodziennego obrazu rozpoczyna się „Blowout” – wydana dwa lata temu bestsellerowa książka Rachel Maddow. Tytuł trudno przełożyć, bo słowo *blowout* jest równie proteuszowe jak sama ropa. Może oznaczać wytryśnięcie ropy na powierzchnię, rozsądzenie czegoś przez ciśnienie, druzgocące zwycięstwo, które zmiata przeciwników, a także raut. Każde z tych znaczeń ma swoje miejsce w dziennikarskim śledztwie Maddow. Łatwiejszy do przełożenia jest obszerny podtytuł: „Skorumpowana demokracja, Rosja jako państwo zbrojeckie i najbogatszy, najbardziej niszczący przemysł na Ziemi”.

Lukoil wchodził na rynek amerykański jako kolejna wśród wielu firm, bo Rosja chciała pokazać się jako kolejne wśród wielu państw. Przewidywalny, racjonalny partner, z którym można robić interesy. Tak po prostu. „Tego dnia, w roku 2003 – pisze Maddow – prezydent Putin odwiedził stację benzynową, by przekonać wszystkich nowojorczyków i wszystkich Amerykanów w ogóle, że Rosja może przynieść stabilność i solidność dokładnie w momencie, gdy Ameryka naprawdę ich potrzebowała”. Stacja pana Kumara stała się politycznym symbolem właśnie dlatego, że była tylko stacją. Była wyjątkowa w swojej zwyczajności.

Przemysł naftowy często przedstawia się jako domenę „realnej polityki”, gdzie liczą się pieniądze, terytoria i konkretne interesy. Stacje benzynowe przypominają nam z kolei o tym, jak to Realne polityki w fascynujący sposób przeplata się z Wyobrażonym czy Symbolicznym. Nie ma rzeczywistej władzy bez władzy nad wyobraźnią. Stacje dostarczają interesom sztyldów i ludzkich twarzy. Są miejscem, gdzie globalne przepływy ropy i pieniędzy przecinają się z życiowym doświadczeniem zwykłego obywatela. To na stacji zbrojne konflikty i rewolucje w odległych krajach albo wahania na egzotycznych giełdach zamieniają się w konkretne cyferki na dystrybutorze. Związek między cenami paliw a poparciem dla bieżącej władzy jest politologom doskonale znany. Ale stacje to coś znacznie więcej. Nadają abstrakcyjnym procesom konkretne kolory, logotypy, twarze, a nawet – za pośrednictwem hot dogów czy kawy – smaki i zapachy.

Dlatego stacje benzynowe są miejscami mocy późnej nowoczesności, wybornym przykładem współczesnej mitologii. Mało kto zrozumiał tę prawdę tak dobrze jak Władimir Putin.

Ropa musi płynąć!

„He, who controls the spice, controls the universe” – kto kontroluje przyprawę, kontroluje wszechświat. Oto najsłynniejsze →

→ zdanie z „Diuny” Franka Herberta – sagi *science fiction* opowiadającej o polityce, ekonomii i ekologii społeczeństwa uzależnionego od potężnej substancji napędzającej wszechświat. „*The spice must flow*” – przyprawa musi płynąć. Oto jedyne i najważniejsze prawo tego fikcyjnego uniwersum. O przyprawę toczą się wojny, przyprawa wyznacza sojusze, przyprawa napędza postęp technologiczny, kulturowe trendy i społeczne rewolucje.

Nagrodzoną Pulitzerem „Naftę” (tytuł oryg. „*The Prize*”, „Stawka”) Daniela Yergina czyta się momentami jak niskobudżetową kalkę „Diuny”. To także opowieść o małej, skalistej planecie, której historia, technologia i polityka nierozdzielnie związane są z pewną wysokoenergetyczną substancją. Ta planeta to Ziemia. Naszą przyprawą jest ropa.

Yergin rozpoczyna swoją opowieść od jednego z zapomnianych punktów zwrotnych w historii świata – momentu, gdy Winston Churchill postanowił przestawić brytyjską flotę z węgla na ropę. Następnie autor prowadzi nas przez kolejne wojny, konflikty i globalne kryzysy aż do końca stulecia. Yergin pokazuje, że ropa nie tylko zmieniła sposób, w jaki napędzamy nasze maszyny wojenne, oraz stawki, o które toczy się wojna. Zmieniła także ekonomię, a poprzez nią – każdy aspekt naszego życia. Przez stulecie biznes naftowy urosł do roli największego i najważniejszego biznesu na planecie. Stał się pierwszym prawdziwie światowym przemysłem i wyznaczył kurs globalizacji.

Historia XX wieku to historia ropy naftowej. Od gorączki ropy nie mniejszej niż gorączka złota i łowców przygód przeczesujących pustynie w poszukiwaniu szczęścia (ang. *wildcat drillers*), aż po gigantyczne korporacyjne maszyny w sensie zarówno dosłownym (olbrzymie platformy w rodzaju Deepwater Horizon), jak i metaforycznym. „Historia ropy naftowej to decyzje, które zaważyły na losach świata – pisze Yergin – niektóre starannie przemyślane, inne podjęte pod wpływem impulsu. Żaden inny sektor przemysłu nie przypomina nam tak dosadnie o znaczeniu ryzyka i nagrody, żaden inny nie zachęca tak silnie do przemyślenia relacji między przypadkiem a przeznaczeniem”.

Sądzę, że historia byłaby dla nas znacznie lepszą nauczycielką życia, gdybyśmy ucyli się jej nie poprzez daty panowania królów, wojny i traktaty, a właśnie poznając zmienne dzieje gospodarowania energią. W ten sposób o przeszłości opowiada nie tylko Yergin, ale też np. Václav Smil – postać zasługująca bez wątpienia na oddzielny artykuł. Współczesny naukowy pustelnik, autor kilkudziesięciu obszernych monografii, w których szczegółowo analizuje np. wpływ gęstości energetycznej drewna w typowym lesie bukowym na możliwości rozwoju średniowiecznych miast. Na kartach fascynujących książek Smila strategię generałów i ambicje władców ustępują pola matematyce i fizyce. Wojny wygrywają kilodżule, a nie porywające przemowy. Ostatecznie, jak lubi powtarzać Smil, energia okazuje się jedyną uniwersalną walutą. Wszystko, co czynimy, wymaga jakiejś jej formy. Kto kontroluje energię, kontroluje wszechświat.

W debacie o polskiej szkole ścierają się często frakcje „potrzebujemy więcej historii” oraz „uczmy za dużo historii”. Książki Yergina czy Smila doskonale pokazują, dlaczego to fałszywa dychotomia. Historia dostarcza najlepszej możliwej lekcji fizyki. Bez fizyki nie zrozumiemy historii. Im szybciej dostrzeżemy ten głęboki związek między historią a fizyką, tym większa jest szansa, że wyzwolimy się spod panowania podziemnych bóstw ropy, gazu i węgla i skorygujemy obecny kurs wiodący wprost ku klimatycznej katastrofie.

Nowi bogowie i ich ołtarze

Relacje władzy są związane z przepływami pieniędzy, które z kolei opierają się na przepływie surowców. Wszystko ostatecznie sprowadza się do jakiejś formy krążenia energii. Żeby zrozumieć daną cywilizację, trzeba się przyjrzeć dostępnym dla niej źródłom energii. To one wyznaczają ograniczenia i możliwości. To wokół przepływów energii – przeciw potężnej sile entropii – krystalizuje się z mozołem cała nasza kultura. To o tych przepływach opowiadają nasze najpotężniejsze mity.

Ten kulturowy wątek także pojawia się w „Nafcie” Yergina. Ropa to najpierw trudne do przecenienia światło lamp naftowych, potem narodziny samochodu i samolotu, coraz dalsze i coraz powszechniejsze podróże i globalny przewóz dóbr. To powszechna dostępność transportu samochodowego umożliwiła rozwój hipermarketów, zmieniając nasze nawyki konsumenne. Bez transportu nie byłoby podmiejskich multipleksów, które w latach 90. wyróciły do góry nogami przemysł filmowy, trwale zmieniając reguły gry w Hollywood. Jednak najbardziej oczywistym znakiem napędzanej ropą transformacji świata jest coraz gęstsza sieć dróg usianych motelami, punktami odpoczynku dla podróżnych i – oczywiście – stacjami benzynowymi.

Na marginesie opowieści o wojskowej strategii i załamaniach giełdy Yergin kreśli fascynującą i nieoczywistą historię wyłaniania się współczesnego modelu stacji z wieloma dystrybutorami, sklepikiem, toaletami, a przede wszystkim z ikonicznymi znakami widocznymi z odległości wielu kilometrów (lub wielu mil). Shell, BP, Esso – oto imiona nowych bogów, które od lat inspirują artystów i filozofów, poczynając od kultowego „Twenty Six Gasoline Stations” Eda Ruscha, przez lirycznych „Autonautów z kosmostrady” Julia Cortázara i Carol Dunlop, po „Społeczeństwo konsumpcyjne” Jeana Baudrillarda i „Podziemnych bogów” Umberta Eco. W każdej z tych książek przydrożne stacje okazują się ołtarzami nowej religii. Są idealnym przykładem tego, co francuski socjolog Marc Augé opisuje jako „nie-miejsca” – przestrzenia, o którą ledwie zawadzamy zmierzając dokądś indziej – a zarazem pozostają punktami bardzo silnie naznaczonymi symbolicznie. To dlatego, że ropa naftowa wchłonęła i zagospodarowała bardzo stare mity.

Nowi bogowie mają globalne aspiracje, ale też lokalną konkurencję. W miarę jak Orlen pożera kolejne spółki, budując naftową potęgę na miarę naszych możliwości, produkuje też mitologię na miarę naszych aspiracji.

Także w Polsce stacje benzynowe są współczesnymi miejscami mocy. Zarówno w sensie dosłownym, fizycznym, jak i metafizycznym. Tę metafizykę stacji paliw dawno już wyczuli politycy, chętnie ładujący swoje semiotyczne akumulatory w świątyniach Shella czy Orlenu. Wegańskie hot dogi Adriana Zandberga i jego ekipy to tylko kolejne zdjęcie do albumu, w którym już od dawna poczesne miejsce zajmował chociażby Donald Tusk z kubkiem stygającej kawy medytujący na tle widocznego w oddali napisu „TIR CZĘŚCI”. Tuskobusy, Dudabusy czy żółty kamper Szymona Hołowni to wszystko znaki eksponujące bliskość ludziom poprzez bycie w ruchu. Biurokrata w Warszawie jest obcy, bo pozostaje nieruchomy. Polityk na stacji benzynowej to polityk swój, gdyż znajduje się w drodze. Niczym średniowieczny monarcha objeżdżający swe włości. Z hot dogiem w jednym ręku i kawą w drugim. Cyborg podpięty do betonowo-naftowej sieci, która łączy go bez-

pośrednio z marzeniami i pragnieniami wyborców.

Zjedzenie czegoś „w drodze” to najbliższy odpowiednik napicia się benzyny dostępny dla śmiertelników. Forma komunii z nowymi bogami, niepodzielnie panującymi nad XX i wciąż jeszcze nad XXI stuleciem.

Sploty ukrytej sieci

Jeszcze raz oddaję głos Yerginowi: „W XXI wieku jesteśmy tak zależni od ropy, a ropa jest tak uwikłana we wszelkie nasze codzienne poczynania, że rzadko zdarza nam się zatrzymać i zastanowić nad jej olbrzymim znaczeniem. To ropa sprawia, że możemy mieszkać tam, gdzie mieszkamy, i żyć tak, jak żyjemy – dojeżdżać do pracy, podróżować. Ropa decyduje nawet o tym, gdzie prowadzimy załoty”. Choć to ostatnie stwierdzenie jest dość mocno zakorzenione w kulturze amerykańskiej z jej niezliczonymi przydrożnymi motelami i samochodowymi randkami, to cała reszta niewątpliwie odnosi się również do Polski.

Lubimy fantazjować o tym, że jesteśmy społeczeństwem cyfrowym, ponowoczesnym, prawie niematerialnym. Fascynujemy się wirtualnością, przepływami informacji, zdalnym charakterem naszej kultury. Ale prawda jest taka, że to paliwa kopalne, niestety, wciąż stanowią krwiociąg naszej gospodarki. Za każdą infostradą ukrywa się autostrada, nie ma przepływu gigabajtów bez stabilnej mocy elektrowni, niewychodzenie z domu jest możliwe właśnie dlatego, że gdzieś na świecie dymią fabryki, płyną kontenerowce, pędzą furgonetki wiecznie spóźnionych kurierów.

Sekret polega na tym, że w XXI wieku bogowie ropy, węgla i gazu zmienili strategię. Poprzednie stulecie należało do nich otwarcie. Chromowane zderzaki, krążowniki szos, dumne sponsoringi, czarne złoto... Dziś znacznie częściej podziemni bogowie pozostają bóstwami ukrytymi. Stali się patronami niewidzialnej sieci oplatającej naszą planetę.

Stacje benzynowe są widomym znakiem ich macek. Jak grzyby wyrastające na powierzchni z niewidzialnej grzybni przenikającej cały las. Dlatego właśnie są tak istotnymi znakami relacji władzy i podporządkowania. Logo sieci służy oznaczaniu terenu. Reprodukowane na przydrożnych słupach, kubeczkach, gadżetach, ale też na listach sponsorów – za każdym razem przypomina, do kogo należy dana przestrzeń.

Kontrola przepływów energii w społeczeństwie to także kontrola nad przepływami pieniędzy. Procent od każdego tankowania (czy hot doga) idzie na wybrane cele – Polską Fundację Narodową, lobbing w amerykańskim kongresie, bieg pamięci żołnierzy wyklętych albo przewrót polityczny w jakimś odległym kraju.

Ale stacje benzynowe to coś więcej niż doskonałe narzędzie pozyskiwania funduszy i uprawiania polityki. To przykład tego, czym jest i zawsze była polityka. Każda stacja jest punktem,



Stacje benzynowe i hot dogi podbiły naszą wyobraźnię

i nie ma w tym nic przypadkowego. Pod totemicznymi słupami ze znakiem orła, muszli czy zielonego kwiatka sytuują się dziś miejsca mocy.

w którym spotyka się Realne przepływów energii z Symbolicznym i Wyobrażonym nowych mitów. To właśnie ten punkt styku jest polityką, bo polityka to odziewanie przepływów energii w mity. Dlatego stacje benzynowe są najbardziej politycznymi miejscami, jakie można sobie wyobrazić. Władimir Putin zrozumiał to lepiej niż ktokolwiek inny.

Kto rządzi światem?

Na koniec wróćmy jeszcze do „Blow-out” i opowieści, od której zaczęliśmy całą tę podróż. Książka Maddow, znanej z mocno antyrosyjskich poglądów, pozwala spojrzeć na historię Putina w nowy, ciekawy sposób. Prezydent Rosji nie jest diabolicznym reżyserem światowego ładu, lecz bezwolną ofiarą potężniejszych od siebie sił – podziemnych przepływów energii, pieniędzy i władzy.

„Okazuje się – stwierdza Maddow – że w ciągu ostatnich piętnastu lat Putin popełnił błędy – wielkie, podstawowe, trudne do naprawienia błędy. Tak właśnie dzieje się, kiedy ktoś próbuje zbudować przyszłość swojego kraju na ropie i gazie. Decyzje Putina odarły

Rosję ze zdolności uczciwego konkutowania w światowej gospodarce i polityce, ograniczając jego strategiczne możliwości do nieapetycznego menu, z którego Putin i jego aparatchycy wybierają dzisiaj. Jego wysiłki, aby przywrócić Rosji pozycję światowego supermocarstwa, nie polegają już na zdolnościach i *know-how*. Polegają na kantowaniu. Putin i jego sługusy kantują na rynkach finansowych, kantują na olimpiadach, kantują w swojej własnej oszukanej demokracji, stosując też oszustwa, by innych demokracji pozbawić”.

Innymi słowy, według Maddow prezydent Rosji nie jest już najpotężniejszym człowiekiem na świecie, który zniżył się do otwarcia stacji benzynowej. Jest zaledwie franczyzobiorcą, którego możliwości wyznacza przyjęty wiele lat temu model biznesowy. To nie Putin kontroluje ropę naftową. To ropa kontroluje Putina.

To ważna przestroga dla każdego polityka! Putin zapragnął wykorzystać moc podziemnych bóstw do swoich celów. Ale Przedwieczni nie dają się wykorzystywać. Ich nie da się okantować, zastraszyć, otruć. To oni są mistrzami złudzeń straszliwszymi niż najgorsi dyktatorzy, to oni trują na skalę, o której tajne służby mogą tylko fantazjować. Ostatecznie to podziemni bogowie wykorzystują polityków, nigdy odwrotnie. Właśnie w momencie, gdy myślisz, że masz ich w garści, stajesz się tylko marionetką. Nikt nie kontroluje ropy. Ropa kontroluje wszechświat. Musi płynąć.

Ale nic nie trwa wiecznie. Otwarta przez Putina stacja splajtowała kilka lat temu. Dziś na jej miejscu wznosi się luksusowy apartamentowiec. W XXI wieku potężni bogowie deweloperki coraz odważniej wnoszą swe szklane świątynie, rzucając wyzwanie nawet władcom podziemi. Ale to już zupełnie inna historia.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

STANISŁAW

Mancewicz: O młodziźnie



Dziś, POMIMO NAJJAŚNIEJ BRZMIĄCYCH WIEŚCI dochodzących z najmroczniejszych zakątków polityki polskiej, musimy zająć się sprawą znacznie bardziej palącą, niż – dajmy na to – niekończące się rozważania na temat umyslowości p. Czarastego,

poglądów p. Zandberga bądź też rozpaczliwych prób odpowiedzi na pytanie, czy lewica to lewica. Nie możemy także, pod żadnym pozorem, skupić się dziś nad raportem Najwyższej Izby Kontroli w sprawie tzw. wyborów kopertowych. Po opublikowaniu tego dokumentu, by użyć sakramentalnego w polszczyźnie sformułowania „w każdym normalnym kraju”, każdy normalny premier podałby się do dymisji. Nie jesteśmy w stanie odnieść się dziś także do czegoś, co z emfazą nazywane jest teraz Nowym Ładem, bowiem zbyt jesteśmy konserwatywni lingwistycznie, a więc przywiązani do słownikowego znaczenia obu tych słów. To, o czym dziś chcemy pogwarzyć, jest być może refleksem rzucanym przez politykę, ale nie jesteśmy tego do końca pewni. Tak czy owak, jest to zjawisko ze wszech miar szokujące. Do rzeczy.

Oto dowiedzieliśmy się właśnie czegoś najciekawszego od dawien dawna: z najświeższych, profesjonalnych badań nad młodziźną wynika, że wyraźnie osłabło i – uwaga – z roku na rok słabnie jej – młodziźna – zainteresowanie seksem, alkoholem i narkotykami. Trudno znaleźć informację, która by ostatnio zrobiła na nas większe wrażenie. Jeśli to prawda, to – każdy przyzna – jest to zjawisko bezprecedensowe w uniwersalnej tradycji całej ludzkości, od – za przeproszeniem – czasów dynastii zerowej z Górnego Egiptu, a może i wcześniej, od czasu gdy za Pierwszego Ocieplenia małpy w zlewni Wisły zeszły z drzew i zaczęły robić zacier, by sobie – dajmy

na to – podchmielić. Jest to, jeśli idzie o historię widzianą z perspektywy nieipeenowskiej, a prawdziwie profesjonalnej, wiadomość silnie przykuwająca uwagę fachowców, wyposażonych jednakowoż w porządną aparaturę badawczą, mających na podorzędziu stosowne lektury, inne zgoda niżli skrypty dla partyjnego aktywu napisane drukowanymi literami z podwójną interlinią.

Wiadomość ta ma też – popatrzmy bacznie – znakomity potencjał komiczny. Owszem. Tak. Musimy tu rzec, że liczne głosy oburzenia, idące w tej chwili od domów akademickich, biura zawodowo zatroskanych nadwrażliwców, po zatłoczone czytelnie prasy wielkonakładowej, lekceważymy. I z naciskiem tu oto powtarzamy: słabnące zainteresowanie młodziźną seksem i alkoholem uważamy za bardzo śmieszne. I nikt nas nie zmusi do ubolewań bądź rozzdzierających nawoływań, by oto młodziźna się zmieniła – póki czas – na lepsze. By się poprawiła w imię człowieczeństwa, istnienia cywilizacji ziemskiej, wyjątkowości istoty ludzkiej i tym podobnych argumentów, które przecież i tak są kulą w płot trafiającą bądź to uderzeniem głową w mur.

Owa reakcja nasza, mocno – trzeba przyznać – rehotliwa, nie jest bez kozery. Bierze się z zadawanych nam przez wiele ostatnich miesięcy ciosów, bierze się z cierpienia i z chęci zemsty. Ileż to razy słyszeliśmy, my seniorzy, ludzie ze zniżką kolejową, tramwajową, ludzie z pierwszeństwem do obsługi w aptekach, z otwartą linią kredytową w pobliskim monopolowym, z ust roześmianej młodziźny naszej pełne lekceważenia oceny naszych dróg życiowych. Oceny naszych dziwacznych wyborów, naszych poglądów, obyczajów, naszego rzekomo archaicznego słownictwa czy to ubioru. Dziaders – słyszeliśmy i słyszymy w kółko – cokolwiek powie, cokolwiek zrobi, cokolwiek na siebie wdzieje, to boki zrywać. Najlepiej trzymać go w zoo albo posłać w skrzynce do Narodowego Muzeum Dziaderstwa (chyba powstaje) – słyszeliśmy to i słyszymy. Ktoś pyta teraz – poniekąd słusznie – gdzie jest pointa tego tekstu; tekst bez pointy jest wart pół stawki – powiada. Najwyżej. No więc nie ma, nie jesteśmy w stanie wobec wyników badań nad młodziźną zdobyć się na żadną pointę. Po prostu napisaliśmy sobie tekst bez pointy, dla zabawy, na luziku. Pełni dobrych wspomnień i zamiarów. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ





WŁĄCZ **RMF** *Classic*

I ZMIEN SWÓJ
ŚWIAT



**NAJPIĘKNIEJSZA
MUZYKA FILMOWA**
- GDZIEKOLWIEK JESTEŚ



rmfclassic.pl

Spisz się przez Internet i graj o nagrody w loterii!

Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań trwa od 1 kwietnia do 30 września 2021 r.

Nie czekaj do ostatniej chwili! Spisz się przez Internet i weź udział w loterii.

To proste:

1. Wejdź na stronę **spis.gov.pl** i spisz się w dogodnej dla siebie chwili.
2. Pobierz unikatowy kod uprawniający do udziału w loterii.
3. Zgłoś kod na stronie **loteria.spis.gov.pl**.

Przyjmowanie zgłoszeń do loterii trwa od 22 kwietnia do 7 lipca 2021 r.

Pamiętaj, że tylko spisanie się przez Internet daje możliwość wzięcia udziału w loterii!

Do wygrania karty przedpłacone o wartości 500 zł i 1000 zł oraz samochody osobowe



Losowania odbędą się w terminach:

07.05.2021 r.

21.05.2021 r.

08.06.2021 r.

18.06.2021 r.

02.07.2021 r.

09.07.2021 r.

14.07.2021 r.

←..... **Finałowe losowanie samochodów!**

W finałowym losowaniu wezmą udział wszyscy, którzy zgłoszą się do loterii – nawet te osoby, które wygrały już wcześniej nagrody.

Zwiększ szansę na wygraną!

Im wcześniej spiszesz się przez Internet i zgłosisz do loterii, tym masz więcej szans na wygraną – będziesz uczestniczyć w większej liczbie losowań!

Regulamin i szczegóły dotyczące loterii dostępne na stronie **loteria.spis.gov.pl**.

Organizatorem loterii jest Unique One sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie.

Wejdź na spis.gov.pl, spisz się i daj sobie szansę na wygraną!

 **Liczymy się DLA POLSKII!**



Narodowy Spis Powszechny
Ludności i Mieszkań 2021

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Nr 21/2021

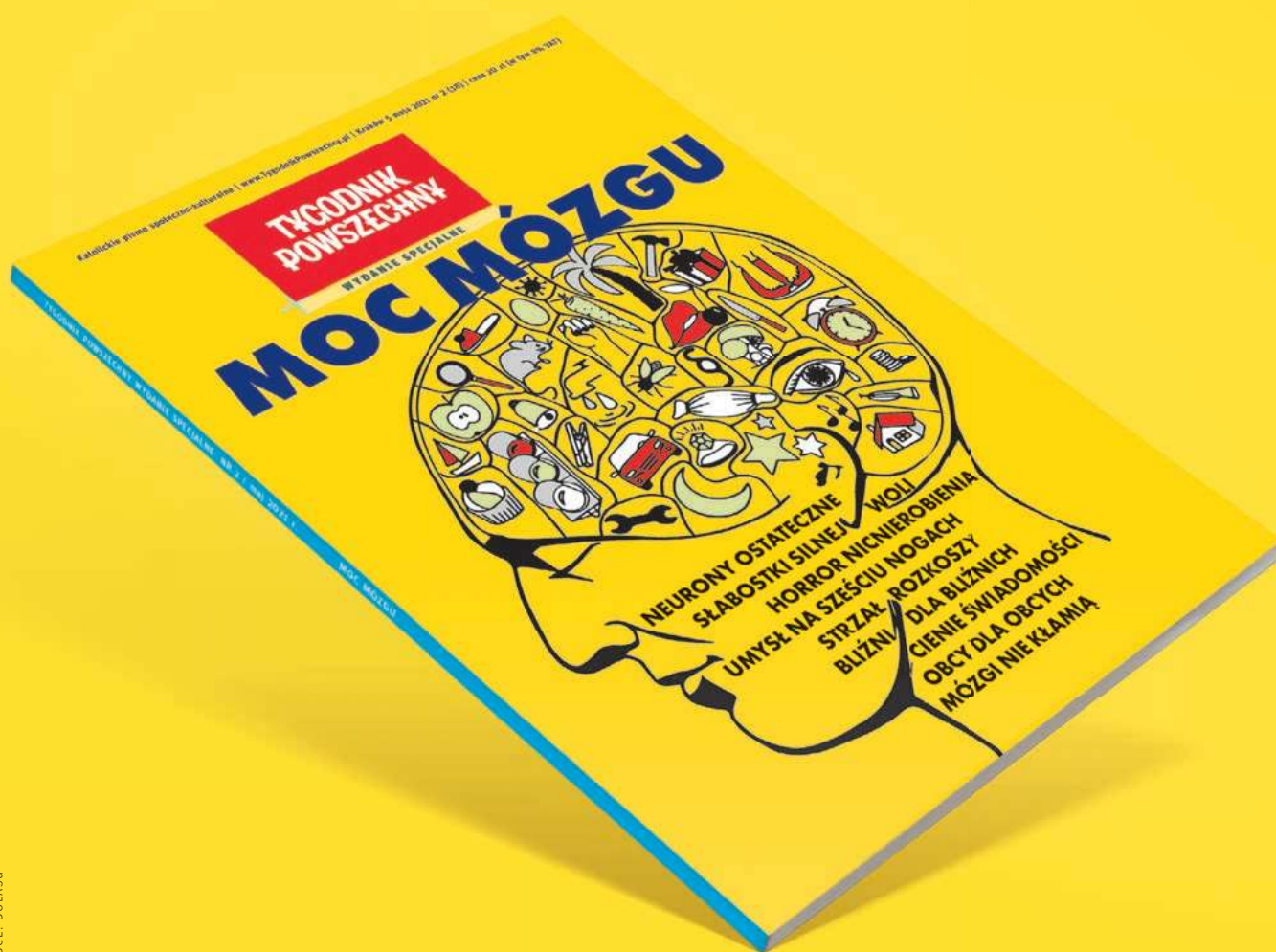
**KATALOG
FESTIWALOWY**

COPERNICUS FESTIVAL: WYOBRAŹNIA



**COPERNICUS
FESTIVAL**

w głowie się nie mie- ści!



TYGODNIK
POWSZECHNY

Wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego” **MOC MÓZGU**
już w sprzedaży – szukaj w kioskach i salonach prasowych



COPERNICUS FESTIVAL 2021 / WYOBRAŹNIA

Podczas Copernicus Festival 2019 usłyszeliśmy od prof. Daniela Everetta (kto przegapił, może wciąż nadrobić na youtube.com/copernicuscenter), że język prawdopodobnie został wynaleziony przez *Homo erectus* – „długowiecznego” hominida, który pojawił się w Afryce ok. 2 mln lat temu, a jego najmłodsze skamieniałości, pochodzące sprzed ok. 100 tys. lat, znajdujemy na wschodnich skrawkach Eurazji. *Homo erectus* pływał po morzach i oceanach, kolonizował wyspy, zakładał zorganizowane osady. Bez języka, twierdzi Everett, nie mógłby tego wszystkiego osiągnąć.

Nie wiemy, czy ten ewolucyjny scenariusz jest do końca prawdziwy – część ewolucjonistów twierdzi, że język jest znacznie młodszy – ale wiemy, że język musiał głęboko przeorać ludzkie mózgi i wzbogacić nasz sposób myślenia. Umożliwił „wewnętrzny dialog”. Ułatwił koordynację zachowania, współpracę i transmisję kulturową – przekazywanie idei i wiedzy z mózgu do mózgu. Wcześniej człowiek, podobnie jak inne istoty, myśleć mógł wyłącznie „umysłowymi obrazami” – czyli korzystając z wyobraźni.

Dlatego jeden z głównych gości tegorocznej edycji festiwalu, prof. Edward Nęcka, podkreśla w publikowanej w tym katalogu rozmowie, że wyobraźnia jest od języka ewolucyjnie starszym trybem myślenia – i bardziej podstawowym. Nie oznacza to jednak: prymitywnym. Nawet nasi najbardziej odlegli przodkowie z rodzaju *Homo*, którym mało kto przypisuje język,

przeszło 2,5 mln lat temu tworzyli złożone grupy społeczne oraz jakoś rozwiązywali pojawiające się w nich konflikty i napięcia. Wytwarzali narzędzia wymagające precyzyjnej obróbki i gromadzenia odpowiednich materiałów. Wspólnie polowali na duże i niebezpieczne ssaki. „Myślenie obrazami” pozwalało im przeżyć w nieprzyjnym świecie i rozwijać pierwsze technologie.

Także nam, „ludziom rozumnym”, aż trudno wyobrazić sobie, czym bylibyśmy bez wyobraźni. Gdy snujemy bliskie i odległe plany, projektujemy domy czy parki, malujemy obrazy i rzeźbimy, a także tworzymy zupełnie nowe, fikcyjne światy – w mniejszym lub większym stopniu korzystamy z wyobraźni. Oparte na niej treningi pozwalają utrzymać motywację, a sportowcom – poprawiać wyniki. Także uprawianie nauki, najbardziej ze wszystkich rygorystycznego sposobu myślenia, wymaga nie tylko użycia języka, ale również wyobraźni: stawiania śmiałych hipotez, przewidywania, do czego doprowadzą eksperymentalne manipulacje – choćby te wykonywane wyłącznie w myślach. Bez nauki nie odkrylibyśmy zaś praw rządzących wyobraźnią ani tego, że... nie wszyscy korzystają z niej świadomie w równym stopniu.

Jeśli to wszystko prawda, to wyobraźnia faktycznie jest dla nas bardzo ważna. A jeśli nie? To też świadczy o potęgze wyobraźni – skoro tak łatwo daliśmy się jej zwieść.

© © ŁUKASZ KWIATEK



COPERNICUS
FESTIVAL

4. Zanurzeni w zmysłach
BARTOSZ BROŻEK

8. Oko umysłu
MATEUSZ HOHOL

12. Myśli bez języka
ROZMOWA
Z EDUARDEM NĘCKĄ

16. Nie wszyscy liczą owieczki
KATARZYNA DZIADOWICZ

19. Muzeum bez ścian
MARTYNA NOWICKA

22. Kartka, ołówek i kosz
SEBASTIAN J. SZYBKĄ

26. Program festiwalu

30. Fabryki życia
SZYMON DROBNIK

33. Liczby zmyślone
MICHAŁ ECKSTEIN

36. Eksperymenty na kanapie
MARCIN MIŁKOWSKI

40. Czterdzieści osiem tysięcy szpilek
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

44. Nie ma niewinnych hobbitów
ROZMOWA
Z TOMASZEM PINDLEM

48. Fikcja najdoskonalsza
GRZEGORZ JANKOWICZ

WSPÓŁWYDAWCY



REDAKCJA: ŁUKASZ KWIATEK | WSPÓŁPRACA: KATARZYNA DZIADOWICZ, TOMASZ FIAŁKOWSKI, MATEUSZ HOHOL, ŁUKASZ ŁAMŻA, TOMASZ MILLER, DIANA SAŁACKA | PROJEKT GRAF. MAREK ZALEJSKI | FOTOEDYCJA: GRAŻYNA MAKARA, EDWARD AUGUSTYN | TYPOGRAFIA: AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN, ANDRZEJ LEŚNIAK | KOREKTA: GRZEGORZ BOGDAŁ, KATARZYNA DOMIN, SYLWIA FROŁOW, MACIEJ SZKLARCZYK | OKŁADKA: ANNA SKOCZEŃ, JUSTYNA WIŚNIEWSKA
KRAKÓW 2021, ISBN 978-83-65811-09-7



Zanurzeni w zmysłach

BARTOSZ BROŻEK

To ona aktywuje naszą intuicję i pozwala nam rozumieć język.

**Trudno sobie wręcz wyobrazić,
jak wiele zawdzięczamy wyobraźni.**

W 1697 r. 29-letni Giambattista Vico, który zapisze się w historii jako jeden z najciekawszych filozofów włoskiego oświecenia, został powołany na profesora retoryki w Uniwersytecie w Neapolu. Ze stanowiskiem tym związany był obowiązek wygłoszenia wykładu na inaugurację każdego roku akademickiego. Pierwszy z tych wykładów (opublikowany w 1709 r.) Vico poświęcił kwestiom metodologicznym, a dokładnie – krytyce popularnej wówczas racjo-

nalnej, kartezjańskiej metody dochodzenia do prawdy. Choć nie kwestionował jej przydatności, Vico twierdził, że jest ona „ślepa” na ważne obszary ludzkiego doświadczenia, obejmujące historię oraz te wszystkie dziedziny, w których nie sposób uzyskać matematycznej pewności.

W kolejnych pracach, przede wszystkim w „Scienza Nuova” (1725), Vico rozwinął tę krytykę w zespół bardzo intrygujących, ale i kontrowersyjnych tez. Zastanawia się tam np. nad historią naszego gatunku. O „pierwszych ludziach”, któ-

rzy dopiero co nabyli umiejętność posługiwania się językiem, pisze, że „byli utkani z krępkich zmysłów i energicznej wyobraźni (...) i posiadali metafizykę nie racjonalną i abstrakcyjną, jak dzisiejsi uczeni mężowie, ale odczuta i wyobrażoną. Ich umysły nie były w żadnym stopniu abstrakcyjne, wyrafinowane czy uduchowione. Byli całkiem zanurzeni w zmysłach i pogrzebani w ciele, zmagali się z namiętnościami”.

Zdaniem Vica, kartezjańska metoda, oparta na aksjomatach, które „widzimy



YUI MOK / PA IMAGES / FORUM

jasno i wyraźnie”, oraz niezawodnych, dedukcyjnych schematach rozumowań, przesłania to, jak faktycznie funkcjonuje ludzki umysł. Nie jest to sterylny, ahistoryczny umysł geometrii, tylko zmysłowy, pełen fantazji, zanurzony w nurcie historii umysł poety, który czasami – w niektórych obszarach refleksji – wznieść się może ku czystej, matematycznej abstrakcji. Nasza najważniejsza zdolność poznawcza nie przejawia się w konstrukcji logicznie sprawnych sylogizmów; jest nią *ingegno*, czyli wykorzystywana w wyobraźni umiejętność dostrzegania podobieństw między konkretnymi rzeczami i zdarzeniami.

Poglądy Vica nie znalazły uznania w jego czasach. W kulturze rezonerów wyznających niemal nieograniczoną wiarę w rozum obserwacje neapolitańczyka stały się przedmiotem najwięk-

szego szyderstwa: przemilczenia. Sam Vico mawiał, że czuł się jak „obcy we własnym kraju”. Postępy nauk kognitywnych, które nastąpiły w ostatnich dziesięcioleciach, rzucają jednak nowe światło na teorie Vica. Nikt nie twierdzi, że antycypował on odkrycia, które stały się naszym udziałem w wyniku rozwoju metod psychologii eksperymentalnej i zastosowania wyrafinowanej technologii. Ale jego zmysł obserwacji i odwaga kwestionowania powszechnie przyjętych poglądów sprawiają, że dziś powraca się do myśli Vica, przypominając jego teorie i – co zapewne ważniejsze – przywracając Vicoskiej *ingegno*, wyobraźni, należne jej miejsce.

Pomysł o truskawkach

Gdy zajrzemy do podręczników filozofii i psychologii, dowiemy się, że myślenie ma „dwa oblicza”: językowe i intuicyjne. Filozofowie, starając się uchwycić myślenie w relatywnie precyzyjną siatkę pojęciową, portretują je zwykle jako proces prowadzący do uznawania jednych zdań w oparciu o inne zdania. Z tego powodu wyróżnioną rolę w tym kontekście odgrywa logika, która ma wskazywać poprawne formy rozumowań – takie, w których prawdziwość przesłanek gwarantuje prawdziwość wniosków. Nie znaczy to, że filozofowie nie dostrzegają innych wymiarów myślenia; co do zasady jednak ignorują je w przekonaniu, że to, co dzieje się w naszych głowach, nie może stanowić przedmiotu rygorystycznego filozoficznego namysłu.

W psychologii sytuacja jest bardziej złożona. Z jednej strony – przynajmniej w ostatnich kilkudziesięciu latach – psychologowie poświęcają wiele uwagi nieświadomym procesom, które prowadzą do decyzji intuicyjnych. Z drugiej – kontynuowane są klasyczne badania nad procesami myślowymi odbywającymi się z użyciem języka. Poruszane są takie kwestie, jak natura i funkcje rozumowania dedukcyjnego i indukcyjnego, myślenie analogiczne, wyjaśnianie, pojęcia i kategorie czy wreszcie reprezentacja wiedzy. Pośród problemów, którymi zajmują się psychologowie, odnajdziemy też zagadnienia bardziej nietypowe, jak choćby myślenie wizualno-przestrzenne, modele mentalne czy rola gestykulacji w procesach myślowych. Nie są to jednak kwestie, które stanowiłyby fundamentalny przedmiot zainteresowania

w psychologii, o filozofii nie wspominając. Można wręcz odnieść wrażenie, że intuicja i język uznawane są powszechnie za podstawowe narzędzia myślenia, a wszystko inne to mniej istotne dodatki, ozdobniki, które czasem mogą się przydać, ale z całą pewnością potrafimy się bez nich obejść.

Jest to cokolwiek zagadkowe. Owszem, nieświadome, wytrenowane przez lata doświadczeń intuicje stanowią istotną część ludzkich działań poznawczych; owszem, wykorzystujemy często sformułowane w abstrakcyjnym języku teorie, które są świetnym narzędziem do rozwiązywania pewnego typu problemów (np. wymagających analizy statystycznej). Trudno jednak uwierzyć, że całe myślenie sprowadzić można do działania tych dwóch mechanizmów; trudno też dostrzec, w jaki sposób dwa tak odrębne sposoby myślenia mogą wchodzić z sobą w interakcje.

Rozwiązanie tej zagadki podpowiada Vico: myślenie nie ogranicza się do nieświadomej intuicji i rozumowania przeprowadzanego w języku, ale z konieczności korzysta z wyobraźni. To wyobraźnia – którą w kontekście współczesnych badań kognitywnych utożsamić można z mechanizmem tzw. symulacji mentalnej – stanowi pomost lub brakujące ogniwo, łączące intuicję i myślenie oparte na strukturach językowych.

Symulacja mentalna polega na „odgrywaniu” w umyśle jakiejś sytuacji (zastanówcie się, co będziecie robić na wakacjach) bądź „przedstawianiu sobie” jakiegoś przedmiotu (pomyslcie o słodkich, soczystych truskawkach).

Przeprowadzone w ostatnich dziesięcioleciach eksperymenty behawioralne oraz badania z użyciem technologii obrazowania mózgu pokazują, że symulacje mentalne wykorzystują częściowo te same obwody neuronalne, które aktywują się, gdy postrzegamy jakiś przedmiot (oglądamy czerwone, dojrzałe truskawki na wystawie w sklepie) lub wykonujemy określone czynności (leżymy na plaży i podziwiamy spokojne morze). Inną cechą symulacji jest wielomodalność: mogą równocześnie obejmować elementy wzrokowe, słuchowe, kinetyczne, a nawet emocjonalne. Gdy wyobrażamy sobie trójkąt, wykorzystujemy najpewniej jedynie te obszary mózgu, które odpowiadają za percepcję wzrokową. Jednak gdy dokonujemy mentalnej symulacji psa, będzie to →



Bananowy eksperyment

Mary Cheves West Perky z amerykańskiego Uniwersytetu Cornella przeprowadziła w 1910 r. tzw. eksperyment bananowy. Uczestnicy stanęli naprzeciw białej ściany i mieli wyobrażać sobie pewien przedmiot – np. banana. Jednocześnie, bez wiedzy części uczestników, obraz tego samego przedmiotu wyświetlano na ścianie. Wyrazistość obrazu stopniowo rosła, osiągając w końcu próg percepcji. Osoby z grupy kontrolnej bez problemu rozpoznały obraz, ale ci uczestnicy, którzy nie wiedzieli, że coś będzie wyświetlane, twierdzili, że pojawiający się na ścianie banan był nadal wytworem ich wyobraźni. Zjawisko to przeszło do historii psychologii jako „efekt Perky” i świadczy o tym, że percepcja wzrokowa i wyobraźnia „zachodzą na siebie”. Dalsze badania pokazały, że nasze wyobrażenia mogą kolidować z percepcją. Martha Farah z Uniwersytetu Pensylwanii wykazała w 1985 r., że jeśli osoby badane wyobrażają sobie jakąś literę, powiedzmy T, a następnie na monitorze wyświetlona zostanie ta sama litera, to rozpoznają ją z większym prawdopodobieństwem niż wtedy, gdy pokaże się im inną literę, np. H. W innym badaniu zadaniem uczestników było wpatrywanie się w pusty ekran i jednocześnie wyobrażanie sobie panoramy Nowego Jorku. W pewnym momencie na ekranie wyświetlono niewyraźne czerwone koło. Choć uczestnicy nie zarejestrowali go świadomie, część z nich raportowała, że zaczęli wyobrażać sobie miasto o zachodzie słońca. © MH

→ zapewne coś więcej niż statyczny obraz labradora albo cavaliera. Najpewniej „zobaczymy” psa w działaniu (machającego ogonem, szczekającego, proszącego o jedzenie), a wszystko podszyte będzie pozytywnymi lub negatywnymi emocjami. Zdolność symulacji mentalnych do ewokowania reakcji emocjonalnych jest niezwykle ważna – sprawia, że poprzez wyobrażanie sobie jakiegoś zdarzenia uzyskujemy dostęp do intuicji. Wystarczy wyobrazić sobie jakąś sytuację problemową – np. drogę zagrozoną złamanym drzewem – by zobaczyć, jak intuicja od razu podpowie nam sposób rozwiązania wyobrazonego problemu.

Brakujące ogniwo

Badania pokazują także, że musi istnieć ważny związek pomiędzy zdolnością do mentalnych symulacji a rozumieniem języka. Gdy słyszymy lub wypowiadamy słowo „pies”, w naszych mózgach aktywują się te same obszary, które odpowiadają za obserwowanie lub wyobrażanie sobie psa. Mówiąc ogólniej, kiedy przetwarzamy język, dokonujemy percepcyjnej lub ruchowej symulacji, wykorzystując do tego te same części mózgu, których używamy, kiedy rzeczywiście postrzegamy świat lub wykonujemy określone czynności. Co ważne, symulacje mentalne związane z rozumieniem języka nie muszą być procesami świadomymi. Wręcz przeciwnie: badania pokazują, że mentalne symulacje czytanych zdań „odgrywane są” zwykle na poziomie nieświadomym.

Koncepcja rozumienia języka oparta na symulacji napotyka jednak na poważny problem – jest nim przetwarzanie języka abstrakcyjnego. Dość łatwo pojąć – i wykazać w prostym eksperymencie – że rozumienie wyrażen konkretnych, takich jak „pies”, „biegać” albo „czerwony”, odbywać się może na drodze symulacji mentalnej. Co jednak z pojęciami abstrakcyjnymi, takimi jak „przestrzeń Hilberta”, „sprawiedliwość” albo „liczba parzysta”? Pomimo wielu, pomysłowych często hipotez – na przykład koncepcji metafor pojęciowych lub teorii podwójnego kodowania – nie udało się dotąd przekonująco odpowiedzieć na to pytanie. Nie ulega jednak wątpliwości, że rozumienie języka abstrakcyjnego jest w jakiś sposób „nadbudowane” nad procesem rozumienia języka konkretnego. Dla przykładu:

wedle teorii metafor George’a Lakoffa i Marka Johnsona rozumiemy wyrażenia abstrakcyjne, ponieważ wykorzystują one strukturę inferencyjną, która została „przeniesiona” z bardziej konkretnej domeny. Przykładowo, myślimy o miłości (pojęcie bardziej abstrakcyjne) posiłkując się metaforą podróży (pojęcie bardziej konkretne), jak wtedy, gdy mówimy, że miłość to długa podróż we dwójkę, pełna rozwidlających się dróg i wymagająca wysiłku.

Mechanizm symulacji mentalnej jest zatem brakującym ogniwem pomiędzy nieświadomym, intuicyjnym podejmowaniem decyzji a świadomym myśleniem w języku. Ludzki umysł nie składa się z dwóch niezależnych modułów, jak twierdzi wielu współczesnych psychologów. Stanowi on jedność, ale dostrzec można to jedynie wtedy, gdy odda się wyobraźni – rozumianej jako mniej lub bardziej wyraźnie przebijająca się do świadomości symulacja mentalna – należne jej miejsce.

Mózgi w naczyniu

Ernst Mach był nie tylko wybitnym fizykiem, który przetarł szlaki Einsteinowi, ale także bardzo spostrzegawczym i oryginalnym filozofem. Dobrze znane są jego rozważania poświęcone naturze nauki i krytyce metafizyki. Wśród pism Macha można znaleźć także mniej eksponowane, ale równie ciekawe dzieła. Jedno z nich – krótki artykuł opublikowany pierwotnie w 1897 r. – w całości poświęcone jest eksperymentom myślowym. Eksperymenty myślowe kojarzą się zwykle z wyobrażaniem sobie nieistniejących albo wręcz niemożliwych stanów rzeczy – jak w rozważaniach Hilarego Putnama, który kazał nam wyobrazić sobie, że jesteśmy „mózgami w naczyniu”, podłączonymi przez szalonego naukowca do skomplikowanego komputera, wysyłającego do naszych neuronów tak dobre sygnały, by wydawało się nam, że mamy ciała i wchodzimy w interakcje z otaczającym nas światem. Te kontrfaktyczne założenia pozwalają powiedzieć ciekawe rzeczy o naturze języka i umysłu.

Mach traktuje eksperymenty myślowe w dużo bardziej przyziemny sposób. Zauważa że „marzyciele, budowniczości zamków na lodzie, poeci sławiący społeczne lub technologiczne utopie – wszyscy oni eksperymentują

w myśli. Nawet ceniony kupiec, jak i pilny wynalazca czy naukowiec to czynią. Każdy z nich wymyśla okoliczności i wiąże z nimi pomysł, oczekiwanie lub założenie osiągnięcia pewnych rezultatów; w ten sposób tworzone są eksperymenty myślowe”. Mach twierdzi zatem, że wyobrażanie sobie fikcyjnych – ale niekoniecznie mało prawdopodobnych – sytuacji jest przydatnym narzędziem rozwiązywania problemów. Wyrafinowane eksperymenty myślowe w stylu Putnama nie są czymś wyjątkowym – są po prostu skrajnym przypadkiem zjawiska dużo bardziej powszechnego.

Trudno nie zgodzić się z Machem. Rzeczywiście, na co dzień symulujemy w głowach wiele sytuacji – wystąpienie przed wymagającym audytorium, święteczną wizytę u rodziny, sposób sfinansowania dużej inwestycji. Robimy to po to, by lepiej przygotować się na przyszłe zdarzenia i zmniejszyć związaną z nimi, nieprzyjemną niepewność; by relatywnie małym kosztem zidentyfikować i znaleźć rozwiązanie problemów, z którymi będziemy, być może, zmuszeni się zmierzyć. Jest to heurystyczna funkcja wyobraźni. By zrozumieć, jak ten mechanizm działa, trzeba przypomnieć, że symulacja mentalna ma charakter wielomodalny, przez co potrafi ewokować intuicje. Intuicje to nic innego jak wyraz zgromadzonej przez lata wiedzy na temat tego, jak zmagać się z problemami, które napotykamy w swoim środowisku. Ktoś, kto wielokrotnie rozwiązywał pewien typ zadania matematycznego albo występował przed sądem jako adwokat w pewnej kategorii spraw, ma dobrze wykształconą intuicję – odpowiednio matematyczną i prawniczą. Ma „zakodowaną w ciele”, nie w pełni uświadomioną wiedzę, jak najlepiej rozwiązać określony rodzaj problemów. Symulacja mentalna pozwala tę wiedzę „aktywować”.

Ważniejsza niż wiedza

Ale wyobraźnia nie służy jedynie wykorzystywaniu wiedzy już posiadanej. W sali szkolnej czy w audytorium uniwersyteckim odwołujemy się często do wyobraźni, by dopiero wykształcić odpowiednie powiązania neuronalne, które w przyszłości ujawnią się jako nieświadoma wiedza intuicyjna. Gdy na wykładzie z prawa karnego analizuje się rozmaite, często zmyślone przypadki i zastanawia się nad tym, jak zakwalifikować je

ze względu na normy kodeksu karnego, młodzi adepci prawa nabywają wiedzę znacznie skuteczniej, niż wkuwając na pamięć abstrakcyjne formułki. Symulacja mentalna służyć też może reorganizacji intuicji – wspomaga proces, który psychologowie określają mianem wglądu. Wgląd następuje wtedy, gdy znajdujemy niespodziewane rozwiązanie problemu, polegające zwykle na restrukturyzacji sytuacji problemowej lub ujęciu jej w nowy sposób. Dzieje się to często w sytuacji impasu – wtedy, gdy nabyta dotąd intuicyjna wiedza nie radzi sobie z rozważanym zagadnieniem.

Albertowi Einsteinowi przypisuje się często zgrabne powiedzenie: „Logika zaprowadzi cię z punktu A do punktu B. Wyobraźnia zaprowadzi cię wszędzie”.

Gdy wyobrażamy sobie drzewo,

wykorzystujemy obszary mózgu, które odpowiadają także za percepcję wzrokową.

Choć brzmi ono „po einsteinowsku”, istnieją poważne wątpliwości, czy to właśnie on je wymyślił. Mówił jednak bardzo podobne rzeczy. Na przykład w wywiadzie dla „The Saturday Evening Post” z 1929 r. zauważał: „Jestem w wystarczającym stopniu artystą, by w pełni korzystać z mojej wyobraźni. Wyobraźnia jest ważniejsza niż wiedza. Wiedza jest ograniczona. Wyobraźnia obejmuje świat”. Jak to rozumieć?

Filozofowie nauki często odróżniają tzw. kontekst odkrycia od kontekstu uzasadnienia. Podręczniki koncentrują się na tym drugim: w jaki sposób, korzystając z wyrafinowanych narzędzi logicznych, można uzasadnić hipotezy naukowe, by włączyć je w złożoną tkankę wiedzy naukowej? Jest to domena umysłów analitycznych: wybitnych nieraz rzemieślników, którzy w mistrzowski sposób posługują się dobrze znanymi narzędziami. Te same podręczniki ignorują jednak zwykle kontekst odkrycia: przestrzeń, w której wyobraźnia prawdziwych artystów pozwala nam przesuwać granice ludzkiej wiedzy.

© BARTOSZ BROŻEK



KELLEPCS / PIXABAY

Co widzą niewidomi

W finalnym eseju książki „Oko umysłu” niezastąpiony popularyzator neurologii i neuropsychologii Oliver Sacks opisuje przypadek Johna Hulla. W wieku 17 lat Hull całkowicie stracił wzrok w lewym oku. W czwartej dekadzie życia jego widzenie w prawym oku zaczęło się gwałtownie pogarszać, aż w końcu w wieku 48 lat zupełnie przestał widzieć. Po całkowitej utracie wzroku stopniowo tracił również wyobrażenia wzrokowe. Finalnie, nie doświadczał już żadnych obrazów ani na jawie, ani we śnie. Sacks wspomina także przypadek artysty, który w wyniku urazu głowy utracił możliwość widzenia barwnego. Również jego wyobraźnia stała się czarno-biała. Doświadczenia te nie są jednak powszechne. Sacks opisuje przypadki wielu osób, które pomimo całkowitej utraty wzroku zachowały wyobraźnię wzrokową, a nawet jak twierdzą, ją rozwinęły. U części osób niewidomych z zespołem Bonneta mogą pojawiać się mimowolne wyobrażenia oraz halucynacje wzrokowe. To zróżnicowanie doświadczeń osób po utracie wzroku wyjaśnić można plastycznością kory wzrokowej. U części osób wciąż generuje ona wyobrażenia wzrokowe, u innych zaś (jak zapewne stało się w przypadku Hulla) przyjmuje zupełnie nowe funkcje. Co jednak z osobami niewidomymi od urodzenia? Można by się spodziewać, że są one całkowicie pozbawione obrazów umysłowych, jednak one same raportują, że niekiedy doświadczają ich w snach. © MH

Oko umysłu

MATEUSZ HOHOL

**Potrąfimy fantazjować nawet o tym, co nigdy nie istniało,
ale jednak wyobraźnia ma swoje ograniczenia.
Zrozumienie ich natury wymagało od badaczy nie ładu pomysłowości.**

Wyobraźnia jest jednym z elementarnych przejawów naszego życia wewnętrznego. Mają ją dzieci i dorośli, jest uznawana za podstawowe narzędzie pracy artystów i pisarzy. Także wielu słynnych naukowców, by wymienić choćby Alberta Einsteina czy zeszlórocznego noblistę Rogera Penrose'a, przekonanych było, że swoje odkrycia w dziedzinie fizyki teoretycznej zawdzięczają nie żmudnym rachunkom czy deliberacjom, ale właśnie wyobraźni.

Filozofowie interesowali się wyobraźnią już w starożytności. Arystoteles w traktacie „O duszy” zdefiniował ją jako zdolność do tworzenia wyobrażeń, czyli wewnętrznych obrazów. Trop ten podjęli później Kartezjusz i David Hume. Metaforą wyobraźni, która zadomowiła się w filozofii na dobre, stało się „oko umysłu”, zdolne do postrzegania przedmiotów, gdy nie mamy ich przed naszymi „biologicznymi” oczami.

Empiryczne badania nad wyobraźnią są natomiast tak stare, jak sama psychologia eksperymentalna. Prowadził je już żyjący na przełomie XIX i XX w. Francis Galton, spokrewniony z Karolem Darwinem wszechstronny uczony, który odcisnął swój ślad na rozwoju wielu dyscyplin nauki. Galton prosił badanych, by wyobrazili sobie pewne przedmioty, a następnie wypełnili kwestionariusz. Okazało się, że wyobrażenia tej samej rzeczy mogą być rozbieżne pomiędzy osobami, a nawet u tej samej osoby ewoluują w czasie. Galton wykazał więc, że wyobrażenia są twórcze. Gdy psychologia eksperymentalna w XX w. została zdominowana przez behawioryzm, badania nad wyobraźnią na pewien czas wyszły z naukowej mody, ale powróciły na gruncie psychologii poznawczej.

Prawa wyobraźni

Na przełomie lat 70. i 80. XX w. pracujący wówczas na Uniwersytecie Harvarda psycholog poznawczy Stephen Kosslyn przeprowadził serię eksperymentów behawioralnych nad tzw. „skanowaniem umysłowym”. Ich wyniki stanowią obojętny punkt niemal każdego kursu akademickiego z psychologii poznawczej, a także przedmiot ciągnących się po dziś dzień dyskusji. W badaniu przeprowadzonym w 1975 r. Kosslyn przedstawił uczestnikom kilka prostokątów o różnych rozmiarach, a następnie poprosił ich o wyobrażenie sobie jednej z takich figur geometrycznych z wpisaniem w nią dodatkowo zwierzęciem, powiedzmy – kotem. W kolejnej fazie uczestnikom zadawano pytania na temat wyobrazonego zwierzęcia, np. „czy ma ogon?”. Badani odpowiadali za pomocą jednego z dwóch przycisków. Okazało się, że czas udzielanej odpowiedzi był zależny od wielkości prostokąta, a co za tym idzie, rozmiaru wyobrazonego zwierzęcia. Im większy prostokąt – i wyimaginowane w nim zwierzę – tym szybsza odpowiedź. Okazało się również, że uczestnicy badania szybciej odpowiadali na pytania dotyczące większych elementów ciała kota, takich jak wspomniany ogon, w odróżnieniu od mniejszych, np. pazurów.

Uczestnicy innego badania Kosslyna mieli za zadanie wyobrazić sobie pary zwierząt różniących się znacznie wielkością, np. królik–słoń albo królik–mucha, a następnie odpowiadać na pytania, czy dane zwierzę posiada określoną cechę. Szybkość odpowiedzi okazała się uzależniona od względnej wielkości zwierzęcia. W parze królik–słoń, na pytanie „czy ma oczy?” osoby badane odpowiadały szybciej, gdy dotyczyło ono słońca, a wolniej, gdy królika. Gdy jednak kró-

lik występował w parze z muchą, szybsze czasy odpowiedzi na to samo pytanie zaobserwowano w przypadku pierwszego ze zwierząt.

Wspomnijmy jeszcze o jednym słynnym badaniu przeprowadzonym przez Stephena Kosslyna, Briana Reiserera i Thomasa Balla w 1978 r. Na początek osoby badane poproszono o obejrzenie mapy fikcyjnej wyspy oraz zapamiętanie lokalizacji zaprezentowanych na niej obiektów (m.in. studnia, jezioro, chatka, plaża). Badani następnie mieli zamknąć oczy, wyobrazić sobie mapę i skoncentrować się na jednym z miejsc, którego nazwę usłyszeli (np. na studni). Po chwili słyszeli kolejną nazwę (np. plaża lub kościół) i mieli odpowiedzieć za pomocą przycisków, czy takie miejsce znajduje się na mapie, czy też nie. W ten sposób zbadano reakcje na wszystkie pary obecnych na mapie obiektów (studnia–jezioro, jezioro–plaża, studnia–plaża itd.) oraz nieistniejących obiektów kontrolnych. Okazało się, że w przypadku obiektów, które znajdowały się na mapie, czasy reakcji osób badanych odzwierciedlały odległość między nimi – im dalej znajdowały się od siebie obiekty, tym więcej czasu potrzebowali badani na udzielenie odpowiedzi.

Wszystkie omówione wyżej badania to tzw. eksperymenty behawioralne, czyli takie, w których o przebiegu procesów poznawczych wnioskuje się na podstawie mierzalnych aspektów zachowania – w tym przypadku licząc co do ułamka sekundy czasie reakcji dla poprawnych odpowiedzi. Analizując wyniki pierwszego z badań Kosslyn zauważył, że łatwiej jest udzielać odpowiedzi na pytania dotyczące elementów wpisanego w prostokąt zwierzęcia, które (ze względu na rozmiary) są łatwo dostępne percepcyjnie. Wyobraźnia miałaby za-



ALEXA TORRE / ANZENBERGER / FORUM

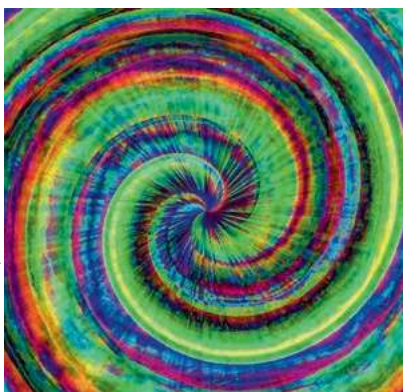
tem przypominać „oko umysłu” działające z rozdzielczością analogiczną do oczu, którymi obserwujemy realne obiekty. Gdy zwierzęta porównywane były w parach, aby odpowiedzieć na pytanie eksperymentatora, uczestnicy musieli rozciągnąć czy też powiększyć w wyobraźni mniejsze ze zwierząt, tak aby było ono łatwiej dostępne dla „oka umysłu”. Takie umysłowe powiększanie jest czynnością, która – tak jak zbliżanie się do obiektów w świecie fizycznym – zajmuje czas. Wreszcie, jeśli chodzi o trzecie badanie, Kosslyn i współpracownicy stwierdzili, że aby odpowiedzieć, czy dany obiekt znajduje się na mapie, czy nie, osoby badane musiały w wyobraźni „przeskanować” mapę, przemierzając ją „okiem umysłu” z punktu do punktu. Im większy dystans do przemierzenia, tym więcej czasu zajmowała odpowiedź.

Z badań tych płynie ważny wniosek: nasze wyobrażenia wcale nie są niczym nieskrępowane. Rządzą nimi prawa analogiczne do tych, którym podlegają nasze ciała, wchodzące w interakcje z przedmiotami w świecie zewnętrznym.

Jak jednak działa ta maszynieria wyobraźni? I jak możemy wykorzystać ją, by wyobrażać sobie rzeczy, których nigdy wcześniej nie widzieliśmy?

Głęboka reprezentacja

W 1980 r. Stephen Kosslyn opublikował książkę pod wymownym tytułem „Image and Mind” („Obraz i umysł”), w której podsumował swoje wcześniejsze prace i zaproponował oryginalną teorię wyobraźni. Określił ją jako proces wytwarzania wyobrażeń, czyli obrazów umysłowych, cechujących się podobieństwem strukturalnym ➔



Wyobrażenia niepożądane

W opublikowanym niedawno na łamach „Nature Reviews Neuroscience” artykule przeglądowym Joel Pearson argumentuje, że wyobrażenia wzrokowe są istotnym składnikiem wielu chorób psychicznych, ponieważ myślenie obrazowe jest w większym stopniu nasycone emocjami niż myślenie werbalne. Jak pokazują badania, osoby cierpiące na zaburzenia nastroju przejawiają większe trudności z wyobrażaniem sobie pozytywnych zdarzeń, które mogą zająć w przyszłości. A doświadczane przez nie intruzywne myśli na temat śmierci mają charakter nasyconych szczegółami obrazów umysłowych. Zarówno w przypadku osób z depresją, jak i chorobą afektywną dwubiegunową częstość takich wyobrażeń zwiększa ryzyko prób samobójczych. Intensywność wyobrażeń pozwala przewidzieć również siłę halucynacji doświadczanych przez osoby chore na schizofrenię. Co więcej, pojawiające się wbrew woli obrazy umysłowe są ważnym elementem „głodu”, doświadczanego przez osoby uzależnione od substancji psychoaktywnych, oraz tzw. flashbacków u osób cierpiących na zespół stresu pourazowego (PTSD). W tym ostatnim przypadku to, na ile doświadczane obrazy wydają się realne, pozwala przewidzieć zarówno samo nasilenie zaburzenia, jak i prawdopodobieństwo, że flashback wystąpi w konkretnej sytuacji. Co ciekawe, badania wskazują, że „zajęcie” pamięci roboczej – np. poprzez granie w Tetrisa – zmniejsza intensywność wyobrażeń pojawiających się po ekspozycji na traumatyczny bodziec. © MH

→ w stosunku do tego, co reprezentowane. Każde wyobrażenie składa się z dwóch elementów – reprezentacji powierzchniowej oraz głębokiej. Pierwsza z nich dostępna jest w introspekcji – to nasze świadome, a zarazem ulotne doświadczenie wyobrażanego sobie przedmiotu. Przedmiot ten jest analogiczny do tego, który możemy postrzegać w świecie zewnętrznym i zachowuje jego właściwości przestrzenne. Drugi z komponentów obejmuje natomiast niedostępne świadomości, ale za to zapisane trwale w naszej pamięci długotrwałej, zasoby wiedzy o przedmiocie. Ponieważ mózg może łączyć te zasoby na różne sposoby, przedmiotem naszej wiedzy mogą być nigdy niewidziane przez nas obiekty hipotetyczne (np. elektrony) albo całkowicie zmyślane (np. jednorożce).

Aby wyjaśnić relację między obydwojema komponentami systemu poznawczego, Kosslyn początkowo korzystał – jak wielu innych kognitywistów w tym czasie – z analogii komputerowej. Reprezentacje głębokie mają przypominać pliki graficzne, przechowywane na dysku twardym komputera (w tamtym czasie najpopularniejszym wśród nich formatem były mapy bitowe). Pliki te mogą zostać odpowiednio przetworzone i zrekonstruowane, a następnie wyświetlane jako obrazy na monitorze; obrazy te odpowiadają reprezentacjom powierzchniowym. W przypadku umysłu człowieka, za tę rekonstrukcję zakodowanych głęboko informacji odpowiada – w terminologii Kosslyna – „bufor wzrokowy”. Abyśmy jednak uzyskali świadomy dostęp do wyobrażenia, powiedzmy kota, reprezentacja powierzchniowa musi zostać jeszcze „odczytana” przez tzw. „funkcję oka umysłu”. To dzięki niej doświadczany świadomie obraz umysłowy posiada swoje własności przestrzenne, które możemy wykorzystać wykonując zadania takie jak omówione powyżej.

Choć teoria wyobraźni Kosslyna przedstawiana jest często jako opozycyjna względem popularnej w kognitywistyce lat 70. hipotezie „języka myśli” zaproponowanej przez Jerry’ego Fodora, między tymi podejściami można znaleźć więcej podobieństw niż różnic. W największym skrócie, Fodor twierdził, że nasza wiedza zakodowana jest w mózgu w postaci wrodzonego kodu, przypominającego rachunek logiczny

albo język programowania. Zdaniem Fodora to własności tego kodu, takie jak jego systematyczność, pozwalają nam sprawnie myśleć i działać. Być może to nie doświadczane przez nas w świadomy sposób wyobrażenia przedmiotów (reprezentacje powierzchniowe), ale jakieś własności języka myślenia (funkcjonującego na poziomie reprezentacji głębokich) odpowiadają za efekty odkryte przez Kosslyna i współpracowników? Metafora komputerowa sugerowałaby taką odpowiedź: komputer może przecież przetwarzać informacje o kotach czy słoniach bez wyświetlania ich na ekranie.

Badaczem, który wsparł taką interpretację, a jednocześnie zaciekle przeciwstawiał się teorii wyobraźni Kosslyna, był kanadyjski kognitywista Zenon Pylyshyn. Podobne stanowisko przypisuje się często Fodorowi, ale w rzeczywistości nie negował on istnienia wyobraźni. W opublikowanej w 1975 r. książce „Language of Thought” („Język myśli”) Fodor stwierdził wprost: „Nic, co powiedziałem, nie zaprzecza istnieniu obrazów umysłowych ani temu, że takie obrazy odgrywają ważną rolę w wielu procesach poznawczych. Rzeczywiście, dostępne świadectwa empiryczne dążą do potwierdzenia obu tych twierdzeń”. Jak zauważył jednak dalej, aby wyobrażenia mogły pełnić rolę w poznaniu, muszą być do nich przypisane odpowiednie symbole języka myśli.

Problem jednak w tym, że w mózgu trudno znaleźć Fodorowski „język myśli”. Znacznie łatwiej zaobserwować mózgowo źródło obrazów umysłowych.

Pożytki z fantazji

Zrekonstruowana wyżej wymiana poglądów może wydawać się po prostu jednym z wielu akademickich sporów, ale ma ona pewne znaczenie praktyczne. Często słyszymy o trenowaniu wyobraźni i pozytywnych skutkach wykorzystania jej w rozwiązywaniu problemów, także naukowych. Gdyby jednak Pylyshyn i Fodor mieli rację, a pamiętajmy, że ich tezy są w dużej mierze spójne z oryginalną teorią Kosslyna, to wkład wyobraźni w rozwiązywanie problemów okazałby się znacznie przeceńniony. Wyobraźnia byłaby co najwyżej skutkiem ubocznym działania mózgu, czy, jak lubią mawiać filozofowie, epifenomenem. Dzięki rozwojowi metod

badawczych oraz współpracy Kosslyna z innymi pomysłowymi naukowcami, takimi jak Joel Pearson z Uniwersytetu Nowej Południowej Walii (UNSW) w Sydney, teoria wyobraźni ewoluowała. Jedną z jej centralnych tez można podsumować krótko: wyobraźnia ma znaczenie w naszym myśleniu i działaniu.

W kolejnych latach Kosslyn i jego współpracownicy chętnie zaczęli korzystać z nowego narzędzia badawczego: funkcjonalnego obrazowania mózgu metodą rezonansu magnetycznego (fMRI). Okazało się, że gdy osoby badane wyobrażają sobie obiekty, aktywacji ulegają te same struktury mózgowe, które są aktywne podczas typowej percepcji wzrokowej, począwszy od zlokalizowanej w płacie potylicznym pierwszorzędowej kory wzrokowej (tzw. V1). Co więcej, na podstawie danych neuroobrazowych przewidzieć można w pewnym stopniu, co aktualnie wyobraża sobie dana osoba. Wygląda więc na to, że obrazy umysłowe są dla naszego mózgu rzeczywiście obrazami. Co więcej, badania neuroobrazowe wskazują na nakładanie się mózgowych



UNIVERSITY OF NEW SOUTH WALES

JOEL PEARSON jest profesorem neuronauki poznawczej na Uniwersytecie Nowej Południowej Walii w Sydney. Autor i współautor ponad 130 publikacji z dziedziny neuronauki i psychologii. Jego badania naukowe koncentrują się na ludzkiej świadomości, intuicji oraz wyobraźni. W trakcie Copernicus Festival 2021 prof. Pearson wygłosi jeden z głównych wykładów.

reprezentacji obrazów umysłowych oraz wzrokowej pamięci roboczej. Ta ostatnia nie tylko przechowuje przez krótki czas niewielką ilość informacji wizualnych, ale jest zaangażowana w manipulowanie nimi, przez co stanowi główny „mózgowy procesor” rozwiązywania problemów.

Uprawdopodobnia to nie tylko tezę, że wyobraźnia może pełnić funkcje analogiczne do tych, jakie pełni w poznaniu nasz wzrok, ale także że jest ona bezpośrednio zaangażowana w zadania poznawcze.

Jeśli chodzi o funkcje obrazów umysłowych, Joel Pearson i Stephen Kosslyn stwierdzili kilka lat temu na łamach „PNAS”, że obrazy umysłowe pozwalają szybko i ekonomicznie *symulować* interakcje, w jakie możemy wchodzić w rzeczywistym świecie – a także ich rezultaty. Może dlatego ewolucja wyposażyla nas właśnie w wyobraźnię? Wszak obraz bywa wart więcej niż tysiąc słów. Dotyczy to także obrazów umysłowych – i języka myślenia.

© MATEUSZ HOHOL

REKLAMA

Polskie Towarzystwo Reasekuracji S.A. wspiera od 25 lat rozwój polskiego rynku ubezpieczeniowego. Obecnie świadczy usługi reasekuracyjne już na wszystkich kontynentach.

W tym roku PTR po raz pierwszy
jest sponsorem Copernicus Festival



POLSKIE
TOWARZYSTWO
REASEKURACJI

A FAIRFAX Company



COPERNICUS
FESTIVAL

Ubezpieczamy ubezpieczycieli



Myśli bez języka

EDWARD NĘCKA

Być może są jakieś istoty we wszechświecie, które realizują takie funkcje umysłowe jak myślenie, planowanie czy orientacja przestrzenna inaczej niż my – nie używając wyobraźni.

ŁUKASZ KWIATEK: Jest jakieś urządzenie, bez którego nie wyobraża Pan sobie naukowej psychologii?

EDWARD NĘCKA: Komputer – ale to jak w każdej nauce.

Myślałem, że powie Pan o zegarku.

Chronometria jest bardzo ważna, ale komputery też ją umożliwiają. Pomiary czasu były obecne w psychologii eksperymentalnej od samego początku, od XIX w. Gdy zaczęto badać umysł człowieka, to podstawowe założenie było takie, że nie mówimy o żadnych duchach, beczasowych i niematerialnych, tylko o procesach poznawczych. A proces trwa. Można

go zatem mierzyć, porównać na tej podstawie z innymi procesami i wyciągać wnioski o jego złożoności.

Przy czym pomiar czasu pozwala też stwierdzić, że coś w ogóle się dzieje, że jakiś proces istnieje – bo gdyby się nie działo, to nie wymagałoby czasu.

Wyobraźnię również mierzy się zegarkiem?

Tak, ale nie tylko. Najsłynniejsze eksperymenty nad wyobraźnią wymagały precyzyjnego pomiaru czasu. One zmierzały do udowodnienia, że wyobraźnią rządzą podobne prawa jak działaniem w świecie materialnym. Jeśli przejście z instytu-

tutu do rynku trwa dłużej niż z instytutu do parku, to i wyobrażanie sobie tej dłuższej drogi powinno trwać odpowiednio dłużej. W badaniach mierzono czas, jaki zajmuje ludziom wyobrażanie sobie różnych rzeczy.

Jednak to, jak szybko coś się dzieje, nie zawsze jest kluczowe. Dla jakiegoś badacza ważniejsze może być to, jakie elementy w ogóle są wyobrażane albo jak wyobrażenia pomagają nam w życiu.

Jak zatem nam pomaga? Do czego w ogóle wyobrażenia służą?

Chodzi prawdopodobnie o pierwotny sposób funkcjonowania umysłu, nie



BRITTA PEDERSEN / AFP / EAST NEWS

tylko ludzkiego. Dzisiaj w psychologii poznawczej wyróżnia się dwa podstawowe sposoby przetwarzania informacji: werbalny i obrazowy. Werbalny, z oczywistych względów, jest ewolucyjnie – a także w rozwoju osobniczym – znacznie późniejszy. Obrazowy sposób przetwarzania wydaje się więc podstawowy.

Pomagał naszym przodkom w życiu, w odnajdywaniu się w środowisku. Odpowiadał za takie podstawowe czynności umysłowe jak zapamiętywanie, planowanie czy działanie celowe. To ostatnie wymaga reprezentacji celu w umyśle – trzeba wiedzieć, do czego się zmierza. Słowo „wiedzieć” sugeruje świadomość celu, ale w rzeczywistości może on być realizowany nieświadomie. Musi być jednak jakoś reprezentowany, zapisany w umyśle. Jednym z takich sposobów zapisu celu jest wyobrażanie sobie skutków działania. Wyobrażam sobie coś pożądanego dla mnie, i to coś kieruje moimi działaniami. Takie działanie nie jest więc odruchowe, tylko nadążne, dostosowujące się do okoliczności, po to, żeby do tego celu ostatecznie dotrzeć.

Wyobraźnia wspomaga też myślenie, a pewne jej formy są równoznaczne z pamięcią. Opisujemy je jako pewien łańcuch zdarzeń mentalnych. Ogniwa tego łańcucha mogą być werbalne – gdy myślimy pojęciowo, albo niewerbalne – wtedy mówimy o obrazach umysłu. Wyobraźnia przydaje się oczywiście w myśleniu twórczym, ale nie tylko – także tym bardziej rutynowym, związanym z rozwiązywaniem codziennych problemów.

Uściślijmy jeszcze: wyobraźnia dotyczy wyłącznie obrazów? Możemy sobie przecież wyobrażać zapachy, smaki, dźwięki.

Jesteśmy w niewoli języka. W słowie „wyobraźnia” jest zawarty „obraz” – zatem i wzrok. Ale psycholog, gdy mówi o wyobraźni, ma też na myśli reprezentację słuchową, zapachową czy dotykową, tylko nie ma na nie słów w języku. Pojęcie „obrazu umysłowego” jest używane szeroko w psychologii. Dla niepsychologów może to być dziwaczne. Niemniej – to też są formy wyobraźni, które zresztą można badać. Choć zdecydowana większość badań nad wyobraźnią dotyczy obrazów wzrokowych.

Występują różnice indywidualne pod kątem wyobraźni? Ona się jakoś skaluje?

Takie różnice ujawniają się, jeśli chodzi o skuteczność pewnych procesów wyobrazeniowych. Klasycznym przykładem jest badanie nad rotacjami umysłowymi. Pokazujemy uczestnikom dwa obrazki: przedstawiające jakiś przedmiot oraz jego kopię bądź lustrzane odbicie, ale ten drugi jest obrocony o pewien kąt. Uczestnik ma odpowiedzieć, czy to ten sam przedmiot, czy nie. Czas udzielenia odpowiedzi zależy liniowo od kąta rotacji. Jeśli obrócimy ten obiekt o 30 stopni, to odpowiedź będzie szybsza niż wtedy, gdy obrócimy przedmiot o 60 stopni. Ten efekt występuje w wszystkich, ale nie u każdego dynamika tego przyrostu czasu odpowiedzi jest taka sama.

U niektórych osób nawet niewielka zmiana kąta obrotu powoduje znaczne opóźnienie odpowiedzi – u innych osób minimalne. Można powiedzieć, że ich wyobraźnia pracuje bardzo sprawnie.

Inna zmienna indywidualna to produktywność wyobraźni. Ujawnia się szczególnie w młodszych okresach rozwojowych – zwłaszcza w wieku przed-

szkolnym. Wtedy wyobraźnia szaleje – wydaje się, że dzieci są w stanie wyobrazić sobie cokolwiek. Ale okazuje się, że nie wszystkie jednakowo. To jest zresztą ciekawy okres rozwojowy, jeszcze przedlogiczny. Myślenie ściśle, tzw. operacyjne, zaczyna się ok. 5-6. roku życia, dopiero wtedy staje się podporządkowane różnym regułom i zasadom.

Dlaczego właściwie dochodzi do tej zmiany typu myślenia? Dzieci wchodzi do szkoły i nowe środowisko społeczne zmienia im coś w myśleniu czy to po prostu naturalny, niezależny od szkoły, etap rozwoju mózgu?

Jest sporo takich sprawności umysłowych, które około 6-7. roku życia uzyskują pewien poziom dojrzałości i sprawiają, że dziecko nadaje się do szkoły. Inną taką sprawnością jest np. utrzymywanie uwagi albo kontrola poznawcza. I właśnie nie wiadomo: czy dlatego te umiejętności się rozwijają, że dziecko poszło do szkoły, czy wiek szkolny jest po prostu dobrze dostosowany do zdolności rozwojowych dzieci. Podejrzewam, że chodzi o tę drugą możliwość. Ludzkość intuicyjnie, trochę na ślepo, dostosowała wiek szkolny do możliwości większości dzieci.

Warto jeszcze wspomnieć, że pojęcie wyobraźni odnosi się do dwóch sprawności. Język angielski je rozróżnia: jest w nim *imagination* i *imagery*. *Imagery* to zdolność tworzenia obrazów jako reprezentacji obiektów. Wyobrażam sobie biurko, jabłko, strzałę w locie, a nawet zrotowany toporek wyrzucony w kierunku wroga. To wygenerowanie w umyśle obrazu, który odpowiada jakiemuś obiektowi. *Imagination* to twórcza umiejętność umysłu – np. tworzenie fabuły, gra w udawanie, wszelkiego rodzaju fikcja. W tej wyobraźni biorą udział nie tylko obrazy umysłowe, które są alternatywą wobec reprezentacji pojęciowych, ale wszelkie procesy poznawcze: myślenie, pamięć itd.

Czy między tymi komponentami wyobraźni istnieje ścisła zależność? Jeśli potrafię sobie wyobrazić tomahawk, który obraca się przez dłuższy czas, to czy będę bardziej kreatywny w wymyślaniu fabuł książek?

Nie ma na to żadnych dowodów. Właśnie dlatego uważa się, że to odrębne funkcje umysłowe. Być może wyobraźnia w sensie wąskim – *imagery* – jest →

⇒ zdolnością ściśle adaptacyjną. Pozwala znaleźć się w jakiejś sytuacji, rozwiązać pewien bieżący problem, np. w orientacji przestrzennej. To władza niekoniecznie twórcza. Ta druga wyobraźnia jest ewidentnie twórcza.

Te elementy wyobraźni podlegają treningowi albo wpływom środowiskowym czy raczej są zdeterminowane genetycznie, dziedziczymy je po przodkach?

Zacząłbym od tego, że nie ma opozycji: dziedziczone genetycznie *versus* podlegające rozwojowi. Jedno nie wyklucza drugiego. Wiele funkcji jest dziedziczonych, ale wymaga treningu, jak np. chodzenie albo bieganie. Pytać możemy więc o to, czy coś w mniejszym lub większym zakresie podlega takiemu treningowi, a oba rodzaje wyobraźni podlegają. Można np. zwiększyć tempo rotacji umysłowych. Osoba o przeciętnie rozwiniętej zdolności rotowania obiektów w wyobraźni na studiach z architektury może się w tym wyćwiczyć. Podobnie z wyobraźnią twórczą – mamy całą masę metod treningu twórczości.

A czy jakieś badania wykazały długotrwały wpływ wysokiej sprawności wyobraźni – w którymkolwiek znaczeniu – na późniejsze sukcesy w życiu? Przypomina mi się słynny test pianki, w którym okazało się, że dzieci, które potrafią powstrzymać się przed zjedzeniem słodczy, jeśli obieca im się po jakimś czasie dodatkową porcję, w dorosłości radzą sobie znacznie lepiej niż ich mniej cierpliwi koledzy.

Ten efekt, który pojawił się w teście pianki, rzeczywiście jest dobrze udokumentowany i ma dużą moc predykcyjną. Na podstawie wyniku testu pianki można przewidzieć, ile kto będzie zarabiał nawet po 40 latach. Dla mnie to zawsze było bardzo dziwne, ponieważ taki jednorazowy pomiar jest z punktu widzenia psychometrii bardzo słaby. Nie znam natomiast badań, które pozwalałyby przewidywać powodzenie w tak długim okresie na podstawie jakiegos pomiaru zdolności wyobraźni. Stosuje się różne techniki treningu wyobraźni w celu motywowania pracowników, zawodowych sportowców lub żołnierzy. Znam też publikacje, w których poprzez trening wyobraźni pomagano ludziom z nadwagą

Gdy zaczęto badać umysł człowieka, założono, że nie mówimy o żadnych aktach duchowych, tylko o procesach poznawczych.

A proces trwa. Zatem można go mierzyć.

w redukcji masy ciała. Efekty są zachęcające, ale nie wiadomo, jak trwałe. Pomiar skuteczności rzadko przekracza tu okres kilku miesięcy, bo potem zwykle traci się kontakt z osobami badanymi i trudno skompletować odpowiednio dużą próbkę danych. Test pianki to wyjątek, swego rodzaju fenomen.

Ale właśnie test pianki pokazuje potęgę wyobraźni. Jeśli dziecko siedzi przed pianką i decyduje: zjeść, naddłubać, nadgryźć, polizać czy poczekać – to może stosować różne techniki poznawcze, jak np. odwracanie uwagi, zamykanie oczu, lub techniki wyobrażeniowe. Może sobie wyobrazić, jak ta pianka będzie smaczna, gdy już ją zje – ale to nie pomaga mu się powstrzymać. Ale może też sobie wyobrazić, że pianka to statek kosmiczny – skupić się na cechach takich jak kolor czy wygląd, a nie smakowitość. Wtedy wyobraźnia pomaga dziecku wytrzymać dłużej. Opisano wiele takich technik wyobrażeniowych wspomagających samokontrolę. Niektóre dzieci umiały je stosować już przed testem, innym skutecznie pomagano w ich nabywaniu.

Wróćmy do treningów wyobraźni.

Na czym one polegają i w jaki sposób działają? Wytrenowane umiejętności można jakoś uogólnić czy dotyczą one tylko bardzo wąskiej dziedziny?

Zacznijmy od wyobraźni w wąskim sensie. Jedną z metod jej treningu jest wizualizacja – popularna zwłaszcza w sporcie. Jeśli sportowiec przed kopnięciem piłki wyobrazi sobie w szczegółach to działanie, pomoże mu to w mistrzowskim wykonaniu rzutu wolnego. Prawdopodobnie dlatego, że wizualizowana czynność ak-

tywizuje wstępnie neurony w tzw. korze przedruchowej – i one są gotowe do sterowania ruchem. Taka sztuka wizualizacji jest w sporcie bardzo popularna. Próbowano ją stosować też w innych dziedzinach – np. w technikach radzenia sobie z chorobą lub stresem, ale tu wyniki badań nie są jednoznaczne.

A jeśli chodzi o techniki treningu wyobraźni kreatywnej, jest ich mnóstwo. Niektóre obejmują także wykorzystanie wyobraźni w węższym znaczeniu. Trenuje się np. produktywność wyobraźni, zdolność do wczuwania się w jakąś sytuację. Ale większość z nich to techniki werbalne, polegają na umiejętności tworzenia nowych pomysłów, scenariuszy.

Natomiast wyniki takich treningów niekoniecznie przekładają się na inne dziedziny, na ogół mają bardzo wąskie zastosowanie. Można np. trenować pamięć roboczą – i uzyskiwać coraz lepsze wyniki w teście, w którym należy wymienić słowa czy liczby wyświetlone przed chwilą, lecz nie przeniesie się to na inne zdolności, np. inteligencję. Choć wiadomo skądinąd, że pamięć roboczą ją determinuje. Podobnie, trenując wyobraźnię raczej nie spodziewajmy się, że rozwiną się nam przy okazji inne zdolności poznawcze.

Tak uważano dawniej, szczególnie w edukacji. Mówiono: nauczymy dzieci matematyki albo łaciny, a to ogólnie rozwinię ich umysły. Oczywiście matematyka i łacina mogą się przydawać w różnych dziedzinach, ale nie rozwijają umysłu jako całości.

A co z wykorzystywaniem wyobraźni w treningach motywacji? Wizualizacja to jedno z ulubionych narzędzi trenerów rozwoju osobistego, którzy często mają jednak dość swobodny stosunek do nauki.

Wspomniałem, że wyobrażanie sobie czegoś jest jednym ze sposobów reprezentowania celu. W motywacji chodzi właśnie o nastawienie na jakiś cel – więc wyobraźnia może tutaj na różne sposoby pomagać. Można wyobrażać sobie skutki pozytywne, ale też negatywne podjęcia jakiejś decyzji. W badaniach neuroobrazowych pokazano wyraźnie, że człowiek, który jest tuż przed wykonaniem jakiegoś ruchu – choćby banalnego, np. palcem – może się w ostatniej chwili powstrzymać przed tym ruchem, jeśli uaktywni pewne struktury mózgowe za-

angażowane w przetwarzanie emocji, które dadzą mu impuls, by tego nie robić. Prawdopodobnie włącza się wówczas wyobrażenie skutków negatywnych.

Treningi tego rodzaju mają udowodnić skuteczną skuteczność, ale to nie znaczy, że będą skuteczne w każdym przypadku. To tak, jak w medycynie – lek przeszedł testy kliniczne, ale może być źle dobrany albo trafić na „opornego” pacjenta.

Wspomniał Pan o neuronaukach – zastanawiam się, czy techniki obrazowania mózgu umożliwiają dostęp do cudzej wyobraźni. Czy jesteśmy dzięki nim w stanie czytać myśli innych osób?

Odpowiadając krótko: tak, to możliwe. Znamy spektakularne przykłady. Brytyjski psycholog Adrian Owen zajmuje się próbą dotarcia do osób w śpiączce. Pomysł jest genialnie prosty – opiera się na poleceniu: wyobraź sobie, że grasz w tenisa albo że spacerujesz po swoim mieszkaniu. Z badań nad zdrowymi osobami wiemy, że w obu przypadkach aktywują się inne obszary mózgu. Wypróbowano to zjawisko w komunikacji. Owen położył się w maszynie do rezonansu magnetycznego, a jego kolega zadawał mu pytania zamknięte, na które nie znał odpowiedzi. Owen odpowiadał wyobrażając sobie te dwie różne sytuacje: gra w tenisa oznaczała: tak, a spacer po mieszkaniu: nie – lub odwrotnie. Jedno z pytań brzmiało: czy twoja matka żyje? Później Owen napisał, że gdy wyszedł ze skanera, to jedyny raz w życiu ucieszył się, że usłyszał, iż jego matka nie żyje. Bo to znaczyło, że metoda działa – kolega zrozumiał odpowiedź Owena udzieloną mózgiem.

Tą samą metodą próbowano się komunikować z pacjentami ze zdiagnozowanym stanem wegetatywnym – i w niektórych przypadkach się to udawało. Okazało się, że u niektórych z tych osób tli się jakaś świadomość i można do niej dotrzeć.

Badania te pokazują, że możemy wiedzieć, o czym ktoś myśli – na razie w bardzo ograniczonym stopniu. Ale to kwestia czasu, gdy będziemy mogli rozstrzygnąć, o czym ktoś myśli, czy myśli o kimś dobrze, czy źle – to wszystko nauka ma w zasięgu ręki. Duże nadzieje w tym zakresie wiąże się ze sztuczną inteligencją, która potrafi przetwarzać olbrzymie ilości danych. Jeśli już teraz pomaga w diagnostyce medycznej, to tylko kwestia czasu, gdy zacznie czytać nasze mózgi.



IAKUB OCIEPA / AGENCJA GAZETA

PROF. EDWARD NĘCKA kieruje Zakładem Psychologii Eksperymentalnej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zajmuje się problematyką inteligencji, kontroli poznawczej i uwarunkowaniami procesów twórczych. Jest autorem i współautorem wielu publikacji, m.in. książek „Trening twórczości” i „Psychologia twórczości”. Podczas Copernicus Festival 2021 wygłosi jeden z głównych wykładów.

To skądinąd ciekawe w kontekście wyobraźni. Sztuczna inteligencja radzi sobie, zdaje się, bez niej, a na wielu polach nas już zdystansowała. Może przeceniamy wyobraźnię? Może najważniejsze procesy intelektualne mogą bez niej przebiegać?

Teoretycznie mogą. Gdyby sztuczna inteligencja nauczyła się szybkiego rozpoznawania obiektu, łącząc różne jego cechy, tak żeby w ułamku sekundy odpowiedzieć: „to jest jabłko”, nie używając przy tym obrazów umysłu – to moglibyśmy powiedzieć, że tak jak człowiek rozpoznaje obiekt; zrealizowała tę samą funkcję, ale w inny sposób i na innym podłożu.

Być może zresztą są jakieś istoty we wszechświecie, które realizują takie funk-

cje umysłowe jak myślenie, planowanie, orientacja przestrzenna itd. inaczej niż my – nie używając wyobraźni. My po prostu jesteśmy tak ukształtowani. Najpierw widzimy jabłko, potem „widzę je” przy zamkniętych oczach, potem wyobrażam sobie jabłko, które nie istnieje albo że ono gra w piłkę z innym jabłkiem. Uwolniliśmy percepcję od bezpośredniego naporu obiektów i wykształciliśmy wyobraźnię. Ale można sobie wyobrazić realizację tych wszystkich ważnych funkcji bez niej.

Jak psycholodzy spoglądają na rozwój neuronauk? Nie boją się, że staną się niepotrzebni?

Niektórzy faktycznie przewidują, że psychologia się w neuronauce roztopi, straci tożsamość i przestanie być uprawiana. Wydaje mi się, że to niepotrzebne obawy. Psychologu już teraz czerpie z badań neuronaukowych. Skoro mówimy o wyobraźni: w psychologii długo trwała debata, jak umysł reprezentuje wyobrażenia. Czy przechowuje je w postaci jakichś abstrakcyjnych zapisów, a potem generuje obraz w świadomości, czy może przechowuje je, no właśnie, jako obrazy. To były wielkie polemiki. Badania neuroobrazowe dowiodły, że gdy sobie wyobrażam jabłko, to aktywują się prawie te same neurony, które się aktywizują wtedy, gdy widzę jabłko. „Prawie takie same”, bo mózg się jednak nauczył odróżniać fikcję od rzeczywistości. Wraz z tym odkryciem te polemiki się skończyły.

Część neuronauki ma niewiele wspólnego z psychologią, bardziej z neurofizjologią. Ale gdy idzie o badanie funkcji poznawczych lub zachowania, to współpraca neuronaukowca z psychologiem jest niezbędna. Nie można badać maszyny, gdy nie wie się, do czego ona służy. Psychologia opisuje funkcję, czyli zachowanie. Neuronaukowiec opisuje maszynę sterującą tym zachowaniem. Dopiero jedno z drugim daje całość. Nawet gdyby psychologia przestała być dyscypliną akademicką i przekształciła się w neuronaukę behawioralną, to ja bym się tym nie martwił. To nadal będzie badanie społecznego i indywidualnego zachowania ludzi czy zróżnicowania międzyosobniczego.

Zmienia się tylko metody.

I to niezbyt radykalnie. Choć może wreszcie odłożymy zegarki.

© © Rozmawiał ŁUKASZ KWIATEK



WOJTEK ŁASKI / EAST NEWS

Halloween, Nowy Jork, 31 października 2019 r.

Nie wszyscy liczą owieczki

KATARZYNA DZIADOWICZ

**Czasami trudności zmuszają nas, by powiedzieć: „Jakoś tego nie widzę”.
Dla osób z afantazją taki stan to norma – i nie ma nic wspólnego z pesymizmem.**

Ile okien jest w twoim domu? Zastanów się przez chwilę i odpowiedz. Już wiesz?

Jeżeli nie masz wyraźnego powodu, by pamiętać ich liczbę, to prawdopodobnie właśnie odbyłeś w myślach podróż po wszystkich pokojach, sumując okna w każdym z nich. A może wyobraziłeś sobie, jak obchodzisz budynek, licząc okna na każdej ze ścian. Możemy przyjąć różne strategie, ale większość osób widzących, wykonując to zadanie, posłuży się wyobraźnią wzrokową. Okazuje się jednak, że nie wszyscy „widzą oczami wyobraźni”, często nawet nie zdając sobie sprawy z tego, że ich doświadczenie różni się od doświadczeń większości osób. Tak było w przypadku Blake’a Rossa, współtwórcy przeglądarki Firefox, który kilka lat temu napisał na blogu o osobistym odkryciu, że dla większości ludzi liczenie owiec przed snem nie jest tylko metaforą.

Pytanie na śniadanie

Dla nauki nie było to spostrzeżenie przełomowe. Już w latach 80. XIX w. Francis Galton, jeden z pionierów psychologii, przystąpił do sporządzenia „statystyk mentalnej obrazowości”. Chciał określić stopień wyrazistości obrazów „widzianych oczami wyobraźni” i opisać związane z tą zdolnością osobliwości. Raczej nie spodziewał się, że jedną z nich będzie... brak jakichkolwiek wyobrażeń. A jednak kiedy poprosił o określenie wyrazistości, jasności i barw przywoływanego w pamięci obrazu stołu, przy którym jadło się śniadanie, to nie wszyscy mieli cokolwiek do powiedzenia. Niektórzy byli wręcz zaskoczeni naiwnością jego pytań – bo jak mieliby te wyobrażenia opisać, skoro „tak się tylko mówi”. Można przywoływać pewne informacje z pamięci, ale w głowie nie ma przecież żadnych zdjęć czy filmów. Prawda?

Osoby z afantazją z pewnością by przytaknęły. W 2015 r. Adam Zeman i jego współpracownicy zaproponowali, by terminem tym określać niezdolność, albo ograniczoną zdolność, do spontanicznego tworzenia obrazów mentalnych. Wstępne szacunki mówią, że afantazja występuje u około 2 proc. populacji. Niektórzy pomimo braku zdolności do intencjonalnego przywoływania określonych obrazów na co dzień doświadczają pewnej formy „widzenia w umyśle” – poprzez „przebłyski” w czasie normalnej aktywności lub w snach. Te ostatnie mają jednak rzadziej niż inni, a przynajmniej tak deklarują.

Brak zdolności „widzenia w umyśle” nie musi jeszcze oznaczać całkowitego braku wyobraźni. W badaniu, w którym uczestniczyło niemal 300 osób z afantazją, tylko mniej niż 30 proc. przyznało, że nie ma zdolności do wyobrażania so-

bie bodźców z żadnej modalności zmysłowej: wzrokowej, słuchowej, dotykowej, kinestetycznej, smakowej, zapachowej czy emocjonalnej. Jednak generalnie w nich wszystkich deklarowali wyniki poniżej średniej populacji, czyli także przywoływane przez nich smaki czy zapachy były mniej wyraziste niż przeciętnie.

Systemy i szlaki

Historia osób z afantazją często wygląda podobnie jak ta opisana przez Blake'a Rossa. O swojej przypadłości często dowiadują się one przypadkiem – np. przeczytają doniesienia naukowe o pacjencie, który po urazie mózgu utracił zdolność wyobrażania sobie obrazów, i wyda im się niezwykle, że w ogóle tę zdolność posiadał.

Ze względu na to, jak bardzo jest to osobiste doświadczenie, afantazję trudno mierzyć. Podczas prowadzenia badań, kiedy kluczowe jest odróżnienie osób zdolnych do „myślenia obrazami” i pozbawionych tej umiejętności, za kryterium przyjmuje się zwykle wynik badania w Kwestionariuszu Wyrazistości Wyobraźni Wizualnej, w którym prosi się o wskazanie, w skali od 1 do 5, wyrazistości pewnego obrazu: np. konturu twarzy bliskiej osoby, kolorów jakiegoś ubrania itd. Niskie wyniki to słaba wyobraźnia wzrokowa lub jej całkowity brak.

W diagnozie afantazji pomocne mogą być takie zadania jak to z podawaniem liczby okien w domu, ale nie zawsze są one miarodajne. Poprawna odpowiedź nie wyklucza bowiem stosowania jakiegś innej strategii myślenia. W rzeczywistości w przeprowadzonych eksperymentach osoby z afantazją poprawnie odpowiadały na to pytanie.

Może zaskakiwać, że osoby z afantazją nie mają problemów z wyobraźnią przestrzenną – dobrze wypadają w kwestionariuszach, gdzie same określają, jak dobrze im idzie np. granie w „Tetris” lub gry wymagające konstruowania określonych figur z klocków czy papieru. Te umiejętności potwierdzają zresztą w samych testach. Po zaprezentowaniu im na kartce jednej figury są w stanie wybrać spośród kilku innych tę samą, nawet jeśli została obrócona w taki sposób, że na pierwszy rzut oka trudno to dostrzec. Osobom o typowo działającej wyobraźni wzrokowej może się wydawać, że to zadanie wymaga skorzystania z wyobraźni

wzrokowej – i zasymulowania w myślach rotacji figury.

Nauka konsekwentnie pokazuje jednak, że przyporządkowanie wszystkich sposobów przetwarzania bodźców wzrokowych do jednej kategorii jest zbyt dużym uproszczeniem. Neuroanatomicznie proces przetwarzania bieżących informacji wizualnych możemy podzielić na co najmniej dwa szlaki. Pierwszy, zwany brzusznym, odpowiada za kodowanie informacji o cechach wizualnych przedmiotów – jego uszkodzenie uniemożliwia rozpoznawanie oraz przywoływanie kształtów i detali obiektów. Biegnie od płata potylicznego do dolnych płatów skroniowych. Drugi szlak, grzbietowy, koduje informacje przestrzenne, a jego uszkodzenie prowadzi do zaburzenia zdolności określenia lokalizacji przedmiotów. Biegnie od płata potylicznego do tylnych płatów ciemieniowych.

Czwórka psychologów, z Marthą Farah na czele, już w latach 80. sugerowała, że istnieją także dwa oddzielne systemy wizualnej reprezentacji mentalnej, analogiczne do szlaków wzrokowych. Późniejsze badania wykazały, że faktycznie uszkodzenie pierwszego szlaku może sprawić, iż nie będziemy w stanie przypomnieć sobie, czy często mijana przez nas osoba ma brodę, a drugiego – że wyobrażenia nie pomoże nam w określeniu lokalizacji mebli w naszym mieszkaniu. Jeżeli więc jako kryterium rozpoznania afantazji przyjmujemy kwestionariusz, który weryfikuje głównie zdolności wyobrażania sobie pewnych scen i przedmiotów (co związane jest ze szlakiem brzusznym), to brak deficytów w innych aspektach funkcjonowania mentalnego, nawet, wydawałoby się, związanych z tą samą domeną, dziwi znacznie mniej. Dalsze badania powinny pokazać, czy także u osób z afantazją wrodzoną występują zmiany w tych obszarach mózgu – i jeśli tak, jaki mają charakter.

Pacjent MX

Można się zastanawiać, dlaczego afantastycy mają problem z wizualizowaniem wyobrażeń, skoro ich systemy percepcyjne działają bez szwanku – widzą przecież normalnie. Dotychczas uważano, że odtwarzanie obrazów może polegać na reaktywowaniu tych samych wzorów aktywności, co ich postrzeganie, ale w odwrotnym kierunku. Spekulowano więc, że w afantazji informacje wzrokowe są

poprawnie przesyłane i przetwarzane w mózgu, ale ich odtworzenie, czyli wolicjonalne wyobrażenie, nie jest możliwe. Według jednej z hipotez wadliwy miałby być proces ich kodowania w sieci połączeń neuronalnych, według innej sam proces odtwarzania tego wzoru. Obecnie wiemy, że wzory aktywności mózgu podczas percypowania jakiegoś przedmiotu i „odtworzenia go sobie w myślach” niezupełnie się pokrywają, więc wciąż brakuje konsensusu w kwestii wyjaśnienia neurobiologicznych podstaw niezdolności do tworzenia mentalnych obrazów.

Przyczynkiem do znacznego wzrostu zainteresowania badaniami nad wyobraźnią były artykuły poświęcone pacjentowi MX. Nie był on typowym przypadkiem osoby z afantazją. Po pierwsze, przez kilkadziesiąt lat, aż do operacji neurologicznej, cieszył się zdolnością przywoływania w myślach obrazów, którą zresztą wykorzystywał w pracy inspektora budowlanego. W połączeniu z bardzo dobrą pamięcią pozwalała mu ona „wracać” do planów budynków i ich brył. Po drugie, nawet po utracie tej zdolności, MX wciąż dobrze wypadł w testach obrazowania mentalnego. Potrafił rysować z pamięci przedmioty, opisywać ze szczegółami znane szlaki (jak tłumaczył: „Pamiętam je, ale nie potrafię ich zobaczyć”), zdawał podstawowe testy na wyobraźnię wzrokową, które polegają na określeniu stosunku ogona do ciała zwierzęcia oraz porównywaniu odcieni jednego koloru, np. zieleni trawy i sosny.

Takie doniesienia rodzą skojarzenie z tzw. ślepowidzeniem, czyli zaburzeniem, przez które traci się świadomy dostęp do informacji dostarczanych przez oczy. Dotknięte nim osoby deklarują, że nic nie widzą, ale jednocześnie kiedy w wąskim korytarzu urządzi się im tor przeszkód z krzesel, będą je sprawnie omijać, bez potrzeby dotykania ich. Tłumaczą wtedy swoje zachowanie np. słowami: „Po prostu miałem ochotę skrócić”.

Zjawisko to jest wynikiem uszkodzenia niektórych struktur mózgu zaangażowanych w świadomą percepcję wzrokową, przy jednoczesnym zachowaniu komunikacji pomiędzy pierwszorzędową korą wzrokową a obszarami umożliwiającymi reakcję na docierające do mózgu informacje. Może więc zarówno pacjent MX, jak też inni afantastycy są po prostu „ślepi na swoje wyobrażenia”? W przypadku „ślepowidzenia w umyśle” →

⇒ trudniej zaprojektować test, który mógłby to wykazać (żaden tor przeszkód nam nie pomoże), ale istnieją argumenty za tym, by tę hipotezę odrzucić.

Gdy oczy rywalizują

Opierają się one na wykorzystaniu w badaniach paradygmatu rywalizacji obuoczonej. Chociaż nazwa brzmi niepokojąco, polega on po prostu na prezentowaniu badanemu dwóch różnych obrazów jednocześnie – innego do prawego oka, innego do lewego. Mózg nie tworzy z nich spójnego doświadczenia percepcyjnego, lecz losowo pomiędzy nimi przeskakuje, dlatego raz widzimy jeden obrazek, raz drugi. W normalnych warunkach będziemy widzieć oba obrazy równie często, jednak możemy to zmienić, np. prosiąc badanego, by wyobrażał sobie jeden z nich. Wtedy w czasie trwania prezentacji rywalizujących bodźców będzie on częściej „wybierany” – tzn. będziemy go częściej widzieć. I właśnie to zjawisko, nazywane torowaniem, wykorzystano, by zbadać osoby z afantazją.

Rebecca Keogh i Joel Pearson spekulowali, że jeśli w takiej procedurze okaże się, iż efekt torowania występuje także u afantastyków proszonych o wyobrażenie sobie danego obrazu, mogłoby to potwierdzać, że w ich głowach powstają obrazy, ale nie mają do nich świadomego dostępu. Najpierw prezentowano badanym jedną z dwóch wskazówek. Litera R oznaczała: wyobrażaj sobie czerwone, poziome paski, a litera G: pionowe, zielone paski. Osoby badane przez sześć sekund miały wyobrażać sobie dany wzór, następnie zaś krótko im go wyświetlano.

Wreszcie zadawano kluczowe pytanie: który bodziec widzieli? Wyniki pokazały, że grupa afantastyków nie podlegała torowaniu – ich uwaga losowo przełączała się pomiędzy obrazami. Co innego grupa o typowej wyobraźni – dla nich podczas prezentacji dominował obraz, który mieli wyobrażać sobie wcześniej. Wyniki badania sugerują więc, że afantastycy nie tylko nie mogą dotrzeć do swoich obrazów mentalnych, ale że naprawdę ich nie mają, a rywalizacja obuoczna stała się pierwszą zaproponowaną procedurą obiektywnego rozpoznawania afantazji.

Druga ważna obserwacja MX związana była z rotacjami mentalnymi. Pacjent dobrze radził sobie w testach identyfikowania obróconych par figur – osiągał w nich nawet lepsze wyniki niż osoby z prze-

Osoby dotknięte ślepowidzeniem tracą świadomy dostęp do informacji dostarczanych przez oczy.

Ale jeśli urządzi im się w wąskim korytarzu tor przeszkód z krzesel, będą je sprawnie omijać.

ciętą wyobraźnią wzrokową. Badacze sprawdzili też, ile czasu mu to zajmuje. Okazało się, że wykonuje zadanie wolniej niż osoby z grupy kontrolnej, ale nie występuje u niego zależność czasowa charakterystyczna dla typowych badanych.

Dla osób zdolnych do mentalnego obrazowania wskazanie identycznej figury spośród kilku obróconych trwa bowiem tym dłużej, im większy jest kąt obrotu – tak jakby badani musieli odtworzyć w głowie obrót, co zajmuje tym więcej czasu, im większy obrót jest potrzebny.

Wynik pacjenta MX sugeruje, że faktycznie wykorzystał on jakąś alternatywną metodę. Jaką? Jak sam tłumaczy, próbował dopasować indywidualne bloki i kąty figur, opierając się wyłącznie na tym, co widział.

Czy jest się czego bać

O tym, że afantazja jest zjawiskiem jak najbardziej rzeczywistym i mierzalnym, świadczą także wyniki interesującego eksperymentu, w którym sprawdzano reakcje osób z tą przypadłością podczas czytania napisanych w pierwszej osobie, fikcyjnych scenariuszy strasznych wydarzeń. W czasie lektury badano ich przewodnictwo skórne, by określić, czy opisywane historie wywołują w nich silne emocje (można to stwierdzić, ponieważ pobudzenie emocjonalne zwiększa potliwość skóry – to samo zjawisko wykorzystują wykrywacze kłamstw). Okazało się, że osoby z afantazją bały się średnio mniej niż osoby w grupie kontrolnej (o typowej wyobraźni wzrokowej). Taka reakcja może świadczyć o braku obrazów mentalnych, które by symulowały zagrożenie

i wywołały uczucie strachu (gdy osobom badanym zaprezentowano przerażające obrazki, nie zaobserwowano różnic międzygrupowych w reakcjach).

Badania nad afantazją trwają i wciąż wiele jej aspektów wymaga eksperymentalnego sprawdzenia. Myłacie byłoby jednak uznanie, że to przede wszystkim ciekawe pole naukowych eksploracji. Afantazja dotyka bowiem istotnego aspektu codziennego funkcjonowania części populacji. Wprawdzie afantastycy na co dzień żyją zupełnie normalnie i nie muszą szukać pomocy specjalisty, ale napotykać na pewne utrudnienia.

Zdjęcie to dla nas gotowy zestaw informacji. Może się na nim znajdować wiele obiektów, kolorów i szczegółów, więc wystarczy na nie spojrzeć, by uzyskać kompletny obraz danej sceny. Można go zastąpić opisem, ale trudno osiągnąć taki efekt, który by oddał nastrój, opis zaś wszystkich detali mógłby okazać się nieskończenie długi. Obrazy w pamięci nie u wszystkich są tak wyraźne jak fotografie, ale kiedy towarzyszą wspomnieniom autobiograficznym, zwykle wiążą się z doświadczeniem ponownego przeżywania i poczuciem intymności, które upewnia nas w przekonaniu, że braliśmy w nich udział. Tego doświadczenia przeważnie brakuje osobom z afantazją. Wypadają także słabo w testach pamięci autobiograficznej – przywołują mniej szczegółów wydarzeń z przeszłości. To sugeruje, że wizualne obrazy mentalne pełnią ważną funkcję w zapamiętywaniu wydarzeń z naszego życia.

Bywają też przekleństwem, kiedy pojawiają się pod postacią mimowolnych przeblysków z traumatycznych wydarzeń. Takie nawracające wspomnienia mogą być jednym z objawów zespołu stresu pourazowego, który występuje u żołnierzy, ale też ofiar wypadków, napaści i uczestników wszelkich wydarzeń, które były skrajnie stresujące. Badania pokazują, że osoby z afantazją mogą czerpać w tym względzie pewną korzyść z braku „obrazów w głowie”, bo rzadziej niż pozostali doświadczają powrotów niechcianych i niepokojących wspomnień stresujących doświadczeń. Mówi się nawet o tym, że brak wyobraźni wzrokowej może wyzwalać od czegoś jeszcze – od zdefiniowanych form. A to pozwala na myślenie w bardziej abstrakcyjny i twórczy sposób.

© KATARZYNA DZIADOWICZ



MATEUSZ TARANOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE

Pracownia Tamary Berdowskiej, czerwiec 2020 r.

Muzeum bez ścian

MARTYNA NOWICKA

Dostępne w albumach i wirtualnych galeriach reprodukcje rzeźb i obrazów rzadko oddają prawdziwy zamysł artysty. Ale pojawienie się ich na zawsze odmieniło sztukę.

Na stronach podręcznika nawet arcydzieła wyglądają podobnie – w zbliżonych do siebie formatach, w palecie barwnej ograniczonej możliwościami druku, czasem po prostu do czerni i bieli. Jeśli detal, to tylko dlatego, że ktoś hojnie zadbał o dodatkowe ujęcie albo po prostu zrezygnował z pełnego obrazu. Fragment portalu powiększony, czasem z figurą czy sceną pozbawioną tła, kwatery ołtarza na kolejnych stronach. Książka, zszyta z myślą o innych celach, nie rozkłada się na płasko: ten obraz na rozkładówce zapamiętamy właściwie bez środka.

Patrzanie na sztukę w reprodukcji, pozbawioną kontekstu muzeum czy prywatnej kolekcji, zawsze wiąże się z pewnym przekłamaniami. Nie pozwala nam

zrozumieć skali, nie daje pojęcia o materialności płótna pokrytego farbą (cienko czy grubo?), gubi detale. A przecież zanim odwiedzimy pierwsze muzeum, dzieła, szczególnie te najbardziej cenione, widzimy właśnie tak: tu fragment, wybrany przez cudze oko, tu całość, ale znów bez detalu. Może stojąc przed obrazem zwrócilibyśmy uwagę na inny szczegół, ale ktoś już skadrował całość wedle swojej wrażliwości. Pamięć czasem robi uniki i nawet jeśli widzieliśmy coś w oryginale, wracamy do wiernej reprodukcji.

Łatwo wytknąć reprodukcjom oczywiste braki, ale to ich pojawienie się zmieniło dostępność sztuki. A także – jak zauważył w latach 50. XX w. francuski pisarz i teoretyk sztuki André Malraux – doprowadziło do sytuacji bezpreceden-

sowej, umożliwiając nagle tworzenie zupełnie nowych zestawień, wyciągając konkretne dzieła ze środowisk i stylów, do których przez stulecia przyporządkowywała je historia sztuki. To dzięki reprodukcjom widz „słucha dialogu boginki płodności z Picassem, etruskiego nacięcia z grawiurą Braque’a”, pisał w „Muzeum wyobraźni” Malraux.

Niepodległość dzieła

W książce, wydanej po raz pierwszy w 1947 r., w barokowym i rozbieranym stylu, opisuje on przemianę, która dokonuje się w myśleniu o sztuce wraz z wprowadzeniem do powszechnego obiegu reprodukcji (i kolejnym przełomem technologicznym, umożliwiającym reprodukcję obrazu z wydrukowanego, a nie



MATEUSZ TARANOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE

Tamara Berdowska, w tle jeden z jej obrazów, 2017 r.

→ tylko oryginalnego zdjęcia). Ten proces oraz popularyzacja wystaw tematycznych doprowadziły zdaniem teoretyka sztuki do powstania nowych punktów odniesienia: pojedyncze dzieło przestało się odbijać w konkretnej kolekcji, powieszonej w salach według szkół, a wybiło się na niepodległość.

Muzeum wyobraźni jest zbiorem wszystkich zreprodukowanych dzieł, umożliwiającym widzowi swobodny, nieograniczony ruch pomiędzy kontynentami, epokami, dziełami anonimowych twórców i cenionych artystów. Nieprzypadkowo w angielskim wydaniu tytuł książki Malraux przetłumaczono na „muzeum bez ścian” – podkreślając zarówno niematerialność „gmachu”, jak i brak odgórnie wprowadzonych podziałów. Choć André Malraux napisał „Muzeum wyobraźni” w epoce analogowych, czarno-białych, wysoce niedoskonałych reprodukcji, jego koncepcję uważa się często za zapowiedź współczesnych muzeów bez ścian, umożliwiających dostęp do zbiorów w przestrzeni wirtualnej.

Koncepcja Francuza jest próbą stworzenia uniwersalnej platformy, mieszczącej wizualne dziedzictwo ludzkości.

Obok sztuki egipskiej mogą w niej stać średniowieczne numizmaty, przejście między pejzażami Turnera a malarstwem epoki Song odbędzie się bez wysiłku. A jednak gdyby uważnie przyrzeć się tekstowi i jego autorowi, muzeum wyobraźni z uniwersalnego staje się raczej konstruktem osobistym. Doświadczenia Malraux: bywalca paryskich muzeów, który w młodości kilka lat spędził w Kambodży, odbijają się w jego tekście, choćby przez dobór przykładów, o których pisze. Muzeum bez ścian, zanim ktośkolwiek będzie mógł je odwiedzić, musi najpierw zostać wymyślone, a w tym wymyślaniu, w radości płynącej z nowych odczytań, liczy się postać interpretatora. Choć w tekście „Muzeum wyobraźni” autor podkreśla znaczenie tego projektu dla ludzkości, korzystać z niego będą poszczególne jednostki.

O tym, jak w praktyce może działać owo muzeum, można przekonać się właśnie korzystając z wirtualnych muzeów, stron kolekcji, katalogów online. Od tych największych, zbierających zbiory z całego świata (jak Google Arts&Culture), po strony poszczególnych instytucji – większość z nich nie tylko porządkuje dzieła

sztuki na różne sposoby, ale także umożliwia użytkownikowi tworzenie własnych kolekcji. Dostęp do prac jest niemal nieograniczony – jak odległe wydają się czasy, kiedy przełomem była możliwość przedrukowania obiektu z reprodukcji – możemy je przybliżać zgodnie z potrzebami, koncentrować się na wybranych detalach. Ale kluczem do muzeum wyobraźni pozostaje osobista wrażliwość na sztukę, która sprzyja tworzeniu własnych zestawień.

Choć więc na przestrzeni lat zmieniły się sposoby reprodukcji, to od widzów czy użytkowników zależy to, w jaki sposób będą budować własne muzea wyobraźni. Przy pomocy czarno-białych zdjęć Aby Warburg zbudował jeden z najważniejszych wizualnych tekstów, „Atlas Mnemosyne” – to jego znanostwo, wnikliwość spojrzenia i szerokość perspektyw sprawiły, że z połączonych na czarnym tle reprodukcji wyłoniły się genezy różnych artystycznych motywów.

Muzeum wyobraźni można więc traktować jako zbiór dzieł, które pozostają dla jednostki punktami odniesienia, osobistą kolekcją budowaną podobnie do pałacu pamięci. Do muzeum możemy przenosić zarówno dzieła, które widzieliśmy zreprodukowane, jak też istniejące sale muzealne, sekwencje z albumów oraz prace widziane w różnych miejscach i momentach. To, co z dostępnego na wyciągnięcie ręki uniwersum sztuki wciągniemy do własnej wyobraźni, a także to, jak z tego zbioru czerpiemy, zależy już od konkretnego właściciela czy właścicielki muzeum.

Geometria porządkująca chaos

Dla miłośników sztuki szczególnie interesujące mogą być takie zestawienia przygotowane przez artystki i artystów: o ile kuratorzy czy kolekcjonerzy prezentują innym swoje wybory przy pomocy wystaw czy prezentacji kolekcji, o tyle artyści i ich wybory, choć często zaskakujące, pozostają w ukryciu. O tym, jak wygląda jej własne muzeum wyobraźni, porozmawiałam z Tamarą Berdowską, malarzką i twórczynią instalacji, zaproszoną do udziału w tegorocznym Copernicusie. Jakie prace najczęściej zapamiętuje? Czy w salach jej muzeum przeważają dzieła w jakimś konkretnym stylu?

– Dziś zapisują mi się w pamięci przede wszystkim prace, które mnie czymś zaskoczą, zachwyca. Kiedy obcuje z dobrą

sztuką, widzę coś naprawdę nieoczekiwanego i prawdziwego, czasem takie spotkanie działa na mnie tygodniami: od razu mam więcej energii do życia i ochotę, by malować, pracować nad instalacjami. Na podobnej zasadzie działa na mnie kiepska sztuka: kilka rozczarowań pod rząd przynębia, ale o tym dużo szybciej zapominam – odpowiada Berdowska.

Część artystów buduje swoje prace na twórczym dialogu z innymi twórcami, odnosząc się do ich sztuki, komentując ją czy wreszcie pożyczając rozwiązania, podejścia do twórczości. Dla nich muzea wyobraźni mogą pełnić ważną rolę: w pracowniach mają reprodukcje i albumy, do których wracają, żeby nabrać rozpędu do własnego skoku. Berdowska do tej grupy nie należy.

– Od kiedy, wiele lat temu, odkryłam swoje podejście do pracy, w którym geometria porządkuje chaos, a poszczególne fragmenty powstają niemal w transie, sztuka tworzona przez innych może sprawiać mi przyjemność, dawać energię, ale nie ma wpływu na moje własne poszukiwania – wyjaśnia artystka. – Choć moje prace krytycy określają mianem abstrak-

cji geometrycznej, to żaden z mistrzów tworzących w tej dziedzinie nie znalazłby się w moim własnym muzeum wyobraźni, w gronie tych najważniejszych dla mnie twórców. Znam ich prace, doceniam to, jak są zrobione, ale nie budzą we mnie szczególnych emocji – dodaje.

– Potrzeba tworzenia była we mnie od zawsze silna: nie interesowały mnie zabawy z innymi dziećmi, wołałam rysować w domu, lepić z plasteliny i pokazywać to innym. W początkowym okresie, jeszcze przed studiami na Akademii Sztuk Pięknych, bardzo ważne było dla mnie też szukanie innych twórców, których wrażliwość mnie inspirowała. Poza moją pierwszą fascynacją – artystą, który do dziś jest dla mnie szalenie ważny, czyli Tadeuszem Makowskim – w okresie nastoletnim interesowałam się surrealizmem, zachwycalam Witkacym i Bekszańskim. Potem szukałam już gdzie indziej, uwielbiałam Potworowskiego, fascynowałam się impresjonizmem... – mówi Berdowska.

Kiedy rozmawiam z artystką, szybko okazuje się, że większość prac wymienionych artystów poznawała po raz pierwszy właśnie w reprodukcjach: zanim

miała szansę odwiedzić zagraniczne muzea, już fascynowały ją łatwość i rozmach impresjonistów w prezentowaniu świata, pozbawione sztywnej dokładności początkującej artystki. Zanim po raz pierwszy zobaczyła na żywo Witkacego, posilkowała się albumami, podobnie z Bekszańskim. Ten wieloletni proces hartowania własnej wrażliwości, własnego języka nie byłby możliwy, gdyby nie kontakt (choćby zapośredniczony!) z twórczością innych artystów.

Dziś jest już inaczej: chociaż ma w domu prace zaprzyjaźnionych twórców – m.in. stworzone przez jej profesorkę z ASP, Janinę Kraupe-Świderską – a w pamięci wiele ważnych dzieł, Tamara Berdowska maluje w ciszy, przy białych ścianach, nie myśląc o niczym poza powstającym aktualnie obrazem. W tym procesie staje się dla każdego kolejnego obrazu medium i nawet jeśli na chwilę przerywa – żeby wypuścić psy do ogrodu czy nakarmić zwierzęta – cały czas myślami jest przy tym, co na sztalugach.

Wystawy, nawet te we własnej wyobraźni, odwiedza raczej po godzinach pracy.

© MARTYNA NOWICKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WSPÓŁWYDAWCY



Crème de la Lem

Szkoła czytania Lema na Copernicus Festival

Lista lektur:

Kongres futurologiczny
Golem
Katar
Eden
Głos Pana

Lekcje prowadzą:

Michał Protasiuk
Łukasz Kozak
Jowita Guja
Piotr Paziński
Jakub Gomułka

Kraków

Institucja
Kultury Miasta
Krakowa
kbf:
operator marki

KRAKOW
UNESCO CITY
OF LITERATURE

Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu

COPERNICUS
Festival

INSTITUT
ADAMA
MICKIEWICZA

Kartka, ołówek i kosz

SEBASTIAN J. SZYBKA

Żyjemy w czasach triumfu fizyki. Nasze teorie są tak doskonałe, że od pół wieku nie potrafimy ich ulepszyć.

Jak wiadomo, smoków nie ma. Prymitywna ta konstatacja wystarczy może umysłowi prostackiemu, ale nie nauce (...). Tak tedy genialny Kerebron, zaatakował problem metodami ścisłymi, wykrył trzy rodzaje smoków: zerowe, urojone i ujemne. Wszystkie one, jak się rzekło, nie istnieją, ale każdy rodzaj w zupełnie inny sposób. Smoki urojone i zerowe, przez fachowców zwane urojakami i zerowcami, nie istnieją w sposób znacznie mniej ciekawy aniżeli ujemne.

„Smoki prawdopodobieństwa”
Stanisław Lem

Ostatnia dekada przyniosła wiele ważnych odkryć. Wymienimy tylko kilka. Rok 2012 – bozon Higgsa; 2015 – fale grawitacyjne; 2019 – pierwszy obraz czarnej dziury. Wyniki eksperymentów i najnowsze obserwacje są spektakularnym potwierdzeniem teorii sformułowanych przez naszych naukowych pradziadków. Te sukcesy dowodzą, że myśl, kartka i ołówek – oraz zapisane przy ich pomocy równania matematyczne – pozwalają poznawać zjawiska, których rejestracja wyprzedza możliwości technologiczne o dziesięciolecia. Dzięki rozwojowi superczułych teleskopów i detektorów, po latach oczekiwania, nabraliśmy pewności, że przynajmniej po części rozumiemy, jak działa świat.

Wśród specjalistów coraz częściej pojawiają się jednak głosy krytyczne, jakoby fizyka była w kryzysie. Skoro jest tak dobrze, to dlaczego miałyby być złe?

Szczyt rozwoju

W dużym uproszczeniu, fizykę można podzielić na doświadczalną i teoretyczną. Współczesne teorie fizyczne, takie jak teoria grawitacji Ein-



steina, pomimo swojej konceptualnej prostoty operują abstrakcyjnym i skomplikowanym aparatem matematycznym. Zrozumienie implikacji teorii wymaga czasami wielu dziesięcioleci matematycznych badań. Z tego zadania fizycy teoretycy wywiązują się sumiennie. Praca trwa od lat, ale ciągle odkrywamy nowe przewidywania naszych starych, dobrze sprawdzonych teorii.

Teoretycy podejmują się również wyzwań o wiele bardziej ambitnych: poszukują nowych teorii, które w prostszy i bardziej elegancki sposób potrafiłyby ująć fundamentalne prawa fizyczne. Wiemy, że na tym polu pozostało jeszcze wiele do zrobienia. Przekonanie o możliwości unifikacji pozornie różnych działów fizyki nie jest bezpodstawne – w przeszłości wielokrotnie okazywało się słuszne. Nowa, lepsza teoria nie tylko zastępowała stare, ale także pozwalała zrozumieć większe fragmenty rzeczywistości i przewidzieć nowe zjawiska. Nikt nie ma wątpliwości, że do lat 70. XX w. fizyka odnosiła na tym polu wielkie sukcesy. Co do późniejszych wydarzeń, zdania są podzielone.

Sabine Hossenfelder w książce „Zagubione w matematyce” zwraca uwagę, że chociaż odkryty w 2012 r. bozon Higgsa jest ostatnią znaną cząstką elementarną (jego istnienie zaproponowano w latach 60.), to ostatnie skuteczne przewidywanie miało miejsce w roku 1973 (istnienie kwarka niskiego i wysokiego zostało potwierdzone eksperymentalnie odpowiednio w roku 1977 oraz 1995).

Od tego czasu napisano dziesiątki tysięcy prac zawierających wiele nowych błyskotliwych hipotez, ale jak dotychczas żadna z nich nie została pozytywnie zweryfikowana poprzez obserwacje lub eksperymenty.

SABINE HOSSENFELDER jest fizyczką teoretyczną i popularyzatorką nauki. Pracuje w Instytucie Badań Zaawansowanych we Frankfurcie, zajmuje się grawitacją kwantową. Prowadzi własny kanał na YouTube. Autorka książki „Zagubieni w matematyce”.

Podczas Copernicus Festival 2021 dr Hossenfelder opowie o tym, jak fizycy dali się uwieść pięknu matematycznych teorii.

Co może być przyczyną takiego stanu rzeczy? Roger Penrose, zeszłoroczny noblista, w serii wykładów wygłoszonych w Princeton na początku XXI w. przestrzegał przed niebezpiecznymi trendami w fizyce teoretycznej, która jego zdaniem została zdominowana przez „modę, wiarę i fantazję” (te trzy słowa pojawiają się również w tytule jego najnowszej książki). Jak ujęli to cenieni kosmologowie George Ellis i Joe Silk, rozpoczęła się bitwa o „serce i duszę fizyki”.

Czego potrzebuje fizyk

Fizycy często filozofują, ale rzadko chcą się do tego przyznać. To odległe echa pozytywistycznego myślenia, które pod koniec XIX w. domagało się separacji nauk ścisłych od wszelkiej filozofii. W końcu, jak głosi stary żart, różnica pomiędzy fizykiem teoretykiem i filozofem jest bardzo subtelna. Oboje do pracy potrzebują kartki i ołówek, lecz tylko fizyk potrzebuje kosza na śmieci. To bezlitosna konfrontacja spekulacji myślowych z eksperymentem jest zdaniem wielu właśnie sercem i duszą fizyki. Któż mógłby chcieć przetrząść ten filar metody naukowej? Choć niewielu badaczy skłania się do aż tak radykalnego rozwiązania, to wielu nie widzi problemu w odłożeniu tej konfrontacji teorii z doświadczeniem na później. Żeby zrozumieć ich argumenty, przyjrzyjmy się, jak wygląda proces tworzenia nowych teorii. Wbrew oczekiwaniom wielu fizyków, nie unikniemy filozoficznych pytań.

Współczesna fizyka jest nauką na tyle dojrzałą, że etap, w którym można było odczytać prawa bezpośrednio z obserwacji zjawisk, mamy już za sobą. Nie da się „patrzeć”, jak wygląda świat, odgadnąć równań, które go opisują. Choć taka metoda doskonale sprawdza się w innych dziedzinach nauki, to nie działa w odniesieniu do fundamentalnych praw fizycznych.

Galileusz odkrył księżyc Jowisza za pomocą lunety. Obecnie nasze obserwacje stały się na tyle wyrafinowane, że nie sposób stwierdzić, co dokładnie widzimy, jeśli nie przepuścimy zgromadzonych danych przez pojęciową siatkę naszych teorii. Możemy potwierdzać przewidywania teorii lub szukać niezgodności. Na przykład, nie można bezpośrednio podglądać, jakie cząstki powstają w zderzeniach protonów w akceleratorach. Żeby stwierdzić, czy widzimy jakąś nową cząstkę, musimy bardzo precyzyjnie wyliczyć, co

według naszych teorii powinniśmy zobaczyć. Można sprawdzić, czy terabajty danych doświadczalnych są zgodne z hipotezą istnienia nowej cząstki. Bez tych przewidywań nasze dane byłyby szeregiem liczb o zupełnie nieznanej interpretacji.

W jaki sposób poszukiwać praw przyrody, skoro nie można ich odczytać ze zjawisk?

Za głosem równań

„Właściwa droga istnieje – twierdził Einstein – i jesteśmy w stanie ją znaleźć. Dotychczasowa historia utwierdza nas w przekonaniu, że Natura jest realizacją najprostszymi możliwych idei matematycznych. Jestem przekonany, że możemy odkryć za pomocą czysto matematycznych konstrukcji pojęcia i łączące je prawa, które stanowią klucz do rozumienia zjawisk przyrody. Doświadczenie może odpowiedzieć właściwe pojęcia matematyczne, lecz pojęcia te z całą pewnością nie mogą być wyprowadzone z doświadczenia. Doświadczenie pozostaje oczywiście jedynym kryterium fizycznej użyteczności konstrukcji matematycznej. Lecz twórcza zasada tkwi w matematyce”.

Powszechnie uważa się, że nowa teoria powinna odtwarzać wyniki swoich poprzedniczek (to tzw. zasada korespondencji) i dokonywać nowych przewidywań, które są falsyfikowane za pomocą eksperymentów lub obserwacji.

Oba te elementy, chociaż konieczne, nie są wystarczające. Nie wszystko, co daje się pomyśleć i obliczyć, jest warte przebadania. Hipoteza „jutro z nieba spadną złote monety” nie łamie zasady korespondencji (fakt, iż dotychczas złote monety nie spadały z nieba, jest z nią zgodny), jest falsyfikowalna (wystarczy poczekać do jutra, by przekonać się o jej prawdziwości), lecz trudno uznać ją za naukową.

Ustalenie, czy spełniona jest zasada korespondencji, w rzeczywistości nie jest zadaniem łatwym. Ze względu na złożoność matematyczną, często nawet po kilkudziesięciu latach badań teoretycznych nie ma pewności, czy nowa teoria faktycznie zawiera wszystkie poprawne przewidywania swoich poprzedniczek. Twórcy nowych teorii, z oczywistych powodów, skupiają się na ich zaletach, odkładając na później żmudny etap weryfikacji zgodności z istniejącą wiedzą.

⇒ Niestety, falsyfikacja eksperymentalna nowej teorii jest również problematyczna. Im bardziej wyrafinowane stają się nasze hipotezy, tym więcej czasu potrzeba, aby technologia osiągnęła poziom niezbędny do eksperymentalnej weryfikacji. Można więc się zastanawiać, czy teoria, która ze względu na nasze ograniczenia techniczne będzie mogła zostać zweryfikowana dopiero za sto lat, jest nadal interesująca? A jeśli jej „elastyczność” pozwala taką weryfikację odraczać w nieskończoność, to czy nadal mamy do czynienia z nauką? A może powinno nam wystarczać tylko to, że nowa łączy w elegancki matematycznie sposób nasze dotychczasowe teorie – i żadna weryfikacja eksperymentalna nie jest konieczna do jej akceptacji?

Historia fizyki uczy nas, że falsyfikacja teorii nie przebiegała nigdy w sposób, który mógłby być uznany przez filozofów za wzorcowy. W modelu geocentrycznym, w którym Słońce i planety okręgały Ziemię, ewentualne niezgodności z obserwacjami bardzo długo latano za pomocą modyfikacji modelu. Model, a z nim teoria upada więc nie wskutek bezpośredniej falsyfikacji, lecz ginie jako pokraczny twór, gdy na horyzoncie pojawia się bardziej atrakcyjna konkurentka. Hipotezy na etapie tworzenia, które nie przeszły jeszcze eksperymentalnej weryfikacji, mogą być „dostrajane”, tak żeby uniknąć karcącej ręki eksperymentatora. Teorie można doświadczalnie potwierdzać, ale rzadko udaje się je obalić.

Przepis na znajdowanie nowych teorii podany przez Einsteina zawiera pewne niedopowiedzenia. Jak widać, sama procedura nie jest oczywista, a dywagacje filozoficzne wydają się nie do uniknięcia. Jak pośród tylu pytań odnaleźć właściwą drogę?

Jak nie zablądzić

Paul Dirac, geniusz mechaniki kwantowej, zaproponował następujące rozwiązanie: „Zacząć, wybrawszy dział matematyki, o którym można z uzasadnieniem przypuszczać, że będzie podstawą nowej teorii. Specjalną uwagę należy poświęcić matematycznemu pięknu tego działu. Zdecydowawszy się na dziedzinę matematyki, należy ją rozwijać we właściwym kierunku, cały czas patrząc, czy nie wydaje się ona podpowiadać w naturalny sposób jakiejś interpretacji fizycznej”. Czym jest matematyczne piękno, które

Kepler wykazał, iż planety poruszają się po elipsach.
Przeciwko jego tezom wysunięto argument estetyczny: elipsy są brzydsze niż okręgi pojawiające się w teorii geocentrycznej.

uwiodło Diraca? „Piękno matematyczne – odpowiada – jest jakością, której nie da się określić, podobnie jak piękna w sztuce nie da się określić, ale ludzie, którzy studiują matematykę, nie mają zazwyczaj żadnej trudności w rozpoznawaniu go”.

Jak zauważa w eseju „Filozofia fizyki teoretycznej Einsteina i Diraca” krakowski fizyk Andrzej Staruszkiewicz, wypowiedzi mistrzów mogą szokować, ale są szczerze. Polecają oni innym zrobić to, co ich samych przywiodło do sukcesu – a od trzystu lat mało kto może się szczycić takimi osiągnięciami na drodze odkrywania nowych teorii jak właśnie Einstein i Dirac.

Obrońcy istotności empirycznej falsyfikacji teorii nie kwestionują przewodniej roli matematyki w odkrywaniu nowych teorii. Poglądy Einsteina nie są dla nich kontrowersyjne. Program Diraca jest bardziej radykalny, choć i on nie neguje konieczności eksperymentalnej falsyfikacji. Jednak Dirac podporządkowuje ją kryterium estetycznemu. Jego stanowisko zwięźle podsumował Andrzej Staruszkiewicz: teoria estetyczna może być prawdziwa lub fałszywa, o tym decydują obserwacje, natomiast teoria nieestetyczna jest fałszywa, a zgodność z obserwacjami nie ma tu nic do rzeczy.

Roger Penrose nie neguje użyteczności kryterium estetycznego w poszukiwaniu nowych teorii – podkreśla, że wielokrotnie okazywało się użyteczne. Zwraca jednak uwagę, że trzeba je stosować ostrożnie, gdyż poruszając się w gąszczu teorii bez możliwości ich empirycznej falsyfikacji, łatwo zablądzić.

Zwodnicze piękno

Sabine Hossenfelder jest znacznie bardziej krytyczna wobec poglądów Diraca. Jej zdaniem źródłem obecnych problemów fizyki jest właśnie kryterium estetyczne. Ludzkie poczucie piękna to zły przewodnik w poszukiwaniu nowych teorii. Bo niby dlaczego ukształtowany w procesie ewolucji biologicznej zmysł estetyczny ssaka z galaktycznej prowincji miałby coś do powiedzenia w sprawie matematycznej struktury rzeczywistości?

Historia fizyki dostarcza argumentów dla obu stron tego sporu. Choć dzisiaj model geocentryczny wydaje się nam fundamentalnie błędny, to należy zauważyć, że spełnia on podstawowe kryteria nowożytnej nauki: tłumaczy pozorny ruch gwiazd i ruch planet na niebie, pozwala przewidywać ich położenie. Dopóki obserwacje nie były bardzo precyzyjne, model zdawał się działać.

Przypomnijmy również, że heliocentryczny model Kopernika w swojej pierwotnej wersji zakładał ruch ciał niebieskich po orbitach kołowych, a nie po elipsach. Model Kopernika był prostszy, piękniejszy, bliższy prawdy niż model geocentryczny, mimo że przez jakiś czas gorzej pasował do obserwacji niż model geocentryczny. Zgodność z obserwacjami okazała się mniej ważna niż koncepcyjne piękno.

Z drugiej strony, jednym z ważniejszych argumentów przeciwko modelowi heliocentrycznemu był brak widocznej paralaksy gwiazd (pozornej zmiany położenia obiektów, takiej, jaką obserwujemy patrząc na nieodległe przedmioty, gdy na przemian zamykamy i otwieramy prawe i lewe oko). Jeśli to Ziemia, a nie Słońce, poruszałyby się względem gwiazd, to pozycja gwiazd na niebie powinna zmieniać się wraz z orbitalnym ruchem Ziemi. W owym czasie nic takiego nie obserwowano. Fakt ten można było wytłumaczyć na dwa sposoby: albo Ziemia nie porusza się – czyli to model geocentryczny jest poprawny, albo gwiazdy znajdują się bardzo daleko i choć efekt paralaksy istnieje, to jest on zbyt mały, by można go było zaobserwować (udało się to dopiero w XIX w.). To drugie rozwiązanie implikowało nie naturalnie, wręcz absurdalnie duże odległości do gwiazd, co sprawiało, że model heliocentryczny zaczynał wyglądać nieelegancko. Idea piękna także zwodziła na manowce.

Na ratunek teorii

Często prawdziwe piękno teorii potrafimy dostrzec dopiero po jej odkryciu. Kepler wykazał, iż planety poruszają się po elipsach, a nie po okręgach. Przeciwno jego tezom wysunięto argument estetyczny: elipsy są znacznie mniej piękne, proste i fundamentalne niż okręgi pojawiające się w teorii geocentrycznej. Newton rozwiązał te wątpliwości, pokazując, że trajektorie eliptyczne wynikają z prostego prawa grawitacji. Od jego czasów piękna dopatrujemy się w prostocie praw rządzących trajektoriami planet, a nie w kształtach trajektorii. Piękno, którego domagali się krytycy Keplera, należało do starego świata arystotelesowskiej fizyki. Przesłoniło im ono głębsze i niespodziewane piękno zupełnie nowej fizyki Newtona.

Współczesny model standardowy cząstek wyrósł na ideach pochodzących od Paula Diraca. Gdy w kolejnych eksperymentach odkrywano coraz to nowe cząstki, zdaniem Diraca piękno stworzonej przez niego koncepcji legło w gruzach. Fakt, iż przewidywania są potwierdzone przez eksperymenty, był dla niego bez znaczenia. Możemy przypuszczać, że każda nowo odkryta cząstka była dla Diraca sztuczną modyfikacją ratującą błędną niczym model geocentryczny konstrukcję. Obecnie dominuje przekonanie, że model standardowy cząstek jest modelem efektywnym (czyli takim, który choć działa, nie do końca mówi, jak się rzeczy mają). Przypuszczamy, że jest to przybliżenie nieznanego nam jeszcze matematycznej struktury, która lepiej oddaje istotę świata cząstek. Można mieć jednak wątpliwości, czy odrzucenie, na podstawie kryterium estetycznego, wynikającej z tego modelu wizji świata byłoby właściwe. Model standardowy jest niesamowicie skuteczny i w zasadzie nie wiemy, czy od fizyki mamy prawo domagać się czegoś więcej. Nawet jeśli Dirac miał rację, to czy krok w błędnym kierunku nie pozwala czasami dostrzec właściwej ścieżki?

Dirac, a za nim kolejny wybitny fizyk Richard Feynman, zwrócił uwagę na inny niezwykły fakt, który może ułatwić poszukiwania nowej teorii. Prawne prawa fizyczne można formułować na wiele odmiennych sposobów, które choć prowadzą do tych samych przewidywań, używają innego języka do opisu rzeczywistości. „Nie zawsze jest

tak – pisał Dirac – że teorie, które są równoważne, są równie dobre, ponieważ jedna z nich może się okazać bardziej odpowiednia niż pozostałe, aby dokonać rozszerzenia”. Nie są to wyłącznie puste słowa: zasada ta umożliwiła Diracowi w roku 1928 dokonanie jednego z największych odkryć fizyki XX w. – przewidzenie istnienia antymaterii.

Łatwo już było

Filozoficzno-historyczne rozważania dotyczące podstaw fizyki teoretycznej mogą wydawać się nie na miejscu. W końcu przekonania filozoficzne często ograniczały wyobraźnię fizyków, zaślepiając ich na to, co podpowiadały równania. Niemniej są one nie do uniknięcia. Problem podjęty przez Rogera Penrose’a, Sabine Hossenfelder i innych autorów jest realny. Matematyczne poszukiwania niektórych teorii przebiegają w całkowitej izolacji od obserwacji i doświadczenia prawie od stu lat. Lecz skoro natura skąpi podpowiedzi, to co nam pozostaje, jeśli odrzucimy matematyczną estetykę? Rzeczywistość wymaga od nas decyzji. Choć nie możemy ich oprzeć na wiedzy pewnej, to muszą być one podjęte tu i teraz: które badania warto finansować? Jakie tematy badawcze wybierać?

Pięćdziesięcioletnie zawieszenie fizyki teoretycznej na ziemi niczyjej, pomiędzy światem matematyki, fizyki i filozofii, doskwiera nie tylko fizykom. Wskutek popularyzacji niesprawdzonych hipotez ucierpiała reputacja całej nauki. Autorzy, promując własne wizje przyszłej fizyki, zdezorientowali czytelników, którzy nie potrafili ocenić, co tak naprawdę wiadomo, a co jest ryzykowną spekulacją niepodpartą dotychczas faktami empirycznymi. Skoro fizycy snują wszystkie możliwe bajkowe scenariusze, to tak naprawdę nie mówią nic.

Sabine Hossenfelder uważa, że zagubiliśmy się w matematyce, a fizyka utknęła w pułapce piękna. A może jednak rację miał Dirac twierdząc, że wiele lat temu nasze myśli, oszołomione pozorami sukcesami, zdradziły piękno, bo weszły na niewłaściwą ścieżkę, z której trudno nam zawrócić? Istnieje również możliwość, że nie było żadnego błędnego kroku: fizyka, dojrzejąc, sięgnęła kresu ludzkich możliwości – i teraz musi już być trudno.

© SEBASTIAN J. SZYBKĄ

EFRAIN VEGA / YOUTUBE



Dotyk liczby

Wiele osób wynosi ze szkoły przekonanie, że matematyka jest rodzajem języka i polega na niemal mechanicznym przekształcaniu symboli wedle wyuczonych reguł. Liczni słynni uczeni twierdzili natomiast, że doszli do swoich największych odkryć dzięki rozgrywającej się w ich umysłach „grze wyobrażeń”. Albert Einstein stwierdził: „jednostki psychiczne służące mi, jak się zdaje, jako elementy myślenia są pewnymi znakami, niejasnymi obrazami, które można *swobodnie* odtwarzać i kombinować”. Co jednak z niewiadomymi matematykami? Znany francuski matematyk Bernard Morin, który utracił wzrok w wieku 6 lat, uważał, że swoje odkrycia w dziedzinie topologii zawdzięcza wyobraźni, tyle że dotykowej. Inny wybitny niewidomy francuski matematyk Emmanuel Giroux (na zdjęciu) stwierdził, że „najważniejsze w geometrii jest niewidoczne dla oczu. Dobrze widzi się tylko umyślem”.

W 2018 r. zespół Stanisława Dehaene’a przeprowadził badania neuroobrazowe nad wyobraźnią niewidomych matematyków. Okazało się, że podczas oceny prawdziwości twierdzeń matematycznych aktywne były u nich te same obszary mózgu, co u matematyków widzących, ale z jedną ważną różnicą. Niewidomi matematycy w większym stopniu wykorzystywali pierwszorzędową korę wzrokową. Jak w swojej książce „Jak się uczymy?” podsumował Dehaene, u niewidomych matematyków obszar ten „zamiast pozostawać beczynnym, przystosowuje się do wykonywania bardziej abstrakcyjnych zadań”. © MH



Festiwal w całości odbywa się w formule online.

Oznaczone wydarzenia transmitowane są na żywo. W przypadku pozostałych wydarzeń podajemy termin premiery przygotowanego wcześniej materiału. Program może ulec zmianie – najbardziej aktualna wersja dostępna jest na stronie www.copernicusfestival.com, gdzie znaleźć można także szczegółowe opisy wszystkich wydarzeń.

18 maja, wtorek

12:00-13:00 **NA ŻYWO**

Studio Copernicus Festival
youtube.com/copernicuscenter

15:00-16:00

Perceptio
Eksperymentowanie w myślach,
czyli narzędzie filozofa
Adam Workowski, Mateusz Hohol
facebook.com/copernicusfestival

17:00-18:00

Mądra Książka Roku
Wyobraźnia a książki
popularnonaukowe
Marta Trzeciak
facebook.com/copernicusfestival

20:30-21:30

Rozmowy o człowieku
Kraina duchów i wyobraźni
Andrzej Stasiuk, Monika Sznajderman
Prowadzenie: Dominika Dudek
facebook.com/copernicusfestival

19 maja, środa

8:40-9:30

Śniadanie Mistrzów: Andrzej Borowski
Prowadzenie: Bogdan Zalewski
Spotify | RMF Classic

12:00-13:00 **NA ŻYWO**

Studio Copernicus Festival
youtube.com/copernicuscenter

13:00-13:45

Inventio
Latać jak ptak
Łukasz Lamża
youtube.com/copernicuscenter

14:00-15:00

Crème de la Lem,
czyli szkoła czytania Lema
„Kongres futurologiczny”
– kolory przyszłości
Michał Protasiuk
facebook.com/copernicusfestival

15:00-16:00 **NA ŻYWO**

Perceptio
Warsztat tworzenia teorii spiskowych
Marcin Napiórkowski
facebook.com/copernicusfestival

17:00-18:00

Mądra Książka Roku
Kosmos w książkach
popularnonaukowych dla
dzieci i młodzieży
Elżbieta Kuligowska
facebook.com/copernicusfestival

19:00-20:30

Wykład: Joel Pearson
Ludzka wyobraźnia: obrazy
umysłowe i afantazja
Prowadzenie: Mateusz Hohol
youtube.com/copernicuscenter

20:30-21:30

Rozmowy o człowieku
We wszystkich rolach głównych
Marek Kondrat
Prowadzenie: Dominika Dudek
facebook.com/copernicusfestival

20 maja, czwartek

8:40-9:30

Śniadanie Mistrzów: Iwona Wybrańska, Katarzyna Wybrańska,

Zofia Stasicka,
Prowadzenie: Grzegorz Jasiński
Spotify | RMF Classic

12:00-13:00 **NA ŻYWO**

Studio Copernicus Festival
youtube.com/copernicuscenter

13:00-13:45

Inventio
Energia bez końca
Łukasz Lamża
youtube.com/copernicuscenter

14:00-15:00

Crème de la Lem,
czyli szkoła czytania Lema
„Golem” – wstęp do potworologii
Łukasz Kozak
facebook.com/copernicusfestival

15:00-16:00

Perceptio
Więcej niż widzieć – jak wyobraźnia
pomaga nam w odbiorze przestrzeni
i jak igra z naszymi zmysłami
Radosław Gajda,
Natalia Szcześniak
(Architecture is a good idea)
facebook.com/copernicusfestival

17:00-18:00

Gala Mądrej Książki Roku 2020
youtube.com/copernicuscenter

19:00-20:30

Wykład: Sabine Hossenfelder
Dlaczego fizyce brakuje wyobraźni
Prowadzenie: Tomasz Miller
youtube.com/copernicuscenter

20:30-21:30

Rozmowy o człowieku
Powiedz, skąd u ciebie taki spokój?
Artur Rojek
Prowadzenie: Dominika Dudek
facebook.com/copernicusfestival

FESTIVAL 2021 / WYOBRAŹNIA

21 maja, piątek

8:40-9:30

Śniadanie Mistrzów:
Tamara Berdowska
Prowadzenie: Diana Sałacka
Spotify | RMF Classic

12:00-13:00 **NA ŻYWO**

Studio Copernicus Festival
youtube.com/copernicuscenter

13:00-13:45

Inventio
Czapka-niewidka
Łukasz Lamża
youtube.com/copernicuscenter

14:00-15:00

Crème de la Lem, czyli
szkoła czytania Lema
„Katar” – epistemologia kryminału
Jowita Guja
facebook.com/copernicusfestival

15:00-16:00 **NA ŻYWO**

Perceptio
Zagraj z arcymistrzem: szachy na ślepo
GM Mateusz Bartel
chess24.com/pl

17:00-18:00

Mądra Książka Roku
Ekologia w książkach popularno-
naukowych dla dzieci i młodzieży
Paulina Kramarz
facebook.com/copernicusfestival

19:00-20:30 **NA ŻYWO**

Wykład: Edward Nęcka
O pożytkach z wyobraźni
Prowadzenie: Łukasz Kwiatek
youtube.com/copernicuscenter

20:30-21:30

Rozmowy o człowieku
Uskrzydlić niedoskonałość

Kinga Dębska
Prowadzenie: Dominika Dudek
facebook.com/copernicusfestival

22 maja, sobota

8:40-9:30

Śniadanie Mistrzów:
Agnieszka Taborska
Prowadzenie: Grzegorz Jankowicz
Spotify | RMF Classic

12:00-13:00 **NA ŻYWO**

Studio Copernicus Festival
youtube.com/copernicuscenter

13:00-13:45

Inventio
Magiczna różdżka
Łukasz Lamża
youtube.com/copernicuscenter

14:00-15:00

Crème de la Lem, czyli
szkoła czytania Lema
„Eden” – Lema ogród potworny
Piotr Paziński
facebook.com/copernicusfestival

15:00-16:00

Perceptio
Świat to za mało
Agnieszka Całek,
Tomasz Majkowski,
Michał Sowiński
facebook.com/copernicusfestival

17:00-18:00

Mądra Książka Roku
Jak promować książki
popularnonaukowe
Marcin Jamkowski, Magdalena
Korobkiewicz, Joanna Wajs
facebook.com/copernicusfestival

Zapraszamy na wystawy

14 maja – 6 czerwca

„W świetle czarnego księżyca raj
teraźniejszości został wam odebrany
na zawsze”

Jan Eustachy Wolski
Galeria Widna
ul. Grzegorzewska 31, Kraków



Jan Eustachy Wolski „Geralt z Rivii”.

17–21 maja

„Myślo–kształty”

Agnieszka Piksa, Maja Starakiewicz,
Mikołaj Tkacz, Jakub Woynarowski
Ośrodek Dokumentacji Sztuki Tadeusza
Kantora Cricoteka
ul. Nadwiślańska 2-4, Kraków



Jakub Woynarowski „Strumień czasu”,
fragment instalacji „Introwizja” Mai
Starakiewicz i Jakuba Woynarowskiego,
2019–2021.



19:00-20:30

Wykład: Venki Ramakrishnan
O trudach i satysfakcjach
w uprawianiu nauki. Wyścig do
poznania tajemnic rybosomu
Prowadzenie: Witold Filipowicz
youtube.com/copernicuscenter

20:30-21:30

Rozmowy o człowieku
Kształt obecności
Jacek Waltoś
Prowadzenie: Dominika Dudek
facebook.com/copernicusfestival

23 maja, niedziela

8:40-9:30

Śniadanie Mistrzów: Karol Życzkowski
Prowadzenie: Tomasz Miller
Spotify | RMF Classic

12:00-13:00 **NA ŻYWO**

Studio Copernicus Festival
youtube.com/copernicuscenter

13:00-13:45

Inventio
Telepatia
Łukasz Lamża
youtube.com/copernicuscenter

14:00-15:00

Crème de la Lem,
czyli szkoła czytania Lema
„Głos Pana”
– jak rozmawiać z Kosmosem
i inne kwestie semantyczno-
kryptologiczne
Jakub Gomułka
facebook.com/copernicusfestival

17:00-18:00

Sztuka fantazji – fantastyka sztuki
Performance artystyczno-naukowy
inspirowany twórczością Stanisława Lema
Piotr Zieliński, Kuba Wojnarowski,
Cracow Singers, Tomas Celis Sanchez
youtube.com/copernicuscenter

19:00-20:30

Wszystkie możliwe wszechświaty
Michał Heller,
Wojciech Bonowicz
youtube.com/copernicuscenter

Projekt zrealizowany we współpracy
z Popularization Gate, Knowledge Transfer
Gate i Social Engagement Gate w ramach
Programu Strategicznego Inicjatywa
Doskonałości w Uniwersytecie Jagiellońskim.

„Rozmowy o człowieku” to festiwalowa
adaptacja cyklu organizowanego przez
Katedrę Psychiatrii Collegium Medicum UJ,
Fundację Centrum Kopernika i Polską
Akademię Umiejętności.

REKLAMA

Festiwalowe Śniadanie Mistrzów

codziennie od 8.40

RMF
w *Classic*

Rozmowy
dostępne również na
rmfclassic.pl

 **Kraków**

PROJEKT JEST WSPÓŁFINANSOWANY
ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA

MYŚLO-KSZTAŁTY

17-23.05.2021



Ośrodek Dokumentacji
Sztuki Tadeusza Kantora
CRICOTEKA
ul. Nadwiślańska 2-4

Agnieszka Piksa
Maja Starakiewicz
Mikołaj Tkacz
Jakub Wojnarowski

OGŁOSZENIE WŁASNE WSPÓŁYDAWCY

organizatorzy



Partnerzy mediów



Przy wsparciu



cricoteka



WIDNA

kbf:



GAZETA.PL

KrakówCulture

KSIAZKI

onet

NAUKA W POLSCE

RODZINNA

RMF

Classic

sens

KULTURA

wyborcza.pl

Wirtualna Polska

Fabryki życia

SZYMON DROBNIAK

Oto rybosom. Grudka białka i kwasów nukleinowych, bez której przepływ informacji genetycznej w przyrodzie nie byłby możliwy. Tutaj powstają wszystkie białka żywego organizmu.

W każdej chwili w twoim ciele działają maszyny. Molekularne motory, które poruszają się, wywijają akrobacje, drżą i strzelają na wszystkie strony swoimi białkowymi procami. Masz na przykład mitochondria – tam, wśród falujących tłuszczem błon, tkwią wetknięte mikrobuławy enzymu zwanego syntazą ATP. Trzon „buławy” obraca się napędzany strumieniem jonów, a uwalniana z ich przepływu energia skleja ze sobą cząsteczki ADP i wolne fosforany, produkując ATP – podstawowe paliwo komórki żywej. W innym miejscu komórki pokraczne skrzyżowanie nożyc i minikatapulty replikuje twoje DNA. Maszyna ta ma wirujący z zawrotną prędkością pierścień, którego zadaniem jest rozplatanie podwójnej nici DNA. To helikaza.

Takich molekularnych robotów w każdej Twojej komórce są miliardy, a każdy z nich swoimi fikołkami i rotacjami przenosi porcje cząsteczek, odrywa lub łączy ze sobą biologiczne polimery albo wykonuje setki innych, równie potrzebnych zadań. Komórka żywa to nie tylko bulgoczący tygiel przepływającej cytoplazmy – to istne rojowisko nanorobotów, pracowicie wykonujących swoje komórkowe zadania.

Język genów, język białek

Jedna konkretna maszyna molekularna szczególnie mocno rozpałała wyobraźnię biologów molekularnych i biofizyków. Nad poznaniem jej działania i budowy intensywnie pracowały trzy duże zespoły badawcze, a dziesiątki mniejszych z całego świata zmagwały się ze zrozumieniem rozmaitych szczegółów. Bez tego konkretnego robota, którego egzemplarze masz w każdej swojej komórce, życie nie mogłoby funkcjonować w taki sposób i na takich zasadach, jak rozumiemy je dzisiaj.

Mówimy tu właściwie o nanoskopowej manufakturze (o rozmiarach rzędu jednej stutysięcznej milimetra), która ma wszystko, co porządna fabryka powinna mieć: ruchome mechanizmy, moźolnie przesuwający się pas transmisyjny – i oddział produkcyjny, wypływający finalny produkt – biopolimer, wytwarzany i wydzielany atom po atomie do mokrego wnętrza komórki. Oto rybosom. Grudka białka i kwasów nukleinowych, bez której przepływ informacji genetycznej w przyrodzie nie byłby możliwy. Wszystkie białka naszych komórek – i komórek każdego żywego organizmu, łącznie z białkami samych rybosomów! – powstają właśnie w rybosomach.

Trudno wyobrazić sobie składniki życia bardziej fundamentalne niż rybosomy. Biolodzy molekularni zdawali sobie z tego sprawę od dawna, a jedyną chyba przeszkodą stojącą na drodze ich zrozumienia były metody badawcze, które dopiero w latach 80. i 90. XX w. osiągnęły odpowiedni stopień zaawansowania. Opisanie struktury rybosomu było doniosłym osiągnięciem nauki, porównywalnym chyba tylko z rozszyfrowaniem struktury DNA. Dlaczego?

Informacja genetyczna w komórkach żywych przechowywana jest w „księgach” (głównie w jądrze komórkowym), zapisanych w języku, który trzeba dopiero żmudnie tłumaczyć na zupełnie inny „język” białek, opisywanych w tej komórkowej bibliotece. Wynika to z wielu czynników – choćby z tego, że repertuar alfabetu kodu genetycznego jest dość ograniczony, składa się raptem z czterech liter (zapisywanych przy użyciu tzw. zasad azotowych).

Uzyskanie za pomocą tylko czterech „klocków” różnorodności strukturalnej i czynnościowej, jaką znamy z niezliczonych białek, nie byłoby łatwe. Potrzebny

jest pośrednik – tłumaczący zawiloci białek na względną prostotę kodu genetycznego. Tym pośrednikiem jest alfabet aminokwasów – 21 cegiełek budujących całe bogactwo białkowego świata.

Aminokwasy nie są jednak biochemicznie zbyt kompatybilne z zasadami azotowymi kodu genetycznego. Trudno więc wyobrazić sobie bezpośredni mechanizm „tłumaczenia” kodu genetycznego na białka, który opierałby się po prostu na fizycznym kontakcie pomiędzy DNA i wytwarzanym na jego bazie białkiem. Byłoby to zresztą bardzo niebezpieczne: w każdym dobrym systemie informatycznym oryginalne dane powinny być chronione i oddzielone od systemów przetwarzających je w nowe produkty – w końcu każda interakcja z danymi mogłaby prowadzić do ich uszkodzenia, w przypadku organizmów żywych często kończącego się śmiercionośnymi mutacjami.

Centralny dogmat biologii

Powstał więc złożony system sterujący przepływem informacji, zgrabnie podsumowany w tzw. centralnym dogmacie biologii molekularnej. Zgodnie z nim informacja genetyczna – skrzętnie chroniona w DNA i w postaci DNA kopiovana do potomnych komórek – przetwarzana jest najpierw na kwas rybonukleinowy (RNA), a ten jest następnie odczytywany i tłumaczony na język białek. W procesie tym litery kodu genetycznego, ustawione w trójki zwane kodonami, sterują składaniem białka, aminokwas po aminokwasie. Rybosom, zbudowana z dwóch podjednostek (określanych po prostu jako mała i duża) grudka splecionych białek i RNA, jest kluczowym elementem tego procesu.

To rybosom zapewnia środowisko dla procesu tłumaczenia (technicznie: trans-



MICHAŁ DYAKOWSKI DLA „TP”

VENKATRAMAN „VENKI” RAMAKRISHNAN jest amerykańskim biochemikiem pochodzenia indyjskiego. Kieruje jednym z zespołów badawczych w Cambridge Biomedical Campus. W latach 2015-20 pełnił funkcję prezydenta Royal Society – najstarszego towarzystwa naukowego na świecie. W 2009 r. otrzymał Nagrodę Nobla za badania nad strukturą rybosomów. Swoją karierę opisał w intelektualnej autobiografii „Maszyna genów”. Podczas Copernicus Festival 2021 dr Ramakrishnan opowie o trudach i satysfakcjach związanych z uprawianiem nauki.

lacji) sekwencji informacji genetycznej na nowopowstające białko. Części składowe rybosomu przyjmują kolejne, przypisane do RNA, litery-aminokwasy mające znaleźć się w białku. Kieszonki uformowane w powierzchni rybosomu tworzą miejsca, w których odpowiednie aminokwasy – dzięki związaniu się z krótkimi, pośredniczącymi w całym procesie fragmentami RNA – mogą rozpoznać kolejne trójki kodu genetycznego.

W jeszcze innym miejscu aminokwasy te dosłownie sklejane są ze sobą, tworząc kolejne „cegiełki” rosnącego białka. Trudno oprzeć się wrażeniu, że mamy tu do czynienia właśnie z bardzo wyspecjalizowanym robotem, który z jednej strony „czyta” informację genetyczną zupełnie jak głowica magnetofonu odczytująca przesuwającą się przez nią taśmę magnetyczną, a z drugiej strony – w zawrotnym tempie – na bazie tej informacji dokonuje biochemicznej syntezy nowych substancji.

Podstawowym problemem w odszyfrowaniu struktury rybosomu – tym samym, który napotyka się zresztą zawsze, kiedy celem jest zbadanie struktury skomplikowanych biocząsteczek – były rozmiary rybosomu oraz jego elastyczność. Odczytanie struktury cząsteczek można uzyskać dzięki wielu metodom – jedną z najbardziej skutecznych jest tzw. krystalografia rentgenowska. W metodzie tej wykorzystuje się zjawisko załamania się promieni rentgenowskich na atomach budujących cząsteczki.

Aby z takiego ugięcia promieniowania dało się odczytać położenia poszczególnych atomów, cząsteczki substancji muszą być ułożone w powtarzające się wzory i struktury. Uporządkowanie takie spotykamy w kryształach – ale choć stworzenie kryształów na bazie substancji o małych cząsteczkach nie jest trudne, to krystalizacja cząsteczek o już całkiem pokaźnych rozmiarach, →

→ takich jak np. białka, to sztuka sama w sobie. Duże cząsteczki są bardzo sprężyste i mogą ustawiać się względem siebie na tyle różnych sposobów, że ich wykrycie wymaga ogromnej cierpliwości i bardzo skrupulatnego dobrania warunków takiego procesu. Prosta analogia: regularne ułożenie piłeczek tenisowych w pudle – tak aby tworzyły one ściśle powtarzający się układ – jest zadaniem względnie prostym. Spróbujcie jednak ułożyć na sobie w równie wojсковym porządku dwieście pluszaków. Przez długi czas sądzono, że otrzymanie kryształów o odpowiedniej jakości dla jeszcze większych tworów – takich jak rybosomy, zbudowane z wielu białek i poskręcanych łańcuchów RNA – to zadanie niemalże niewykonalne.

Wyścig po Nobla

Przełomowe prace, które utorowały drogę krystalografii rybosomów, wykonała wraz ze swoim zespołem Ada Yonath. Skupiła się na rybosomach bakterii z Morza Martwego, bardzo odpornych na wysokie stężenia soli (bakterie

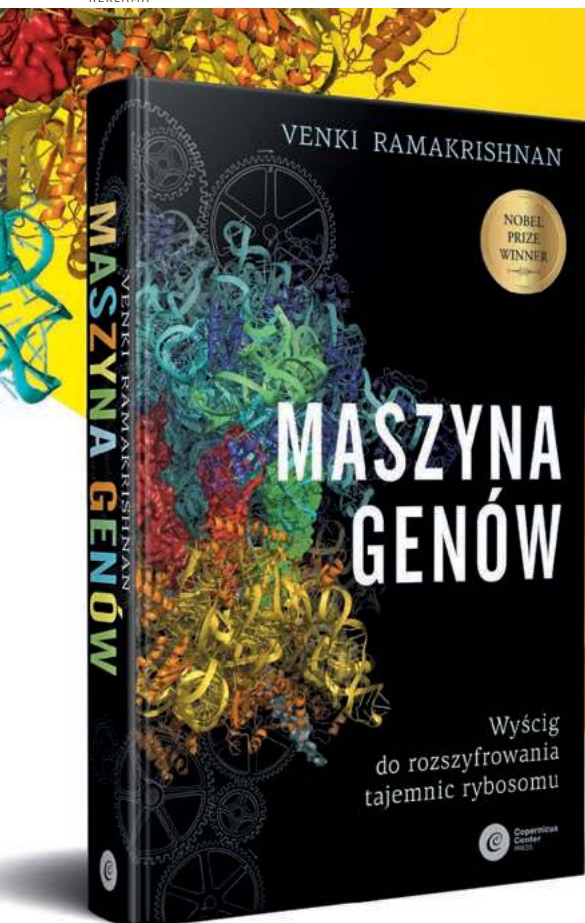
żyjące w środowiskach silnie zasolonych lub gorących są często wykorzystywane przy badaniu dużych białek – rozumowanie jest takie, że skoro cząstki te wytrzymują na co dzień w tak trudnych warunkach, będą szczególnie stabilne również w trakcie ich badania). Ostatecznie otrzymała jedno z pierwszych kryształów zbudowanych z podjednostek bakteryjnych rybosomów. Jej prace doprowadziły też do wygenerowania pierwszych obrazów krystalograficznych – wciąż o niewielkiej rozdzielczości, ale pozwalających zgrubnie opisać najważniejsze szczegóły budowy rybosomu.

Prawdziwy wyścig o pierwszeństwo w opisanu struktury rybosomu na dobre rozpoczął się w latach 90., kiedy rozwój technik obrazowania krystalograficznego pozwolił osiągać coraz lepszą rozdzielczość otrzymywanych obrazów, aż do skali atomowej. Decydujące były tutaj: schładzanie badanych próbek do bardzo niskich temperatur (dzięki czemu były one w stanie przetrwać bombardowanie agresywnym promieniowaniem X) oraz wykorzystanie akceleratorów (synchro-

tronów) jako źródeł bardzo precyzyjnie sterowanego promieniowania rentgenowskiego. Trzy wiodące zespoły ścigały się wtedy z czasem i ze sobą nawzajem: grupa Ady Yonath kontynuowała rozwój technik krystalizacji oraz analizy małej podjednostki bakteryjnego rybosomu, zespół Venkiego Ramakrishnana w Wielkiej Brytanii rozwijał metody obliczeniowe, pozwalające jeszcze dokładniej odczytać pozycje atomów w analizowanej strukturze, wreszcie grupa Toma Steitz na Uniwersytecie Yale atakowała strukturę podjednostki dużej.

Był to wyścig nie tylko naukowej wirtuozerii, ale także bardzo mocnych osobowości, doskonale świadomych naukowej doniosłości rozgryzanego problemu. W swojej książce „Maszyna genów” Ramakrishnan opisuje tę historię w dramatycznych szczegółach – łącznie z przyznaniem się do wielu wpadek i potknięć na drodze do wielkiego, finalnego odkrycia. Bez owijania w bawełnę opowiada on o nauce, jaka nieczęsto ląduje na pierwszych stronach gazet: w końcu przyzwyczajeni jesteśmy do podziwia-

REKLAMA



Książka

VENKIEGO RAMAKRISHNANA

gwiazdy COPERNICUS FESTIVAL

Zobacz inne nowości na www.CCPress.pl.

nia samych odkryć, milowych kamieni nauki. Znacznie rzadziej widzimy ludzką stronę odkrywców i emocje towarzyszące nauce, niejednokrotnie bardzo przyziemne (poza radością, ekscytacją czy zapalem obejmujące też zazdrość, złośliwość czy otwartą niechęć). Mimo swojej zażyłości, wyścig okazał się bardzo produktywny i na początku XXI w. zaowocował serią publikacji, które ostatecznie wypełniły kolejną fundamentalną lukę w naszej wiedzy o biologii molekularnej. Rybosom przestał być mroczną tajemnicą. Od tamtej pory każdy może obejrzeć go sobie – atom po atomie, z oszalałymi precyzją. Trójka odkrywców – Yonath, Ramakrishnan i Steitz – w 2009 r. została uhonorowana za ten niemalże dwudziestoletni maraton Nagrodą Nobla z chemii.

Nowa generacja antybiotyków

Niemal równocześnie z publikacjami pierwszych struktur rybosomu zaczęto się zastanawiać nad praktycznym znaczeniem tego odkrycia. Czy była to tylko sztuka dla sztuki? Kolejne ćwiczenie w układaniu atomowych puzzli, pozwalające kilku uczonym wylądować na stałe w podręcznikach do biochemii, ale niemające poza tym żadnego konkretnego wpływu na nasze codzienne życie?

Dzięki zmuśnej pracy krystalografów molekularnych dość szybko udało się zidentyfikować mechanizm działania wielu znanych wcześniej antybiotyków, opierający się na wiązaniu się cząsteczek tych antybiotyków z bakteryjnymi rybosomami i blokowaniu translacji kodu genetycznego. Struktura rybosomu otworzyła również nowe możliwości projektowania leków – przez wyeksponowanie nieznanych wcześniej szczegółów budowy „białkowych fabryk” znaleźliśmy nowe potencjalne cele dla kolejnych generacji skuteczniejszych antybiotyków.

Coraz głośniejsze mówi się również o bezpośrednim wykorzystaniu niezwyklej zdolności rybosomów do produkowania biopolimerów. Już teraz potrafimy stosować wolne rybosomy, zawieszone w roztworze i zmuszone do syntetyzowania konkretnych białek według naszego widzimisię. Ale przecież nic nie stoi na przeszkodzie, aby wytworzyć zmodyfikowane rybosomy zdolne do produkowania polimerów z aminokwasów nieznanych w przyrodzie, lub nawet z zupełnie innych niż aminokwasy cegiełek składowych. Wraz z wyjaśnieniem struktury najważniejszej maszyny molekularnej na Ziemi dostaliśmy do rąk niezwykle narzędzie – kolejne generacje badaczy zdecydowały o tym, jak potencjał tej nanofabryki zostanie wykorzystany w medycynie i przemyśle.

© SZYMON DROBNIĄK

Liczby zmyślone

MICHAŁ ECKSTEIN

Kartezjusz nadał im niechlubny tytuł „urojonych”, w kontraście do tych rzeczywistych. Mimo to na dobre zadomowiły się w matematyce i otworzyły drzwi do tajemniczego świata kwantów.



kreślenie „liczba urojona” nie wzbudza raczej pozytywnych skojarzeń. Przywodzi na myśl coś fikcyjnego, zmyślnego, twór, który nie ma oparcia w rzeczywistości. Angielskie *imaginary* brzmi już zdecydowanie lepiej, gdyż kojarzy się przede wszystkim z wyobraźnią – *imagination*. Niemniej, tak po polsku, jak i po angielsku, liczby urojone kontrastują z rzeczywistymi (ang. *real*). Pewną lingwistyczną rehabilitacją jest scalenie obu rodzajów w system liczb zespolonych (ang. *complex*). Ta nazwa sugeruje, że jeśli połączymy rzeczywistość z wyobraźnią, to dostaniemy... No właśnie, co?

Krótką historią liczb

Zanim spróbujemy odpowiedzieć na to kłopotliwe pytanie, przyjrzyjmy się krótko historii odkrywania (lub, jak kto woli, „wymyślenia”) nowych rodzajów liczb.

Liczby naturalne są tak oczywiste, że towarzyszyły nam od zarania dziejów. Kontrowersje wzbudza jedynie naturalność liczby zero, choć z jej użyteczności zdawali sobie sprawę już starożytni Egipcjanie. Dużo mniej oczywiste wydają się liczby ujemne. Dla Greków były one wręcz absurdalne, gdyż musiałyby opisywać coś mniejszego od niczego. Z drugiej strony, Chińczycy już w III w. p.n.e. stosowali liczby ujemne w obrachunkach. Wpływ filozofii greckiej był jednak tak silny, że europejscy matematycy jeszcze w XVIII w. traktowali je nieufnie. Dopiero rozwój nowożytnej analizy i algebry doprowadził do równouprawnienia w ramach systemu liczb całkowitych.

Stosunki dwóch liczb naturalnych (z wyłączeniem problematycznego zera), czyli proporcje, były prawdopodobnie rozważane „od zawsze”. Można zatem śmiało twierdzić, że ułamki są równie oczywiste jak same liczby naturalne. We współczesnej nomenklaturze stosunki liczb całkowitych określa się mianem liczb wymiernych.

Na gruncie geometrii liczby wymierne wywodzą się z koncepcji współmierności dwóch odcinków: mówimy, że a i b są współmierne, jeśli istnieje taki odcinek c , który można odłożyć skończenie wiele razy tak na a , jak i na b . Innymi słowy, $\rightarrow$

→ istnieją liczby naturalne (większe od 0) m oraz n , takie że $a=cm$ i $b=cn$. Wówczas, $a/b=m/n$, z czego wynika, że $a/m=b/n=c$. Jednym z kluczowych osiągnięć starożytnych Greków było wykazanie, że nie wszystkie odcinki są współmierne. Najśłynniejszym przykładem, opracowanym w V w. p.n.e. przez pitagorejczyków, jest niewspółmierność przekątnej kwadratu do jego boku. W ten sposób wyłoniła się koncepcja liczb niewymiernych, takich jak $\sqrt{2}$ czy π . Wspólnie z ułamkami tworzą one system liczb rzeczywistych.

Skoro można sensownie analizować liczby takie jak $\sqrt{3}$ czy $2\sqrt{7/10}$, a nawet przypisać im geometryczne znaczenie, to dlaczego by nie rozważyć np. $\sqrt{-2}$? Dziś może nam się to wydawać naturalne, ale trzeba pamiętać o tym, że sama liczba -2 przez długie wieki była traktowana jako użyteczna fikcja. O ile bowiem łatwo sobie wyobrazić potrzebę zmierzenia długości przekątnej kwadratu, to jaki sens miałyby np. liczenie pierwiastka z czyjegoś długu?

Można jednak zupełnie sensownie poszukiwać rozwiązań pewnych równań. XVI-wieczny włoski uczony Girolamo Cardano postawił sobie bardzo prosty, pozornie, problem: czy istnieją dwie liczby takie, że ich suma daje 10, a ich iloczyn 40? Odpowiedź jest twierdząca, ale absurdalna, liczby te bowiem musiałyby być równe $5+\sqrt{-15}$ oraz $5-\sqrt{-15}$. Cardano, będąc świadomym abstrakcyjnego charakteru takich rozważań, opublikował wzory na rozwiązywanie równań trzeciego i czwartego stopnia zawierające pierwiastki z liczb ujemnych.

Magiczna algebra i geometria

Jaki jednak może być pożytek z takich abstrakcyjnych rozwiązań, wyrażonych dziwnymi symbolami? Otóż szybko okazało się, że operowanie liczbami zespolonymi prowadzi do zaskakujących uproszczeń „rzeczywistych” problemów.

Jako pierwszy zdał sobie z tego sprawę Rafael Bombelli, który w swoim monumentalnym dziele „L'algebra” opublikowanym w 1572 r. potraktował $\sqrt{-1}$ jako zupełnie nowy rodzaj liczby, którą dziś nazywamy jednostką urojoną i oznaczamy literą „i”, oraz przedstawił systematyczny opis działań na liczbach zespolonych $x+iy$, gdzie x oraz y są rzeczywiste. Żeby zrozumieć magię zespolonej algebry, rozpatrzmy proste równanie $x^3=15x+4$. Wzory Cardana podają rozwiązanie na x w postaci sumy pierwiastków

Rozwój matematyki
pokazuje, że to liczby
zespolone są najbardziej
podstawowe,
a te, które określamy
mianem „rzeczywistych”,
**są tylko ich
szczególnym
podzbiorem.**

sześciennych dwóch liczb zespolonych. Jeśli jednak sumiennie je wyliczymy, to okaże się, że x jest równe 4. Mamy zatem rzeczywiste równanie, które ma rzeczywiste rozwiązanie, ale żeby je odkryć, musimy przejść przez dziedzinę liczb zespolonych! Sam Bombelli początkowo traktował to jako „sofizm raczej niż prawdę”, ale ostatecznie doszedł do wniosku, że jest to zupełnie uczciwy dowód.

Rozwiązanie $x=4$ wspomnianego równania można po prostu zgadnąć, więc ktoś mógłby sądzić, że istnieje prostsza metoda niż wzory Cardana. Jednak tak prosta postać rozwiązania to wyjątek w ramach klasy tzw. *casus irreducibilis* – równań trzeciego stopnia, które mają trzy rozwiązania rzeczywiste, niedających się jednakowoż wyrazić bez użycia liczb zespolonych. Proszę np. spróbować zgadnąć jakiegokolwiek rozwiązanie równania $x^3=7x-3$...

Wbrew pozorom liczby zespolone mają również bardzo ładną interpretację geometryczną. Odkryło ją na przełomie XVIII i XIX w. niezależnie od siebie czterech uczonych: Caspar Wessel, Jean Robert Argand, John Warren i Carl Friedrich Gauss. Pokazali oni, że dowolną liczbę zespoloną postaci $x+iy$ można przedstawić jako punkt na płaszczyźnie o współrzędnych (x,y) . Wówczas działaniom na liczbach zespolonych, np. dodawaniu czy mnożeniu, odpowiadają proste geometryczne operacje, np. przesunięcie o wektor czy obrót o kąt.

Prostota, a zarazem bogactwo świata liczb zespolonych urzekły wielu współczesnych naukowców. Np. Roger Penrose napisał w „Drodze do rzeczywistości”: „Samo stwierdzenie stosowności i logicznej spójności pojęcia liczb zespolo-

nych nie oddaje w pełni ich powabu. Posiadają one jeszcze coś innego, co potrafię określić tylko jako »magię«”.

Zespolony świat kwantów

Być może Penrose nie byłby pod tak wielkim wrażeniem liczb zespolonych, gdyby ich zastosowanie ograniczało się do czystej matematyki. Prawdziwa magia objawia się jednak w ich głębokim związku ze strukturą fundamentalnych teorii fizycznych. Choć algebra i analiza zespolona jest stosowana w wielu dziedzinach nauk ścisłych, od inżynierii przez ekonomię po teorię względności, to kluczową rolę odgrywa ona w mechanice kwantowej. Bez liczb zespolonych nie zrozumielibyśmy budowy atomu, nie odkrylibyśmy promieniotwórczości i nie skonstruowalibyśmy Modelu Standardowego cząstek elementarnych.

Dowolny układ kwantowy jest opisywany przez funkcję falową bądź też ogólniej – przez pewien wektor stanu. Ten ostatni żyje w przestrzeni zespolonej, przeważnie wielowymiarowej. Żeby zbadać własności danego układu, musimy wybrać pewną „obserwabla”, np. położenie, energię czy też pęd. Znając stan kwantowy, możemy precyzyjnie przewidzieć rozkład statystyczny pomiarów dowolnej obserwabli. Tym, co pozwala przejść od zespolonego stanu kwantowego do rzeczywistych wyników pomiarów, jest tzw. reguła Borna, zaproponowana w 1926 r. przez jednego z pionierów teorii kwantowej – Maxa Borna.

Wyobraźmy sobie pojedynczy foton lecący swobodnie w przestrzeni. Jego wektor stanu (dla uproszczenia ignorujemy polaryzację) jest opisany funkcją ψ o wartościach zespolonych. To oznacza, że w każdym punkcie przestrzeni x wielkość $\psi(x)$ ma część rzeczywistą $R(x)$ i część urojoną $I(x)$. Przypuśćmy teraz, że stawiamy na drodze fotonu ekran światłoczuły i pytamy, jakie jest prawdopodobieństwo, że trafi on w wybrany piksel. Zgodnie z zasadami teorii kwantowej wyliczymy je stosując regułę Borna do $\psi(x)$. Prawdopodobieństwo detekcji w każdym pikselu musi być oczywiście liczbą rzeczywistą z przedziału od 0 do 1. Jednak nie jest to po prostu rzeczywista część funkcji falowej fotonu, ale tzw. kwadrat modułu: $R(x)^2+I(x)^2$. Geometrycznie ta wielkość opisuje kwadrat odległości liczby $\psi(x)$ od początku układu współrzędnych na płaszczyźnie zespolonej.



BLUEPANKOW / DOMENA PUBLICZNA

Fraktal – taki jak ten – może być wygenerowany przy użyciu liczb zespolonych.

Cała ta procedura wydaje się być co-
kolwiek wydumana – czy nie można po-
 prostu założyć, że ψ ma tylko część rze-
 czywistą i koniec? Magia liczb zespolo-
 nych ujawnia się jednak, jeśli pomiędzy
 źródłem fotonu a naszym ekranem po-
 stawimy przesłonę z dwiema wąskimi
 szczelinami. Po przejściu przez szczeliny
 wektor stanu fotonu można zapisać jako
 $\psi_1 + \psi_2$, gdzie ψ_1 opisuje przejście przez
 pierwszą szczelinę, a ψ_2 przez drugą.
 Ale teraz licząc prawdopodobieństwo
 detekcji z reguły Borna otrzymamy wy-
 निक $(R_1 + R_2)^2 + (I_1 + I_2)^2$, który *nie* jest sumą
 prawdopodobieństw pochodzących od
 ψ_1 i ψ_2 oddzielnie. Brzmi to wszystko ma-
 gicznie, ale wyniki eksperymentów jedno-
 znaczenie wskazują na taką właśnie zespo-
 loną naturę fotonów.

Co istnieje

Można twierdzić, że opis zjawisk fi-
 zycznych przy użyciu teorii kwanto-
 wej jest tylko sprytnym wybiegiem, ni-
 czym wzory Cardana prowadzące do
 rzeczywistych rozwiązań, ale nie mówi
 niczego o rzeczywistości. Jednak je-
 śli chcemy być konsekwentni, to mu-
 simy odmówić realności również liczbom
 niewymiernym. Nie jesteśmy prze-

cież w stanie żadną aparaturą zmierzyć
 liczby π , a jedynie jej pewne wymierne
 przybliżenie 3,14159... Można by też ar-
 gumentować, posilując się filozofią
 atomistyczną, że ułamki są tylko wy-
 tworem naszej wyobraźni, a prawdziwe
 (najbardziej fundamentalne) obiekty fi-
 zyczne są niepodzielne. Faktycznie,
 każdy eksperyment składa się ostatecz-
 nie z ciągu prostych binarnych zliczeń
 – piksel zaświecił albo nie zaświecił,
 strzałka woltomierza wychyliła się albo
 nie. To, jak mocno coś świeci czy jak
 bardzo się wychyla, jest tylko kwestią
 konwencji – tego, jaką podziałkę przy-
 jmiemy. Zatem to, czy ostatecznie wyjdzie
 nam -7 , $1/4$, π czy $\sqrt{-15}$, to tylko
 kwestia interpretacji danych.

W ten sposób dochodzimy do tzw. fini-
 tystycznej filozofii matematyki, w myśl
 której naprawdę istnieją tylko skończone
 obiekty matematyczne. Jej naczelnym
 orędownikiem był wybitny XIX-wieczny
 niemiecki matematyk Leopold Kronecker.
 Jest on autorem słynnego powiedzenia:
 „Bóg stworzył liczby całkowite, a cała
 reszta jest dziełem człowieka”. Skoro od-
 mawiamy realności liczbom urojonym
 i niewymiernym nawet jako bytom ma-
 tematycznym, to tym bardziej nie istnieją

one w jakimkolwiek sensie w świecie fi-
 zycznym.

Można jednak rozumować odwrotnie:
 rozwój matematyki pokazuje, że to liczby
 zespolone są najbardziej podstawowe,
 a te, które określamy mianem „rzeszy-
 wistych”, są tylko ich szczególnym pod-
 zborem. Dalej, możemy twierdzić – po-
 silając się teorią kwantową – że zjawi-
 ska kwantowe tak naprawdę zachodzą
 w nieskończenie wymiarowej przestrzeni
 zespolonej. To, że nie doświadczamy ich
 bezpośrednio, wynika li tylko z ułomno-
 ści naszych ludzkich narządów pozna-
 wczych. Jednak dzięki matematyce potra-
 fimy na podstawie dostępnych danych
 empirycznych wywnioskować istnie-
 nie owej zespolonej przestrzeni i uchylić
 rąbka jej tajemnicy.

Niezależnie od tego, do której z tych fi-
 lozofii nam bliżej, warto pamiętać, że kon-
 cepcje, które wydają nam się na początku
 absurdalne i „nierzeczywiste”, mogą oka-
 zać się kluczem do głębszego zrozumienia
 Przyrody. Jednak aby tak się stało, wolno
 nam tylko zmyślać sobie w ścisłych mate-
 matycznych ramach, a następnie konfron-
 tować nasze rojenia z twardymi danymi
 empirycznymi.

© MICHAŁ ECKSTEIN



NATALIA POLASIK / MOONWATER.PL

Natalia Polasik „Uniesienia”, 2020 r.

Eksperymenty na kanapie

MARCIN MIŁKOWSKI

**Już od dawna część eksperymentów naukowych
odbywa się tylko w myślach.
Taka procedura jest bezpieczna nawet w pandemii,
ale wyciągane wnioski bywają groźne – dla wiedzy.**



W lutym 2012 r. na jednym z satyrycznych blogów filozoficznych, fauxphilnews, pojawiła się informacja, że Saul Kripke, wybitny filozof i logik, podał się do dymisji. Miało się to stać tuż po tym, jak odkryto, że rezultaty jego eksperymentów myślowych nie dają się powtórzyć. To bodaj najzabawniejszy wpis na całym blogu, więc może dlatego na nim cała działalność fauxphilnews się zakończyła. News jednak żyje dalej, odgrzewany co roku w okolicach 1 kwietnia.

Żart dotyczy książki „Nazywanie i konieczność”, w której Kripke za pomocą eksperymentów myślowych dowodził, że powszechnie przyjmowana teoria znaczenia nazw własnych (takich jak „Arystoteles” czy „Saul Kripke”) jest błędna. Zgodnie z tą tradycyjną teorią znaczenie każdej nazwy da się sprowadzić do pewnego zbioru opisów. Wyobraźmy sobie jednak, że odkrywamy, iż człowiek opisywany jako nauczyciel Aleksandra Wielkiego wcale nie uczył macedońskiego władcy. W dodatku wcale nie był uczniem Platona ani nie napisał „Poetyki”. Czy Arystoteles przestałby wówczas być Arystotelesem? Nie, nadal nosiłby to samo imię, mimo że musielibyśmy zrewidować dosyć głęboko utrwalone przekonania na jego temat.

Ale zostawmy teorię znaczenia i zastanówmy się, jak moglibyśmy się przekonać, że eksperyment myślowy jest nieudany. Czy to w ogóle możliwe? Może eksperymenty myślowe są jak pytania retoryczne? Może to tylko takie sztuczki, którymi posługują się biegli hochsztaplerzy, aby uniknąć porządnej argumentacji?

Filozofów wiadomość o Kripkem rozbawiła w dwójnasób: każdy z nas wie, jak trudno cokolwiek ostatecznie i przekonująco pokazać w filozofii, więc często musimy rewidować własne poglądy, ale z tego powodu nikt rezygnacji nie składa. Co więcej, żart nawiązuje do popularnego dzisiaj nurtu tzw. filozofii eksperymentalnej. W tej dziedzinie prowadzi się zwykle coś przypominającego badania ankietowe – uczestnikom daje się do przeczytania różne historyjki i prosi o odpowiedzi na serię pytań. Okazuje się, że same te historyjki mogą być oceniane różnie, gdyż badani milcząco przyjmują założenia pochodzące z ich własnej kultury.

Otóż czytelnicy eksperymentów myślowych w stylu Kripkego rzeczywiście różnią się w ich ocenie: osoby pochodzące z Azji Wschodniej wcale nie chcą odrzucić tradycyjnej koncepcji znaczenia na rzecz nowej. To by jednak oznaczało, że eksperymenty myślowe wcale nie są tak uniwersalnym narzędziem argumentacyjnym, jak wielu filozofów uważa.

Surfowanie na fali światła

A jednak w nauce eksperymenty myślowe odgrywają ogromną rolę. Już Galileusz pokazywał, że teoria Arystotelesa dotycząca swobodnego spadania jest nie do przyjęcia; eksperymentami takimi posługiwali się Newton, Kartezjusz i Leibniz. Historia fizyki pełna jest takich konstrukcji, jak kot Schrödingera, demon Maxwella czy demon Laplace’a. Niektóre pokazują nieintuicyjne konsekwencje teorii fizycznych, inne mają przekonywać, że te teorie są jednak akceptowalne.

W końcu to praca teoretyków, oparta na eksperymentach myślowych, doprowadziła do przełomu w fizyce na początku XX stulecia. Bez takich eksperymentów nie byłoby fizyki kwantowej i teorii względności. Einstein wspominał, że już w wieku 16 lat wyobraził sobie, iż podróżuje na fali świetlnej z prędkością światła w próżni. Wiązka światła dla surfującego na fali Einsteina powinna być polem elektromagnetycznym w spoczynku: powinien widzieć ją jako zamrożoną w ruchu, chociaż oscylującą. To jednak nie było zgodne z teorią eteru dominującą w ówczesnej fizyce. Zostawmy historykom fizyki kwestię, czy rzeczywiście już jako nastolatek Einstein dostrzegał fundamentalne problemy teorii elektromagnetyzmu Maxwella. Ważne jest to, że ten eksperyment myślowy prowadzi do prawdziwej rewolucji w fizyce. Oczywiście, nie tylko on, ale warto docenić możliwość inspirowania zmian w fizyce samym myśleniem.

Nie znaczy to, że eksperymenty myślowe w nauce są zawsze udane. Do dzisiaj jedną z najczęściej przywoływanych książek w psychologii są dwutomowe „Principles of Psychology” Williama Jamesa (nigdy nieprzełożone w całości na język polski). James jest jednym z twórców naukowej psychologii oraz prekursorem pierwszego amerykańskiego nurtu w filozofii – pragmatyzmu. Do dzisiaj popularna jest koncepcja emocji Jamesa-Lange’a (ten drugi to mało znany duński lekarz, Carl Lange). Zgodnie z nią emocja to postrzeżenie stanu własnego ciała.

James pisze: „Jeżeli wyobrazimy sobie jakąś silną emocję, a następnie staramy się wyabstrahować ze swej świadomości tej emocji wszystkie doznania związane z jej symptomami cielesnymi, to stwierdzimy, że nie ma tam nic więcej”. To typowy eksperyment myślowy. Wczoraj była burza z piorunami i jeśli się bałem, to drżałem jak osika, pociły mi się ręce itd. (Proszę się nie obawiać – to także eksperyment myślowy, autorowi w trakcie pisania nic złego się nie przydarzyło). Gdyby moje dłonie nie były mokre od potu, gdybym nie drżał i w ogóle nie odczuwał żadnego dyskomfortu, to już nic by z tego strachu nie zostało.

Tak chciałby James. Ale można mieć wątpliwości, bo przecież bałem się czegoś – burzy. W którym doznaniu mojego własnego ciała miałoby się ukrywać to odniesienie do burzy? Filozofowie egzystencjalistyczni odróżniają stan lęku – nieukierunkowanej bojaźni, *Angst* – od strachu, który ma określony przedmiot (burza, myszy, węże, koronawirus itd.). Można by Jamesowi zarzucić, że u niego strach jest nieodróżnialny od lęku, bo w jego koncepcji nie sposób mówić o rzeczach, których się boimy. Zarzut można jednak odeprzeć, jeśli uznamy, że te przedmioty to po prostu przyuczony emocji, a nie coś, do czego emocja się odnosi. Jeśli wiadomo, co wywołało drżenie mojego ciała, to teoria pozostaje spójna. Nie wszyscy, co prawda, się zgodzą, że emocje nie niosą żadnych treści poznawczych, ale stanowiska Jamesa o przyczynowym związku z przedmiotem lęku można by bronić (choć ma ono jeszcze problem ze strachem wywołanym przez sąsiadów, mimo że nikt go nie truje). Niemniej James tę kwestię pomija; opowiadana przez niego historyjka jest dość uboga w szczegóły, dlatego łatwiej się z nim zgodzić.

Nawet jeśli jednak w świadomości nie pozostaje nic, kiedy odjąć wszystkie doznania cielesne emocji, to można

⇒ sądzić, że emocje są czymś innym niż doznania. James nie rozważa możliwości, która jest logicznie spójna z jego eksperymentem, ale nie prowadzi do jego wniosku. Doznania cielesne mogłyby bowiem równie dobrze być konieczne do odczuwania emocji, ale niewystarczające do ich zachodzenia. Po usunięciu całego komponentu fizjologicznego emocji nie doznajemy niczego, ale to nie znaczy, że emocje to percepcje stanu ciała. W podobnym duchu Jaak Panksepp, twórca neuronauki afektywnej, polemizował z Jamesem, pokazując, że błyskawiczne zmiany fizjologiczne wywoływane przez emocje już zachodzą w układzie nerwowym, zanim zajdą stosunkowo powolne procesy postrzeżeniowe.

Krótko mówiąc, eksperyment myślowy Jamesa nie wystarczy do uzasadnienia jego teorii emocji, nawet jeśli zgodzimy się z nim, że w wyobrażeniu po odjęciu cielesnych doznań emocji nic już nie ma.

Dźwignie wyobraźni

Daniel Dennett od lat radzi, aby traktować eksperymenty myślowe z ogromną ostrożnością. Nazywa je „pompami intuicji” (w polskich przekładach mówi się też czasem „dźwignie wyobraźni”), gdyż mają one dostarczać intuicyjnie przekonujących uzasadnień. Tylko że same te pompy to skomplikowane urządzenia, z licznymi guziczkami i wajchami. Czasem moc przekonywania eksperymentu myślowego zależy od kwestii zupełnie pobocznej, źle skonstruowanej przekładni, która odwraca uwagę od istoty problemu.

Weźmy przykład niesłuchanie uwodzicielskiego eksperymentu myślowego, jaki przeprowadził John Searle. To na tyle niebezpieczne narzędzie, że jakiś czas temu przestałem się zgadzać, aby studenci pierwszego roku pisali na ten temat prace zaliczeniowe, bo często byli tak przekonani opowieścią, iż nie zauważali żadnych niedostatków. Musimy być teraz jak Odyseusz, który kazał przywiązać się do masztu, aby nie zgubił go dźwięk pięknie śpiewających syren.

Wyobraźmy sobie pokój, w którym trzymamy zamkniętego Johna Searle’a. W drzwiach jest otwór (skrzynka na listy w stylu brytyjskim), przez który możemy wrzucać pytania w języku chińskim. Po pewnym czasie Searle wyrzuca nam odpowiedzi na pytania, też po chińsku. Sęk w tym, że Searle ni w ząb po chińsku nie czyta; nie rozumie tego tekstu, ale ma wielką księgę, gdzie są spisane wszystkie pytania, które mógłby dostać, wraz z odpowiedziami. Mozolnie przepisuje (najwyraźniej ma talent rysownika, bo daliśmy się złapać, że pisze po chińsku), ale nic nie rozumie. A teraz niespodzianka: zdaniem Searle’a programy komputerowe, którym przypisuje się rozumienie, gdyż odpowiadają na pytania w języku naturalnym, również niczego nie rozumieją. Znaczenie jest dla tych programów niedostępne: one też jedynie bezmyślnie przepisują znaczki, jak Searle zamknięty w chińskim pokoju. Ten eksperyment ma pokazywać, że sztuczna inteligencja – w wersji mocnej, czyli polegającej na samodzielnym rozwiązywaniu problemów – jest niemożliwa.

I tak z opowieści o przepisywaniu chińskich znaków przeszliśmy szybko do bardzo mocnych twierdzeń o sztucznej inteligencji. W dodatku opowieść ta brzmi, przynajmniej dla bardzo wielu osób, wyjątkowo przekonująco. Czy to znaczy, że nie możemy mieć sztucznej inteligencji?

Oczywiście, eksperyment ten wzbudził ogromne spory, a nie tylko entuzjazm sceptyków wobec mocy komputerów. Nie będę tu skupiał się na wszystkich zarzutach, lecz pokażę, jak ta opowieść ma działać. Przede wszystkim, co podkreśla Dennett, tezy na temat niemożliwości sztucznej inteligencji nie wynikają z opowieści Searle’a na mocy praw logiki. To nie jest przeprowadzona wprost argumentacja. Czytelnik raczej domyśla się, jak ona ma przebiegać: na zasadzie analogii. Takie rozumowania są jednak zwodnicze, bo zdarzają się analogie fałszywe, a w dodatku, co wiemy dobrze od Lewisa Carrolla, nawet kruk jest podobny do biureczka (jeśli ktoś nie wierzy, to proszę bardzo: oba są wspomniane w tej samej książce; mają nogi; występują w czasoprzestrzeni...).

W eksperymentcie myślowym „chińskiego pokoju” analogia ma zachodzić między programem komputerowym przetwarzającym tekst a Searle’em. Krytycy jednak zauważają, że ten program nie zadziałałby bez danych, które pozwalają tekst przetworzyć. Dane te zawarte są w księgach, które musi wertować Searle, w dodatku w niesłychanym tempie, biorąc pod uwagę liczbę znaków chińskich i kompletną niezajomość tego pisma u Searle’a, a także fakt, że liczba poprawnie zbudowanych zdań po chińsku, a więc także i pytań, jest, ściśle rzecz biorąc, nieskończona. Można mieć wątpliwości, czy analogia jest dobra, ale skoro istnieją automatyczne translatory i systemy odpowiadające na pytania, które nie mają nieskończonego zbioru zdań, to ten kłopotliwy aspekt eksperymentu Searle’a pewnie warto pominąć.

Rzecz jednak w tym, że te dane są integralnym elementem systemu przetwarzającego tekst – a sam program przetwarzający te dane to za mało, aby mówić o odpowiadaniu na pytania w sposób sensowny. Współczesne systemy tego rodzaju, takie jak GPT-3, to gigantyczne sieci neuronowe, do których działania potrzeba bardzo silnych komputerów i mnóstwa prądu, bo ilość przetwarzanych przez nie danych jest rzeczywiście wielka. Krytyk Searle’a może więc powiedzieć, że pojedyncze węzły sieci neuronowej czy reguły jej funkcjonowania, podobnie jak jeden John Searle zamknięty w pokoju czy książki, które ma pod ręką, nie wystarczą do rozumienia. Dopiero cały system rozumie – właściwa analogia to ta między całym pokojem a systemem odpowiadającym na pytania.

Nie zjedz wszystkich zajęców

Ten sam eksperyment myślowy, a inna konkluzja, nie-sprzeczna z opowieścią. Dennett ma rację – wniosek nie może wynikać z eksperymentu (chyba że sam opis jest sprzeczny, bo wtedy wynika z niego dokładnie wszystko, a także zaprzeczenie tego wszystkiego, na mocy pewnego potwornego prawa logiki, które odkrył w średniowieczu Duns Szkot). To typowe dla eksperymentów myślowych, ale także dla modeli w nauce – można je różnie interpretować.

Co więcej, to nie jedyna interpretacja. Zdaniem Dennetta, eksperyment Searle’a sugeruje wniosek z powodów zupełnie niezwiązanych z ewentualnym rozumieniem czy nierozumieniem tekstu przez komputery. Wyobraźmy sobie, że zmniejszamy ten pokój do rozmiaru piłki do siatkówki, a drukowane kartki z księgi zastępujemy sygnałami elektrycznymi. Niech będzie to sztuczna sieć neuronowa, w której kluczową rolę odgrywają impulsy. Czym to się bę-

dzie różnić od mózgu? Ta reinterpretacja – stworzona przez Douglasa Hofstadtera – pokazuje, że rozmiar pokoju sugeruje nam błędny wniosek. Kiedy system jest zminiaturyzowany, znacznie mniej osób przyjmuje konkluzję Searle’a.

Dennett twierdzi, że każdy eksperyment myślowy ma pokręta, którymi można manipulować: można wyobrazić sobie chiński pokój mniejszy lub większy, Searle’a jako mężczyznę lub kobietę, kartki jako zadrukowane lub puste itd. Ale tylko niektóre pokręta mają znaczenie dla analogii w eksperymencie – płeć osoby manipulującej znakami czy wielkość pokoju nie powinny odgrywać żadnej roli, w odróżnieniu od tego, czy tekst z pytaniami widać, czy nie. W istocie Dennett radzi, aby każdy eksperyment myślowy tak badać: szukać pokręteł, aby zobaczyć, dlaczego wnioski wydają się przekonujące. Jeśli eksperyment przekonuje z zupełnie niejasnych powodów, np. związanych z przypadkowymi cechami (takimi jak rozmiar wyobrazonego pokoju), to może być niewiarygodny lub korzystą z niedowładu naszej wyobraźni.

Bo też i wiele osób myśli, że sobie coś precyzyjnie wyobraża, ale tego nie robi. Znam osoby, które deklarują, że umieją wyobrazić sobie największą liczbę całkowitą. Problem w tym, że taka liczba nie istnieje – jest ich nieskończenie wiele. Wyobrażenie musiałoby dotyczyć logicznej sprzeczności, a tego raczej nie potrafimy pomyśleć wprost.

Gdy porównamy eksperymenty mniej udane – Jamesa czy Searle’a – z udanymi – Einsteina czy Galileusza – to od razu w oczy rzuca się większa matematyzacja u fizyków. To nie przypadek. Dennett podkreśla, że bardzo łatwo nam popełnić błędy w myśleniu, jeśli nie posługujemy się zewnętrznymi podpórkami. Znacznie łatwiej przeprowadzić dowód matematyczny na papierze czy tablicy niż w myślach.

Na przykład można badać, w jaki sposób będzie zmieniać się liczebność populacji drapieżników i ofiar: jest to przedmiotem prostego i słynnego modelu Lotki-Volterry. Ten model pokazuje, jaka dynamika zmian jest możliwa przy pewnych założeniach, chociaż nie odpowiada wprost żadnej realnej populacji organizmów. W tym sensie jest to model bardzo przypominający eksperymenty myślowe (wyobraźmy sobie: co się stanie z wilkami, jeśli zjedzą prawie wszystkie zające?).

Na twardszym gruncie

Ale nawet kiedy mamy opis matematyczny na papierze, może być trudno zrozumieć, co dokładnie się zdarzy w opisywanej sytuacji. Wtedy potrzebne będzie przeprowadzenie symulacji komputerowych – które służą mogą właśnie do przeprowadzania eksperymentów myślowych w sposób znacznie bardziej zdyscyplinowany. Chociaż powtórzenie symulacji komputerowej wcale nie jest sprawą prostą i przyjemną, to jednak swoboda interpretacji poszczegół-

nych kroków symulacji jest znacznie mniejsza niż w przypadku opowieści. W dodatku symulacje służą często tym samym celom, co eksperymenty myślowe: mają sprawdzić, co jest możliwe oraz co jest niezbędne, żeby jakieś zjawisko zachodziło. Nie muszą wcale odpowiadać wprost realnym przedmiotom, nawet w idealizowany sposób.

Naukowcy mogą więc przeprowadzać coś w rodzaju eksperymentów na modelach komputerowych, aby sprawdzić, do jakich konsekwencji prowadzą przyjęte przez nich założenia teoretyczne. Te założenia trudno byłoby w pełni pojąć bez przeprowadzenia symulacji. W przeciwieństwie jednak do eksperymentów myślowych prowadzonych na kanapie, modele komputerowe są znacznie bardziej przejrzyste i wymagają więcej dyscypliny na etapie ich konstruowania. Nie znaczy to, że gwarantują możliwość skutecznego odtworzenia tego samego wyniku; rezultaty mogą też zależeć od przypadkowych czynników: błędów w oprogramowaniu, danych, awarii sprzętu czy pomyłki użytkownika. Sama jednak matematyczna natura takich eksperymentów sprawia, że łatwiej odkryć, od czego zależy działanie takich nowoczesnych pomp intuicji.

mają sprawdzić,
**co jest
niezbędne,
by jakieś
zjawisko zaszło.**

Od dziesiątków już lat w filozofii nauki toczy się spór, czy eksperymenty myślowe to rzeczywiście eksperymenty. Zaczął się on właściwie już w momencie wprowadzenia tego terminu do obiegu przez filozofującego fizyka Ernsta Macha w XIX w. Ten sam spór przeniósł się potem

do dyskusji na temat symulacji komputerowych. Oczywiście jest, że samo przeprowadzenie eksperymentu myślowego nie gwarantuje prawdziwości uzyskanej w ten sposób wiedzy. Eksperymenty myślowe mogą opierać się bowiem na fałszywych założeniach, a nawet zawierać niedostrzegane przez nas sprzeczności – podobnie zresztą jest w symulacjach komputerowych, które wymagają większej precyzji, ale nie gwarantują logicznej bezbłędności. Te eksperymenty mogą jedynie sugerować, co jest możliwe – i co może wynikać z naszych założeń, a więc co one z konieczności pociągają. Te założenia jednak skonfrontować z rzeczywistością może jedynie obserwacja prawdziwego świata.

Lecz jeśli jesteśmy zamknięci w domu, to nawet siedząc na kanapie, możemy pomóc w rozbudowywaniu lepszych eksperymentów myślowych w nauce – służą temu rozwijane coraz szerzej projekty nauki obywatelskiej, wciągające laików do pracy nad modelami mającymi doprowadzić np. do opracowania lepszych leków na raka czy dokładniejszych map mózgu (uczestnictwo w nich wymaga np. pobrania specjalnej aplikacji albo oceniania lub klasyfikowania zdjęć czy schematów). Wystarczy chwila, aby znaleźć setki takich projektów do wykorzystania w domu. Wtedy możemy eksperymentować na kanapie: nie będą to już jednak indywidualne zabawy myślowe, tylko wspólne rozwijanie ważnych naukowo, lecz pracochłonnych modeli.

© MARCIN MIĘKOWSKI

Czterdzieści osiem tysięcy szpilek

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

**Świat jest skomplikowany, a my – dosyć prości.
Teorie spiskowe rodzą się właśnie z tego zderzenia.**

Pinezki! Dziesiątki pinezek wbitych w wielką tablicę i połączonych nićmi, najlepiej czerwonymi. Do tego zdjęcia, nazwiska, tajemnicze symbole i oczywiście wycinki prasowe. To wszystko poprzetykane notatkami na żółtych karteczkach, często oznaczonymi znakami zapytania. Jak gdyby autor sam nie dowierzał w to, co powoli wyłania się przed jego oczyma. Oto mapa zbrodni. Graf odpowiedzialności i powiązań, w którym ostatecznie wszystko łączy się ze wszystkim w wielkiej sieci. Chaos przybierający pozory porządku, sens wyłaniający się z nieładu.

Ten obraz, znany z dziesiątek filmów i seriali, jest jednocześnie naprawdę dobrym modelem wyjaśniającym, jak w zasadzie działają teorie spiskowe i dlaczego są tak atrakcyjne. Kluczem do zrozumienia popularności fantazji o globalnych spiskach jest właśnie ów niepozorny gest przyszpilania, w którym wiadomość o czymś, co wydarzyło się na drugim końcu świata, zostaje choć na chwilę unieruchomiona na płaskiej przestrzeni korkowej tablicy.

Gwóźdź programu

W czasach wczesnolicealnych wybrałem się z kolegami na pokaz dawnego rzemiosła na zamku w Nidzicy. Zacztywaliśmy się wtedy w fantastyce, graliśmy w gry i zamarzyło nam się, że nauczymy się wykuwać miecze. Nasze rozczarowanie nie miało granic, gdy okazało się, że w trakcie pokazu mistrz płatnerski pomachał nam wprawdzie przed nosem kilkoma ostrzami, lecz jedynym przedmiotem, który zdążył wykuć na oczach publiczności, był gwóźdź. Nawet nie czarodziejski gwóźdź do zabijania potworów. Zwyczajny gwóźdź, jakich kilo-

gram można było kupić za kilka złotych w każdym sklepie budowlanym. Przez kilkadziesiąt minut patrzyliśmy, jak facet robi gwóźdź! Czuliśmy się jak ostatni frajerzy (czemu ostentacyjnie i publicznie daliśmy wyraz), i pewnie bardzo bym się zdziwił, gdyby ktoś mi wtedy powiedział, że za dwadzieścia lat to będzie jedno z najważniejszych doświadczeń w moim życiu.

Po pierwsze, od czasu wycieczki do Nidzicy już nigdy nie wydawało mi się dziwne, ile czasu i pomysłowości nasi przodkowie poświęcali na to, by projektować i konstruować meble, domy, a nawet wielgachne drewniane kościoły bez jednego gwóźdźa. Po drugie, dziś w swojej pracy badawczej do oceny potencjału poszczególnych teorii spiskowych wykorzystuję bezcenną wiedzę zdobytą na pokazie rzemiosła w Nidzicy.

Kiedy przeczytałem pierwszy rozdział „Badań nad naturą i przyczynami bogactwa narodów” Adama Smitha, od razu wiedziałem, że to poważna sprawa. Bo ze szpilekami problem był dokładnie ten sam. Wykonanie jednej szpilki tradycyjną metodą wymagało olbrzymiego nakładu pracy. W dodatku rzemieślnik musiał być świetnie wyszkolony i biegły w swoim fachu. Wszystko zmieniło się w XVIII w., gdy Smith pisał swoją książkę. Wraz z wynalazkiem systemu manufakturowego praca została podzielona na szereg drobnych, powtarzalnych czynności wykonywanych wspólnie przez doskonale zgrany zespół robotników wyposażonych w jednoczynnościowe maszyny. „Jeden robotnik wyciąga drut, drugi prostuje, trzeci tnie, czwarty zaostrza, piąty szlifuje koniec dla osadzenia główki – wymieniał Smith. – W ten sposób ważne rzemiosło wyrobu

szpilek jest podzielone na blisko 18 odrębnych czynności, które w pewnych manufakturach wykonują różni pracownicy”. Rezultat był porażający. W czasie, w którym jeden wprawny rzemieślnik wykonałby jedną szpilkę, przy wielkiej pilności najwyżej kilka, 10 niewykształconych robotników było w stanie przygotować ich nawet 48 000.

Świat się zmienił. Dosłownie z dnia na dzień szpilki, igły i gwóźdźe stały się tanie i dostępne dla wszystkich, a skomplikowana bezgwóździowa ciesiołka straciła swój oryginalny sens. Zmienił się też i ludzie. Z każdą kolejną dekadą praca coraz większej części z nich związana była tylko z małym wycinkiem większej całości. Narodziło się nowoczesne społeczeństwo, w którym mamy szczęście dziś żyć, oparte na reprodukcji technicznej, standaryzacji i wynikającej z nich dostępności produktów i usług. Wraz ze społecznym podziałem pracy pojawiła się specjalizacja oraz społeczny podział wiedzy. Im mniejszym wycinkiem rzeczywistości się zajmowaliśmy, tym węższy mógł być nasz horyzont.

Świat stał się za to większy niż kiedykolwiek dotychczas – bezpośredni i natychmiastowy wpływ na nasze życie mają wydarzenia na drugim krańcu kuli ziemskiej – a jednocześnie my, jako ludzie, pozostaliśmy mniej więcej tacy, jacy byliśmy w czasach, gdy wyprodukowanie jednej szpilki zajmowało pół dnia.

Teorie spiskowe przerzucają most nad tą przepaścią. Proponują nam proste sposoby radzenia sobie w złożonym świecie. Ich powstawanie przypomina pracę rzemieślnika, ale wykorzystywane komponenty pochodzą z nowoczesnej rzeczywistości trwale przeoranej przez proces industrializacji.



Przyspilić winnych

„Osiem lat... osiem lat debatują, przeglądają akta. I na koniec co się okaże? Nikt nie jest winny? Każdy po troszku? Ja rozumiem, że to jest skomplikowana sprawa, ale ja wcale nie żądam wiele. Chciałabym tylko wiedzieć, kto odpowiada za śmierć mojego syna!”.

Przytaczam te słowa z głowy, ale sądzę, że robię to dość dokładnie. W ten sposób o swoim zniecierpliwieniu przedłużającym się procesem opowiadała w radio kobieta, która straciła syna w słynnej katastrofie budowlanej na terenie Międzynarodowych Targów Katowickich. Jej wypowiedź utknęła mi w pamięci, bo słuchałem jej w drodze na badania terenowe, które prowadziłem wśród byłych górników w Wałbrzychu. Wielu moich rozmówców opowiadało o swoich losach bardzo podobnymi słowami. Ironiczne lub gorzkie pytania w rodzaju „i co, nikt nie jest winny?” lub „kto za tym stoi?” powracały w niemal każdym wywiadzie.

Na teorie spiskowe łatwo patrzeć szyderczo i z wyższością. Łatwo wskazywać

na ich szkodliwość, chociażby w kontekście szczepień czy walki z globalnym kryzysem klimatycznym. Przy tym wszystkim zbyt często zapominamy jednak, że tropieli globalnych spisków ożywia często dokładnie ten sam duch, który przenikał słowa zrozpaczonej matki i moich skrzywdzonych przez transformację rozmówców. Potrzeba, żeby była jakaś sprawiedliwość, żeby ktoś wreszcie okazał się winny i poniósł karę.

Richard Hofstadter, jeden z twórców nowoczesnych badań nad teoriami spiskowymi, określał ich język mianem „stylu paranoicznego”. Analizy Hofstadtera powstawały przeszło pół wieku temu, lecz ponad dekadę po politycznym debiucie Sary Palin i po burzliwej kadencji Donalda Trumpa okazują się nawet bardziej aktualne niż w momencie powstania. „Ameryka została odebrana im samym i ludziom im podobnym, pozostają jednak zdeterminowani, by ją odzyskać i zapobiec ostatecznemu podważeniu amerykańskiego systemu wartości” – w ten sposób Hofstadter wyjaśnia mo-

tywację kierującą badanymi przez niego politykami i ich wyborcami. „Stare dobre amerykańskie wartości dawno już uległy kosmopolitom i elitom intelektualnym, a oparty na konkurencji kapitalizm został podważony przez komunistyczne wpływy. Bezpieczeństwo narodowe i niepodległość zostały zniszczone przez podstępne spiski, których najpotężniejszymi wykonawcami nie byli ludzie z zewnątrz i obcokrajowcy, lecz kluczowe postacie polityki zasiadające w samym centrum amerykańskiej władzy”.

Potężni obcy odbierają nam nasz świat. Wszecchobecnny układ decyduje o sukcesach i porażkach. „Oni” chcą pozostać niewidzialni, ale „my” demaskujemy ich i ujawniamy manipulacje. Dzięki naszym działaniom zło uzyskuje imię. To, co płynne, nieuchwytne, zmienne – rozpluwający się stabilny świat przednowoczesnych wartości – zostaje ponownie przyspilonie w demaskatorskim akcie. Współczesna psychoanaliza inspirowana pracami Jacques’a Lacana używa w tym kontekście francuskiego pojęcia *point* →

→ *de caption* – a zatem tego, co przyszpila nieustannie zmienny świat, nadając mu – przynajmniej chwilowo – pozory stabilności.

Właśnie poprzez ten obraz zrozumieć można zaskakujący paradoks kluczowy dla teorii spiskowych. Proponują one jednocześnie całkowitą sprawczość i całkowity brak sprawczości. Włączając tropiciela w szeregi tych, którzy „otworzyli oczy” i „włączyli myślenie”, teorie spiskowe dają poczucie przynależności do elity rebeliantów stawiających czoła wrogiemu imperium. Zarazem olbrzymia potęga „obcych” decydujących o każdym niemal aspekcie życia sprawia, że odpowiedzialność za nasze jednostkowe sukcesy i porażki zostaje zdjęta z naszych barków. W końcu jeżeli jacyś „oni” od lat ukrywali fakt, że Ziemia jest płaska jak talerz, to co za problem, żeby ci sami „oni” przekonali mojego szefa, by nie dał mi podwyżki?

Choćby mroczna sieć była nawet najbardziej rozległa i poplątana, jej węzły są tylko pinezkami. Jawią się przed nami jako coś zdemaskowanego, dostępnego,

możliwego do ogarnięcia. Komplikacja świata zostaje sprowadzona do dwóch wymiarów. W ten sposób przyszpilenie winnych staje się sposobem na poznanie ustabilizowanie świata, który nieustannie nam się wymyka.

Pinezka zamiast skreśłu za cepeenem

Wszechobecne urządzenia nawigacyjne z systemem GPS zmieniły nasze nawyki jako kierowców i pieszych. Inaczej obserwujemy otoczenie, poruszamy się nieco innymi drogami. Trasa stała się wyabstrahowana z kontekstu – już nie trzeba czujnie obserwować pobocza w poszukiwaniu drogowskazów i punktów orientacyjnych. Nawyki i doświadczenie straciły znaczenie na rzecz bezpośrednich instrukcji.

Częścią tego fenomenu, który z pewnością zasługiwałby na oddzielny artykuł, jest zmiana sposobu, w jaki przekazujemy sobie wskazówki dojazdu. Wystarczy sam adres – resztą zajmie się Google. Poza wyjątkowymi przypadkami wszystkie „skreśły w prawo za kapliczką” czy „to

duży żółty dom zaraz za cepeenem” straciły rację bytu.

Ukoronowaniem tego trendu jest pinezka Google Maps. Na pytanie „to gdzie się spotykamy?” otrzymujemy od znajomych pinezkę i wyruszamy w drogę. Dopiero na jej końcu okazuje się, czy był to zaciszny leśny parking, modna restauracja, czy samotny głaz w szczerym polu.

Pinezki Google’a to idealny przykład natychmiastowego przekazywania informacji pozbawionych kontekstu, jakie umożliwił nam rozwój nowych technologii. Nie zawsze jednak sprawy wyglądają różowo. Nie każda pinezka jest początkiem sympatycznego spaceru.

Obieg informacji jest dziś szybszy niż kiedykolwiek dotychczas, większa jest też ich dostępność. Sprawia to, że wyrwane z kontekstu słowa i obrazy mogą błyskawicznie trafić na drugi koniec świata, do ludzi dysponujących innym językiem, innymi kompetencjami i inną wrażliwością.

Ten mechanizm, jeszcze przed wybuchem aktualnej epidemii dezinformacji, świetnie opisywał Mark Poster, autor

REKLAMA




**MADRA
KSIĄŻKA
ROKU**

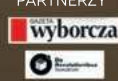
**GALA FINAŁOWA
KONKURSU**

**20 MAJA 2021 R.
GODZ. 17:00**

WWW.MADRAKSIAZKAROKU.PL

ORGANIZATORZY


PARTNER GŁÓWNY


PARTNERZY


„Information Please”. Tytuł książki nawiązuje do czasów, gdy świat był prosty, a podniósłszy słuchawkę telefonu można było po prostu poprosić o połączenie z informacją. W jednym z rozdziałów Poster pisze o niezwyklej historii, jaka przydarzyła się Bertowi – bohaterowi popularnego programu dla dzieci, który w dziwnych okolicznościach znalazł się na zdjęciu w jednej z największych amerykańskich gazet w towarzystwie... Osamy bin Ladena. Bert, w przeciwieństwie do swych sąsiadów z Ulicy Sezamkowej, z bliżej nieokreślonego powodu budził u części widzów niepokój. Kilkoro z nich, już jako dorośli ludzie, postanowiło podzielić się ze światem swymi koszmarami z dzieciństwa. W ten sposób powstała strona internetowa „Bert is Evil” ukazująca pacynkę z wydatnymi brwiami w towarzystwie najgorszych zbrodniarzy w historii. Przenosimy się teraz na drugi koniec świata – do Bangladeszu, gdzie tamtejsi radykałowie religijni szykują manifestację poparcia dla lidera terrorystów. Chcąc przygotować transparenty, które ubarwiłyby pochód przemierzający miasto, sięgają do internetu w poszukiwaniu zdjęć bin Ladena. Pech chce, że jednym z pierwszych wyników jest fotomontaż ze strony „Bert is Evil”. Dzięki dobrodziejstwu cyfrowej transmisji obraz dotarł do Bangladeszu błyskawicznie, nie towarzyszyła mu jednak wiedza niezbędna do „poprawnej” interpretacji. Zastąpił ją jakiś rodzaj lokalnego odczytania, w ramach którego Bert być może w ogóle nie został zauważony, a może symbolizował coś zupełnie innego, trudno powiedzieć. Możemy tylko zgadywać, jakie miny mieli twórcy strony „Bert is Evil”, gdy pewnego dnia otworzyli gazetę i zobaczyli przedmiot swych lęków na czele antyamerykańskiej manifestacji w Dhace.

Przytoczona historia może się wydać zabawna, ale – jak świetnie pokazuje Mark Poster – dokładnie w ten sposób działają teorie spiskowe. Wyrwane z kontekstu zdjęcia, filmy czy fragmenty prac naukowych krążą po internecie. Wydaje nam się, że „mówią same za siebie”, jednak bez kontekstu niezbędnego do ich poprawnego rozkodowania jesteśmy skazani na odczytania połowiczne lub wręcz błędne. Informacja zmienia się w dezinformację.

Igła w stogu siana

Nie chodzi już nawet o oglądanie wielokrotne – choć oczywiście miło wrócić do

ukochanego filmu czy serialu. Współczesny obieg informacji proponuje nam przede wszystkim oglądanie znacznie bardziej intensywne i wspólnotowe. Przed premierą spekulacje fanów podsycają zwiastuny, wywiady i starannie dawkowane przecieki do prasy. W trakcie oglądania można się na bieżąco podzielić wrażeniami na Twitterze – koniecznie z odpowiednim hasztagiem. Następnego dnia rano warto przeżyć przyjemność oglądania jeszcze raz, przeglądając recenzje na blogach i w mediach społecznościowych, a może nawet angażując się w dyskusję na grupie fanowskiej, gdzie analizowane są najdrobniejsze detale, od kostiumów po dialogi.

Odkrycie spisku i przyszpilanie winnych

staje się sposobem na poznawcze ustabilizowanie świata, który nieustannie nam się wymyka.

Współczesne filmy i seriale są świadomie zaprojektowane pod ten typ widza, czego dowodem są nie tylko rozrzucone po planach filmowych *easter eggs* – subtelne detale dla dociekliwych – lecz także coraz bardziej zaawansowane techniki lokowania produktów.

Mark Fenster, kolejny badacz teorii spiskowych, autor książki „Conspiracy Theories: Secrecy and Power in American Culture”, ma na taki sposób oglądania specjalną nazwę – to hiperaktywna semioza. Brzmi nieco skomplikowanie, ale w gruncie rzeczy chodzi po prostu o przyjęcie, że nic nie dzieje się przypadkiem – każdy element oglądanej rzeczywistości może okazać się znaczący. W ramach praktyk hiperaktywnej semiozy otaczająca nas kultura – w szczególności historia, ekonomia czy bieżąca polityka – staje się rezerwuarem znaków nieustannie domagających się (nad)interpretacji. Zawsze „chodzi o coś więcej”, zawsze „ktoś za tym stoi”, zawsze „jest jakieś drugie dno”. Przypadek? Nie sądzę!

Tropiciela spisków przypominają nie zwykle uważnych widzów seriali, którzy z zaangażowaniem wymieniają się swoimi interpretacjami po premierze każdego odcinka. Mogą godzinami rozprawiać nad szczegółami widocznymi w tle jakiegoś zdjęcia, w wypowiedziach polityków szukają drugiego albo i trzeciego dna. Musiałem o tym napisać. W końcu żaden tekst o małych ostrych przedmiotach nie byłby kompletny bez wzmianki o szukaniu igły w stogu siana.

Po nitce do kłębka

A teraz zdradzę Państwu tajemnicę. Ten tekst ma strukturę charakterystyczną dla teorii spiskowych. Pinezki na tablicy tropiciela spisków, wyprawa do Nidzicy, Adam Smith, pinezki Google’a i szukanie igły w stogu siana. To przykład „łańcucha znaczących”, o jakich pisał wspomniany tu Jacques Lacan (ten od metafory przyszpilania). W spiskowej interpretacji rzeczywistości skojarzenia oparte na podobieństwie lub przyległości zastępują logikę przyczyn i skutków.

Gest przyszpilania, o którym cały czas mowa, nie jest nigdy abstrakcyjny. Zawsze wpisany jest w codzienne doświadczenia i powiązany z konkretnymi miejscami czy ludźmi, z namacalnymi przedmiotami – takimi jak choćby pinezka. Przedmioty te, nie tracąc swej materialności, stają się jednocześnie wehikułami wyobraźni zabierającymi nas w podróż po skojarzeniach.

Świat jest skomplikowany, a my – dożyć prości. Teorie spiskowe rodzą się właśnie z tego zderzenia. Ich zadaniem jest obsługiwanie złożoności rzeczywistości w ten sposób, by sprowadzić ją do uchwytnej kategorii. Tym właśnie jest gest przyszpilania, który na swej tablicy wykonuje tropiciel spisków. Ilekroć używa szpilki, by przygwoździć do swej tablicy wycinek prasowy, zdjęcie czy kawałek mapy, próbuje unieruchomić *symboliczne* lub *wyobrażone* przy użyciu *realnego*. Postępuje więc jak czarownik czy praktyk voodoo, starający się kontrolować rzeczywistość przy użyciu jej materialnych reprezentacji.

To właśnie obietnica, która czyni teorie spiskowe tak atrakcyjnymi. Materializacja w uchwytnej formie abstrakcyjnych, globalnych procesów. Wszystko ma jakiś sens. Zawsze jest jakiś winny. Nic nie dzieje się przypadkiem.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Nie ma niewinnych hobbitów

TOMASZ PINDEL

**Podobno fani fabuł postapokaliptycznych
lepiej radzą sobie w czasach pandemii,
bo rozpoznają dobrze znane schematy.
No i potrafią sobie wyobrazić,
że zawsze może być gorzej.**

MICHAŁ SOWIŃSKI: Czym jest wyobraźnia?

TOMASZ PINDEL: To bardzo szerokie pojęcie – możemy wyobrażać sobie, co dziś zjemy na obiad albo spekulować na temat rozwoju naszej cywilizacji. Chyba musimy doprecyzować.

Przejdźmy zatem od razu do literatury fantastycznej.

Wyobraźnia jest nierozdzielnie połączona z każdym rodzajem fikcji – i nie ma znaczenia, czy mówimy tu o „Pani Bovary” czy „Władcy pierścieni”, bo przecież ani Emma, ani Frodo nie istnieli. Owszem, nie istnieli na różne sposoby, ale tu wkraczamy na przepastne pole ontologii. Dyskusja o wyobraźni może prowadzić w bardzo różne strony.

Zacznijmy chronologicznie – od kiedy możemy mówić o literaturze fantastycznej jako gatunku?

To wbrew pozorom bardzo trudne pytanie. Mario Vargas Llosa w szkicu, który trafił do wydanej po polsku parę lat temu zbioru „O czytaniu i pisaniu”, twierdzi, że początek człowieczeństwa to chwila, gdy zaczęliśmy używać wyobraźni. Kultura, podstawowy wyznacznik cywilizacji, narodziła się, gdy przy ogniu w jaskini zaczęto spekulować o rzeczach, których nie dało się doświadczyć inaczej niż poprzez wyobraźnię właśnie. Czyli tak naprawdę jesteśmy *homo imaginatus* i to jest także początek opowieści, z których potem powstała literatura – pierwiastek fantastyczny ma ona w sobie od początku.

A w nowoczesnym sensie?

W XIX w. wyłaniają się pierwsze teksty świadomie zanurzone w konwencji, którą dziś nazywamy fantastyką. Co ciekawe, definiując tę fantastykę opieramy się na kryterium wiary: kluczowe jest to, czy wierzymy w istnienie opisywanych postaci – duchów, wampirów itd. – czy nie. Jeżeli ktoś wprowadza do fabuły wątek duchów czy wampirów, jednocześnie nie wierząc w ich istnienie i zakładając, że także nie wierzy w nie czytelnik, mamy do czynienia z powieścią grozy. W innym przypadku to zapis metafizycznych lub nadprzyrodzonych doświadczeń.

Czyli granice tego, co wyobrażone, zależą od punktu widzenia.

Co więcej – można przesuwac je w dowolną stronę aż do ekstremum. Być może wszystko jest produktem naszej albo czyjejś wyobraźni?

Ale gdy wchodzę do księgarni, od razu wiem, na której półce stoi fantastyka, a gdzie tzw. literatura bezprzymiotnikowa.

Ten podział jest dużo bardziej płynny, niż się powszechnie zakłada. Nawet jeżeli weźmiemy popularny w Polsce segment książek *non-fiction*, wciąż mamy do czynienia z czymś wyobrażeniem na temat rzeczywistości – oczywiście mocno w niej zakorzenionym, ale przecież nawet skrupulatny reporter opisuje swoją wizję wydarzeń.

Czyli możemy się zgodzić, że bez elementu wyobraźni żadna literatura nie jest możliwa.



Oczywiście, podobnie jak nasza cywilizacja w ogóle. Żeby mógł istnieć postęp, najpierw musimy sobie coś nowego, wcześniej nieznanego, wyobrazić. I tu znowu wracamy do Vargasa Llosy – opowieści przy ogniskach nie służyły tylko przyjemnemu spędzaniu czasu, ale sprawa, że w ludziach pojawiała się aspiracja, chęć zmiany swojego życia i świata.

Porzućmy już jaskinie i ogniska. Przy okazji Nobla dla Olgi Tokarczuk powróciła stara dyskusja o „dobrych opowiadaczach”, których mamy niewiele. Kryzys wyobraźni?

Zapewne po części też, ale problem w znacznej mierze leży, moim zdaniem, po stronie coraz bardziej pragmatyzujących się oczekiwań czytelników. Często spotykam się z opiniami, że czytanie powinno okazać się do czegoś przydatne. Jeżeli biorę do ręki książkę (a szczególnie jeśli ją kupuję), to chcę mieć z niej jakiś wy-



TOMEK BAGIŃSKI / PLATIGE IMAGE / MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Katedra” (2002) Tomasza Bagińskiego na podstawie opowiadania Jacka Dukaja.

mierny pożytek. Dlatego część czytelników niechętnie patrzy na fikcję.

Jak zmienić ich zdanie?

Zawsze w takich sytuacjach cytuję Dariusza Rosiaka, skądinąd wybitnego fachowca od faktów, który wielokrotnie mówił, że jedynym sposobem na poznanie człowieka jest czytanie powieści. Ale deficyt prozy opowiadającej dobre historie to faktycznie polska przypadłość, bo na przykład w literaturze hiszpańskojęzycznej opowiadanie historii ma się świetnie.

Wciąż – wspomniany pragmatyzm to chyba za słabe wytłumaczenie.

Do tego dochodzi specyficznie rozumiana wartość literacka. W polskich kręgach literaturoznawców, krytyków i członków jury ważnych nagród wyżej niż fabularny rozmach cenione są eksperymenty formalne i oryginalność je-

zykowa. To się powoli zmienia, ale od lat 90. bardzo wyraźnie widać ten trend. Wystarczy spojrzeć, jakie teksty zgarniają nagrody. Szafarze literackiego prestiżu często zachwycają się: „jak to jest zrobione!”, tak jakby treść była wyłącznie dodatkiem.

Może to wina historii? Silny wciąż jest wątek tożsamościowy – pełno na księgarskich półkach literatury o wielopokoleniowych traumach czy poszukiwaniu własnego miejsca w powojennej rzeczywistości. Mało tam wyobraźni.

Myślę, że kryzys, o którym tu mówimy, to stosunkowo świeża sprawa. Jak spojrzymy na polską literaturę sprzed roku 1989, bez trudu znajdziemy oryginalne formalnie powieści, stylistycznie i językowo ciekawe, ale jednocześnie pisane z epickim rozmachem, opowiadające świetne historie. Kiedyś, zresztą dla „Ty-

godnika”, robiłem wywiad z Eduardo Mendozą, który powiedział, że bardzo lubi polską literaturę, bo pełno w niej historii opowiedzianych z humorem. Trochę mnie to zdziwiło, w końcu czytam prozę polską i jakoś nie za dużo znajduję w niej takich tekstów, ale jemu chodziło o literaturę drugiej połowy XX w. – Lem, Mrozek, Gombrowicz. Mamy tradycję wybitnych opowiadaczy z bardzo szeroką wyobraźnią. I na szczęście powoli do niej wracamy, bo chyba wszyscy, no może poza jurorami nagród, lubimy dobrą fabułę.

W Polsce wciąż pokutuje snobistyczny podział na literaturę ambitną i rozrywkową, a autorzy prozy gatunkowej cieszą się dużo mniejszą estymą od pozostałych.

Ten podział na świecie już się prawie zatarał, u nas też powoli zanika – przynajmniej z perspektywy zwykłych ↗

⇒ czytelników. Choć te podziały na literaturę wysoką i niską, na gatunkowe getta i tak dalej, wciąż pokutują – i nie zawsze w oczywisty sposób. Miłośnicy fantastyki lubią narzekać, że się ich zamyka w getcie, ale część z nich wcale nie ma ochoty z niego wychodzić. Postawy konsumentów i twórców kultury coraz bardziej się jednak demokratyzują, a mur między fantastyką i mainstreamem kruszeje. Taką jaskółką, która może, ale nie musi uczynić wiosnę, jest choćby Radek Rak i Nike dla „Ballady o wężowym sercu”.

Czyli coś jednak pękło.

Niektórzy mówią, że nie dostałby tej nagrody, gdyby nie poruszył wątku pańszczyzny i rabacji. Może tak, ale przecież to wciąż kawał rasowej fantastyki. I sam Rak chyba zamierza się jej trzymać.

Nie on pierwszy balansuje na granicy dwóch światów.

Najbardziej znanym przykładem jest dla mnie Andrzej Sapkowski, który do dziś bywa traktowany jako autor wyłącznie rozrywkowy. A sprawnością pisarską niewielu mogłoby mu dorównać. Wciąż powszechnie uważa się, że fantastyczność automatycznie zubaża literaturę. Widać to doskonale właśnie w przypadku Sapkowskiego, który „oficjalne” uznanie zdobył dopiero po trylogii husyckiej.

A przecież cykl o wiedźminie to jeden z ciekawszych komentarzy do rzeczywistości lat 90.

Pewnie – i to w kontekście ekonomicznym, społecznym czy politycznym, a nawet ekologicznym, weźmy choćby dylematy dotyczące zagrożonych gatunków, z jakimi boryka się zabójca potworów Geralt... Jestem przekonany, że za sto lat Sapkowski będzie wymieniany jako jeden z ciekawszych autorów swojej epoki.

Niektórzy jednak zostali na trwałe wyciągnięci z „getta”.

Jacek Dukaj to najciekawszy w tym kontekście przypadek. Jego proza to świetny przykład połączenia pomysłowości językowej z niczym nieskrępowaną wyobraźnią fantastyczną, do tego podpartą wiedzą naukową i filozoficzną erudycją. To pokazuje, że obie sfery nie tylko się nie wykluczają, ale wręcz twórczo napędzają. Fantastyka kapitalnie nadaje się do podejmowania poważnych tematów rzeczywistości. Kiedy Rak dostawał Nike,



MATEUSZ SKWARCEK / AGENCIA GAZETA

TOMASZ PINDEŁ jest znawcą literatury hiszpańskojęzycznej i tłumaczem. Wykładał w Katedrze Ameryki Łacińskiej UJ. Razem z Szymonem Kloską prowadzi audycję „Piątka z literatury” w RMF Classic.

Kultura narodziła się, gdy
przy ogniu w jaskini
zaczęto spekulować
o rzeczach, których nie
dało się doświadczyć
**inaczej niż poprzez
wyobraźnię.**

w świecie hiszpańskojęzycznym triumfy święciła powieść Mariany Enríquez „Nasza część nocy”, która teraz właśnie ukazuje się po polsku. To zupełnie inne teksty, ale zasada podobna: narzędzia właściwe fantastyce wykorzystane zostają do podejmowania trudnych tematów z narodowej przeszłości. I w obu przypadkach z wielkim sukcesem.

Powoli się osuwamy?

Zacierają się granice gett i mainstreamu, także pod względem tego, jak przeżywamy i konsumujemy literaturę

i w ogóle kulturę. Jeszcze 10-15 lat temu takie słowa jak „fandom” czy „konwent” trzeba było opatrzyć przypisami, a dziś stały się czytelne dla każdego, choćby średnio zorientowanego w kulturze odbiorcy. Upadają stare hierarchie.

Skoro mówimy o fandomie – czy wypracował jakiś szczególny model wyobraźni?

Zaryzykowałbym tezę, że ludzie z fandomu – zarówno twórcy, jak i odbiorcy, acz granica jest tam nieostra – cechują się często szczególną nadwrażliwością wyobraźni, czy też może: mają ją świetnie rozczwiconą. Konsumują niesamowite ilości tekstów kultury, to rozpędza ich spekulatywne umiejętności i sprawia, że potrafią spojrzeć na rzeczywistość z wielu, często bardzo nieoczywistych perspektyw.

To musi przekładać się na sposób postrzegania świata.

Ponoć fani fabuł postapokaliptycznych lepiej radzą sobie w czasach pandemii, bo rozpoznają dobrze znane schematy. No i potrafią sobie wyobrazić, że zawsze może być gorzej. Czytałem jakiś czas temu świetną książkę literaturoznawczą „Narracje zombiecentryczne” Kseni Olkusz, która pokazuje, że fabuły o żywych trupach kapitalnie diagnozują mentalną kondycję współczesnego społeczeństwa Zachodu, odsłaniają jego lęki i nadzieje. Obraz, który się z tego wyłania, jest mocno niepokojący.

Zaatakują nas zombie?

Pewnie nie, ale świadomość nadchodzącej, choć ciągle jeszcze niedookreślonej katastrofy, jest już powszechna. Z drugiej strony – może to i dobrze? Przynajmniej, jakby co, emocjonalnie będziemy na nią gotowi.

Wyobraźnia science fiction od dekad ma pesymistyczne barwy.

We współczesnej kulturze chyba w ogóle nie istnieją optymistyczne wizje przyszłości, bo są odruchowo odrzucane jako naiwne. Szczególnie uderza to w książkach i filmach dla młodzieży – „Igrzyska śmierci”, które są przecież trafną krytyką współczesnego społeczeństwa spektaklu, odbiły się szerokim echem, ale jest tego dużo więcej. Z drugiej strony, ciężko wymyślić atrakcyjną wizję, w której wszystkim będzie miło i rado-

śnie. To widać już w początkach gatunku, bo przecież „Wehikuł czasu” H.G. Wellsa nie tryska optymizmem. Pesymizm za-
zwyczaj też ma aspekt konstruktywny, bo służy zwróceniu uwagi na współczesne problemy. Każda wizja przyszłości opo-
wiada przede wszystkim o teraźniejszości.

Konwencja gatunkowa może być silnym ograniczeniem dla wyobraźni.

Ciekawe, że skonwencjonalizowanie rzadko wypomina się kryminałom, ale może to zależy od indywidualnych preferencji. Szanuję, gdy ktoś mówi, że nie lubi książek, gdzie faceci ganiają z mieczami i różdżkami – sam też nie czytuje powieści o paniach, które budują domy nad rozlewiskami. Jednak w przypadku SF i fantasy niemalże odruchowo odnosimy się wyłącznie do dzieł wtórnych i epigońskich. Owszem, stanowią one większość, ale przecież identycznie jest w każdym gatunku. Gdy mówimy o literaturze poświęconej miłości, raczej myślimy o „Romeo i Julii” niż o harlekinach. Osądzajmy gatunki po ich Lemach i Dukajach, a nie masowo produkowanej pulpie – tylko tak zobaczymy prawdziwy potencjał literacki i wyobraźniowy danej konwencji.

Jednak trudniej jest stworzyć dzieło wybitne, mając do dyspozycji narzędzia mocno już wyeksploatowane.

Po pierwsze, proza realistyczna czy obyczajowa także korzysta z konwencji. A po drugie, o wielkości danego dzieła świadczy umiejętność twórczego zonglowania schematami. W przypadku SF i fantasy mamy rzeczywiście wiele gotowych narzędzi, ale liczy się sposób ich wykorzystania. Możemy mieć setki fabuł opartych na tym samym pomysle – na przykład cofnięciu się w czasie i budowaniu alternatywnej rzeczywistości – ale trzeba talentu Zygmunta Miłoszewskiego, żeby napisać „Jak zawsze”. Kryminały też są szalenie skonwencjonalizowane, ale na przykład te pisane w Ameryce Łacińskiej okazują się świetnym sposobem demaskowania rzeczywistości: niestety, przy opisie na przykład Meksyku nic się tak nie sprawdza jak thriller...

Odeszliśmy daleko od wyobraźni.

Dla mnie najciekawsza jest literatura SF czy fantasy wprowadzająca coś, czego wcześniej nie było – tworząca światy niemalże nie do pomyślenia.

Pełna zgoda, tylko że taka literatura wymaga dyscypliny myślenia, i to nie tylko u autora. Gdy czytamy romans, często możemy przeskoczyć parę stron i dalej orientujemy się, kto za sobą tęskni (bądź już nie). Spekulatywna literatura SF jest wymagająca intelektualnie, ale też pobudzająca do myślenia. Nie każdy z nas poradzi sobie z lekturą naukowego tekstu z astrofizyki albo sążnistej filozoficzności, a dobrą powieść SF połączymy z przyjemnością. Cechą wspólną całego nurtu fantastycznego jest zdumienie nad światem. Borges, którego w tej rozmowie o wyobraźni powinniśmy odmieniać przez wszystkie przypadki, powiedział kiedyś, że ludzie dzielą się na wyczulonych metafizycznie i tych, dla których takie doświadczenia są obce lub obojętne.

Czytelnicy fandomowi są wyczuleni również na wewnętrzną spójność świata przedstawionego.

W programie każdego konwentu musi się pojawić przynajmniej jeden panel dyskusyjny, który będzie miał w tytule słowo „światotwórstwo”. W kręgu czytelników SF, ale też fantasy, widać szczególny szacunek dla tej umiejętności. Śmiałość założeń w kreowaniu nowych rzeczywistości to jedno, ale równie ważne jest wyciąganie z nich konsekwencji. I co ważne – w fandomie czytelnicy na równych prawach z autorem mogą dyskutować o najdrobniejszych elementach, składających się na poszczególne uniwersa.

Światotwórstwo bywa najciekawszym elementem w prozie fantastycznej, zwłaszcza gdy fabuła niedomaga.

Czasem może po prostu chodzić o walory estetyczne takich światów, stąd ta zawrotna kariera filmowa. Cóż piękniejszego od gwiazd i planet w ciemnościach sali kinowej! Fabuła rzeczywiście może być durnowata, ale popatrzeć zawsze przyjemnie. W ten sposób wiele osób odkryło dla siebie SF.

Fantasy i SF miało także potężne znaczenie w rozwoju kontrkultury.

Oba te gatunki miały w sobie kiedyś olbrzymi ładunek wyrotowy, z którego chyba niewiele dziś zostało. W Polsce dochodził jeszcze kontekst polityczny. W PRL-u każda grupa, która nie wpisywała się w oficjalne struktury życia kul-

turalnego, była w kontrze do władzy, nawet jeżeli sama lokowała się gdzieś zupełnie z boku.

Fandom był formą eskapizmu?

Zależy, o której jego części mówimy. SF spod znaku Zajdla i jemu podobnych była w oczywisty sposób formą krytyki ówczesnego reżimu – do tego stopnia, że cały fantastyczny sztafaż służył przede wszystkim za narzędzie do omijania cenzury. Z tego zrodził się jeden z mitów założycielskich fandomu jako formy politycznego oporu właśnie. Z drugiej strony, gdy rozmawiałem z weteranami tego środowiska, często słyszałem, że chodziło przede wszystkim o przyjemność z czytania i oglądania rzeczy, które były wówczas trudno dostępne. Dominował chyba jednak aspekt aprowizacyjny – wspólnota ludzi o podobnych zainteresowaniach, razem poszukujących książek i filmów.

A na świecie?

Wątek polityczny też był bardzo silny, ale obliczony na inne, mniej konkretne cele niż walka z totalitaryzmem. Na przykład Ursula Le Guin nie tylko znacząco poszerzyła konwencję literatury fantasy, ale również wpisała się w ważną dyskusję feministyczną.

W Polsce to bardzo świeża sprawa.

U nas te procesy, z różnych powodów, faktycznie zachodzą z opóźnieniem. Wciąż spora część fandomu reaguje alergicznie na wszelkie wątki polityczne, argumentując, że spotykają się wyłącznie po to, żeby rozmawiać o elfach i kosmitach, a kwestie światopoglądowe ich nie interesują.

Wyobraźnia też jest polityczna.

Podobnie jak wszystko inne. Nie da się od tego uciec, szczególnie jeżeli ktoś zajmuje się spekulacjami nad przyszłością czy alternatywnymi światami. A już chyba nie ma bardziej politycznego gatunku niż postapo czy dystopia. Nawet w przypadku klasycznego fantasy, fikcji, wydawałoby się, wybitnie eskapistycznej, widać ślady różnych wyborów światopoglądowych. I nie mówię tu nawet o Sapkowskim, gdzie jest to oczywiste, ale na przykład o Tolkienie, założycielu tego imaginarium. Niektórym ciężko się z tym pogodzić, ale niewinna wyobraźnia po prostu nie istnieje.

©© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI



NATALIA POLASIK / MOONWATER.PL

Natalia Polasik „Rozpoznanie terenu”, 2018 r.

Fikcja najdoskonalsza

GRZEGORZ JANKOWICZ

Wyobraźcie sobie świat, w którym dzieją się rzeczy
nie do objaśnienia za pomocą naukowych teorii.
Nigdy ich nie zrozumiemy.

Piętnaście lat temu w paryskiej École Normale Supérieure filozof Quentin Meillassoux wygłosił intrygujący wykład na temat szczególnego rodzaju fikcji. Już na wstępie zaznaczył, że zależy mu na wyróżnieniu i opisanu cech pewnego gatunku literackiego, który bywa mylony z fantastyką naukową, ale jest od niej radykalniejszy. Jako kryterium odróżnienia zaproponował stosunek fikcji do nauk doświadczalnych.

Fantastyka naukowa to realistyczna spekulacja na temat przyszłości, której podstawą jest naukowa wiedza o prawdziwym świecie, przeszłym i teraźniejszym. W wyobrażonej przyszłości granice nauki mogą być szersze, nauka może zmienić się nie do poznania, jednak aksjomat, zgodnie z którym świat jest poznawalny za pośrednictwem instrumentów właściwych naukom doświadczalnym, pozostaje nienaruszony. Dla odmiany drugi rodzaj fikcji, o którego wyodrębnienie Meillassoux postanowił zawalczyć, charakteryzuje się tym, że nauka jest w nim z zasady niemożliwa.

Bilard z Hume'em

Meillassoux oddaje fantastyce naukowej sprawiedliwość (podejrzewam, że zdarza mu się czytywać należące do tego gatunku utwory), ale interesuje go coś innego: szuka opowieści, które przedstawiają świat naprawdę inny niż nasz, świat tak osobliwy, że nauka nie może się w nim w ogóle rozwinąć. I nie chodzi o to, że jego mieszkańcy (kimkolwiek są) nie zdołali jeszcze wymyślić naukowego sposobu ujmowania zjawisk przyrodniczych. W przypadku tych innych opowieści, które francuski filozof nazywa „fikcjami spoza nauki” (w skrócie SFN), nieobecność nauki nie jest skutkiem zafobania bohaterów, lecz sposobu istnienia zasiedlanego przez nich uniwersum. Mogą dziać się w nim rzeczy, których po prostu nie można zrozumieć, które są niedostępne naukowemu poznaniu.

Skoro napisałem, że Meillassoux „szuka” literatury typu SFN, to znaczy, że jej obecność na listach utworów fantastycznych nie jest wcale oczywista. Mówiąc wprost, filozof najpierw sobie takie opowieści wyobraził, określił ich potencjalne cechy, a dopiero potem wybrał się do biblioteki, by odnaleźć w niej odpowiednie przykłady. Wszystko zaczęło się od rozpoznania pewnej możliwości, na której trop Meillassoux wpadł dzięki Davidowi Hume'owi.

W „Badaniach dotyczących rozumu ludzkiego” z 1748 r. Hume zajmuje się przyczynowością. W słynnym fragmencie tego traktatu pisze o obserwacji bilardowej kuli. „Gdy widzimy np. kulę bilardową poruszającą się w linii prostej ku innej kuli i gdy, przypuścimy, przypadkiem nawet powstanie we mnie myśl o ruchu drugiej kuli, który byłby skutkiem zetknięcia się lub zderzenia obu kul – czyż nie mogę sobie pomyśleć, że sto innych zdarzeń może być równie dobrze następstwem tej przyczyny? Czyż nie mogłyby obie kule pozostać w stanie bezwzględnego spoczynku? Czy nie mogłaby pierwsza w linii prostej powrócić lub odskoczyć od drugiej w jakimkolwiek kierunku? Wszystkie te przypuszczenia są w sobie zgodne i dadzą się pomyśleć. Dlaczegoż więc mielibyśmy przyznać pierwszeństwo jednemu z tych przypuszczeń, które nie jest w sobie ani zgodniejsze, ani łatwiejsze do pomyślenia od innych?” (przeł. J. Łukasiewicz i K. Twardowski).

Znane nam prawa fizyki podpowiadają, że pierwsza bila wprawi drugą w ruch. Szybkość i trajektoria tego ruchu będą

zależać głównie od pędu tej pierwszej i kąta odbicia. Mimo to nie ma żadnego powodu, by odrzucić wymienione wyżej przypuszczenia Hume'a. Nie da się ich wykluczyć ani „z góry”, ani „z dołu” – nie możemy ich obalić ani za pomocą logiki, ani za pomocą doświadczenia.

Wyobrażając sobie, że znane nam prawa fizyczne ulegną zmianie w bliższej lub dalszej przyszłości, nie popadamy w sprzeczność logiczną. „Dany byt – pisze Meillassoux w komentarzu do Hume'a – jest sprzeczny tylko wtedy, gdy w tym samym czasie i w tym samym aspekcie jest naraz *a* i nie-*a*. Jeśli jednak jakiś byt jest w stanie *a* (w stanie natury podległej znanym nam prawom), a p o t e m w stanie nie-*a* (natury nie podlegającej znanym prawom), logika nie może mieć zastrzeżeń” (przeł. P. Herbach). Sformułowanych przez Hume'a hipotez nie można również odrzucić na gruncie doświadczenia, gdyż to ostatnie daje nam wgląd wyłącznie w to, co się już wydarzyło, lub w to, co się właśnie wydarza, nie może nas natomiast wyposażyć w pewną wiedzę na temat przyszłości.

By odrzucić przypuszczenia na temat możliwości osobliwego ruchu kul, musimy odwołać się do zdrowego rozsądku i naszych przyzwyczajęń. Ale – zastrzega Meillassoux – jak mamy zawierzyć zdrowemu rozsądkowi, skoro nie ma on oparcia ani w logice, ani w doświadczeniu?

Spór z Popperem

Kule Hume'a zachowują się niczym naładowane magiczną energią artefakty w baśniach. Świat, w którym pewne byty reagują w taki sposób na kontakt z innymi bytami, przypomina fikcję literacką, np. powieści Lewisa Carrolla. Nic więc dziwnego, że Meillassoux pod wpływem tego fragmentu zaczął rozmyślać o wyjątkowym rodzaju fantastyki, który pod względem stopnia osobliwości przebija nie tylko utwory należące do gatunku SF, ale też dzieła wspomnianego Carrolla.

Zanim jednak przedstawię cechy przypisywane przez Meillassoux temu niezwykłemu typowi literatury, chciałbym streścić argumenty filozofów, którzy podjęli polemikę z Hume'em, gdyż pozwolą one wyraźniej zarysować różnice między fantastyką naukową a fikcją spoza nauki. Polemistów było kilku, ale najważniejsi z nich to Immanuel Kant oraz Karl Popper. Mimo że według Meillassoux obaj się mylili, to jednak pomyłka Poppera była poważniejsza, dlatego – wbrew chronologii – właśnie od niego wypada zacząć.

W „Logice odkrycia naukowego” z 1934 r. Popper pisze, że nic nie może nam pomóc w odrzuceniu hipotezy Hume'a o możliwości osobliwego zachowania kuli bilardowej, ale to dobrze, gdyż takie hipotezy nie mają w sobie nic z fikcji literackiej. Nasze przypuszczenia na temat przyszłości są bowiem teoriami, które zawsze mogą zostać obalone na drodze nowych naukowych doświadczeń. Kolejna teoria zastępuje starą. Na tym polega rozwój nauki. Fakt, że w danym momencie nie potrafimy potwierdzić lub sfalsyfikować jakiejś hipotezy, gdyż nie pozwala nam na to aktualny stan wiedzy, nie oznacza, że tak będzie już zawsze. Zdaniem Poppera zweryfikowana za pomocą licznych doświadczeń teoria, która uchodzi obecnie za właściwą, już jutro może zostać obalona, niepotwierdzona do tej pory hipoteza zaś może niebawem znaleźć podstawę w doświadczeniu, choć wydaje nam się to nieprawdopodobne.

Według Meillassoux Popper, zakładając, że w przyszłości nauka rozwinie się w sposób, którego nie umiemy na razie →

→ przewidzieć, postępuje jak pierwszorzędnny pisarz fantastycznonaukowy. Uważa, że pewne zjawiska, np. niecodzienny ruch kuli bilardowej, pozostają dla nas tajemnicą, ale tylko dlatego, iż jeszcze ich nie rozumiemy. Z podobną sytuacją mamy do czynienia w opowiadaniu amerykańskiego prozaika Isaaca Asimova, które już samym tytułem wpisuje się w kontekst wszystkich dotychczasowych rozważań. Chodzi o napisany w 1966 r. tekst pt. „Kula bilardowa”.

Dwóch wieloletnich znajomych nieustannie ze sobą rywalizuje. Pierwszy z nich, James Priss, jest profesorem, jednym z najwybitniejszych naukowców swoich czasów, laureatem dwóch Nobli. Drugi, Edward Bloom – genialnym wynalazcą, który z łatwością przekuwa istniejące teorie w technologiczny konkret, dzięki czemu zyskuje sławę i pieniądze. Priss zazdrości Bloomowi rozpoznawalności i bogactwa, Bloom zaś zazdrości Prissowi uznania w kręgach naukowych i najważniejszych nagród. Ich współzawodnictwo co tydzień przenosi się do klubu, w którym grywają w bilard.

Względnie stabilna relacja wchodzi w stan absolutnego wrzenia, gdy Bloom postanawia skonstruować urządzenie pozwalające neutralizować pole grawitacyjne. Teoretyczną możliwość wyzerowania grawitacji przedstawił Priss w jednej ze swych prac, za co otrzymał drugiego Nobla. Postawił w niej hipotezę, że zniesienie grawitacji można osiągnąć za pomocą równoważącego ją pola elektromagnetycznego, tyle że pole to musiałoby być nieskończone, a więc jego idei nie da się zrealizować. Po trwających rok staraniach Bloomowi udaje się jednak skonstruować maszynę zerującą grawitację. Na jej prezentację zaprasza dziennikarzy i Prissa. Neutralizacja pola grawitacyjnego ma nastąpić w samym środku stołu bilardowego, który ustawiono w zasięgu maszyny. Bloom prosi Prissa, by uderzył kulę w odpowiednim kierunku – tak by weszła w obszar z zerową grawitacją – zakładając, że gdy tylko się tam znajdzie, zamiast zmierzać dalej, uniesie się nad stołem.

Nie chcę zdradzać zakończenia. Powiem tylko, że kula zachowuje się inaczej, niż sądził Bloom, ale da się to zjawisko wyjaśnić za pomocą odpowiednich praw fizycznych. Ostatecznie okazuje się, że jeden z bohaterów zrozumiał więcej niż drugi.

Według Meillassoux na tym właśnie polega błąd Poppera: dylemat Hume’a sprowadził on do kwestii rozumienia i postępu w jego obrębie. Szkockiemu filozofowi chodziło jednak o coś innego – nie o problem epistemologiczny, lecz ontologiczny. U Poppera i w całej SF świat podlega nauce, dlatego śledząc jego dzieje, mamy wrażenie spójności (zagadki zostają albo rozwiązane, albo przynajmniej wyjaśnione, a działania bohaterów mają cel). U Hume’a i w fikcji spoza nauki świat zachowuje się całkowicie nieprzewidywalnie i nigdy nie uda się jego nieprzewidywalności opanować za pomocą naukowych teorii.

Szach Kanta

Doskonale zrozumiał to Kant, który w dylemacie Hume’a od razu rozpoznał problem metafizyczny, a nie – jak Popper – epistemologiczny. Królewiecki myśliciel doszedł jednak do wniosku, że zagadnienie można ująć w inny sposób: świat, w którym nauka nie jest możliwa, w którym prawa fizyczne nie są konieczne, w ogóle nie jest światem, tylko totalnym chaosem. Uniwersum, którego sposób istnienia uniemożliwia rozwój nauki, nigdy nie przyjąłoby formy świata. Funkcjonowałoby w stanie czystego zróżnicowania. Co więcej, nie mo-

głaby w nim zaistnieć świadomość. Bez świadomości zaś nie powstałaby żadna opowieść. Nie moglibyśmy niczego w takim „świecie” zaobserwować, nie byłibyśmy w stanie niczego o nim powiedzieć, tym bardziej niemożliwe byłoby pisanie na jego temat opowiadań czy powieści.

Gdyby Kant słuchał wykładu Meillassoux, odrzuciłby jego argumentację, twierdząc z całą stanowczością, że fikcja spoza nauki jest niemożliwa, bo niemożliwy jest świat, który nie podlega naukowym prawom. Z tej perspektywy problem Hume’a zostaje rozwiązany przed trybunałem wyższej konieczności metafizycznej. Skoro Hume może myśleć i formułować swe hipotezy, skoro raz w tygodniu może spotykać się ze znajomymi na partyjkę bilarda, to znaczy, że prawa naukowe są konieczne i bila nie może nagle podskoczyć jak wystraszona lub odfrunąć w nieprzewidywalnym kierunku.

Na szach Kanta Meillassoux odpowiada spektakularną obroną, a później atakiem. „Dlaczego właściwie – pyta francuski filozof – nie moglibyśmy sobie wyobrazić światów, które nie podlegają prawom koniecznym – a zatem światów raczej niestabilnych, zdolnych tu i ówdzie zachować się absurdalnie, lecz w swym ogólnym obrazie regularnych, choć regularno-

Jak zaufać zdrowemu rozsądkowi,

skoro nie ma on oparcia ani w logice, ani w doświadczeniu?

ścią, która w żadnym stopniu nie wynika z koniecznych procesów przyczynowych?” (przeł. P. Herbach). Kant przekonuje, że światy, które nie podlegają żadnym prawom, są czystym chaosem, na co Meillassoux odpowiada, że skoro w tych światach rzeczywiście nie ma praw i żadnej konieczności, to nie można z góry powie-

dzied na ich temat nic pewnego, nie można wykluczyć żadnej możliwości, również tej, że jeden z tych światów będzie w jakimś aspekcie niestabilny, ale w innych aspektach zachowa przybliżoną regularność. A przybliżona regularność to szansa dla świadomości, która mogłaby cechy takiego uniwersum przynajmniej częściowo uchwycić i stworzyć na jego temat w miarę zrozumiałą opowieść.

Ta ostatnia zawierałaby opis rzeczywistości, w której dzieją się rzeczy zaskakujące. Wyjaśnienie przyczyn nieregularności takiego świata byłoby trwale niedostępne – nigdy nie poznalibyśmy rozwiązania. W utworach Lewisa Carrolla nieprzewidywalne zdarzenia podlegają pewnym prawom; dziwimy się im, ale bardzo szybko znajdujemy dla nich odpowiedni kontekst (np. osadzamy je w tradycji brytyjskiej literatury groteskowej, z której pisarz czerpie garściami, tworząc żarty językowe i sytuacyjne). W fikcji spoza nauki nie dałoby się odnieść przedstawionych zdarzeń do jakichkolwiek praw. Otrzymalibyśmy jedynie rejestr kolejnych anomalii i pojawiających się między nimi w kapryśnym rytmie względnych regularności, które nie byłyby dla naszej świadomości żadnym oparciem.

Opowieść tego rodzaju stanowiłaby przykład radykalnego rodzaju fikcji – najbardziej fikcyjnej spośród wszystkich fikcji. Meillassoux podaje przykład takiej literatury, ale zarazem zachęca – a ja tę zachętę jeszcze wzmacniam – do poszukiwania kolejnych.

© P. GRZEGORZ JANKOWICZ



**Copernicus
Center**



Miej oko na naukę

Wykłady na żywo, programy popularnonaukowe
i pytania filozoficzne aktualne od 2,5 tys. lat

 youtube.com/copernicuscenter

 **SUBSKRYBUJ**

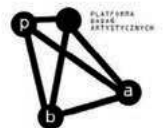
ORGANIZATORZY



PRZY WSPARCIU



PARTNERZY



PARTNERZY MEDIALNI

